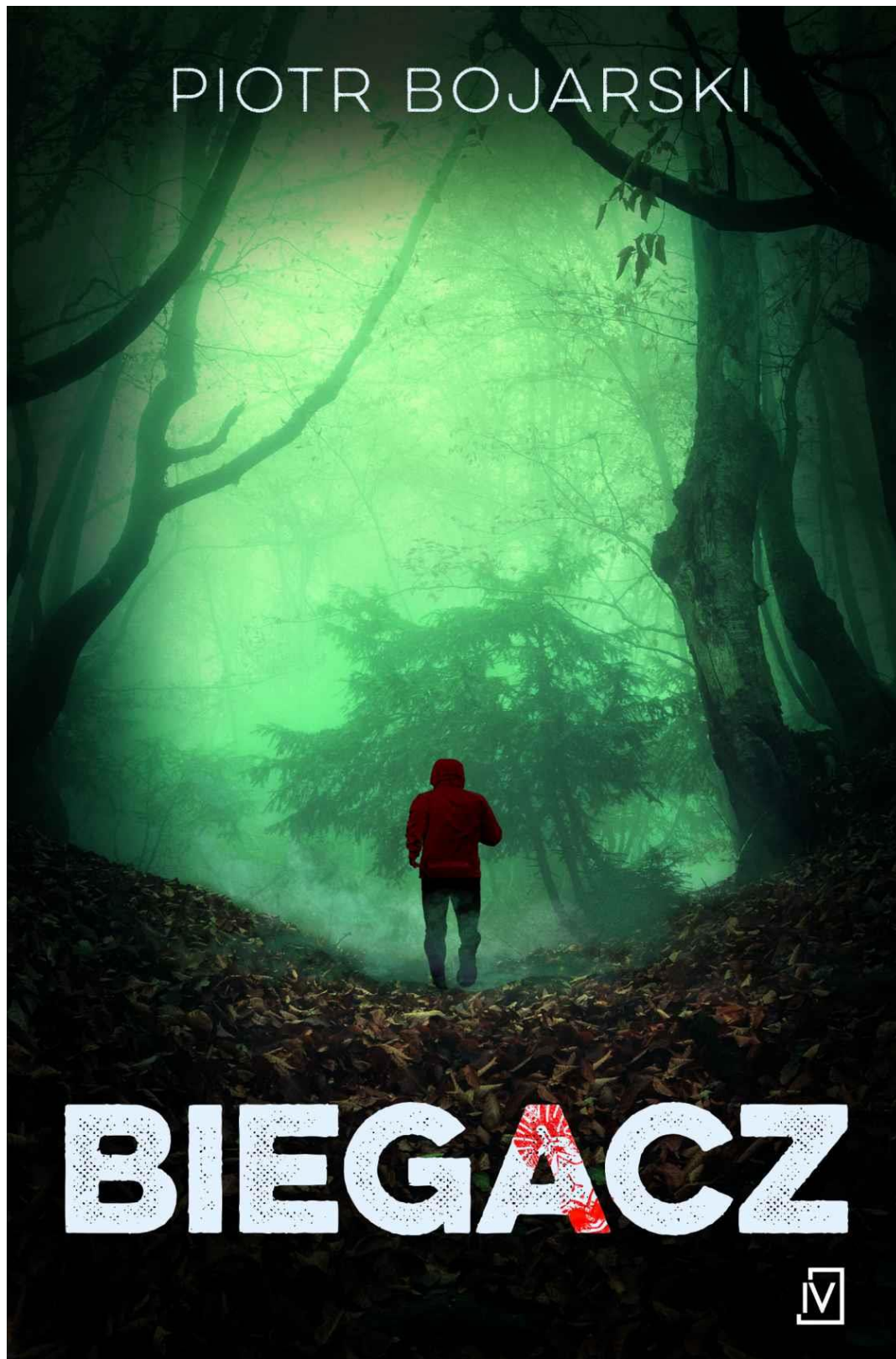


PIOTR BOJARSKI



# BIEGACZ



PIOTR BOJARSKI

# BIEGACZ



Copyright © Piotr Bojarski, 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

WYDANIE ELEKTRONICZNE 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Magdalena Ciszewska

Korekta: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl

Projekt okładki: Juliusz Zujewski

ISBN 978-83-7976-667-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fre-dry 8, 61-701 Po-znań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

## Spis treści

**CZEŚĆ I ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10 CZEŚĆ II ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15 ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 ROZDZIAŁ  
18 CZEŚĆ III ROZDZIAŁ 19 ROZDZIAŁ 20 ROZDZIAŁ 21 ROZDZIAŁ 22  
ROZDZIAŁ 23 ROZDZIAŁ 24 ROZDZIAŁ 25 ROZDZIAŁ 26 ROZDZIAŁ  
27 ROZDZIAŁ 28 ROZDZIAŁ 29 CZEŚĆ IV ROZDZIAŁ 30 ROZDZIAŁ 31  
ROZDZIAŁ 32 ROZDZIAŁ 33 ROZDZIAŁ 34 ROZDZIAŁ 35 ROZDZIAŁ  
36 ROZDZIAŁ 37 Od autora Wydawnictwo Poznańskie poleca**

*The past never passes.*

(Przeszłość nigdy nie przemija).

William Faulkner

*Kasieńce*

## **Część I**

### **GBUR**

## 1.

### Mniej niż zero

Kiedy biegniesz wczesną wiosną przez las, wiatr niesie za tobą szelest zeschniętych liści. Mimo woli odwracasz się wtedy, by sprawdzić, czy kogoś za tobą nie ma. No więc biegłem, co chwilę nerwowo oglądając się za siebie. Przez lasek, który od miesiąca widuję z okna wynajmowanego mieszkania.

Ja, Bogdan Popiołek, lat czterdzieści cztery, metr osiemdziesiąt wzrostu i dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi. Jak to się dziś mówi: singiel. Ofiara mody, a może raczej szaleństwa. W obcisłych jak rajtuzy baletmistrzów portkach i ciepłej, chyba zbyt mocno opinającej mój piwny brzuch bluzie z Decathlonu. I oczywiście w nowiutkich gumowych butach na specjalnych podszewkach, które podobno oszczędzają stawy. Podobno!

Zainwestowałem w tak oryginalny strój, bo nie mogłem już dłużej na siebie patrzeć. Brzuch po zimowym nieróbstwie urósł mi w zastraszającym tempie. Waga... Hm, minimum pięć kilo nadwagi, jak w pysk strzelił. Czuję je z każdym krokiem tej szalonej przebieżki.

Wszystko przez tę modę. Wokół siebie słyszysz, jakie fajne jest bieganie... Fajne! Już po trzech minutach dostałem niepokojącej zadyszki, a po dwóch następnych zacząłem wątpić, czy dam radę biec przez kolejne kilka. Gdzie te endorfiny? – zastanawiałem się. Gdzie te wyzwalane w mózgu hormony szczęścia, niwelujące wszelki ból? Zamiast przyływu euforii poczułem cholerne klucie w lewym udzie. A zaraz potem coś strzyknęło mi niepokojąco pod kolanem. Tetryku w średnim wieku, zasiedziały przed komputerem! Zachciało ci się naoliwić z dawna zatarte tryby – to masz!

Dyszząc ciężko jak zraniony tur, wpadłem na odkryty teren. Dróżka wiodła teraz obok młodnika, białego korą rachitycznych brzózek. Całkiem tu ładnie, pomyślałem. Może spróbuję jeszcze trochę... Zacisnąłem zęby i skupiłem się na wyrównaniu oddechu. W bieganiu to podobno kluczowa sprawa. Tak przynajmniej słyszałem od zawodowców – ja, biegacz od siedmiu boleści...

Powietrze pachniało mchem i ściółką. Było chłodne, a przy tym wilgotne. Czuję, że mi to pomaga. Gdybym biegł w czerwcowym upale, musiałbym już spasować. Ale w marcu... W marcu wyczułem szansę na zrobienie „życiówki”. Jeśli pobiegam jeszcze kwadrans, poprawię swój rekord z ubiegłego tygodnia równo o połowę!

O połowę! Całe szczęście, że nie widzą tego moi uczniowie – pocieszyłem się w myślach. Mieliby ubaw jak jasna cholera. Wieść o tym, że ten grubas Popiołek oszalał, rozniosłaby się lotem błyskawicy po korytarzach gimnazjum,



rozbijając w proch i pył resztki mojego pedagogicznego autorytetu. O tak, to byłaby spektakularna klęska wizerunkowa, równa chyba tylko upadkowi cesarstwa zachodniorzymskiego! Albo muru berlińskiego. Całe szczęście, że mieszkam aż pięć przystanków od szkoły. Możliwość ośmieszenia się w oczach uczniów wydawała się raczej nikła...

Uklucie pod prawym żebrem odebrałem jako ostrzeżenie. Jak pomarańczowe światło kontrolki na tarczy mojego starego forda, wskazujące brak paliwa. Kolka! Że też musiała się przypomnieć akurat teraz, kiedy gnałem po nowy rekord! Zwolniłem, bo to przecież nie wstyd. Zwłaszcza gdy dopiero rozpoczyna się bieganie. Wydłużyłem krok, co spowodowało, że poczułem się jakoś pewniej. Muszę wolniej oddychać – powtarzałem w myślach, walcząc z szarpanym, chaotycznym stylem zasysania powietrza. Muszę za wszelką cenę uregulować oddech...

Zostawiłem już dawno za sobą niskie brzoźki i człapałem teraz w lesie bezlistnych koron, szumiących nad moją głową w rytm podmuchów wiatru. Ból w lewym udzie przypominał dobitnie o mojej fizycznej niedoskonałości, ale oddech stał się jakby lżejszy, płynniejszy. I nagle... Nagle odkryłem, że właściwie już mnie nie przytyka! To był zaiste błysk dzikiej euforii. Z tego szczęścia zrobiło mi się nagle gorąco. Zerknąłem na zegarek. Biegłem już prawie czternaście minut! W dodatku kolka nie przejawiała nadmiernej złośliwości, a to wróżyło naprawdę długi bieg!

Kiedy tydzień temu wychodziłem po raz pierwszy, żeby pobiegać, przyjąłem jedną zasadę: nie nastawiam się na konkretny dystans. Postaram się natomiast za każdym razem wydłużyć swój wysiłek o kilka minut. Pierwszego dnia wytrzymałem dziesięć minut truchtu. Z tego powodu poczułem się jak przedwczesny emeryt. Chciałem to jak najszybciej zmienić. Tym razem zanosilo się na znacznie lepszy wynik. Niosło mnie do niego jak na skrzydłach.

Wąska dróżka skręciła w lewo ku dolince, która prowadziła łagodnym zakosem ku stawowi. Łagodny spadek terenu nadał mi pędu i entuzjazmu. Kolka jakby zapomniała, po co istnieje. Bieg nareszcie zaczynał sprawiać mi przyjemność. Najwyraźniej pokonałem kryzys tlenowy, przed którym ostrzegał mnie kolega z pracy. Czyżbym zaczynał łapać, o co w tym wszystkim chodzi?

Podobało mi się tutaj, choć wokół było szaro. Wiosenna zieleń nie zdążyła jeszcze pokryć zboczy wąwozu. Wzdłuż szutrowej ścieżki ciągnęło się malownicze bagienko, prowadzące ku wodnej tafli, przebłyskującej przez nagie konary drzew. Żeby nie zapeszyć, przestałem zerkać na zegarek. Wiedziałem, że biegnę już grubo powyżej kwadransa, i ta świadomość pchała mnie do przodu. Pchała tak dobrze, że w ciągu następnych minut pokonałem całą długość Stawu Browarnego i obiegłem go od zachodu, skręcając w dróżkę wznoszącą się nieznacznie ku górze, ku Zielińcowi – dzielnicy domków jednorodzinnych z lat PRL.

I właśnie tu, na łagodnym wzniesieniu, które okazało się Masywem Centralnym, dopadł mnie drugi kryzys. Zgubiłem rytm i pewność oddechu, zacząłem się męczyć i poczułem, że obolałe mięśnie nóg, nawykłe od lat do bezczynności za biurkiem, dopominają się gwałtownie tego, co lubią. Odpoczynku. A może by tak...

Rzuciłem okiem na zegarek. Dwadzieścia minut! Biegnę już dwadzieścia minut! Rekord pobity o sto procent! Popiołek, stary byku, jesteś wielki! Bardziej siłą rozpędu niż woli doczłapałem do wyłożonej betonowymi płytami alejki, przechodzącej w leśny parking. Jeszcze chwilę, postanowiłem. Jeszcze kilka minut.

Parking był podłużny i zaśmiecony resztkami po fast foodach. Ale nie pusty. W przeciwległym jego końcu, w samym rogu stała jakaś biała landara. Biegnę w jej stronę. Chwilę później rozpoznałem markę furgonetki obróconej do mnie odrapanym tyłem. Stary fiat ducato należał do firmy cateringowej Rogal i Synowie. Tak przynajmniej wynikało z wymalowanego na nim logo. Choć stał z wyłączonym silnikiem, manifestował ochoczo swoją starość, trzeszcząc głośno i dość rytmicznie.

Przebiegając obok zaparowanego okienka szoferki, zrozumiałem dlaczego. W środku wozu odbywał się gwałtowny, choć skrępowany ciasnotą wnętrza akt miłosny. Zdążyłem tylko zobaczyć rozpuszczone blond włosy atrakcyjnej kobiety. I gładko wygoloną głowę jej adoratora. Zaraz potem usłyszałem za sobą pełen oburzenia męski głos:

– Spierdalaj, zboczeńcu!

Przyspieszyłem kroku, zostawiając za plecami przybytek dzikiej namiętności, ale fiat ducato nie przestał grać swojej zrupieciałej melodii miłości. Nie poczułem się więc winny niedyskrecji.

Kilkanaście kroków dalej otoczył mnie gęsty zagajnik młodych, chaotycznie rosnących drzewek i krzewów, nad którymi zwiślały ciężkie kable linii energetycznej. Jego środkiem wiodła wąska, niezbyt przyjemnie wyglądająca ścieżka. Dobiegnę ją do końca i spasuję, zdecydowałem.

I wtedy go usłyszałem. Biegł z naprzeciwka, dysząc jeszcze ciężiej ode mnie. Zauważyłem go, gdy nadepnął na suchą gałązkę, płosząc wróble skryte w nagich krzewach. Szybkie spojrzenie na jegomościa uświadomiło mi, dlaczego poruszał się tak wolno, niemal dostojnie. Wyglądał na gościa pod sześćdziesiątkę. Ubrany w elegancki dres adidasa i piękne, na pewno droższe od moich buty, sunął regularnym truchtem przed siebie. W uszach miał słuchawki, a wiodące od nich kabelki tonęły w gęstej, siwej brodzie. Na pałkowatych nogach, z wydatnym piwnym brzuszkiem i przeświecającą przez srebrne włosy łysiną wyglądał nieco groteskowo. Zupełnie jak Koszałek Opalek z obrazków w książce, którą czytała mi niegdyś babcia.

Uniosłem prawą dłoń, by pozdrowić go gestem typowym dla biegaczy, ale

nie odwzajemnił uprzejmości. Nawet na mnie nie spojrział. Z trudem mineliśmy się na ciasnej drodze. Właściwie to ustąpiłem mu drogi, bo najwyraźniej nie zamierzał się posunąć w bok.

Co za gbur, pomyślałem, pozostawiając go za sobą z niesmakiem. Słuchał Lady Pank. Na tyle głośno, że w przelocie dotarł do moich uszu kawałek starego, osłuchanego przeboju:

*Są tacy, to nie żart,  
dla których jesteś wart  
mniej niż zeroooo!*

Przedpotopowy dinozaur, syknąłem w myślach. Nie lubię ludzi, którzy nie potrafią się zachować.

Brodacz pozostał daleko za moimi plecami. Heroicznie walcząc ze słabością, podbiegłem jeszcze kilkadziesiąt metrów, aż wpadłem na główną alejkę, otaczającą szutrową wysypką owal stawu. Tu skapitulowałem ostatecznie i nieodwołalnie – zatrzymałem się, usiłując złapać oddech. Zegarek sprawił mi dużą radość: informował, że za drugim podejściem wytrzymałem w biegu prawie pół godziny! Do okrągłego wyniku zabrakło mi dwóch minut, ale co tam! Jeśli tak będą wyglądać moje postępy, za miesiąc pobiegnę maraton!

Nie zdążyłem krytycznie odnieść się do ostatniej konstatacji, bo znowu usłyszałem czyjeś posapywanie. Alejką biegli dwaj faceci w sportowych ciuchach. Wyglądali na zaprawionych w bojach sportsmenów. Przez ich obcisłe dresy prześwitywały nabite mięśniami ramiona i uda. Coś jednak było w nich dziwnego... Już wiem! Ich wiek. Obaj wyglądali na rówieśników brodatego milczka, którego minąłem ledwie minutę wcześniej.

Biegli w milczeniu, jakby nieobecni. Odniosłem wrażenie, że rozglądają się, jakby kogoś szukali. Kręcili siwymi, krótko przystrzyżonymi głowami na prawo i lewo. Darowałem sobie pozdrowienie ręką, zresztą całkiem słusznie. Dwójce biegaczy też nie były w głowie takie fanaberie. Minęli mnie bez słowa i skręcili z alejki w zagajnik rosnący pod linią wysokiego napięcia. Ten sam, w którym chwilę wcześniej widziałem dinozaura ze słuchawkami na uszach. Zdaje się, że nieco przyspieszyli.

Przez chwilę stałem pochylony z rozkraczonymi nogami, wspierając się dłońmi na kolanach. Oddychałem chrapliwie jak kobyła po dostawie węgla na Górę Przemysła. Opór mięśni ud i łydek narastał z każdą minutą, pot lał się spod koszuli Wartą, a może nawet Wisłą, ale nie to było teraz ważne. Rozpierała mnie duma. Że dałem radę. Że pokonałem dwa kryzysy i się poprawiłem. Że nie pękłem. Może jednak będą ze mnie ludzie?

## 2.

### Czarna folia

Koszalka Opałka zobaczyłem raz jeszcze – następnego dnia wieczorem. A właściwie jego drogie adidas. Rozpoznałem je na ekranie telewizora. Wystawały spod czarnej folii, którą funkcjonariusze w mundurach nakryli zwłoki, wsuwane pospiesznie do policyjnego wozu. Z wrażenia rozlałem jogurt, brudząc sprawdziany leżące na ławie przed moim tapczanem. A zaraz potem, nie zwracając uwagi na skutki tej katastrofy, sięgnąłem po pilota, by podnieść poziom głosu.

*...Do morderstwa doszło wczoraj w godzinach popołudniowo-wieczornych w ustronnym, rekreacyjnym miejscu na obrzeżach Poznania. Według naszych ustaleń ofierze zadano cios nożem w klatkę piersiową. Motywy zbrodni nie są na razie znane. Policja odmawia wszelkich komentarzy...* – Prezenter lokalnego programu informacyjnego wypowiadał słowo za słowem minorowym tonem.

W kilkusekundowej migawce pokazano miejsce znalezienia ciała: wygniecioną suchą trawę pod rachityczną sosną. I słupki z pniaków blokujące samochodom wjazd do lasu. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz rzecznika lokalnej policji. Wyglądał na zirytowanego pytaniami dziennikarzy o to, kim była ofiara napaści.

– *A skąd pan wie, że to była napaść?* – Zjeżył się.

– *Przecież sam nie zadał sobie takiej rany!* – Reporter TVP błysnął reflekssem.

– *Na obecnym etapie śledztwa nie udzielamy żadnych informacji.* – Policjant uciął nerwowy dialog.

Zaraz potem nastąpiła zmiana tematu i prezenter serwisu informacyjnego zajął się zasadami wypłacania pieniędzy z rządowego programu „500 plus”.

Siedziałem przed ekranem jak sparaliżowany. Uświadomiłem sobie, że wczoraj po południu byłem prawdopodobnie ostatnim człowiekiem, który widział brodacza w wieku przedemerytalnym żywego. I dosłownie mnie zatkało.

Moja pierwsza myśl: to przecież mogłem być ja. Napastnik musiał się czaić gdzieś przy leśnej alejce. Być może nawet widział mnie, zanim zaatakował Koszałka. Mój Boże, jak absurdalny wydał mi się nagle ten pseudonim nadany *ad hoc* nieznanemu!

Zaraz potem pomyślałem, że policja na pewno szuka świadków zdarzenia. A ja przecież coś widziałem. No właśnie, tylko co? I czy jestem pewien, że rzeczywiście mam śledczym do przekazania coś interesującego? A jeśli mnie wyśmieją? W końcu, mogę im co najwyżej opisać denata. Tyle że jego rysopis znają już aż za dobrze...

Nagle poczułem ciarki na plecach. Dwójka biegaczy! Przecież pobiegli za tym gburem! A jeśli...

W jednej chwili zrozumiałem, że widziałem znacznie więcej, niż początkowo sądziłem. Widziałem, ale czy zobaczyłem?

Chwyciłem długopis, odsunąłem od siebie dwa pobrudzone jogurtem sprawdziany i odwróciłem kartkę trzeciego, czystego. Na gorąco zacząłem na niej spisywać wszystko to, co impulsywnie wyrzucał z siebie twardy dysk mojej pamięci. Wynotowałem kilkanaście punktów, poczynając od godziny, o której widziałem przyszłego denata, i jego zachowania, a kończąc na fizjonomiach dwójki biegaczy podążających jego śladem. Takie zawodowe zboczenie, wyniesione ze studiów. Spis wyglądał wprawdzie jak chaotycznie sporządzona lista zakupów, ale nie dbałem o to. Liczyło się przecież to, co zapisałem.

Zerknąłem za okno. Ciemności kryły już ziemię, jak napisał niegdyś pewien polski pisarz. Był wprawdzie marzec, ale przed dziewiętnastą nawet on musiał uznać wyższość praw natury. Gdzie tu jest najbliższa komenda policji?

Gdy chwyciłem kluczyki, wiedziałem już, dokąd pojedę. W tyle głowy tliła się nadzieja, że może wniosę coś istotnego do śledztwa. W końcu coś zobaczyłem. Tylko co?

•••

Funkcjonariusze za szybą dyżurki sprawiali wrażenie zmęczonych. Kiedy jednak powiedziałem, że mam ważne informacje związane z zabójstwem biegacza, ich źrenice rozszerzyły się jak po smolistym espresso.

– Proszę wejść – rzucili od razu.

Usłyszałem brzęczyk i szara tafla zbrojonego szkła ustąpiła pod pchnięciem mojej dłoni, wpuszczając mnie do wnętrza komendy. Naprzeciw wyszedł liczący mniej więcej czterdzieści lat aspirant w granatowym mundurze. Rozpoznałem jego policyjne dystynkcje, bo od roku próbowałem napisać powieść sensacyjną. Na razie z mizernym skutkiem.

– Aspirant Borys Gruszka. – Funkcjonariusz przedstawił się, nie wyciągając ręki. – Proszę za mną.

Zaprowadził mnie do najbliższych drzwi. Za nimi zobaczyłem niedużą salę ze stołem i dwoma krzesłami. Jedna ze ścian była prawdopodobnie lustrem weneckim – a może tak mi się tylko zdawało?

– Słucham pana – odezwał się ponownie gospodarz, gdy siedliśmy naprzeciwko siebie. – Co to za pilne informacje?

– Nazywam się Popiołek. Bogdan Popiołek. – Przedstawiłem się. – Widziałem dziś w telewizji wasz apel o zgłaszanie się świadków w sprawie zabójstwa...

– Ale nikt o to nie apelował – zauważył Gruszka i przyjrzał mi się nagle z

nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

Z miejsca poczułem się jak intruz. A może nawet potencjalny podejrzany.

– Być może... – bąknąłem, zdając sobie sprawę, że się czerwienię. – Chodzi mi o to, że... Że byłem chyba świadkiem czegoś ważnego.

– Pan? Kiedy? Gdzie?

Odchrząknąłem z wrażenia. Towarzyszyło mi niemiłe przeczucie, że z każdym kolejnym zdaniem pograżam się w oczach policjanta.

– Wczoraj po południu. Kiedy biegałem nad Cybiną.

– A co pan konkretnie zobaczył?

– Widziałem mężczyznę, który został zamordowany...

– Rozumiem. Jak wyglądał? Sprawiał wrażenie zaniepokojonego czymś?

Zamyśliłem się na moment. Szczerze mówiąc, nie zapamiętałem tego dobrze. Może dlatego, że brodacz potraktował mnie jak powietrze. Mimo że pozdrowiłem go dłonią.

– Nie, wyglądał na zrelaksowanego – odpowiedziałem.

– To wszystko? – Aspirant Gruszka się zdziwił.

– Aha! – Nagle to sobie przypomniałem. – Miał na uszach słuchawki, to był Lady Pank... *Mniej niż zero*, ich pierwszy przebój. Leciało to bardzo głośno.

– Lady Pank... – Funkcjonariusz spojrzał na mnie jak na wariata.

Nabrałem ochoty, by kopnąć go pod stołem w kostkę.

– No cóż... Dziękuję panu bardzo za przyście tutaj... – Aspirant najwyraźniej uznał rozmowę za zakończoną. – Jeśli coś by się panu przypomniało...

– Widziałem coś jeszcze. – Osadziłem go na miejscu. Spojrzał na mnie mało sympatycznie.

– Tak? A co to było?

Przełknąłem ślinę.

– Widziałem być może zabójców. – Wyjawiłem z poważną miną.

Aspirant złożył dłonie jak do modlitwy. Już wiedziałem, że mi nie wierzy.

– Dlaczego pan sądzi, że to byli zabójcy? – Przeszedł od razu do sedna.

– Bo biegli za brodaczem – odparowałem.

Ta rozmowa już dawno przestała mi się podobać. Irytowało mnie, że muszę się tłumaczyć tylko z tego powodu, że zamierzam poinformować policję o czymś ważnym.

– Wie pan, po lesie wokół Malty i Cybiny biegają tysiące ludzi. – Wzruszył ramionami. – Nie możemy od razu zakładać, że każdy z nich jest z tego powodu podejrzany.

– Ale ci dwaj biegli za nim. – Położyłem nacisk na końcówkę zdania.

– Dlaczego pan tak sądzi? – Gruszka w końcu się zainteresował. – Trzymali się blisko niego? Byli tuż za jego plecami?

– Nie. Pojawili się jakąś minutę później. – Poprawiłem się.  
– Skoro minutę później...  
– Najwyżej minutę. – Natychmiast doprecyzowałem.  
– Skoro „najwyżej minutę” później, to dlaczego twierdzi pan, że biegli akurat za denatem?

Należę do ludzi cierpliwych, ale stróż prawa zaczął mi działać na nerwy.  
– Bo ewidentnie biegli jego śladem. Tak jak on skręcili w zagajnik pod słupami wysokiego napięcia.

Aspirant wzruszył ramionami.  
– To jeszcze nic nie znaczy. – Oceniał. – Czy... ma pan coś jeszcze?  
Poczułem mocne uderzenie krwi do głowy.  
– Nie interesuje pana, jak wyglądali ci dwaj mężczyźni? – zapytałem, z trudem opanowując zdenerwowanie.

Aspirant sprawiał wrażenie, jakby spieszył się do wyjścia.  
– A tak, rzeczywiście. – Niechętnie przyznał mi rację. – Więc w jakim byli wieku?

Sięgnąłem po złożoną kartkę, którą trzymałem w kieszeni kurtki, i podałem ją drżącą dłonią funkcjonariuszowi.

– Spisałem tu wszystko to, co zdołałem sobie przypomnieć, kiedy w telewizji podali wiadomość o morderstwie w parku – oświadczyłem z dumą.

Gruszka zerknął na kartkę bez entuzjazmu.  
– „Uchwalenie stutysięcznej armii”? – Odczytał, spoglądając na mnie znowu, jakbym był niespełna rozumu.

– Przepraszam. To sprawdzian, napisany przez mojego ucznia... Pan rozumie, reformy Sejmu Wielkiego... – Pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Moje notatki są na drugiej stronie.

– Aha – mruknął policjant.  
Przebiegł szybkim wzrokiem kilkanaście linijek moich zapisków i po raz pierwszy spojrział na mnie z odrobinę większym szacunkiem.

– Czy mogę zatrzymać tę kartkę? – Zaproponował. – W charakterze dowodu, oczywiście... Że pan tu był.

– Nie może pan – warknąłem ze złości. – To sprawdzian, a więc w pewnym sensie dokument urzędowy. Muszę go zostawić w dokumentacji szkolnej.

– Rozumiem – odparł nieprzekonany.  
– Może go pan skserować. – Podsunąłem mu rozwiązanie.  
Skwapliwie przystał na tę propozycję. Byłem pewny, że zrobił to tylko *pro forma*.

•••

Wyszedłem z komisariatu zły. Na siebie, ale jeszcze bardziej na aspiranta

Gruszkę. Na siebie, że zachciało mi się obywatelskiej postawy. Na policjanta – bo dał mi odczuć, jak poważnie traktuje moje informacje. A raczej niepoważnie. Nie wiem, skąd się bierze to poczucie wyższości u ludzi ze służb mundurowych, ale spotkałem się z nim nie pierwszy raz. Nie sądziłem jednak, że tak szybko pożałuję swojej chęci pomocy.

Na odchodnym usłyszałem od aspiranta Gruszki, że „w razie potrzeby” jeszcze się do mnie zgłoszą. Skinąłem głową, że kupuję ten marny dowcip.

Na parkingu przed komisariatem przystanąłem przy samochodzie, by odetchnąć chłodnym powietrzem. W ciemnościach wokół mnie żarzyły się okna ratajskich wieżowców. Musiałem przemyśleć kilka spraw. Miałem wewnętrzne przekonanie, że poprzedniego dnia widziałem coś istotnego. Coś, co mogło być kluczem do wyjaśnienia zagadki zabójstwa gbura. Mimo że zginął w dramatyczny sposób, nie mogłem się pozbyć tego jednego, głupiego wrażenia, jakie pozostało mi po zaledwie kilkusekundowym kontakcie wzrokowym z Koszałkiem na leśnej ścieżce. Zapamiętałem właściwie tyle, że nie odwzajemnił mi pozdrowienia dłonią – gestu wszystkich biegaczy. No i ten cholerny Lady Pank, przez który aspirant Gruszka potraktował mnie jak goniącego za sensacją kretyna. Czułem, że dwóch biegaczy w wieku przedemerytalnym mogło mieć coś wspólnego z jego śmiercią. W końcu biegli za brodaczem. Może starali się go dogonić?

Nagle zrozumiałem, że nie mogę tak tego zostawić. Nie mogłem poprzestać na zgłoszeniu mojej obserwacji na policji. Nie miałem ani krzty pewności, że funkcjonariusze skorzystają z moich informacji. Wyciągając z kieszeni kluczyki do escorta, wpadłem na to, że mógłbym rozejrzeć się po okolicy, w której znaleziono ciało brodacza. Co mi szkodzi, przecież jutro mam tylko trzy lekcje z samego rana...

Siedziałem już za kierownicą, gdy przypomniałem sobie coś jeszcze. Firmę cateringową Rogal i Synowie. I jej rozkołysanego miłością fiata ducato. Ktokolwiek zabawiał się wczoraj w sfoferce furgonetki, mógł przypadkiem zobaczyć coś ważnego. Muszę dotrzeć do tych ludzi, uznałem.

Odjeżdżając z parkingu, miałem już w głowie gotowy plan działania.



### 3.

Poznaję cię, zboczku!

W poniedziałkowe południe nad Cybiną było pusto i niezbyt przyjemnie. Jedynie głuchy pomruk silników dochodzący z niedalekiej drogi do Antoninka przypominał, że miejsce to znajduje się jeszcze w granicach miasta. Dzień należał do tych, w które najlepiej nie wyściubiać nosa za drzwi. Bure chmury skutecznie przesłoniły słońce, a z nieba siąpiła zimna mżawka. Gdyby nie to, że na miejsce dotarłem niespieszonym, niemal emeryckim truchtem, dawno już zrobiłoby mi się zimno.

Czułem w nogach sobotni rekord. Zakwasy przypominały o sobie bólem w udach i łydkach. Marny był ze mnie biegacz, skoro nie potrafiłem im zapobiec. Fachowcy wiedzą, jak się gimnastykować czy rozciągać, by uniknąć tego typu problemów. Mnie po moim „heroicznym” wyczynie nie było już na to stać.

Postanowiłem, że przejdę wolnym krokiem trasę od zagajnika do leśnego parkingu, rozglądając się uważnie. Jeżeli dobrze rozpoznałem kilka topograficznych szczegółów w telewizyjnej relacji z miejsca przestępstwa, do zdarzenia musiało dojść jeszcze przed parkingiem, na którym dwa dni temu stał fiat firmy cateringowej. W pamięć zapadły mi zwłaszcza drewniane pniaki blokujące wjazd do lasu. I wyschnięta, dziwnie poskręcana sosna. To tam musiała się rozegrać szybka, krwawa scena. Ktoś zaatakował starszego mężczyznę czymś ostrym, totalnie go zaskakując...

Zszedłem z szerokiej szutrowej alei i znowu – jak przed dwoma dniami – poruszałem się wąską ścieżką w gęstym, niskim zagajniku pod linią energetyczną. Tyle że teraz szedłem z przeciwnego kierunku, jakby odtwarzając trasę, którą przebył brodac. Rozglądałem się uważnie na boki, ale poza śmieciami po przekąskach, napojach i fast foodach nie dostrzegłem na ściółce nic interesującego. Nieco rozczarowany zostawiłem linię wysokiego napięcia za sobą i przyspieszyłem kroku.

Miejsca zbrodni nie trzeba było szukać. Wskazywały je już z daleka resztki biało-niebieskiej policyjnej taśmy, którą dwa dni temu funkcjonariusze rozwinęli między kilkoma świerkami, odgradzając teren przestępstwa. Lekki wiatr targał nimi niczym żałobnymi wstęgami. Miejsce było ustronne i – niestety – idealne do ataku. Złamana, odsunięta na pobocze sosna mogła skryć za sobą przyczajonego napastnika. A może nawet dwóch...

Złapałem się na tym, że zaczynam myśleć jak glina – i zawstydziłem się. Kim ja, u licha, jestem, żeby formułować takie wnioski? Chyba naczytałem się za dużo książek Henninga Mankella o komisarzu Wallanderze. Albo naoglądałem się

zbyt wielu kryminalów w telewizji. Moje spostrzeżenia wydały mi się zresztą banalne. Jak się one miały do rzeczywistości, skoro podejrzanymi byli dwaj mężczyźni biegnący za zamordowanym – a więc wcale nieczyhający na niego w miejscu ataku? Jak pięść do nosa.

Skoro jednak coś mnie tutaj przygnało, zdecydowałem się rozejrzeć wokół. Jedynymi żywymi istotami w promieniu kilkuset metrów były kruki. Zachowywały się tak, jakby śledziły moje poczynania. Przechadzały się pewnym krokiem po zeschniętej ubiegłorocznej trawie, zerkając niedwuznacznie w moją stronę. Być może któryś z nich widział swoimi wyłupiastymi oczyma to, co wydarzyło się tutaj dwa dni wcześniej. Marni z nich jednak byli świadkowie. Mogły tylko krakać. Może któryś z nich wykrakał to nieszczęście?

Byłem dziwnie rozkojarzony. Pewnie dlatego, że nigdy wcześniej nie bawiłem się w policjanta. Musiałem skupić myśli. Miejsce, w którym znaleziono ciało, wyglądało na dokładnie przeczesane. A może raczej zdeptane przez policyjną ekipę. Choć czytałem, że śledczy starają się nie niszczyć śladów i nie pracują tłumnie, mnie to miejsce wydało się pełne pozostałości po śledztwie. Liczne ślady butów potwierdzały, że w sobotni wieczór zakątek ten mógł gościć nawet kilkunastu funkcjonariuszy. Świadczyły też o tym wciąż widoczne wgniecenia w ściółce – ślady opon, które docierały niemal pod feralną, cherlawą sosnę. Zapewne tutaj zatrzymał się policyjny karawan...

Nagle coś spłoszyło kruki. Poderwały się ze złowrogim dźwiękiem w górę, wywołując dreszcz na moich plecach. Czarna chmura odfrunęła zwartym szykiem ku stawowi, pozostawiając we mnie uczucie niepewności i lęku. Choć tego dnia nie znalazłem nic interesującego w krzakach wokół miejsca zdarzenia, wracałem do domu dziwnie niespokojny. Coś nie pozwalało mi zapomnieć o dwóch facetach biegnących za gburowatym brodaczem.

•••

Firma Rogal i Synowie mieściła się na parterze jednej z zaniedbanych kamienic przy ulicy Mostowej. Choć fasada niegdyś efektownego budynku z secesyjnymi balkonami dosłownie się sypała, odsłaniając cegłę z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, użytkowy dół budynku robił solidne wrażenie. Szerokie, przeszklone wejście zdobił elektronicznie wyświetlany szyld, świadczący o dużym poczuciu humoru właściciela tego biznesu. Po słowach Rogal i Synowie na podłużnym ekranie wyświetlał się bowiem okazały poznański rogal świętomarciński.

Siedzibę firmy cateringowej namierzyłem w Internecie. Z tego, co można było wyczytać na stronie Rogala i Synów, wynikało, że trudni się głównie obsługą garmazeryjną imprez na targach lub w dużych przedsiębiorstwach, takich jak Volkswagen Poznań. Oznaczało to, że może mieć liczne grono pracowników.

Wierzyłem jednak, że szybko odnajdę jurnego byczka, który lubi się rozerwać w leśnych ostępach.

Miałem dużo szczęścia. Gdy wszedłem do środka, zauważyłem potężnego osobnika w czarnej koszulce z logo grupy Rammstein. Była obcisła i uwydatniała rzeźbę jego klatki piersiowej, wyćwiczonej zapewne w osiedlowej siłowni. Miał na oko trzydzieści lat. Choć w lesie przez zaparowane okienko fiata widziałem go ledwie przez sekundę, rozpoznałem go po krótko przystryżonej głowie. Stał oparty o ladę, za którą siedziała też sympatyczna młoda dziewczyna. Z pewnością nie ta, której włosy mignęły mi w przelocie w sobotę podczas biegu. Tamta miała je zdecydowanie dłuższe i blond. Tym razem byczek z fiata ducato wdzięczył się do krótko obciętej brunetki. Pewnie ją też chciałby wywieźć do lasu, przemknęła mi przez głowę dość wredna myśl.

Na mój widok kierowca fiata zmarszczył wysoko podgolone czoło. A zaraz potem wystartował z palcem wycelowanym w moją cherlawą klatę. A może raczej w mój efektowny piwny brzuszek.

– Poznaję cię, zбочzku jeden! – Nie potrafił powstrzymać emocji. – Lubisz podglądać ludzi, co?! Mało ci było w sobotę?!

Nie chciałem żadnej scysji z umięśnionym kafarem, przy którym poczułem się jak mrówka przy słoniu. Tym bardziej przy świadkach.

– Daj spokój. – Zapropnowałem lekko łamiącym się głosem. – Przebiegałem tylko przypadkiem...

– Przypadkiem! – Byczek się zachnął. – Nie wciskaj mi tu kitu! Zaglądałeś do środka przez szybę!

– Chyba cię pogięło – odparowałem, bo poczułem się urażony. – Nie jestem żadnym zбочzeńcem, jeśli o to ci chodzi.

Szerokie jak bochny chleba dłonie osiłka zbliżyły się niebezpiecznie do mojej kurtki.

– I co, przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć? – Obrzucił mnie zdezorientowanym wzrokiem.

– Nie – odezwałem się z godnością. – Przyszedłem w innej sprawie. Może pan... Możesz mi pomóc w pewnym śledztwie.

– W czym?

– W śledztwie. – Ściszyłem głos, bo panienka za ladą najwyraźniej zainteresowała się naszym dialogiem, strzygąc uszami jak sarenka. – Chodzi o to, że mogliście... To znaczy mogłeś coś zobaczyć. Coś ważnego, związanego z zabójstwem, do którego doszło wtedy w tamtej okolicy.

Drab w koszulce z logo zespołu Rammstein i spodniach moro opuścił z wrażenia wydatną szczękę. Ale tylko na moment.

– A kim ty właściwie jesteś, koleś, że o to pytasz? – Facet zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem, jakby chciał mnie ostrzec: nie podskakuj, bo chętnie

użyję bicepsów.

Zawahałem się. Nie mogłem się przyznać, że jestem nauczycielem. Natychmiast by mnie zlekceważył – i wcale bym mu się nie dziwił.

– Jestem prywatnym detektywem. – Zablefowałem, niesamowicie dumny z przytomności swego umysłu. – Prowadzę pewne dochodzenie.

Byczek z Rogala spojrział na mnie nieufnie.

– Nie wyglądasz pan na takiego – wypowiedział się tonem fachowca. – A jakąś legitymację pan masz?

Serce zabiło mi mocniej w piersi. Mój wspaniały pomysł na podejście kierowcy w kilka sekund spalił na panewce.

– O co chodzi, panowie? – Usłyszałem nagle za swoimi plecami niski głos mężczyzny pod pięćdziesiątkę. – Jakieś zamówienie czy reklamacja?

Odwrociłem się ku mojemu wybawcy. To musiał być właściciel firmy. Pewność na jego szerokim obliczu mówiła więcej niż droga na pierwszy rzut oka marynarka.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiedziałem z uśmiechem. Zależało mi, by zyskać zaufanie Rogala. – Bogdan Popiołek, jestem prywatnym detektywem.

Żeby było śmieszniej, wypowiadając te słowa, nie poczułem się kłamcą. W końcu w pewnym sensie prowadziłem już własne śledztwo. Byłem na miejscu zbrodni, a teraz zbieram dowody...

– O! – Rogalowi się wyrwało. Brzmiało to jednak na tyle przyjaźnie, że z miejsca wyczułem dobry klimat. – Detektywa tu jeszcze nie mieliśmy. Roman Rogal, jestem szefem tego biznesu. Rozumiem, że pomaga pan policji?

Potwierdziłem skinieniem głowy, a w duchu modliłem się, by nie zechciał mnie sprawdzić.

Nie zechciał.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał życzliwie.

Myślałem, że pójdzie dużo trudniej, a tu proszę. Postanowiłem kuć żelazo, póki gorące.

– Pana pracownik mógł być świadkiem w pewnej sprawie. – Wyjaśniłem, starając się zachować spokojny, rzeczowy ton. – Pewnie słyszał pan o tym zabójstwie nad Cybiną?

Roman Rogal potwierdził skinieniem głowy.

– Nie bardzo jednak rozumiem, w jaki sposób mój pracownik może być panu pomocny. – Wyraził wątpliwość. – Grzegorz jest non stop w drodze. Robota pali się nam w rękach...

– Gratuluję. – Połechtalem natychmiast ego Romana Rogala. – To świadczy o stabilnej pozycji na rynku.

– No tak... – Szef firmy zmieszał się niespodziewanie. – Staramy się. Każdy orze jak może, sam pan rozumie.

Wzmianka o igraszkach podwładnego Rogala na leśnym parkingu mogła zburzyć dobre mniemanie szefa o jego pracowniku. W żadnym wypadku nie chciałem zdekonspirować umiejętnego trzydziestolatka.

– Z moich źródeł w policji wiem, że pana pracownik zjechał na parking w pobliżu miejsca zdarzenia, żeby... odpocząć. – Zaimprovizowałem radośnie, choć nie bez strachu. – Mógł więc zobaczyć coś ważnego. Chciałbym z nim przez chwilę porozmawiać.

Roman Rogal wydawał się zdziwiony.

– Byłeś tam, Grzesiu? – Zadał pytanie podwładnemu, a ja dowiedziałem się tym samym, kto uprzyjemnia sobie pracę w firmowym fiacie na łonie natury.

Napakowany facet jakby stracił grunt pod nogami.

– No tak, szef rozumie... Czasem trzeba... wyskoczyć na siku. – Zaplątał się w nieporadnym tłumaczeniu.

Rogal wziął je za dobrą monetę.

– Dobrze, Grzesiu. A obiady do NFZ-etu już podrzuciłeś?

– Właśnie wróciłem, szefie...

– To zaprosz pana do kantorka. – Zadysonował swobodnie, jakby mówił o kolejnej dostawie jedzenia na targi.

Zaskoczony byczek łypnął na mnie niechętnie okiem, ale nie zaryzykował sprzeciwu.

– Tak jest. – Skłonił się szefowi i wskazał mi ręką, bym poszedł za nim.

Podziękowałem Rogalowi za „rozumienie wagi sprawy” i natychmiast poszedłem za Grzesiem. Lepiej nie kusić losu swoją nauczycielską gębą.

•••

Zaproszenie do kantorka nie okazało się szczególną nobilitacją. Pokoik był mały, wąski i służył firmie Rogal i Synowie wyłącznie jako magazyn środków czystości, ścierek i mopów, z których korzystała zapewne sprzątaczką. W powietrzu wisiał duszący zapach, stanowiący mieszaninę wyziewów chloru i jakiegoś proszku do czyszczenia zlewu. Miejsca tu było jak na lekarstwo, ale można się było oprzeć o ściany i spojrzeć sobie w oczy.

Osilek zwany Grzesiem spojrział na mnie bykiem, jakby mimo wszystko postanowił się zemścić za leśny incydent.

– No dobra, mnie pan nie nabierzesz tak łatwo jak szefa – wypalił, celując palcem w środek mojej klatki piersiowej. – O co chodzi, tylko bez ściemy!

– Już mówiłem – odpowiedziałem spokojnie, wpatrując się z bliska w masę mięśni, rysującą się jak Kordyliery na wysokości jego torsu. – Próbuję ustalić szczegóły związane ze śmiercią pewnego mężczyzny. Niedaleko parkingu, na którym...

Byczek podniósł dłoń, jakby chciał mnie uciszyć raz na zawsze.

– Daj już spokój, kurwa mać! – syknął. – Każdy ma swoje potrzeby. Nie ma do czego wracać...

– Więc nie wracam. Interesuje mnie co innego. Czy nie zauważyłeś wtedy czegoś ciekawego?

– Ciekawego? A co ja mogłem zobaczyć?

– No, nie wiem... – zająknąłem się. – Może widziałeś jakiegoś podejrzenie wyglądającego faceta. Albo dwóch...

Drab uśmiechnął się obłeśnie i jakoś tak z politowaniem.

– Facet, chyba sobie jaja robisz! Mnie wtedy... No wiesz... Widziałem tylko cucky Mariolki. No co się tak gapisz, facet? Mówię szczerze, jak na spowiedzi.

Choć nie wyglądał na częstego gościa konfesjonau, wydał mi się w tym momencie wyjątkowo przekonujący. Był samczo wiarygodny. Mimo to postanowiłem drążyć temat.

– Ale mnie zauważyłeś.

– No tak! Bo ty narobiłeś szumu. Usłyszałem ciebie w ostatniej chwili, bo biegłeś jak słoń...

– Wypraszam sobie. – Poczulem się urażony. – Głośni to byliście wy, nie ja.

– No już dobra, facet, wyluzuj. – Napięta kwadratowa twarz Grzesia w końcu złagodniała. – Było, jak było. Nie ma do czego wracać.

– To co, widziałeś coś czy nie? – westchnąłem rozczarowany.

Dialog z pracownikiem firmy Rogal i Synowie nie należał do łatwych i przyjemnych, a zanosilo się na to, że nie będzie również efektywny.

Byczek pochylił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. Przez kilka sekund trwał w zaskakującym bezruchu.

– Ja wiem? – odezwał się w końcu. – Jak już mieliśmy z Mariolką odjeżdżać, to po parkingu śmignął taki stary facet na rowerze.

– Na rowerze? Stary facet? – Z wrażenia aż zachłysnąłem się śliną.

– E, to na pewno nic takiego. – Uspokoił mnie kierowca firmy. – Takich ludzi na rowerze widzę codziennie.

– Skąd jechał? Z której strony? – Zachrypiałem.

– Od drogi, w stronę lasu. – Osilek doprecyzował.

– Jak wyglądał?

– Łysy jak kolano. I z brzuchem jak w dziewiątym miesiącu. – Zarechotał.

– A dlaczego mówisz, że stary?

– Tak powiedziałem? Nie wiem. Bo łysy był. I tak wyglądał. Znaczy się, staro.

Gdy odchrząknąłem w końcu skutecznie, zrozumiałem, że rowerzysta musiał przejechać obok miejsca zbrodni. Musiał więc widzieć, co tam się stało. Albo przynajmniej zobaczyć broczące krwią ciało. Może to on powiadomił policję?

– To co, kończymy to śledztwo? – Grzesiu niespodziewanie przejął

inicjatywę. – Mam jeszcze kilka miejsc do obskoczenia, a szef nie lubi, jak interes stoi.

– Dziękuję – powiedziałem i wyciągnąłem rękę.

Nie uścisnął jej, zawisła w powietrzu.

– Lepiej pan tu już więcej nie przychodź. – zaproponował mało eleganckim tonem.

Zignorowałem go i nacisnąłem kławkę.

– Zapytaj Mariolkę – powiedziałem mu na odchodnym. – Zadzwoń do ciebie za kilka dni.

Nie dałem mu swojego numeru, bo nie sprawiał wrażenia specjalnie rozgarniętego. Lepiej, żeby nie wpadło mu do głowy nic głupiego. Na przykład wizyta na policji.

– Muszę się z nią najpierw... – zaprotestowałem.

– Na pewno się jeszcze spotkacie – mruknąłem, wychodząc ze śmierzącego kantorka.

Byłem tego więcej niż pewien. Za bardzo trzęsły mu się ręce, gdy wspominał o dziewczynie.

#### 4.

To twój nieboszczyk

Następnego dnia w lokalnej „Wyborczej” natknąłem się na policyjny apel. Była to krótka notka na dole drugiej strony. Policja prosiła o kontakt wszelkie osoby „mogące być świadkami lub posiadające wiedzę” o przestępstwie zabójstwa, do którego doszło w minioną sobotę w lesie przy Stawie Browarnym, i gwarantowała ewentualnym informatorom „pełną anonimowość”. Komunikat kończył się numerem telefonu i adresem mailowym komisariatu, który niedawno odwiedziłem.

Aspirant Gruszka zaczął działać, pomyślałem bez entuzjazmu. Sposób, w jaki mnie potraktował, tkwił we mnie jak zadra. Mimo to w pierwszym odruchu pomyślałem, czy nie powinienem jednak ponowić próby. Zdecydowała chłodna ocena faktów: nie miałem tam po co iść. Na razie nie wiedziałem przecież nic więcej. Jeśli będą chcieli, to sami się do mnie odezwą – uznałem. Zdaje się, że Gruszka coś o tym wspominał. Zupełnie uspokojony odłożyłem gazetę na półkę nad łóżkiem, na której zostawiam zwykle ważne papiery. Te zamiary mogą się jeszcze przydać...

Siedziałem nad konspektem lekcji o Targowicy, ale nie potrafiłem się skupić. Nie tylko dlatego, że ze ściszonego telewizora co rusz słyszałem okrzyki polityków o „targowicy, która wynosi nasze polskie sprawy za granicę”. Mimowolnie ciągle wracałem myślami do niewielkiego fragmentu lasu, odgrodzonego poszarpaną folią. I do złamanej sosny, za którą łatwo można się było ukryć. Kto to zrobił? I dlaczego? Te pytania nie dawały mi spokoju. I nie pozwalały zasnąć.

•••

– Słyszał pan o tym zabójstwie? – Zagadnąłem któregoś poranka Konstantego Wróbla, mojego sąsiada, od którego wynajmowałem mieszkanie.

Sprawa stała się głośna w naszej dzielnicy, pomyślałem więc, że nie zawadzi wy badać nastroje społeczne. Sąsiada – siwego, choć trzymającego się krzepko faceta pod sześćdziesiątkę w kamizelce moro, w jakiej widuje się często emerytowanych wojskowych lub wędkarzy – zastałem przed furką, wracając ze sklepu z siatką pełną bułek. Do swojego mieszkania w tak zwanym bliźniaku miałem raptem kilkanaście kroków. Wróbel mieszkał w drugiej połowie domu.

– Zabójstwie? – Zdziwił się. – O którym zabójstwie pan mówi?

– Tego biegacza. Znalezionego w lesie. – Pospieszyłem z wyjaśnieniami.

– A ja myślałem, że chodzi panu o tę dziewczynę, co to niby utopili ją w



Warcie... No tak, coś tam w sklepie słyszałem... – odpowiedział raczej niechętnie.  
– Ale skąd pan właściwie wie, że ktoś go zabił?

Tym razem to ja się zdziwiłem. Uważałem sąsiada za bardziej bystrego. Wprawdzie nigdy nie miałem okazji porozmawiać z nim o jego przeszłości, ale od kilku osób w sklepie słyszałem, że to były wojskowy. Wysoki oficer, zdaje się – przekonywała mnie sprzedawczyni. W jej słowach wyczuwało się szacunek dla munduru, a może przede wszystkim dla bliżej nieokreślonych zasług Wróbla. Z tego powodu pytania sąsiada zabrzmiały dla mnie dość naiwnie.

– No jak to, panie Konstanty... – Zmrużyłem oko, lekko się uśmiechając. – Nie ogląda pan telewizji?

– Nie – mruknął bez entuzjazmu.

– Chyba, że tak... – Przyznaję, że byłem lekko zbity z tropu. – Ale przecież wszyscy o tym rozmawiają. Naprawdę nic pan nie słyszał?

Konstanty Wróbel obrzucił mnie spojrzeniem, po którym poczułem się jak niestabilny emocjonalnie sztubak.

– Mnie się tam, panie, takie sensacje nie trzymają – wycedził przez zęby. – Skoro człowiek nie żyje, to nie ma co się nad tym rozwodzić. Trzeba uszanować jego śmierć i tyle. Problem w tym, że ludzie nie potrafią uszanować, panie Bogdanie. Plotą, co im ślina na język przyniesie. A tego nie lubię. Po prostu nie lubię.

No cóż, wyszedłem na przekupę, pomyślałem lekko zawstydzony. A jednocześnie nabrałem szacunku dla dystansu Wróbla do sprawy. Człowiek starszy ode mnie, bardziej doświadczony, pewnie niejedno w życiu widział. Może był w Iraku albo Afganistanie, może oglądał śmierć na własne oczy? Zaimponował mi tą wstrzemięźliwością w ferowaniu opinii. W jego postawie wyczuwało się emocjonalną stabilność. I odporność na wszelkie ekscytacje z niskich pobudek.

– Ma pan rację – powiedziałem. – Trzeba uszanować czyjeś odejście.

– Trzeba – odrzekł krótko, po żołniersku.

– Przepraszam, że zawracałem panu głowę. – Postanowiłem się pożegnać.

Zerknąłem na zegarek. Kwadrans po siódmej, a przecież chciałem jeszcze coś zjeść przed wyjazdem na ósmą do szkoły.

– Nic się nie stało. – Sąsiad podsumował naszą krótką rozmowę. – Podobno kto pyta, nie błądzi.

Uśmiechnąłem się blade.

– Podobno. – Przytaknąłem z grzeczności i obrałem kurs na moją furtkę.

...

Kilka dni później przypomniałem sobie o osiłku Grzesiu z Rogala i Synów. A właściwie o obiekcie jego adoracji. O Mariolce, którą tak ochoczo wozi do lasu. A właściwie na leśny parking. Podczas dużej przerwy w gimnazjum wyciągnąłem

komórkę i wybrałem numer z notesu. Po głosie w słuchawce rozpoznałem sekretarkę firmy.

– Ma pan szczęście. Grzegorz właśnie wrócił z terenu... – powiedziała. – Grzegorz! Telefon do ciebie!

Minęło kilkanaście sekund i usłyszałem go znowu.

– Mówi Popiołek. – Przedstawiłem się.

– Kto?

– Popiołek. Bogdan.

– Chyba się nie znamy, mistrzu...

– Znamy, znamy. Z leśnego parkingu.

– A, to ty, zboczku... – Grzesiu niespodziewanie się rozkrochmalił. – Trzeba było tak od razu.

– Rozmawiałaś z Mariolką?

– Taaa... – Głos kierowcy zabrzmiał tak, jakby nagle rozmarzył się przy słuchawce. – Wczoraj...

– I co? Zapamiętała coś?

Facet z fiata ducato przez chwilę sapał w głośnik.

– W zasadzie to nie – odrzekł w końcu, ale ta wyszukana fraza zabrzmiała mało pewnie.

– To znaczy? – Zacząłem żałować, że nie zdecydowałem się jednak na widzenie w cztery oczy.

– No, nic nie zauważyła – wyjaśnił Grzesiu. – Poza tym facetem na rowerze, oczywiście...

– Tym łysym? – Wołałem się upewnić.

– No, tym grubasem. – Uściślił.

Zaczynałem go lubić za tę subtelną skłonność do konkretności. Facet nie był może mistrzem intelektu, ale jego nieliczne szare komórki z pewnością pracowały na pełnych obrotach. Przynajmniej w niektórych sytuacjach.

– Na ile go oceniła? – zapytałem.

– Na ile forsy? – Grzesiu pogubił się na moment. – Aaaa, znaczy się: jaki był stary? Mariolka powiedziała o nim, że to był ramol. A ja się zgadzam.

Mruknałem cicho do słuchawki, żeby zamaskować rozczarowanie. Mariolka musiała być naprawdę zajęta czymś innym, skoro zapamiętała tak niewiele.

– A powiedziała ci chociaż, jak ten ramol był ubrany?

– Noooo, tak. Że był w czarnej koszulce. I to prawda.

– Aha – mruknałem rozczarowany.

Jeśli to wszystko, co zapamiętała niejaka Mariolka, dziewczyna Grzesia, to nie dowiedziałem się wiele.

– Możesz mi coś jeszcze powiedzieć? – zapytałem *pro forma*.

– Tak! – Dryblas po drugiej stronie niespodziewanie zrobił się agresywny. –

Odpierdol się wreszcie ode mnie, ty zboku! Jasne!? Bo jak nie, to ci...

Wyłączyłem telefon, kończąc falę bluzgów, która zastąpiła całkiem miłą konwersację. I właśnie wtedy doszedłem do wniosku, że wbrew pozorom wieści od Mariolki okazały się jednak ważne. Potwierdzały przecież wersję o trzecim podejrzanym osobniku w pobliżu miejsca zbrodni. Oparty o kaloryfer na szkolnym korytarzu zastanawiałem się, czy nie powinienem ponownie odwiedzić komisariatu policji. Wspomnienie znudzonej miny aspiranta Gruszki szybko odwiodło mnie jednak od głupich pomysłów.

•••

W ciągu kilku następnych marcowych dni nie wydarzyło się nic ekscytującego. Rządowa telewizja non stop zachwalała „dobrą zmianę” w kraju, a prywatne stacje ostrzegały, że zmiany czynią ten kraj gorszym. Znowu przebiegłem trasę wzdłuż doliny Cybiny. Moje postępy nie były oszałamiające, ale stałe. Tym razem zadyszka dopadła mnie po trzydziestu trzech minutach. Mniej więcej w okolicy, w której zamordowano nieznanego mi brodacza.

Wracając potem na piechotę do mojego skromnego lokum, rozmyślałem nad wycofaniem się z tej sprawy. W końcu i tak zrobiłem sporo, a gliną nie jestem. Utknąłem w – *nomen omen* – martwym punkcie. Ustaliłem, co mogłem, i nic więcej nie wydawało mi się już możliwe do osiągnięcia.

Myliliem się. Ledwie wszedłem do domu i skierowałem się ku łazience, marząc o szybkim prysznicu, zadzwoniła moja komórka.

– Bodziu? – Usłyszałem znajomy głos.

To był Marek Cichoń, kolega z gimnazjum. Matematyk i informatyk w jednej osobie. Poprzedniego dnia przyznałem mu się, że prowadzę prywatne śledztwo. Zabrzmiało to strasznie drętwo, ale Marek przejął się informacją i obiecał mi pomoc. Nie wierzyłem, że pomoże mi w czymkolwiek. Ale podziękowałem grzecznie. W końcu wypiliśmy razem niejedno piwo podczas meczów naszej reprezentacji piłki nożnej.

– Co tam, Mareczku? – zagadnąłem radośnie, zapewne pod wpływem uwolnionych w wyniku biegu endorfin. Szczególnie mocno czułem je w naciągniętym prawym Achillesie.

– Nie zgadniesz! – rzucił tonem wskazującym, że zaraz ogłosi jakąś sensację.

– Wiem, jak się nazywał twój nieboszczyk!

– Chyba twój! – odparowałem, siłąc się na dowcip. – A skąd to niby wiesz, Sherlocku? Zapytałeś o to policję?

Z reakcji Marka wywnioskowałem, że go uraziłem.

– Też mi pomysł! – prychnął. – Są prostsze metody, Bodziu.

– A niby jakie? – Muszę przyznać, że kolega matematyk mnie zaintrygował.

– No, zgadnij...

Nie miałem ochoty się droczyć. Byłem spocony jak enerdowska kulomiotka i spieszyło mi się pod prysznic.

– Wiesz co, zadzwoń za kwadrans. – Zaproponowałem. – Teraz muszę...

– Stary, rusz głową! – Cichoń się zeźlił. – Podpowiem ci tylko, że właśnie ślęcę nad „Głosem Wielkopolskim”. Chyba wiesz, jaka rubryka jest w nim najpopularniejsza?

– Nekrologi! – Puknąłem się w czoło. – I co, wytypowałeś denata?

– Właśnie! Dam sobie rękę uciąć, że to twój nieboszczyk. Nazywał się Kucharski. Jan Kucharski. Wszystko w opisie pasuje do historii, którą mi opowiedziałeś. Zresztą, zobacz sam. Zaraz wrzucę ci mailem skan strony z gazety.

•••

Wycierając włosy, spoglądałem na ekran mojego wysłużonego laptopa. W czarnej ramce widniał krzyż, wkomponowany zgrabnie przez gazetowego grafika w nieduży wieniec. Niżej zamieszczono kilka linijek tekstu.

*W dniu 12 marca 2016 roku zmarł śmiercią tragiczną Ś.P. Jan Kucharski, przeżywszy 56 lat. – Przeczytałem w nekrologu. – Odszedł nasz kochany Syn i Brat, dziennikarz „Wieści Cybińskich” i zasłużony działacz lokalnej społeczności. Pogrzeb odbędzie się w piątek 18 marca 2016 roku o godzinie 13 na cmentarzu na Miłostowie, o czym zawiadamia w smutku pogrążona rodzina.*

Dziennikarz! – to było chyba największe odkrycie. Zaraz potem jednak przyszło otrzeźwienie. Z całym szacunkiem dla „Wieści Cybińskich”, ten darmowy periodyk, wrzucany do skrzynek mieszkańców Antoninka, Zielińca i Kobylegopola, nie grzeszył wysokim poziomem – zarówno graficznym, jak i merytorycznym. Odkąd zamieszkałem na tutejszym osiedlu, miałem to pismo kilka razy w rękach. Nigdy jednak nie zawiesiłem na nim wzroku na dłużej. Wciąż czułem się tutaj gościem, lokalne sprawy: kwestia kostki na ulicach czy porządku w zaniedbanym parku interesowały mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Może to był błąd?

– I co? Niezłe jajo! – Głos matematyka w słuchawce był nadal podekscytowany. – Ktoś sprzątnął dziennikarza, więc nie było to raczej przypadkowe zabójstwo.

W mojej głowie zapaliła się jednak czerwona lampka.

– Spokojnie, chłopie – rzuciłem. – Na razie nie mamy żadnej pewności, że zamordowany nazywał się Kucharski. To tylko twój domysł.

– To prawda, domysł. – Marek przytaknął. – Ale oparty na solidnej analizie stron z nekrologami „Głosu” z trzech ostatnich dni.

– Kiedy to zrobiłeś? – zdziwiłem się szczerze.

O sprawie rozmawialiśmy ledwie dzień wcześniej, w dodatku tylko przez kwadrans.

– Mam swoje metody – mruknął mój kolega z ratajskiego gimnazjum. – Nieważne. Ważne jest to, że do twojego opisu wydarzeń pasuje tylko ten Kucharski. Zauważ, że rodzina napisała: „zmarł śmiercią tragiczną”. A w dodatku podała, że był związany z okolicą, w której zginął. To znaczy, że nie przyjeżdżał nad Cybinę na przykład z centrum, żeby akurat tutaj sobie pobiegać. Musiał tu właśnie mieszkać...

Rozumowaniu Marka trudno było odmówić logiki. W jednej chwili poczułem radość, że podzieliłem się z nim moimi wątpliwościami. Marek lepiej systematyzował informacje i wyciągał z nich trafne wnioski. Dostałem tym samym nowe tropy. Mimo to górę wziął mój przekorny charakter.

– No dobra, przyjmijmy, że masz rację – powiedziałem. – To nie oznacza jednak, że ten gbur... przepraszam, że denat zginął w związku ze swoją pracą dziennikarską.

– A niby czemu?

– Stary, mieszkasz na Osiedlu Lecha, więc zapewne nigdy nie miałeś okazji zapoznać się ze sławnymi „Wieściami Cybińskimi”. Zapewniam cię, że nie jest to szczególnie poczytny organ prasowy. To głównie zbiór kolorowych reklam. A już na pewno nie specjalizuje się w dziennikarstwie śledczym. Wątpię, by ten Kucharski – o ile oczywiście to jego znaleziono w lesie – wyniuchał jakąś grubszą aferę, za którą zapłacił życiem. Myślę, że nie pisał o niczym ważniejszym niż niewywiezione na czas śmieci. Albo o coraz większym ruchu samochodowym na ulicy Browarnej...

– Być może – westchnął mój kolega. – Być może. Mimo wszystko ta zbieżność jest zastanawiająca. Na twoim miejscu przejrzałbym ostatnie wydania tej gazetki. Może warto sprawdzić, o czym pisał ten człowiek, zanim dostał nożem w pierś...

Ostatnie słowa Marka zmroziły mnie. A jeśli on ma rację? Jeśli zabity to ofiara jakiejś wielkiej, mętnej sprawy? Poczułem ciarki na plecach, ale szybko otrząsnąłem się ze złych emocji.

– Masz rację, przejrzę te gazetki. – Przytaknąłem, choć nie potrafiłem sobie wyobrazić, by „Wieści Cybińskie” odkryły jakiś gruby szwindel. – Najpierw muszę ustalić, gdzie jest redakcja...

Marek zaśmiał się w głos.

– Już ich wygooglowałem. Zanotuj sobie: Siemowita 5. Zdaje się, że to niedaleko od ciebie.

Nie musiałem notować, nazwa ulicy świetnie komponowała się z moimi zawodowymi fascynacjami.

– Ale najpierw tam zadzwoń, bo taka redakcja raczej nie pracuje pełną parą.

– Strategia kumpla była dobrze przemyślana. – To zdaje się tygodnik?

– Jakoś tak.

– To podam ci jeszcze numer.

Zapisałem sobie siedem cyfr na zakładce książki i podziękowałem Markowi za pomoc. Gdy zakończyliśmy rozmowę, miałem wrażenie, że on – umysł ścisły – i ja – humanista – świetnie się uzupełniamy. Może powinniśmy założyć agencję detektywistyczną?

Było wszakże coś, o czym nie powiedziałem kumplowi. Raz jeszcze pochyliłem się nad ekranem laptopa.

*...w piątek 18 marca 2016 roku o godzinie 13 na cmentarzu na Miłostowie...*

– Przeczytałem, by utrwalić sobie te dane w pamięci. Dziś mamy czwartek, więc pogrzeb jest już jutro – skonstatowałem. A w piątek kończę ostatnią lekcję o dwunastej trzydzieści. Samochodem powinienem zdążyć...

## 5.

### Na wieki wieków

Nad rzędami szarych płyt nagrobnych wisały ciężkie deszczowe chmury. Świat był ponury i przygaszony. Zupełnie jakby postanowił się dostosować do ostatniej powinności żyjących wobec Jana Kucharskiego. Zakładając oczywiście, że zamordowany na leśnej ścieżce był człowiekiem z nekrologu.

Jadąc na cmentarz, raz jeszcze układałem sobie w głowie plan działania, sklecony naprędce poprzedniego wieczoru. Z treści nekrologu można było wywnioskować, że Kucharski nie był w żadnym związku i nie miał dzieci. W przeciwnym razie pojawiłaby się formuła „ukochany mąż i ojciec”. Tymczasem brodacza zegnali rodzice i brat. A może był rozwodnikiem, dlatego nie wspominała go czule była żona?

W sumie czułem się głupio. A już zwłaszcza gdy trzasnąłem drzwiami samochodu na parkingu i zagłębiłem się w alejkę wiodącą pośród grobów ku centrum nekropolii. Szczerze mówiąc, naszyły mnie wątpliwości. Pogrzeb to wydarzenie dość intymne, osobiste, a ja pakowałem się na cmentarz jako obcy, niemal intruz. W dodatku bez kwiatów, czyli jak najgorszy sort gapiów. Jeśli kondukt żałobny okaże się nieliczny, będę wystawiony na widok jak na widelcu. Już sobie wyobrażałem te szepty i krążące za moimi plecami pytania, kim jestem...

Na szczęście w ostatniej drodze towarzyszył zmarłemu dość okazały tłum bliskich i znajomych. Naliczyłem ich z pół setki. Nie przewidziałem, że sława lokalnego dziennikarza wykroczyła poza granice dzielnicy. A może był zasłużony i znany z innych powodów?

Zastanowiła mnie delegacja ze sztandarem Solidarności. Z wrażenia podszedłem do niej bliżej. Trzech starszych mężczyzn w płaszczach przepasanych żałobnymi szarfami stało przy drzewcu, z którego zwisała barwna płachta. Solidarność HCP – przeczytałem wyhaftowany złotymi nićmi napis. Czyżby denat pracował w Cegielskim?

Po raz pierwszy poczułem mocniejsze uderzenie serca. Wszystko to robiło się coraz ciekawsze. Dużo ciekawsze, niż początkowo przypuszczałem. Przypomniałem sobie, że znam pewnego starego robotnika z Cegielskiego. Muszę go zapytać o Kucharskiego. O ile oczywiście to jego za chwilę pochowają... Zaraz potem dołączyłem do konduktu. Trzymałem się z tyłu, nieco na dystans. Tak wydało mi się uczciwiej. Dzięki temu nie prowokowałem podejrzliwych spojrzeń. Choć kilku nie uniknąłem.

Przy świeżo wykopanej w rudej, gliniastej ziemi dziurze stał facet, który mógłby śmiało uchodzić za policyjnego tajniaka. Wysoki, w nadzwyczaj

wypieszczonym płaszczu, spodniach odprasowanych w kant i lakierkach błyszczących mimo wszechobecnego błota. Rozglądał się wokół jak ochroniarz. Lustrował twarze żałobników. Na każdej z nich przez chwilę zawieszał wzrok. Jakby szacował, co kolejnych przybyłych łączyło z tym, który odszedł. Mnie również przyjrzał się badawczo. Najwyraźniej nie wyglądałem podejrzanie, bo przerzucił się na obserwowanie pary młodych ludzi podążających tuż za mną. To oni zamykali pochód.

Gdy wszyscy dotarli do przysłego grobu, stanęli półkolem, oddzielając ustawiony nad wykopem baldachim i księdza od reszty cmentarza. Kapłan zaczął odmawiać modlitwę. Z oddali, od strony ulicy Warszawskiej, niósł się szum samochodowych silników. Okoliczni mieszkańcy właśnie rozpoczęli powroty ze swoich firm w centrum miasta do domów. „Tajniak”, który przyglądał się wcześniej żałobnikom, gdzieś zniknął. W powietrzu niósł się mocny, nieco zachrypnięty głos księdza. Kapłan sprawiał wrażenie wzruszonego. Może znał zmarłego?

– Chowamy cię, Janie, z wielką wdzięcznością za to wszystko, czego dokonałeś dla swoich bliskich, przyjaciół i ojczyzny. – Zakończył patetycznie. – Spoczywaj w pokoju.

Gdy spuszczana na linach trumna zaczęła się zagłębiać w grobie, uniósł na niewielkiej łopacie garść ziemi i rzucił ją na wieko.

Wyteżyłem wzrok. Zaskoczyło mnie, że przy duchownym nie widać było nikogo, kto mógłby uchodzić za rodzinę zmarłego. Ksiądz sprawiał wrażenie nie tylko celebrysa smutnej uroczystości, ale również osoby najbliższej denatowi. Rozejrzałem się zaniepokojony na boki. Nikt nie pospieszył, by rzucić do grobu swoją garść ziemi. Czyżby rzeczywiście w tak ważnej chwili zabrakło rodziny?

Liny podtrzymujące trumnę zostały wyciągnięte na powierzchnię przez pracowników Universum. Trumna spoczęła na dnie. Nikt się nie kwapił, by podejść do otwartej mogiły. Dopiero kiedy grabarze szybkimi ruchami łopat zasypali dół ziemią i wprawnymi ruchami, znamionującymi lata praktyki, uformowali na nim podłużny kopiec, osadzając u jego szczytu krzyż z tabliczką, do grobu zbliżyli się pierwsi żałobnicy. Chwilę później spoczęła tam gruba warstwa świeżych kwiatów i wieńców. Na koniec delegacja ze sztandarem związku zbliżyła się dostojnie do mogiły i trzykrotnie pochyliła drzewce przed krzyżem. Mężczyźni odeszli od grobu równym, wyćwiczonym krokiem. Żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Skorzystałem z okazji i podszedłem do księdza. Stał w zadumie, w pewnym oddaleniu od grobu. Zdziwiło mnie, że nie spieszył się, by wrócić do swojej parafii.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odezwałem się cicho.  
– Na wieki wieków.  
– Najmocniej księdza przepraszam za moje pytanie... – Starłem się zagaić możliwie delikatnie.



Siwiejący kapłan po pięćdziesiątce podniósł prawą brew. Nie udało się, przemknęło mi przez głowę.

– Najmocniej przepraszam, ale... – Zawahałem się. – Czy mógłby mi ksiądz powiedzieć, dlaczego na pogrzeb przyszedł poczet sztandarowy Solidarności?

Duchowny spojrział na mnie zdziwiony.

– Nie rozumiem. A pan dlaczego tu przyszedł?

– Zna...ałem pana Jana z widzenia. – Zełgałem, jękając się jak dziecko przyłapano na czymś nieładnym.

Będę się zapewne smażył w piekle za okłamywanie osoby duchownej.

– Aha – mruknął kapłan.

Moja odpowiedź najwyraźniej mu wystarczyła.

– Nie wie pan? – Zdziwił się raz jeszcze. – Świętej pamięci Jan Kucharski to znany działacz Solidarności. W stanie wojennym był nawet internowany w Gębarzewie. Siedział chyba najdłużej.

Skinąłem głową na znak, że jestem wdzięczny za wyjaśnienia.

– Działał w Cegielskim? – dopytałem, żeby podtrzymać rozmowę.

– Tak.

– Pełnił tam jakąś ważną funkcję?

– Nie. Nic mi o tym nie wiadomo.

Ksiądz był nieufny, wyczuwałem to wyraźnie. W pierwszej chwili pomyślałem, że trudno mu się dziwić. Nie znał mnie przecież, moje pytania wydały mu się być może zastanawiające. A może jednak chodziło o coś innego. Tylko o co?

– Przepraszam, mam jeszcze jedno pytanie – zagadnąłem niezrażony.

Kapłan uśmiechnął się ironicznie.

– Czy nie jest pan przypadkiem z milicji? – zapytał.

– Chyba z policji. – Poprawiłem go odruchowo.

Mam taki głupi zwyczaj, który zwykle wpędza mnie w tarapaty.

– Jak pan uważa – odburknął mężczyzna w sutannie, przeżegnał się i zrobił krok w przód. Jakby chciał tym samym dać mi do zrozumienia, że wyczerpałem limit jego cierpliwości.

– Chwileczkę, bardzo proszę. – Przytrzymałem go, łagodnie, ale stanowczo chwytając za czarny rękaw. – Dlaczego ksiądz zachowuje się w ten sposób?

– W jaki?

– Dlaczego ksiądz mnie zbywa?

Kapłan spojrział mi prosto w oczy. W jego szarych źrenicach zobaczyłem strach.

– A dlaczego miałbym panu zaufać? – zapytał.

– Bo nie mam złych zamiarów. – Postanowiłem wytłumaczyć się najprościej, jak tylko potrafiłem.

Ksiądz westchnął ciężko, ale nie zrobił kolejnego kroku.

– Co chce pan wiedzieć? I kim pan w ogóle jest?

Przedstawiłem się z imienia i nazwiska. I dodałem, że uczę historii w gimnazjum na Ratajach. Ta druga informacja spowodowała, że spojrzał na mnie przychylniej. Odrobinę przychylniej.

– Co chce pan wiedzieć? Tylko proszę nie przedłużać, muszę być o czternastej w parafii Świętego Rocha.

– Dlaczego na pogrzebie nie było rodziny pana Jana? I gdzie ją znaleźć? – Wyrzuciłem z siebie dwa szybkie pytania.

– A po co to panu?

– Chcę złożyć kondolencje.

Ksiądz westchnął raz jeszcze. Miał mnie szczerze dosyć i wcale tego nie ukrywał.

– Matka Jana Kucharskiego jest ciężko chora. Leży nieprzytomna na OIOM-ie. Zmarły ma też brata. Ale brat nie mógł przyjechać, bo mieszka za granicą.

•••

W drodze na parking kapłan zdążył mi jeszcze powiedzieć, że od kilku miesięcy matka Kucharskiego wegetuje bez świadomości w szpitalu. I że brat denata pracuje jako urzędnik w Brukseli. A ściślej rzecz biorąc, reprezentuje tam nasz region w strukturach unijnych. Podobno działacze Solidarności z Cegielskiego szukali z nim kontaktu, ale pech chciał, że akurat wyjechał z delegacją do zaprzyjaźnionego regionu w Portugalii. O śmierci brata dowiedział się w ostatniej chwili. Nie dał rady przyjechać na pogrzeb.

– Powinien pan porozmawiać z kimś z Solidarności. – Ksiądz zasugerował, wsiadając do swojego czarnego punto. – Oni mają telefon do brata.

– Proszę księdza... – Zaryzykowałem jeszcze jedno pytanie. – Kto to mógł zrobić?

– Pan jest z policji? – odpowiedział tym samym pytaniem, które zadał mi nad mogiłą.

– Nie. – Tym razem nie potrafiłem już skłamać.

– To pan wybaczy, nie będę na ten temat rozmawiać.

Kiedy odjechał, pozostawiając chmurkę spalin, zawróciłem w stronę grobu. Było już jednak za późno. Uczestnicy celebry dawno się rozeszli – zostały po nich tylko wieńce i wiązanki kwiatów. Niebo zaszło całkowicie chmurami i zaczęło się śiać. Opatrzność dawała mi chyba do zrozumienia, że nie popiera moich metod. Chcąc nie chcąc, wróciłem do samochodu. Byłem rozczarowany. Liczyłem na więcej. Miałem nadzieję, że poznam bliskich zamordowanego. Że będę mógł im powiedzieć, że widziałem go w ostatnich chwilach jego życia. Może to by ich jakoś

pocieszyło...

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła czternasta. Przypomniałem sobie adres: Siemowita 5. – To prawie po drodze do domu – powiedziałem sam do siebie. Może tam dowiem się czegoś więcej?

## 6.

Janek bywał tajemniczy

Redakcja „Wieści Cybińskich” nie należała do okazałych. Mieściła się w starym parterowym budynku ze zzieleniałą od mchu fasadą i odpadającym tynkiem, spod którego szczyrzyły się mokre cegły. Gdyby nie prosty, lekko rdzewiejący szyld zawieszony nad wejściem, nikt nie domyśliłby się, że to tu powstaje lokalny tygodnik. Poczytny, bo łatwo dostępny – wrzucany do skrzynek mieszkańców lub do ich koszyków w pobliskich marketach.

Ze dwa razy przeglądałem to dziennikarskie чудо. Zapamiętałem bijący po oczach miszmasz kolorów i czcionek, niewystawiający najlepszego świadectwa zmysłowi estetycznemu zespołu redaktorskiego. Żaden z tekstów nie przykuł mojej uwagi na dłużej. Nic dziwnego: większość powierzchni pisma zajmowały chaotycznie rozrzucone drobne reklamy. Teksty sprawiały wrażenie pisanych wyłącznie jako wypełnienie biuletynu. Nowe zasady wywozu śmieci czy planowana wycinka starych drzew na jednej z ulic nie należały z pewnością do newsów, które czytało się z wypiekami na twarzy. Ale dla tutejszych mieszkańców mogły mieć jakąś wartość.

Z rozpędu nacisnąłem plastikową klamkę, ale postawiła opór. Zauważyłem przycisk dzwonka. Dźwięk był nieprzyjemny, świdrujący. Towarzyszyła mu jednak głucha cisza.

Czyżby dzisiaj nie pracowali? – zastanawiałem się, usiłując sobie jednocześnie przypomnieć, w jaki dzień tygodnia świeży numer „Wieści” ląduje w skrzynkach pocztowych na moim osiedlu. Chyba we wtorek. A może jednak w środę? Tak czy owak, w piątek redakcja powinna tętnić życiem. Tymczasem zielony budynek wydawał się pusty i ponury jak kostnica. Właśnie, kostnica... A może koledzy Kucharskiego byli na pogrzebie i zrobili sobie wcześniej wolne? Może tym razem szybciej zamknęli najnowsze wydanie?

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, raz jeszcze nacisnąłem wrednie brzmiący dzwonek, a potem niechętnie zeskoczyłem z betonowych schodków wiodących do drzwi. Trudno, spróbuję w poniedziałek...

Gdy w kieszeni spodni szukałem kluczyka od auta, usłyszałem za sobą ciche chrząknięcie. Mężczyzna mógł być rówieśnikiem denata. Tyle że nie miał brody, tylko łysinę, okoloną siwym wieńcem. I był znacznie niższy. W wytartych dżinsach i koszulce z napisem „Iron Maiden” przypominał weterana heavy metalu. To dziwne, ale odniosłem wrażenie, że gdzieś go już widziałem.

– Pan w sprawie ogłoszenia? – zagadnął.

– Nie, nie – zaprzeczyłem. – Chciałbym porozmawiać o Janie Kucharskim.

– O Janku? – Mężczyzna był zdziwiony. I nagle się rozpromienił: – A tak! Widziałem pana na pogrzebie. Pan z rodziny?

Przez chwilę walczyłem z pokusą, by przytaknąć. Zbyt często jednak ostatnio używałem kłamstwa.

– Nie, nie. Ale... Byłbym wdzięczny, gdyby poświęcił mi pan choć pięć minut.

Mój rozmówca uśmiechnął się życzliwie.

– O, mogę pogadać nawet dłużej. Numer już pojechał do drukarni, więc jestem wolny jak ptak.

•••

Gospodarz przedstawił się jako Maciej Liściak i okazał się redaktorem naczelnym „Wieści Cybińskich”. Lepiej nie mogłem trafić. Tym bardziej że szybko zorientowałem się, jak małym organizmem jest zespół darmowego tygodnika. Po śmierci Kucharskiego jedynym podwładnym Liściaka pozostał redaktor Tomasz Świetlicki, autor tekstów i grafik komputerowy w jednym. A za dumnie brzmiącym szyldem redakcyjnym kryły się zaledwie dwa ciasne pomieszczenia, przedzielone rozsuwanymi drzwiami z pleksi.

Nie było to więc imperium Murdocha. A kiedy się okazało, że Liściak nie może poczęstować mnie nawet herbatą, bo „właśnie wysiadł” czajnik elektryczny, poczułem się tam zupełnie jak w domu.

– Więc mówi pan, że chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o Janku? – Naczelnym „Wieści” usiadł na leciwej kanapce obok mnie i przyjrzał mi się uważnie. – A właściwie dlaczego?

Dobre pytanie, pomyślałem. Wypadało powiedzieć teraz coś wiarygodnego. Coś, co rozbroiłoby sceptycyzm Liściaka.

– Zaintrygowała mnie jego śmierć – powiedziałem szczerze. Po prostu wyczuwałem, że z tym człowiekiem nie wypada ściemniać.

– Znał go pan? – zapytał.

– Nie.

– To dlaczego?

– Bo widziałem go tuż przed śmiercią. Biegł w lesie, w dolinie Cybiny. Niedaleko stąd.

– Pan też biega?

Przytaknąłem. Odniosłem wrażenie, że Liściak mi ufa.

– I tylko dlatego?

– A to mało?

– Tego nie powiedziałem.

– Tak, dlatego.

Przez chwilę taksował mnie wzrokiem, jakby oceniał, czy mówię prawdę. W

końcu powiedział niemal szeptem:

– Jakoś dobrze panu z oczu patrzy. Co chce pan wiedzieć?

Zapytałem najpierw, od jak dawna znał Kucharskiego.

– Od szesnastu lat – odpowiedział. – Janek miał znacznie większe doświadczenie dziennikarskie niż ja. Gdy otwieraliśmy ten interes piętnaście lat temu, wszystko spoczywało początkowo na jego głowie. To on pisał pierwsze teksty, to on wynajdował tematy. A przede wszystkim reklamodawców. W uznaniu jego zasług uczyniłem go swoim zastępcą...

Z trudem powstrzymałem się od złośliwego uśmiechu. Kucharski rzeczywiście awansował, nie ma co!

– Zamieszkał tu wtedy? Szesnaście lat temu? – zapytałem.

– Tak, zresztą niedaleko ode mnie. Wcześniej, zdaje się, miał mieszkanie gdzieś na Wildzie. Chyba w pobliżu Cegielskiego.

– Wiem, że działał w tamtejszej Solidarności. – Podchwyciłem natychmiast znany mi już wątek.

– Podobno. – Liściak potwierdził, ale bez przekonania. – Wcześniejszych lat jego życia nie znam. Do nas sprowadził się na stałe, gdy odziedziczył domek po ojcu. Wtedy zajął się też bardziej swoją chorą matką...

– Czyli bywał tu wcześniej?

– Myślę, że tak. Ale wtedy się jeszcze nie znaliśmy.

– A jak się panowie poznaliście?

– Zwyczajnie. Chyba na jakimś przedstawieniu w tutejszej podstawówce. A może to były jakieś obchody rocznicowe? Już dobrze nie pamiętam. Ja tam poszedłem ze względu na wnuczka. A on chyba z innych powodów, w każdym razie nie zauważyłem nikogo z jego rodziny. Siedzieliśmy obok siebie na widowni i tak się jakoś zgadaliśmy. Powiedziałem, że chcę wydawać lokalną gazetę reklamową. A on mi wtedy na to, że chętnie pomoże, bo właśnie przeszedł na emeryturę, a wcześniej pisywał do gazety związkowej.

– W Cegielskim?

– Nie wiem. Możliwe.

– To ciekawe. Nigdy panu o tym nie opowiadał?

– A wie pan, że nie. I teraz sobie myślę, że to rzeczywiście wygląda dziwnie.

– Prawda?

– Prawda. No bo to przecież powód do jakiejś dumy. Tak mi się przynajmniej wydaje...

– No właśnie. Mnie też.

Zamilkliśmy, zastanawiając się obydwoj nad naszym odkryciem. O szyby okien zabębniły krople deszczu. Drobnny opad szybko przeszedł w ulewę.

– No proszę, a policja mnie o to nie zapytała. – Liściak w końcu się uśmiechnął. – Ma pan nosa do tych spraw, bez dwóch zdań.

– E, to jeszcze nic nieznacząca informacja – odparłem, choć komplement mile polectał moją próżność. – Pewnie rzeczy naprawdę ważne powiedział pan policji...

– Chyba nie. – Redaktor naczelny „Wieści” wzdrygnął ramionami. – Ich interesowały głównie papiery Janka.

– Papiery?

– No to, co zostało w jego biurku. – Liściak sprecyzował.

– A... co zostało? – Zaryzykowałem zuchwałe pytanie.

•••

Podeszliśmy do starego mebla, pamiętającego jeszcze czasy PRL. Biurko skręcono z płyt wiórowych, których politura miała barwę orzecha. Stał na nim stary komputer z przedpotopowym ciężkim ekranem. Jego wydłużony tył przypominał mi czasy, kiedy sam uczyłem się podstaw informatyki. Pod blatem biurka widać było szufladę, nieznacznie wysuniętą do przodu. Na tyle, by przekonać się, że w środku jest pusta.

– Policja zabrała wszystkie notatki Janka, które tu trzymał – westchnął Liściak. – Skopiowali też z twardego dysku wszystkie jego teksty. Ale nie spodziewałbym się wśród nich żadnych rewelacji. Janek nie należał do łowców newsów, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Nasza praca to było w dużej mierze pisanie o przyziemnych sprawach.

– Wiem. – Przytaknąłem. – Jestem waszym czytelnikiem.

– Miło to słyszeć.

– Przyznam jednak, że wcześniej nie zwróciłem uwagi na to, czym konkretnie zajmował się pana kolega.

– Chodzi panu o to, jaką miał „działkę”? – Naczelny „Wieści” się uśmiechnął. – W zasadzie pisał o wszystkim. Jak to się mówi, mydło i powidło. Nawet ze dwa razy zdarzyło mu się napisać coś o sporcie. O sukcesach uczniów z naszego klubu w Antoninku. Najczęściej jednak pisał o remontach ulic. I o zieleni. Tak, przyroda była chyba jego konikiem. Ale mógł pan tego nie skojarzyć, bo Janek najczęściej podpisywał się skrótem. Używał akronimu „jak”.

– Dlaczego?

– Już się nie dowiemy. Może dlatego, że nie uważał tego, co robi, za coś wybitnego. O ile mnie pamięć nie myli, z imienia i nazwiska podpisał się może kilka, kilkanaście razy.

– Pamięta pan, pod jakimi tekstami?

– Mój Boże. – Liściak rozłożył bezradnie ręce. – Nie pamiętam. Ale może pan to sprawdzić w naszych zszywkach. – Wskazał ręką na półkę pełną żółtych segregatorów. – Tylko czy warto?

– Zastanowię się. – Odgoniłem od siebie potrzebę decyzji. Wiedziałem

jeszcze za mało, by zakopać się w piętnastu latach chwalebnych dziejów lokalnego tygodnika.

– Wspomniał pan, że pana kolega nie uważał pracy tutaj za coś wielkiego. Dlaczego? Miał za sobą większe dokonania dziennikarskie?

– Już mnie pan o to pytał. Podobno pisał w jakiejś gazecie związkowej. Ale nie wiem o tym nic więcej, nawet nie znam tytułu. Bo on się tym nie chwalił.

– To... skąd pan o tym wie? – Zdziwiłem się.

Liściak zamyślił się na chwilę. Odniosłem wrażenie, że zabiłem mu ówieka tym pytaniem.

– Być może od Gibasa... – odpowiedział w końcu.

– Gibasa?

– Marcelego Gibasa. Pan wie, tego z zarządu Solidarności. Mieszka tu niedaleko. Oczywiście dziś już nie działa w związku. Ale jakieś pięć lat temu, może sześć, zrobiłem z nim wywiad. O czystości w Zielińcu, nic ważnego. A potem pogadaliśmy sobie o wszystkim innym. Tak... To chyba on mi wspomniał, że Janek Kucharski był kiedyś związkowym dziennikarzem. Ale nie drążyłem tematu. Chyba nie było to wtedy dla mnie ważne.

Skinałem głową na znak, że jestem mu wdzięczny za tę informację. Poprosiłem o adres Gibasa. Wziął żółtą karteczkę ze swojego biurka i napisał na niej nazwę ulicy.

– Jak pan sądzi, dlaczego ktoś zabił waszego kolegę? – zapytałem.

Spojrzał na mnie uważnie, jakby przestraszył się tego pytania.

– Nie wiem, szanowny panie – odpowiedział wolno. – Pan zakłada, że ktoś to zrobił celowo? Równie dobrze mógł to być przypadek, straszny przypadek...

– Nie rozumiem.

– Janek mógł mieć pecha. Mógł znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Trafił na złego człowieka, choć równie dobrze mogło to spotkać pana czy kogokolwiek innego, kto by tamtędy przebiegał...

Nie wspominałem mu o dwóch mężczyznach, którzy biegli za Kucharskim. Liściak nie dopytywał o szczegóły mojego spotkania z tragicznie zmarłym, nie chciałem mu siać zamętu w głowie.

– Być może ma pan rację – powiedziałem tylko. – To... jeszcze zapytam o zachowanie pana kolegi w ostatnich dniach przed śmiercią. Czy był zdenerwowany albo rozkojarzony?

– Pyta mnie pan zupełnie jak policja. – Szef gazety machnął ręką zrezygnowany. Po doświadczeniach z aspirantem Gruszką nie miałem pewności, czy te słowa to komplement, czy zarzut. – Ale dobrze, powiem panu. Otóż nie, nic dziwnego nie zauważyłem. Janek był w dobrym humorze, pełen werwy i pomysłów. Powiedziałbym nawet, że był taki jakiś... hm... nadnaturalnie aktywny. Tryskał energią, dowcipkował... Raz go nawet zapytałem, czy coś się stało, że tak



mu wesoło. Ale nie odpowiedział. On... On bywał chwilami nieco tajemniczy.

– To znaczy? – Poczujęm, że to ważny moment naszej rozmowy.

– No wie pan... Nie należał do ludzi specjalnie otwartych. Owszem, w pracy dobry kolega, pracowity, z pomysłami. Ale o sobie nie mówił nic. Albo prawie nic.

– Miał rodzinę?

– Nic o tym nie wiem. Zdaje się, że był starym kawalerem.

Kucharski musiał rzeczywiście być zamkniętym w sobie człowiekiem, skoro jego kolega – znający go od piętnastu lat – nie potrafi powiedzieć nic pewnego o jego życiu osobistym.

– Nie zaprosił pana nigdy do siebie?

– Nie.

– A pan jego?

– Zapraszałem go kilka razy. Ale zawsze się czymś wymówił.

– To rzeczywiście trochę dziwne. – Zdobyłem się na komentarz.

– Ma pan rację. Dziś wydaje mi się to dziwne.

Zanim wyszedłem z redakcji „Wieści”, umówiłem się z Liściakiem, że zadzwonię do niego i ustalimy termin, w którym mógłbym przejrzeć teksty Kucharskiego. Nie chciałem zaniedbać tego tropu. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się jednak, że powiedzą mi coś istotnego.

## 7.

Jeśli naprawdę pan chce

Zbliżał się czas matur i w Zespole Szkół Ogólnokształcących na Ratajach, w którym pracowałem, trwała radosna galopada sprawdzianów i kartkówek, które miały przybliżyć nas, nauczycieli, do wystawienia wstępnych ocen końcowych gimnazjalistom. Przez kilka kolejnych dni skupiony byłem na przedzieraniu się przez stos sprawdzianów, których wyniki mogły wpędzić w depresję. Wydawało mi się, że staram się prowadzić moje lekcje ciekawie. Na tyle ciekawie, że nawet najwięksi ignoranci w temacie historii coś z tych moich opowieści zapamiętają. Myliłem się. Zanosilo się na to, że dwie trzecie uczniów z moich klas będzie mieć problemy z zaliczeniem.

Co takiego stało się w naszym kraju, że młode pokolenie postrzega przeszłość jako nudną i obciachową? W czasach, kiedy sam chodziłem do szkoły, historia należała do przedmiotów kultowych. No, może nie dla wszystkich. Ale znać przeszłość i spierać się o nią – znaczyło wtedy przynależć do klasowej elity. Tyle że to było u schyłku komuny. Czyżby wolność, która potem nastąpiła, oznaczała też wolność od myślenia?

W wolnych chwilach rozmyślałem o Kucharskim. Było dla mnie oczywiste, że powinienem się skontaktować z działaczami Solidarności. Podskórnie wyczuwałem, że za śmiercią Kucharskiego stoi jakaś tajemnicza historia. Pewnie coś skrywał, skoro nawet najbliżsi koledzy z pracy nie znali dobrze jego przeszłości.

Któregoś popołudnia postanowiłem oderwać się od uczniowskich wypocin, wsiałem w forda i pojechałem pod podany mi przez Liściaka adres. To była willa w stylu lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Prosta, jednopiętrowa kostka, obrzucona białym, wapiennym tynkiem. Przed budynkiem rosły dwa strzeliste świerki, ocieniając prowadzący do domu chodnik z nierówno ułożonego pozbruku.

Dom i okolica wydały mi się odludne. Odnalazłem przycisk domofonu. Nacisnąłem go, ale nikt się nie odezwał. Zadzwońłem ponownie, a potem jeszcze raz. Odpowiedziała mi cisza.

– A pan do kogo? – Za płotem obok pojawiła się nagle starsza kobieta.

– Do pana Gibasa – odpowiedziałem z uśmiechem na twarzy. – Mieszka tutaj, prawda?

Sąsiadka działacza związkowego zmrużyła oczy, jakby oceniała moją wiarygodność.

– A kim pan jest?

– Bogdan Popiołek. Chciałbym porozmawiać.

- Kiedy go nie ma w domu.
- A kiedy będzie?
- Za miesiąc albo i później. W lutym poleciał do Stanów.

No tak, do Stanów się nie wybiorę, rozmyślałem, wracając do domu. Nie tylko dlatego, że mnie nie stać. W szkole nie dadzą mi teraz tygodnia urlopu. Pozostawało mieć nadzieję, że może uda mi się zdobyć telefon komórkowy Gibasa i porozmawiać z nim przez ocean. Tylko czy gra jest warta świeczki? Warta – uznałem niemal natychmiast, skręcając z głównej ulicy w stronę osiedla, na którym mieszkałem. W tym samym momencie przypomniła mi się twarz Wróbla. Pomyślałem, że sąsiad na pewno nie byłby zachwycony tym, co robię. Ale przecież nie musi tego wiedzieć.

Po powrocie do domu zacząłem znowu buszować w Internecie. I zdziwiłem się, jak niewiele informacji o Janie Kucharskim znalazłem. Jego nazwisko pojawiło się przede wszystkim w *Encyklopedii Solidarności*. Notka była krótka, zawierała tylko kilka podstawowych dat z jego życia. Redaktorzy nie zdążyli nawet wprowadzić informacji o jego śmierci. Z *Encyklopedii* dowiedziałem się, że Kucharski – legitymujący się średnim wykształceniem – był szeregowym działaczem „S” w zakładach Cegielskiego w latach 1980–1981. Należał do zespołu redakcyjnego biuletynu organizacji związkowej w HCP. W nocy z dwunastego na trzynastego grudnia 1981 roku został internowany i osadzony w Gębarzewie pod Gnieznem. Wydało mi się to dziwne: ekipa Jaruzelskiego z reguły nie zamykała w stanie wojennym działaczy Solidarności najniższego szczebla. Komuniści zgarnęli wtedy przede wszystkim elitę, kierownictwo związku, paraliżując jego działalność. Dlaczego uwięzili również Jana Kucharskiego, szeregowego członka związku, jakich było nawet dziesięć milionów? Być może zdecydowało to, że pracował w związkowym biuletynie? Może pisał w nim teksty, których władza nie mogła mu wybaczyć?

Kilka linijek w *Encyklopedii Solidarności* było największą zdobyczą moich poszukiwań. Denat miał tak powszechną godność, że trudno było się przedrzeć przez morze stron, profili społecznościowych i innych wpisów...

A właśnie, portale społecznościowe! Kliknąłem w ikonkę Facebooka i w okienko wyszukiwarki wpisałem imię i nazwisko mężczyzny, który zaprzętał moje myśli. Ułamek sekundy – i już wiedziałem więcej. Facebook wyświetlił mi ponad pięćdziesiąt profili mężczyzn nazywających się Jan Kucharski. Pobieźny przegląd wyników nie pozostawiał żadnych złudzeń. Pomijając dwa profile bez załączonego zdjęcia, żaden inny nie należał z pewnością do Kucharskiego, na którego pogrzeb pojechałem. Dominowali młodzi i bardzo młodzi Kucharscy. Jan Kucharski z Cegielskiego z pewnością nie należał do pokolenia Facebooka.

...

Dwa dni później wypadły mi dwie ostatnie lekcje. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła pierwsza. Według danych, które poprzedniego wieczoru znalazłem na stronie internetowej, w Cegielskim – a raczej w tym, co z tego zakładu przetrwało – trwał właśnie dyżur przewodniczącego tamtejszej Solidarności. Miałem więc szansę dowiedzieć się czegoś więcej.

Na parkingu przed głównym biurowcem zakładu zameldowałem się o trzynastej trzydzieści. Poczulem się rażniej, bo mój stary ford nie odstawał specjalnie od aut, które stały obok. No, może poza skodą superb, wożącą zapewne prezesa firmy. Wbiegłem do pustawego holu. Wąsaty mężczyzna w szarym fartuchu, siedzący za kontuarem recepcji, zdawał się żywcem wyjęty z epoki pierwszej Solidarności. Na pytanie o pokój związku wskazał ręką w lewo i podał jego numer.

Znalazłem go pół minuty później. Tabliczka z logo „S” na drzwiach nie pozostawiała wątpliwości. Nacisnąłem klamkę. W środku zastałem młodą blondynkę w dżinsach i obcisłym sweterku, dość demonstracyjnie podkreślającym jej kształtny biust.

– Przewodniczącego nie ma, jest z wizytą w Stoczni Gdańskiej – powiedziała. – Ale jest Hieronim Skrzypczak, skarbnik związku. Zastępuje szefa. Chce pan z nim porozmawiać?

Chcąc nie chcąc, zgodziłem się. I dobrze zrobiłem, bo Skrzypczak – otyły mężczyzna w granicach wieku emerytalnego – okazał się doskonale zorientowany w pradziejach zakładowej Solidarności. I, co ważniejsze, nie miał oporów, by się tą wiedzą podzielić.

– Tak, tak, słyszałem. – Przytaknął, gdy wspomniałem mu o śmierci Kucharskiego. – Wszyscy byliśmy przybici tą wiadomością. I dlatego postanowiliśmy, że wyślemy na jego pogrzeb poczet sztandarowy. Chociaż tyle mogliśmy dla biedaka zrobić.

– Znał go pan?

– Jasia? No pewnie, że znałem. Razem ześmy strajkowali, razem składaliśmy gazetkę do druku. Taaaaki był facet. – Skrzypczak naprężył muskuł prawej ręki, jakby chciał udowodnić, że nie kłamie. – Wie pan, on był jednym z ostatnich, którzy traktowali swoje życie i swoje obowiązki serio.

– Rozumiem – odpowiedziałem, choć nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. – To znaczy, był dobrym redaktorem?

– O, dobrym to za małe słowo. Bardzo dobrym. – Skarbnik związku przytaknął. – Angażował się w to, co robił, na całego. Nie odpuszczał. Jak go zamknęli w Gębarzewie, to pierwszy zorganizował tam protest głodowy. Miał chłop jaja, nie ma o czym gadać!

– No właśnie. – Podchwyciłem skwapliwie. – Zastanawiam się, czy mógł mieć jakichś wrogów...

Umilkłem, zgaszony ciężkim, nieprzyjemnym spojrzeniem Skrzypczaka.

– Panie, w policję się pan nie baw. – Poradził mi tonem, jakim strofuje się niezbyt rozgarniętego gówniarza. – Cholera wie, kto to Jasiowi zrobił. Ale to już nie nasza sprawa. Ani moja, ani tym bardziej pana. Stało się i tyle. Niech mądrzejsi szukają winnych.

Prostej filozofii związkowego skarbnika trudno było odmówić logiki. Mimo to zaryzykowałem dalsze pytania. W końcu po to tutaj przyjechałem.

– Wiem, że nie zastąpimy policji – powiedziałem spokojnie, żeby nie zdenerwować rozmówcy. – Chciałbym się jednak dowiedzieć czegoś więcej o Kucharskim. Wie pan, widziałem go tuż przed śmiercią. Dlatego próbuję ustalić, co się mogło stać...

Skrzypczak spojrział na mnie raz jeszcze spode łba, tym razem jakby odrobinę przychylniej.

– Widziałeś go pan? Ale jak? Kiedy?

Opowiedziałem mu o moim bieganiu i o niezwykłym zetknięciu z „Koszalkiem Opalkiem” – jak wtedy nazwałem w myślach Kucharskiego – na leśnej ścieżce. Po raz kolejny przemilczałem jednak epizod z dwoma mężczyznami, podążającymi śladami późniejszego denata. Nie chciałem niczego sugerować.

– A to ciekawe... – westchnął Skrzypczak. – To miałeś pan szczęście widzieć go żywego jako ostatni... A co na to policja? Chyba pan do nich poszedł?

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Przyjęli moje zeznanie i tyle.

Skrzypczak zamyślił się na chwilę, jakby zapominając o mojej obecności. Przez dobrą minutę w gabinecie szefa związku było tak cicho, że słyhać było każde drgnięcie wskazówki ściennego zegara. Za oknem przetoczył się z łoskotem tramwaj, wprawiając w drżenie szyby w oknie.

– No dobrze. – Skarbnik Solidarności wyrwał się w końcu z letargu. – I mówisz pan, że te „smurfy” nawet nie kiwnęły palcem?

– Tego nie wiem. Ale chyba nie przejęli się przesadnie tym, co im opowiedziałem.

Związkowiec prychnął, jakby usłyszał dawno zwietrzały dowcip.

– No dobra – powtórzył. – To co właściwie chciałby pan wiedzieć?

Pierwsze koty za płoty, pomyślałem.

– Czym w ostatnich latach zajmował się Kucharski?

– To pan nie wie? Redagował osiedlową gazetkę. Na emeryturze miał kupę czasu.

– To wiem. Chodzi mi o co innego. Czy pamięta pan, żeby angażował się w coś szczególnego?

– Szczególnego? Co to znaczy: szczególnego?

– No, nie wiem – mruknąłem, niespecjalnie przekonany, czy moje pytanie

zabrzmiało dostatecznie mądrze i precyzyjnie. – Czy poza gazetką udzielał się w związku? Albo coś pisał? Może zabrał się za wspomnienia?

Skrzypczak znowu spojrzął na mnie jak na osobnika niespełna rozumu.

– Ale pan wymyślasz... – Zachnął się. – Zupełnie jak nasza policja...

– Byli u was? – Wyrwało mi się kolejne głupie pytanie. Gospodarz je zignorował. Wydawało mi się, że nie powie mi już nic więcej.

– Byli, przecież to było morderstwo – odezwał się w końcu chłodno. – A co do Jasia... Nie, już od dawna nie przychodził na nasze zebrania. To było dziwne, bo jeszcze w 2006 roku, gdy obchodziliśmy pięćdziesięciolecie Poznańskiego Czerwca, mocno się wciągnął w nasze przygotowania. Ale w ostatnich latach widywałem go z rzadka. Nie wydaje mi się, żeby ta gazetka angażowała go aż tak bardzo. Pojęcia nie mam, co jeszcze robił. Czy pisał wspomnienia? Może. Ale nic mi o tym nie wiadomo. Wie pan, Jasiu nie należał do ludzi, którzy trąbią wokół o tym, co robią czy co piszą. Po prostu robił swoje. A co, to mało kto wiedział.

– No właśnie – powiedziałem. – Mógł się zajmować na przykład jakimś tematem czy sprawą poza swoimi obowiązkami w „Więściach Cybińskich”?

– W czym?

– W tej swojej gazecie.

– No mógł. Ale kto dziś wie, co mu w głowie siedziało? Chyba tylko sam Najwyższy.

Zrozumiałem, że skarbnik nie wie nic więcej. Czas zbierać manatki. Podniosłem się z krzesła i podałem Skrzypczakowi dłoń. Uścisnął ją zdecydowanie mniej serdecznie niż na wstępie.

– Ostatnie pytanie! – Całe szczęście, że sobie o nim przypomniałem. – Podobno macie kontakt z bratem Kucharskiego? Zdaje się, że jest urzędnikiem w Brukseli.

– Leon? – Związkowiec rozpromienił się nagle. – Widziałem się z nim wczoraj.

– Wczoraj? Jak to wczoraj?

– Normalnie. Przyleciał do Poznania. Nie mógł zdążyć na pogrzeb, więc chciał chociaż odwiedzić grób brata.

– Jest jeszcze w Poznaniu? – Serce zabiło mi mocniej.

– Nie wydaje mi się. Przyleciał tylko na dwa dni. Wpadł do mnie w drodze na lotnisko. Mówił, że się spieszy na kolejne posiedzenie Rady Europy czy Rady Regionów... Sam już nie wiem, jak to się nazywa...

– Ech... – westchnąłem zawiedziony. – To się nazywa pech!

– Ale przecież nic się nie stało. – Skrzypczak niespodziewanie poderwał się z krzesła i klepnął mnie w ramię. – Mam jego mail. Może być?

...

Napisałem do Leona Kucharskiego jeszcze tego samego dnia przy kolacji. Długo się zastanawiałem, jak zacząć. Wahałem się, czy dobrze robię. Zdawałem sobie sprawę, że moje zainteresowanie śmiercią jego brata przekroczyło już zwykłą ludzką ciekawość i nie chciałem, by uznał moją ingerencję w prywatne sprawy rodziny zmarłego za przejaw nękania czy złej woli. W końcu uznałem, że najlepiej będzie napisać do Leona Kucharskiego w możliwie prosty i szczerzy sposób. Miałem nadzieję, że dzięki temu już na wstępie rozwieję wszelkie wątpliwości.

Przeprosiłem więc, że wtrącam się w jego prywatną tragedię. Powołałem się na pomoc związkowców z Solidarności Cegielskiego. I opisałem, co przywiodło mnie do tych działań. Czyli że widziałem Jana Kucharskiego tuż przed śmiercią. Że ta sprawa nie daje mi spokoju. I że zgłosiłem się na policję, ale zostałem zignorowany. O tym, że widziałem w alejce dwóch podejrzanych mężczyzn, wspominałem dość ogólnikowo. W końcu nie byłem zupełnie pewny, czy mogli mieć związek ze śmiercią jego brata. Zapytałem też brata Jana Kucharskiego, czy wie, jakimi tematami ten się zajmował. Czy mógł drażnić coś, co stało się dla niego niebezpieczne? Czy miał jakieś tajemnice? Podpisałem się jako Bogdan Popiołek, magister historii.

Gdy tylko kliknąłem enter, wysyłając maila w europejską sieć, naszły mnie wątpliwości. Wydałem się sam sobie infantylny, żeby nie powiedzieć głupi. Bo niby dlaczego poważny człowiek na odpowiedzialnym stanowisku w Brukseli miałby potraktować moje pytania poważnie? A jeśli uzna, że napisał do niego jakiś wariat? A jeśli, co gorsza, odeśle mój mail na policję, uznając go za przejaw podejrzanego i niezdrowego zainteresowania? Kim w końcu byłem? „Magistrem historii” – też mi coś! Połowa psychopatów znanych z filmów eksponowała swoje wątpliwe stopnie naukowe!

Na moment skóra ścierpła mi na karku, ale szybko opanowałem drżenie rąk. W końcu moje intencje są czyste, uspokojałem się, ufając, że Leon Kucharski to rozsądny facet. Inaczej nie zostałby tym, kim jest.

Z niecierpliwością, ale i niepewnością oczekiwałem odpowiedzi z Brukseli. Choć zaglądałem do skrzynki kilkakrotnie tego wieczoru, Leon Kucharski nie odpisał. Pewnie ma jakieś swoje urzędowe sprawy, pomyślałem. Ale nie uspokoilem się zupełnie. Tej nocy spałem źle, z przerwami. Kiedy już przysnąłem, przed oczyma przesuwały mi się ciągle urywki telewizyjnej relacji z czarną folią, skrywającą ciało zamordowanego.

Rano spieszyłem się do roboty i nie zdążyłem otworzyć laptopa. Przypomniałem sobie o tym dopiero na dużej przerwie. Pobiegłem do szkolnej pracowni komputerowej i otworzyłem swoją skrzynkę. Odpowiedź Leona Kucharskiego przyszła o pierwszej siedemnaście w nocy. Była krótka i jednocześnie wieloznaczna:

*Szanowny Panie,*

*nie wiem, kim Pan jest, ale jeśli naprawdę chce Pan ze mną porozmawiać o moim bracie, zapraszam do Brukseli.*

•••

To „naprawdę” trochę mnie ubodło. Sugerowało, że brat zamordowanego nie do końca mi ufa. A przecież nie zadawałbym sobie tyle trudu, by zdobyć jego maila, i nie wystawiałbym się na ryzyko śmieszności, gdybym nie chciał „naprawdę” porozmawiać o jego bliskim. Machnąłem jednak na to ręką. Byłem szczęśliwy, że w ogóle odpowiedział. Nie musiał przecież wiedzieć, że staram się działać rzetelnie. Przecież mnie nie znał.

Po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że jego propozycja spotkania w Brukseli była rodzajem testu. Być może chciał sprawdzić, czy jestem kimś poważnym. I na ile mi zależy. Niewykluczone, że Leon Kucharski przyjął za pewnik, że nie wybiorę się do Belgii. I w ten sposób mnie splawił. Nawet nie podał swojego adresu ani żadnej wskazówki...

Biłem się z myślami, czy nie powinienem odpisać na jego maila, prosząc raz jeszcze o odpowiedzi na moje pytania. Skoro jednak nie napisał nic więcej za pierwszym razem, można było przyjąć, że za drugim w ogóle się nie odezwie. Nie odpisałem od razu, musiałem przemyśleć sprawę. Im dłużej jednak zastanawiałem się nad nią tego dnia – i przez kilka następnych – tym bardziej zaczynałem kombinować, jakby tu wziąć kilka dni urlopu i polecieć do Brukseli.

To było szalone, jeszcze kilka dni wcześniej w życiu bym o tym nie pomyślał. Ale słowo „naprawdę” w mailu od brata Kucharskiego dotknęło mnie do żywego. Jak inaczej mogłem dać mu do zrozumienia, że kieruje mną coś więcej niż niezdrowa ekscytacja czyjąś śmiercią?

Musiałem się kogoś poradzić. Poszedłem pogadać do Marka Cichonia, człowieka o chłodnym spojrzeniu. Umówiliśmy się na jednej z przerw na tyłach sali gimnastycznej. Marek przyszedł natychmiast po dzwonku kończącym lekcję.

– Co się zastanawiasz? Jedź! – powiedział, gdy wyłuszczyłem mu problem. – Do Brukseli z Poznania leci się na trzy sposoby: przez Warszawę, Kopenhagę lub Monachium. Tę ostatnią opcję odradzam, najdroższa. Najkorzystniej jest LOT-em przez Warszawę. No, chyba że wolisz tanie linie. Tylko wtedy musisz skombinować sobie dojazd z Charleroi.

– A skąd ty to wszystko wiesz? – Wybałuszyłem oczy.

– Wiem, bo byłem tam kilka razy – odpowiedział, mrużąc oczy za szklami okularów. – Ty jeszcze nie? O, stary, gdzie ty się uchowales? W Brukseli było już chyba z pół Poznania! Nie pojechałeś jesienią? Wtedy, gdy wyjazd dla naszych uczniów organizował europoseł Nowak? To musisz to nadrobić. Miasto nie jest może szczególnie ciekawe. Owszem, Stare Miasto i Grand Place robią wrażenie. No, może jeszcze katedra... Ale w sumie Bruksela to taki miszmasz: stare domy



stoją obok wielkich biurowców. Bo Bruksela, Bodziu, to przede wszystkim miasto urzędasów. Wszędzie ich pełno, poznasz ich po lepszych płaszczach i garniturach...

– Yhm – mruknąłem, niezbyt zadowolony z tego krótkiego wykładu, z którego wynikało niezbicie, że jestem człowiekiem zacofanym i godnym litości. – A jak ja się tam będę poruszał, mistrzu? Na taksówki w Belgii mnie nie stać.

– Taksówki! – Marek prychnął z pogardą. – A kto bierze taksówki? Wszędzie dojedziesz metrem.

– Akurat!

– Zobaczysz, stary, to się przekonasz.

Brzmiało to wszystko szalenie nęcząco, ale nie miałem pewności, czy dostanę urlop.

Nie zdążyłem jednak nawet zapytać o to dyrektora, bo moje plany w jednej chwili wzięły w łeb. Zrozumiałem to następnego dnia, oglądając telewizyjne wiadomości. Migawki z zadymionej hali lotniska Zaventem, widok zakrwawionych zwłok podróżnych, a potem ofiar zamachów bombowych w brukselskim metrze uświadomiły mi, że atak terrorystyczny na stolicę Unii Europejskiej oznacza zamrożenie belgijskiego wątku mojego śledztwa na czas nieokreślony. Nie dlatego, że nie chciałem tam jechać. Chciałem coraz bardziej. Tyle że po prostu zawieszono tam loty.

## 8.

Przebili się przez futrynę

Pod koniec marca, gdy wszystkie serwisy telewizyjne nasyciły się już dramatycznymi wydarzeniami w Brukseli i znowu zaczęły kierować uwagę ku polskim problemom, biegłem wzdłuż Cybiny. Było sobotnie przedpołudnie. Zanosiło się na niezłą ulewę. W mięśniach czułem zmęczenie, bo biegałem już niemal godzinę. Z każdym treningiem byłem coraz pewniejszy siebie, a i mój piwny brzuch jakby się nieco wstąpił, powodując potrzebę użycia paska do spodni. Śmieszne początki mojej rekreacji powoli zacierały się w pamięci. Czułem się prawie jak zawodowiec. No, może półzawodowiec – ale z zadatkami na coś więcej. Czyżby i na mnie działał mityczny wpływ endorfin?

Komórka przy moim pasku zawibrowała akurat w momencie, gdy przebiegałem niedaleko miejsca znalezienia zwłok Kucharskiego. Po policyjnych taśmach nie było już śladu. Przystanąłem i przyłożyłem aparat do ucha.

– Tak?

– Mówi Liściak! – Głos szefa lokalnej gazetki był podekscytowany i chrapliwy. – Muszę panu powiedzieć, że mieliśmy tu dzisiaj rano policję!

– Znowu? – westchnąłem zdyszany.

Byłem zaskoczony, że Liściak mi o tym melduje.

– Nie znowu, tylko w innej sprawie! – Głos naczelnego „Wieści Cybińskich” aż drżał z podniecenia.

– A coś się stało?

– Właśnie, stało się!

– Ale co, panie redaktorze?

– W nocy mieliśmy włamanie!

•••

Szef „Wieści” był wzburzony, nawet nie podał mi ręki i od razu poprowadził do redakcji. Jak wyjaśnił, policja już sobie poszła. Zrobili tylko kilka zdjęć i spisali zeznanie. Tylko, a może aż tyle.

– Dziękuję za zaufanie – bąknąłem, ale Liściak zignorował moje słowa. Nawet nie zauważył, że jestem w stroju biegacza, w dodatku mocno spocony.

– Panie, to wszystko śmierdzi – orzekł poważnym tonem. I jakby dla potwierdzenia swojej tezy znacząco pociągnął nosem.

– Co śmierdzi?

– No ten włam! Niech pan popatrzy! – Liściak podszedł do framugi drzwi i wskazał miejsce, w którym jakieś niewątpliwie ostre, długie narzędzie wyorało

trudny do zignorowania, podłużny rów. – Widzi pan? Tu się przebili przez futrynę i podważyli zamek.

– Ale kto?

– A bo ja wiem?

– A skąd pan wie, że było ich kilku?

– Nie wiem. Tak mi się wydaje.

– Aha – mruknałem nieprzekonany.

Jakoś trudno mi było uwierzyć w wizję szefa gazetki, nieopartą żadnym konkretnym dowodem.

– Ale co jest dziwnego w tym podważeniu zamka? – zapytałem ponownie. – Metoda stara jak świat, nic nadzwyczajnego.

– Tak się panu tylko wydaje. – Liściak puścił do mnie oko, jakby chciał powiedzieć: „Nie ze mną te numery, Brunner”. – Proszę spojrzeć tu: czy to nie zastanawiające?

Zerknąłem przez jego chude ramię na pokancerowaną deskę. Nie wydała mi się szczególnie intrygująca. Włamywacz lub, jak chciał Liściak, włamywacze musieli być raczej rzemieślnikami niż artystami w swoim fachu. Skoro działali w ciemnościach, to nic dziwnego, że postrzępili deskę, zanim dobrali się do zamka.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Dałem upust swoim wątpliwościom. – Może powie pan po prostu, do czego zmierza?

Redaktor Liściak popatrzył na mnie karcąco, jakbym zdradzał poważne deficyty rozumowania przyczynowo-skutkowego. Pod jego surowym spojrzeniem poczułem się z miejsca mały. Mały i rozczarowujący.

– Pan zauważy jedną rzecz – powiedział wolno, raz jeszcze przykładając palec do framugi drzwi. – To nie są drzwi z tektury, jakie możesz pan teraz kupić w pierwszym lepszym markecie budowlanym. To są solidne drzwi z litego drewna. A patrz pan, jaka gruba jest ta deska.

– No dobrze, rzeczywiście jest gruba. – Zgodziłem się, bo mówił teraz do rzeczy. – Ciągle jednak nie widzę morału.

– Skoro ta deska jest taka fest, to włamywacze też musieli się posłużyć jakimś lepszym żelastwem. Na mój gust użyli harcerskiej finki. Albo nie, czegoś znacznie dłuższego. Myślę, że mógł to być wojskowy bagnet...

Zapadła kłopotliwa cisza. Wydawało mi się, że Liściak zanadto popuścił wodze fantazji. Bagnet w dłoni włamywacza? By sforsować zwykłe drzwi?

– Powiedział im pan to? – zapytałem, by zatrzeć złe wrażenie, wywołane chwilą milczenia. – Powiedział pan to policji?

– Tak.

– I co oni na to?

Liściak zatoczył dłonią łuk wokół czoła, co miało zapewne oznaczać, że funkcjonariusze potraktowali go jak durnia. Szczerze mówiąc, mnie również naszły

podobne podejrzenia. Dobrze, że szef „Wieści” nie potrafił czytać w cudzych myślach.

– To po co mi pan to mówi? – Zadałem jeszcze jedno pytanie.

Liściak spojrział mi w oczy tym razem inaczej, rzekłbym: sympatycznie:

– Bo mam do pana zaufanie – odpowiedział.

•••

Nie trzeba było mieć dyplomu śledczego, by się zorientować, że ktoś przetrząsnął biurko po Kucharskim. Stary mebel, który nie tak dawno oglądałem, wyglądał żałośnie z wyrwaną szufladą i z rozchyłonymi na boki drzwiami. Wokół niego nie widać było jednak żadnych rozrzuconych kartek czy dokumentów. Przypomniałem sobie, że podczas mojej poprzedniej wizyty w redakcji Liściak wspominał o notatkach Kucharskiego, zabranych przez policję zaraz po zabójstwie dziennikarza.

– Szukali tych notatek – odezwał się Liściak (a jednak czytał w moich myślach!). – Chociaż w tym policja miała nosa! I uprzedziła drani.

Poczułem chłodny dreszcz na plecach. Po raz pierwszy zrozumiałem, że kryje się przed nami tajemnica, której nie tylko nie rozumiemy, ale nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Wszystko wskazywało na to, że ktoś nie zamierzał poprzestać na usunięciu Kucharskiego z tego świata. Najwyraźniej istniało nadal coś, na czym zależało przestępcy. Lub przestępcom – jeśli ufać intuicji szefa „Wieści Cybińskich”. Przestępcom z bagnetem.

– Czy dobrze pamiętam? Policja skopiowała wszystkie teksty pana kolegi z twardego dysku? – Ocknąłem się z nieprzyjemnej refleksji.

– Tak.

Zerknąłem w stronę starego komputera, stojącego dumnie na biurku Kucharskiego.

– A... Czy ten komputer można uruchomić?

– Chyba tak – mruknął Liściak. – W każdym razie policja nie mówiła, żeby go nie ruszać. Skoro zrobili kopie... Chce pan zobaczyć, o czym pisał Janek?

Skinąłem głową. W Liściaka jakby nowy duch wstąpił. Podniósł palec na znak, że wpadł na jakiś pomysł, i pobiegł do sąsiedniego pomieszczenia. Kilkanaście sekund później wkroczył do newsroomu, prezentując na dłoniach śmieszne, gumowe rękawiczki w kolorze kaczeńców.

– Skoro już się włamujemy, to na całego. – Mrugnął do mnie i zaczął operować przy klawiaturze.

Chwilę później archaiczny, biało-czarny ekran z długim plastikowym korpusem rozblysnął monochromatycznym blaskiem. Minęła dłuższa chwila, zanim redaktor naczelny przebił się przez nieznanne mi zabezpieczenia i wszedł na dysk z tekstami Jana Kucharskiego. Było ich kilkadziesiąt, być może około stu.

Najświeższy nosił datę dziesiątego marca. Kucharski zakończył nad nim pracę o godzinie szesnastej trzydzieści osiem. Dwa dni później już nie żył. Liściak dopuścił mnie do klawiatury, więc kliknąłem w pierwszej kolejności na ostatni tekst. Nie miał tytułu – widocznie Kucharski nie wpadł na żaden koncept. Już kilka pierwszych zdań wyjaśniało, czemu miał być poświęcony.

*Park XX-lecia PRL straszy. Nie tylko nazwą, nijak nieprzystającą do wolnej Polski. Przede wszystkim straszy zaniedbanymi alejkami, rdzewiejącymi resztkami ławek i tonami śmieci. Wystarczy przebiegnąć w tygodniu w poprzek parku, by się przekonać, że o zielone płuca naszej dzielnicy nikt nie dba. Najwyraźniej diabeł tu mówi DOBRANOC...*

Nagle uświadomiłem sobie, że czytałem już ten tekst. W gazetce, którą włożyłem do koszyka w markecie. Naczelnny „Wieści”, widząc moje zaskoczenie, uśmiechnął się smutno.

– Tak, tak. – Skinął głową. – Ten tekst ukazał się w poniedziałkowym wydaniu „Wieści”, gdy Janek już nie żył...

Przebiegłem szybko wzrokiem kolejne linijki artykułu, przypominając sobie jego główne wątki. Nie znalazłem w nim jednak nic ważnego, co pozostawałoby w związku z dalszym biegiem wypadków. Kucharski żalił się na opłakany stan pobliskiego parku i pomstował na osiedlowych radnych, nieczułych na rekreacyjne potrzeby mieszkańców.

– Właśnie takie teksty pisał u nas Janek – westchnął Liściak, gdy jednym kliknięciem wyszedłem z pliku poświęconego zapuszczonemu parkowi. – Niech pan sobie poczyta pozostałe, a ja nastawię wodę. Napije się pan kawy?

– Chętnie. – Przysunąłem się bliżej ekranu.

Kilkanaście minut lektury wystarczyło, by nabrać przekonania, że Kucharski był wojującym ekologiem. Niemal wszystkie jego teksty dotyczyły przyrody. Okolice, w której mieszkał: dwa stawy i piękny kwartał lasu, uzasadniała jego postawę. W sposobie jego argumentacji znać było żarliwego obrońcę praw natury. W tekście z początku lutego martwił się brudną ciecżą, którą ktoś spuścił do Stawu Browarnego. W grudniu ubiegłego roku piętnował przypadki dzikiego wywożenia worków ze śmieciami w lasy pod Swarzędzem. „Zwierzęta mogłyby nam, ludziom, powiedzieć: Nie zaśmiecajcie lasu! I miałyby rację. Może szkoda, że nie potrafią mówić. Zawstydzilyby niejednego tzw. porządnego poznaniaka” – puentował.

W połowie poprzedniego roku Kucharski napisał pięcioczęściowy cykl artykułów poświęconych bezmyślnej wycince drzew wzdłuż doliny Cybiny. „Stare, chore drzewa należy usuwać” – tłumaczył. – „Kto jednak dał leśnictwu prawo do rzezi drzew młodych i zdrowych? To, że zasłaniają komuś widok na staw, to trochę za mało. Lepiej najpierw puknąć się w głowę, a dopiero potem działać. Niestety, u nas zwykle bywa odwrotnie. Pukamy się w głowę po szkodzie...”

– I co? – Redaktor Liściak postawił obok mojej dłoni filiżankę z kawą pełną

fusów. – Znalazł pan jakiś sensowny trop?

Uśmiechnąłem się do niego blado.

– Niespecjalnie – powiedziałem. – Na razie głównym podejrzanym musiałby być tutejszy leśniczy. Zdaje się, że był ulubionym bohaterem pana kolegi. A właściwie antybohaterem...

– O tak, Janek za nim nie przepadał. – Naczelnny „Wieści” przysiadł obok mnie. – Wypowiadał się o nim mało pochlebnie. Ale nie wydaje mi się, by swoimi tekstami zaszkodził mu na tyle, by zrobić sobie z niego wroga. Z całym szacunkiem, to są jednak drobne sprawy...

Przez kolejne dwie godziny prześledziliśmy – chaotycznie dokonany – wybór kilkudziesięciu tekstów Kucharskiego. Tematy powtarzały się aż do znudzenia: zaniedbana zieleń na osiedlu, rozjechane chodniki, dzikie wysypisko śmieci niedaleko fabryki Volkswagena. Typowa codzienna orka lokalnego dziennikarza, który serio traktuje swoje obowiązki.

– Chce pan jeszcze przejrzeć nasze zszywki? – Liściak wskazał pełne segregatorów półki w rogu pokoju.

Nie musiałem odpowiadać. Z wyrazu mojej twarzy wyczytał, że mam dość.

## 9.

W co wdepnął mój braciszek?

Gdzieś w połowie kwietnia samoloty z Polski znowu zaczęły lądować na brukselskim lotnisku Zaventem. Dowiedziałem się o tym z „Faktów” TVN-u, które obwieściły, że port lotniczy w Brukseli usunął ostatnie skutki zamachów bombowych i wznowił obsługę pasażerów. Wiadomość tę ilustrowały obrazki pierwszych klientów linii lotniczych z powagą wkraczających na teren terminalu. I komentarz o zwycięstwie europejskiego ducha nad morderczym terroryzmem.

Czekając miesiąc na tę wiadomość, zdążyłem się już oswoić z myślą o podróży do Belgii. Nie próżnowałem. W Internecie znalazłem sympatyczny dwugwiazdkowy hotelik w centrum Brukseli, zupełnie na moją kieszeń. Jak się zorientowałem, nocleg za siedemdziesiąt euro to w tej części świata całkiem przyzwoita oferta dla średnio uposażonego nauczyciela z Europy Środkowej. Teraz wypadało tylko raz jeszcze przypomnieć się Leonowi Kucharskiemu i ustalić z nim termin wizyty. O ile oczywiście jego zaproszenie było aktualne.

Któregoś wieczora napisałem kolejnego maila do Brukseli. Starłem się wyrzucić na bracie Jana Kucharskiego dobre wrażenie. Nadmieniałem, że sprawa śmierci jego bliskiego nie daje mi spokoju. Przypomniałem, że widziałem go jako jeden z ostatnich. I poprosiłem o wyznaczenie daty spotkania. Odpowiedź przyszła znowu w środku nocy. Otwierałem tego maila z duszą na ramieniu.

*Szanowny Panie,*

*myślałem ostatnio sporo o Pana propozycji. Sądziłem, że się Pan wycofał, ale skoro nadal Panu zależy na spotkaniu, to zgoda. Spotkajmy się w poniedziałek 25 kwietnia o 20.00 w pobliżu Grand Place. Naprzeciwko pomnika burmistrza Charles'a Balsa znajdzie Pan niedużą knajpkę z dobrą tartą. Nazywa się Agora. Myślę, że rozpozna mnie pan łatwo: jestem wysoki, chudy i całkowicie łysy.*

*Do widzenia*

*Leon Kucharski*

Pierwsze, co odczułem, to ogromna ulga. Nie byłem pewien, jak potraktuje mnie brat zamordowanego. Przecież mnie nie znał! Mógł uznać moje natarczywe próby o spotkanie za coś podejrzanego albo zgoła nieprzyjaznego. Tymczasem okazał się człowiekiem uprzejmym i wyrozumiałym. Może nawet zaintrygowanym moją prośbą?

Zerknąłem na mapę Brukseli, którą kupiłem w Empiku. Grand Place znalazłem od razu. A potem pomnik burmistrza Balsa, zaznaczony jako atrakcja turystyczna między placem Espagne a Starym Rynkiem. Najbardziej ucieszył mnie jednak nieduży nadruk „de l'Agora”. Okazało się, że mamy się spotkać niedaleko

miejsca, w którym zaplanowałem nocleg.

Poczułem nagły przyływ energii. Odpisałem krótko, że potwierdzam termin spotkania, i zabrałem się za rezerwację. Najpierw wykupiłem bilety na loty do Warszawy i Brukseli, a potem zaklepałem hotel niedaleko brukselskiej katedry. Do niej też muszę zajrzeć, postanowiłem, kładąc się do łóżka. Choć od podróży dzielił mnie jeszcze tydzień z hakiem, z emocji długo nie mogłem zasnąć.

•••

Startembraera z Okęcia był opóźniony o prawie dwie godziny. Powód był prozaiczny: maszyna spóźniła się mniej więcej tyle czasu z Brukseli. Zanim wpuszczono pasażerów na pokład, zrobiła się dziesiąta. Nie narzekałem jednak. Aż tak bardzo mi się nie spieszyło, spotkanie z Leonem Kucharskim miałem odbyć dopiero wieczorem. Dzięki tej zwłoce mogłem się zdrzemnąć na ławce w strefie odpraw – po porannej pobudce o piątej byłem jeszcze lekko nieprzytomny. Targany podmuchami wiatru lot śmigłowego bombardiera z Poznania do Warszawy nie sprzyjał relaksowi.

Wchodząc do maszyny na Okęciu, zauważyłem znanego z telewizji europośła partii rządzącej. Siedział w pierwszym rzędzie, zatopiony w lekturze „Do Rzeczy”. Pewnie leciał na kolejne posiedzenie europarlamentu. I w tym momencie zrozumiałem, że moje prywatne śledztwo nabrało właśnie wymiaru międzynarodowego.

Nie powiem, poczułem się na swój sposób ważnym człowiekiem. Gdzieś w głębi duszy odczuwałem jednak ciągły niepokój. Czy nie posuwam się za daleko? Czy nie ładuję się przypadkiem w nie swoje sprawy? Intuicja podpowiadała mi, że moje zaangażowanie w tę historię dawno już wykroczyło poza ramy zdrowego rozsądku. Może jednak powinienem spasować? W końcu, od takich spraw jest policja...

Argument z policją był jednak bronią obosieczną. Wspomnienie wizyty na komisariacie i wątpęgo zainteresowania ze strony stróżów prawa tylko utwierdzało mnie w przekonaniu, że powinienem zrobić coś więcej. Może to dziwne, ale na swój sposób czułem się to winny Janowi Kucharskiemu – człowiekowi, który w moim życiu wypełnił może minutę. Za to jak ważną! Nie, zdecydowanie nie mogłem się teraz wycofać. Zresztą, nie po to wydałem sporą część moich oszczędności, żeby przelecieć się w dwa dni do Brukseli i z powrotem. A dyrektora szkoły wcale nie było łatwo przekonać do nagłego urlopu. Skoro zainwestowałem w sprawę nie tylko swój wolny czas, ale również pieniądze, musiałem się dowiedzieć chociaż tyle, ile się da. Tak, takie podejście wydawało mi się zupełnie przyzwoite.

Uspokojony zimną logiką własnych myśli przyglądałem się przez okno puchowej kołdrze chmur pod skrzydłem samolotu. Słońce zza pleców sprzyjało



obserwacji i upewniało, że embraer zmierza szybko na zachód. Kapitan samolotu zapowiedział, że w związku z opóźnieniem polecimy z maksymalną szybkością. I że wylądujemy za półtorej godziny. Sięgnąłem po kieszonkowy przewodnik po Brukseli, ale monotony szum silników embraera nie pozwolił mi na dłuższą lekturę. Moje powieki znowu stały się ciężkie, jak z ołowiu... Ocknąłem się dopiero, gdy stewardessa lekko dotknęła mojego ramienia i zapytała, czy życzę sobie coś do picia. Pół godziny później samolot zaczął schodzić do lądowania. Przez rozrzedzające się chmury zobaczyłem regularną szachownicę belgijskich pól.

•••

Z lotniska Zaventem do centrum miasta dotarłem miejskim autobusem. To było nawet ciekawe przeżycie, bo jednym z pierwszych przystanków, na których zatrzymał się dwuczłonowy mercedes, była siedziba NATO. Wśród flag sojuszników łatwo dostrzegłem też naszą, biało-czerwoną. Ponieważ pamiętał jeszcze czasy komuny i Układu Warszawskiego, widok ten bardzo mnie poruszył. Był najlepszym dowodem, jak długą i trudną drogę przebyliśmy jako kraj od 1989 roku.

Przy potężnym biurowcu Komisji Europejskiej na placu Schumana przesiadłem się do metra. Przejeżdżając przez stację Maelbeek, zauważyłem kwiaty i wieńce leżące na peronie. To tutaj wybuchła w marcu jedna z bomb. Przez moment poczułem się nieswojo. Spokojne spojrzenia stłoczonych w wagonie ludzi różnych kultur i kolorów skóry wyzwoliły mnie jednak z obaw. Zrozumiałem, że przeżyli oni znacznie większy strach i potrafili sobie z nim poradzić. Przesiadając się na dwupoziomowej stacji Arts-Loi, zawstydziłem się własnej chwili słabości.

Hotelik niedaleko Place des Barricades okazał się dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałem na podstawie strony internetowej. Usytuowany w wąskiej pięciokondygnacyjnej kamienicy był odgradzony ścianą starej zabudowy od ruchliwego Boulevard Bischoffsheim, przy którym wystrzeliły w niebo szklane wieżowce. Na dole przyciągała uwagę wysoka sala bufetowa z pięknym, pamiętającym jeszcze czasy renesansu, drewnianym sklepieniem. Dostałem pokój na czwartym piętrze. Dwa okna, podwójne wygodne łóżko, szafa na bagaże, małe biurko. Plus telewizor i niewielka łazienka z ubikacją. Aż nadto dla gościa, który przyjechał tu na niecałą dobę.

Była trzynasta, w brzuchu zaczęło mi burczeć z głodu. Do spotkania z bratem Kucharskiego pozostało mi jeszcze siedem godzin. Akurat tyle, by rozejrzeć się po słynnej brukselskiej starówce. I zjeść obiad. Wszędzie było stąd blisko, więc porzuciłem myśl o metrze i powędrowałem z mapą w dłoni.

•••

Następne godziny upłynęły jak z bicza strzelił. Zobaczyłem wszystko, co

przy okazji zamierzałem zwiedzić. Pofatygowałem się nawet do fontanny ze słynnym siusiającym chłopaczkiem. Nawet, bo Manneken pis nie znalazł się na liście moich priorytetów. Pewnie to skrzywienie zawodowe, ale najbardziej spodobały mi się monumentalna katedra Świętego Michała i Świętej Guduli – perełka gotyku brabantkiego, rozświetlona niesamowitymi witrażami – i jeszcze większa narodowa bazylika Najświętszego Serca Jezusa, w której spoczywają belgijscy władcy. Do tej ostatniej musiałem podjechać tramwajem.

Wieczorem byłem skonany. Idąc na spotkanie z Kucharskim, ledwo powłóczyłem nogami. Głód znowu skręcał mi trzewia, więc obietnica smacznej tarty zawarta w mailu od Kucharskiego była ostatnią siłą, która pchała mnie do przodu. Im bliżej było dwudziestej, tym bardziej narastał we mnie niepokój. Beztroskie szwendanie się po nieformalnej europejskiej stolicy ustąpiło miejsca nerwom. Czy nie za bardzo wyluzowałem się podczas minionych godzin? W końcu przyleciałem tutaj w innej, bardzo poważnej sprawie...

Z niejasnym przeczuciem, a może wyrzutem sumienia, wszedłem na pełen ludzi plac d'Espagne. Miejscowi i turyści siedzieli w ogródkach przed knajpami, siorbiąc pianę z kufli albo posilając się szybkimi daniami. Wokół było gwarno i przytulnie, choć przecież jeszcze niedawno miasto to zostało sterroryzowane wybuchami w metrze i na lotnisku. Widocznie brukselczycy postanowili nie dać się stłamsić.

Im bliżej byłem odlanej z brązu postaci burmistrza Balsa – brodacza siedzącego z wiernym psem myśliwskim przy nodze – tym tłoczniej robiło się wokół mnie. Raz czy drugi usłyszałem nawet krótkie kwestie po polsku.

Zajrzałem tu po południu, w drodze na Grand Place. Znałem już tę sekwencję uliczek. Zamiast więc skręcić w prawo, ku rynkowi, obszedłem z lewej skwer z posągami burmistrza i stanąłem przed niepozornym wejściem do Agory – lokalu, w którym umówiłem się z Leonem Kucharskim.

Słońce zaszło już dawno za dachy kamienic. Świat zaczął wędrować ku ciemnościom, na uliczkach rozbłysły pierwsze latarnie. Zerknąłem raz jeszcze na zegarek. Za dwie ósma. Czas poznać brata brodacza, którego zobaczyłem pierwszy raz tuż przed jego śmiercią.

•••

Rozpoznałem go łatwo. Siedział w głębi podłużnego pomieszczenia, zapewne celowo, by od razu mnie zobaczyć. Rzeczywiście był szczupły, sprawiał wręcz wrażenie chorobliwie wychudzonego. Wygolona blada czaszka i podniesiony kołnierz płaszcza przydawały mu jakiejś wampiryczności. Przez głowę przemknęła mi myśl, że bez zbędnej charakteryzacji mógłby stanąć od razu na planie *Nosferatu*.

Nie przypominał swojego zamordowanego brata. Był też chyba od niego

sporo młodszy. Popijał cappuccino z wysokiej filiżanki i omiatał przeszklone wnętrze knajpki uważnym spojrzeniem. Dostrzegł mnie i natychmiast bezbłędnie rozpoznał – podniósł w górę dłoń i zaprosił do swojego stolika. Odetchnąłem z ulgą, szczęśliwy, że nie zdecydował się nasłać na mnie belgijskiej policji.

Odwzajemniłem przyjazny gest ręką i ruszyłem ku Leonowi Kucharskiemu. Wstał, by się przywitać, i dopiero wtedy skonstatowałem, że przy jego wzroście jestem zwykłym kurduplem. Facet miał coś pod dwa metry, może grywał niegdyś w koszykówkę? Z moim piwnym brzuchem prezentowałem się przy nim jak gipsowy krasnal z ogródka. Całe szczęście, że nie zapuściłem brody...

– Pan Popiołek? Ależ pan punktualny. – Pochwalił mnie unijny urzędnik, spoglądając na swój zapewne całkiem drogi zegarek.

– Jestem z Poznania. – Zażartowałem, wywołując zdawkowy uśmiech na szarej twarzy Kucharskiego. Widać było na niej zmęczenie. A może także długotrwały stres.

– Mój brat też zwracał na to uwagę – powiedział i wskazał mi miejsce na krześle obok. – Pewnie jest pan głodny. Może spróbuje pan tutejszej tarty z truflami? Zapewniam, że warto.

– Tylko pod warunkiem, że będzie pan moim gościem.

– Wykluczone. – Starał się uciąć dyskusję. – To ja zapraszam.

Po krótkiej, choć grzecznej słownej przepychance przystałem na jego zaproszenie. Nie chciałem wywoływać zbędnego zamieszania. Odnosiłem wrażenie, że z każdą sekundą jest coraz bardziej nerwowy. Postanowiłem nie przeciągać struny.

Nie był to lokal najwyższej kategorii. Kucharski podszedł do lady i zamówił dla nas kolację. Gdy wrócił, usiadł i spojrzał mi głęboko w oczy. Nie wiem, co w nich zobaczył, ale poczułem się mocno nieswojo. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu chwycił mnie za nadgarstek prawej dłoni. Jego ręka była zimna, jak dłoń trupa.

– Byłem strasznie ciekaw, jak pan wygląda. I po co właściwie chciał pan tu przylecieć – odezwał się w końcu. – Bo przecież, jak rozumiem, nie pracuje pan w policji...

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Na nic więcej chwilowo nie było mnie stać. Nie byłem pewny, co teraz nastąpi.

– No właśnie. – Kucharski łagodnie puścił moją dłoń, jakby właśnie zmierzył mi puls i uznał, że wszystko z nim w porządku. – Niech pan sobie wyobrazi, że nasza policja dotychczas się do mnie nie pofatygowwała. Sam musiałem im przypomnieć o swoim istnieniu. A pan wybrał się tutaj osobiście, choć nie znał Jana, prawda?

– Tak.

– No właśnie – powtórzył Leon Kucharski i znowu spojrzał mi głęboko w oczy. – Dlaczego? Tylko szczerze, proszę. Nie znoszę krętaczy.

Przełknąłem ślinę. Spodziewałem się, że będę musiał przełamać nieufność brata ofiary. Wiedziałem, że początek nie będzie przyjemny. Tak czy owak, musiałem zabrzmieć wiarygodnie.

– Jestem tutaj, bo tak jak pan jestem... zawiedziony. Tak, zawiedziony to dobre słowo – odpowiedziałem powoli, patrząc mu prosto w oczy. – Jestem zawiedziony działaniami policji w sprawie śmierci pana brata. A właściwie... brakiem tych działań...

– Skąd pan wie, że nic nie robią?

– Już panu pisałem. Widziałem pana brata niedaleko miejsca jego śmierci. Biegam po tej samej okolicy, po której on...

– Rozumiem.

– Zgłosiłem swoje spostrzeżenia policji, ale zostałem potraktowany... hm, mało zachęcająco. Chociaż wspomniałem im o dwóch osobnikach, których zauważyłem tamtego dnia...

– No właśnie. – Kucharski natychmiast podchwycił moje słowa. – Napisał mi pan o nich bardzo zdawkowo. Proszę mi ich opisać. Według mnie to bardzo ważna informacja.

•••

Moja opowieść, choć prosta i pozbawiona meandrów, przeciągnęła się do dobrego kwadransa. W tym czasie podano nam ciepłą, kusząco pachnącą tartę. Miałem skrupuły, by zabierać się do niej właśnie teraz, ale urzędnik zaprosił mnie do konsumpcji. W milczeniu zjedliśmy kolację, popijając dobrym winem, zamówionym przez gospodarza. Gdy Kucharski otarł usta serwetką, podsumował moją opowieść krótko:

– To bardzo dziwne.

Przyjrzałem mu się uważnie. Sprawiał wrażenie autentycznie zaskoczonego.

– Przepraszam, nie rozumiem...

– To dziwne, bo nigdy bym nie sądził, że Jan może mieć jakichś wrogów. To był taki spokojny, ugodowy człowiek! Choć, owszem, bywał też bardzo zasadniczy w sprawach, na których mu zależało. Powiedziałem to zresztą policji podczas ostatniego krótkiego pobytu w Poznaniu.

– Aha – mruknąłem.

Na razie nadrabiałem więc zaległości w stosunku do aspiranta Gruszki i jego ekipy z komisariatu.

– Wie pan, ta cała historia spowodowała, że w jednej chwili straciłem wewnętrzny spokój – ciągnął Leon Kucharski. Wyczułem, że bardzo chce się otworzyć i nie przeszkadzałem mu w tym. – Ma pan brata?

– Tak.

– To wie pan, co czuję w tej chwili. Nie, tu nie chodzi o pustkę, choć pewnie też. Przede wszystkim czuję złość. Tak, złość, że nie byłem w stanie temu zapobiec. Ba, zapobiec! Jestem wściekły, że w ogóle nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mój jedyny brat jest w niebezpieczeństwie. Jan, Janeczek! Taki spokojny, zawsze zrównoważony, nikomu niewadzący człowiek! W porównaniu ze mną uchodził za wzór rozsądku i spokoju. W dodatku opiekował się matką... Pan wie, leży od dawna na OIOM-ie. Będę musiał się nią zająć...

Na moment zamilkł, skrywając twarz w dłoniach. Chwilę później sięgnął do kieszeni spodni po chustkę. Zupełnie się rozkleił, choć wcześniej nie wyglądał na mięczaka.

– Przepraszam pana – powiedział. – To spadło na mnie tak nagle... Trudno mi się z tym pogodzić. W co on się wpakował? W co wdepnął ten mój braciszek, że ktoś potraktował go nożem, jak najgorszego menela? W co, do jasnej cholery?

Poczekaj, aż dojdzie do siebie. Było mi go żal. Musiał autentycznie kochać swojego brata. Jego rozpacz, nieskrywana przed obcym, wzruszała i ścisnęła za gardło.

– Szczerze mówiąc, jadąc tutaj miałem nadzieję, że dowiem się tego od pana – odezwałem się w końcu.

Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem.

– Dlaczego zginął, tak?

– Tak.

– Nie mam zielonego pojęcia.

•••

Z opowieści Leona Kucharskiego wywnioskowałem, że starszy od niego o sześć lat Jan był zdolnym człowiekiem. Za Gierka obaj bracia ukończyli Marcinka, prestiżowe poznańskie liceum. Jan zaczął na studia na politechnice, ale w trakcie praktyk w Cegielskim tak wciągnął się w 1981 roku w Solidarność, że nie pozwolili mu ukończyć uczelni. Gdy Jaruzelski wprowadził stan wojenny, Jan mimo młodego wieku został internowany. Siedział długo, do czerwca 1983 roku, podobno z powodu swojego wyjątkowo niepokornego charakteru. Półtora roku w ośrodku odosobnienia przerwało mu studia, potem już do nich nie wrócił. Znalazł zatrudnienie w zakładach Cegielskiego, zrobił jakieś kursy zawodowe, został elektrykiem bez papierów inżyniera. I dziennikarzem podziemnego biuletynu, bo Solidarność działała nadal. Tyle że w głębokim ukryciu.

W tym samym czasie Leon Kucharski zrobił studia prawnicze i zaczął praktykę adwokacką. W odróżnieniu od brata stronił od zaangażowania w politykę. Gdy komuna upadła, związał się z odrodzonym samorządem. Na tyle blisko, że zaczął pracować dla władz regionu – i w ten sposób znalazł się w 2006 roku w

Brukseli.

Słuchając jego opowieści o związkach Jana z Solidarnością, w głowie zaświtała mi pewna myśl. Gdy Leon Kucharski zamilkł, zapytałem:

– Czy wtedy, w ostatnich latach komuny, pana brat mógł mieć jakichś wrogów?

– Wróg był wtedy jeden, wspólny – odpowiedział niemal odruchowo. – Komuniści. Ale nie sądzę, by tamte sprawy miały jakikolwiek związek z moim bratem. Z całym szacunkiem, Janek był działaczem co najwyżej średniego szczebla. Nie miał szansy zaleźć za skórę nikomu ważnemu.

– Ale przecież siedział bardzo długo w Gębarzewie... – Zaprotestowałem. – To znaczy, że musiał być dla władzy ważnym więźniem.

– Nie, nie. Zapewniam pana, że Janek nie naraził się w niczym komuchom. Przynajmniej nie na tyle. Bo niby czym, do licha? Kleczeniem lichej, podziemnej gazetki? Układaniem palców w literkę V podczas mszy u dominikanów?

– Chodził tam?

– A jakże. Tak samo, jak pół opozycyjnego Poznania. Dla ludzi Solidarności ten kościół było najważniejszą przystanią.

– Pan też tam chodził?

Leon Kucharski jakby zawahał się z odpowiedzią.

– Nie – wyznał w końcu lekko zawstydzony. – Ja... nie odczuwałem takiej potrzeby. Wie pan, jakby to powiedzieć... Byłem może i wierzący, ale już niepraktykujący. Tak, to chyba najlepsze określenie.

Skinąłem głową na znak, że rozumiem, o co mu chodzi.

– A potem? Czy pana brat komuś nie podpadł? – zapytałem w ciemno.

– Potem, już po upadku komuny, Cegielski zaczął słabnąć, zwalniać ludzi. Po rządach AWS-u zupełnie się posypał. Jan szukał innej pracy. Po śmierci naszego ojca przeniósł się do domu rodziców na Zielńcu, zaopiekował się mamą. To wtedy chyba związał się z tą lokalną gazetką. Ale wiem, że w życiu mu się nie przelewało. Z trudem wiązał koniec z końcem. Kilka razy podratowałem go finansowo. Krępował się tym, korzystał z mojej pomocy niechętnie. Zawsze powtarzał, że odda. Wiem, że pisał o duperelach... Przepraszam za to sformułowanie, może nie powinienem... Pan rozumie, chodzi mi o sprawy lokalne. Tu trawnik, tam kosz na śmieci. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Nie miał z nikim problemów natury prawnej? Nikt go o nic nie oskarżył? Albo mu nie groził?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A domyśla się pan, że na pewno bym o tym wiedział. W końcu poczuwałbym się w obowiązku, by mu pomóc.

– No tak. – Przyznałem mu rację.

Czyli ciągle nic nie wiem, podsumowałem w myślach.

– A czy wy, jako rodzina, nie mieliście... – Zacząłem znowu, ale widząc

jego niechętne spojrzenie, przerwałem.

– Chodzi panu o moją działalność prawniczą? – zapytał szybko.

– No... Nie tylko... – Zaplątałem się pod wrażeniem jego nagłej stanowczości.

– Nie, proszę pana – odpowiedział niespodziewanie chłodno i oficjalnie. – My jako rodzina nie mieliśmy wrogów. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Reszta wieczoru upłynęła już mniej sympatycznie. Rozmowa przestała się kleić, stała się rwana i irytująco ogólnikowa. Leon Kucharski, nie wiedząc czemu, usztywnił się i zamknął w sobie. Zrozumiałem, że prawdopodobnie nadużyłem jego otwartości. Gdy pożegnaliśmy się około dwudziestej drugiej, brukselski urzędnik podał mi dłoń i mimo wszystko się uśmiechnął. Wyszło sztucznie i kwaśno.

– Przepraszam. Zdaje się, że niewiele panu pomogłem. – Podsumował nasze spotkanie.

Z grzeczności nie przytaknałem, ale wychodząc z lokalu, miałem właśnie takie wrażenie.

A jednak myliłem się. I to bardzo. W opowieści Leona Kucharskiego znalazło się ziarenko prawdy. Przekonałem się o tym dużo później.

## 10.

Pan pojedzie z nami!

Czekali na mnie w cywilnym samochodzie. Gdyby opel był wymalowany na niebiesko, na pewno zwróciłbym na nich uwagę, auto stało bowiem niemal na wprost mojej furtki. Wraciałem jednak zamyślony ze szkoły i nie zauważyłem, że z samochodu wysiada dwóch rosyłych mężczyzn. Kiedy trzasnęli drzwiami, było już za późno na jakąkolwiek reakcję.

– Pan Popiołek? – Usłyszałem.

To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Tak.

– Policja. – Stojący bliżej mnie szatyn w skórzanej kurtce machnął mi przed oczyma jakimś dokumentem. – Pojedzie pan z nami na komendę.

Towarzyszający mu blondyn w dżinsach zaszedł mnie profilaktycznie od tyłu i delikatnie popchnął w stronę opła.

– Ale po co? Dlaczego? – Szarpnąłem się zaskoczony, co spowodowało, że poczułem mocny uścisk na prawym ramieniu.

– Proszę nie robić scen, sąsiedzi patrzą. – Zaproponował grzecznym, ale stanowczym tonem szatyn. – Na komisariacie wszystko sobie wyjaśnimy.

Przy płocie za plecami policjantów zauważyłem Wróbla. Sąsiad wyglądał na przejętego.

– Dobrze. – Zgodziłem się i ruszyłem z torbą w stronę samochodu.

Poproszono mnie, bym usiadł z tyłu, razem z milczącym blondynem. Zamknęli za mną drzwi i opel ruszył z piskiem opon. Siedziałem jak na szpilkach. Czułem wzbierający niepokój. Gdzie popełniłem błąd? O co im chodzi?

•••

Aspirant Borys Gruszka trzymał się tym razem z tyłu. Na pierwszy plan wysunął się wysoki oficer z wczorajszym zarostem. Wyglądał mniej więcej na mojego rówieśnika. Z góry było wiadomo, że ma wyższy stopień, bo aspirant ewidentnie czuł przed nim respekt.

– Nadkomisarz Kozłowski. – Przedstawił się oschłym tonem. – Jest pan zatrzymany.

Tyle wiedziałem nawet bez jego wstępu. Ale zrobiłem zaskoczoną minę.

– Zdążyłem zauważyć – powiedziałem, siląc się na spokój. – Czy mogę wiedzieć, dlaczego?

– Oczywiście. – Nadkomisarz spojrzał na mnie z wyższością. – Chcielibyśmy wyjaśnić kilka faktów związanych z pana działaniami.



– Moimi działaniami? – Teraz naprawdę się zdziwiłem. – W szkole czy w kółku szachowym, do którego należę?

Kozłowski zignorował mój sarkazm i pochylił się nad biurkiem, przy którym mnie posadzono.

– Wiemy o panu wszystko – powiedział, cedząc z satysfakcją słowa, jakby mówił o jakichś strasznych zbrodniach.

Poczułem ciarki na plecach. O co mu, do cholery, chodzi?!

– Nie rozumiem. – To było wszystko, co potrafiłem w tym momencie wydukać.

Oficer uśmiechnął się kwaśno, jakby usłyszał kiepskie alibi. Albo jakbym opowiedział jakiś „suchar”. Sięgnął dłonią po stojący na biurku laptop i obrócił go ekranem w moją stronę.

– Niech pan sobie popatrzy – przemówił lodowatym tonem.

Spojrzałem na ekran i zdębiałem.

Zobaczyłem dobrze mi znany fragment lasu, po którym biegam. Kawałek szutrowej dróżki. Walające się po niej strzępy policyjnej taśmy. A przede wszystkim złamaną sosnę. I jakąś ludzką sylwetkę schylającą się nad drzewem. Moją własną sylwetkę, oczywiście w sportowych ciuchach z Decathlonu.

– Był tam pan. – Nadkomisarz wycelował we mnie palec wskazujący prawej dłoni i w jednej chwili poczułem się malutki jak robak, który za chwilę zostanie rozdeptany przez but żołdaka. – Czternastego marca o trzynastej piętnaście. Dokładnie przez pięć minut i siedem sekund. Co pan tam robił?

W tym samym momencie przyszedł mi do głowy wyświechtany kryminalny motyw, że przestępca wraca na miejsce zbrodni. Zrozumiałem, do czego zmierzają policjanci. Musieli zamontować gdzieś na drzewie mikrokamerę i w ten sposób obserwować miejsce zbrodni. A nawet nagrywać wszystko to, co działo się tam po odejściu ekipy śledczej. I teraz mieli mnie na widelcu – i mogli żywcem zjeść. Postanowiłem stanąć im kością w gardle. Gdy ochłonałem po pierwszym szoku, odpowiedziałem:

– Na pewno nie robiłem tam tego, o czym panowie myślicie.

Moja odpowiedź nie spodobała się nadkomisarzowi Kozłowskiemu.

– Proszę odpowiadać na pytania! – Niemal krzyknął. – W każdej chwili mogę postawić panu zarzut utrudniania śledztwa poprzez niszczenie dowodów na miejscu przestępstwa. Wie pan, co za to grozi?

Z wrażenia zapomniałem języka w gębie.

– No więc? Co pan tam robił, panie Popiołek?

Wpatrywały się we mnie natarczywie dwie pary policyjnych oczu, a zapewne kilka dalszych za weneckim lustrem, którym – jak przypuszczałem – była ściana na wprost mnie. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Chciałem... zobaczyć to miejsce. – Wydusiłem z siebie nie bez problemu.

Niezamierzona pauza w środku zdania zrobiła na pewno złe wrażenie.

– Zobaczyć? A po co? – Kozłowski wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– Widziałem je wcześniej w telewizji – dorzuciłem pośpiesznie. – Byłem ciekaw, gdzie to się stało. Gdzie zamordowano tego człowieka. To chyba nie jest jeszcze przestępstwo?

Nadkomisarz nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Pan pozwoli, że to ja będę zadawał pytania. – Osadził mnie natychmiast. – Więc chce nam pan powiedzieć, że wpadł tam tu-ry-sty-cznie?

Traktował mnie jak gówniarza i zaczynało mnie to denerwować. Zdawałem sobie jednak sprawę, że muszę panować nad nerwami. Zwłaszcza w tym momencie. Sytuacja wydawała się nadspodziewanie poważna, a ja nie miałem najmniejszej ochoty spędzić kolejnych czterdziestu ośmiu godzin w wątpliwym luksusie jednej z cel tego komisariatu. I to nie tylko dlatego, że w drugiej ce miałem następnego dnia przeprowadzić z dawną zapowiadany ważny sprawdzian z Polski Jagiellonów.

– Przybiegłem tam z czystej ciekawości, panie nadkomisarzu – powiedziałem uprzejmym tonem. – To wszystko przez dziennikarzy telewizyjnych, którzy dzień wcześniej pokazali to miejsce.

Była to szczerza prawda i miałem nadzieję, że brzmię wiarygodnie. Ale nadzieja to jeszcze nie pewność.

– No dobrze. – Kozłowski podniósł się znad biurka i zrobił dwa kroki w bok, by przyjrzeć się mojemu profilowi. – Co pan tam zatem robił?

Wysiliłem pamięć, wpatrując się jednocześnie we własne ruchy na ekranie. Schylałem się właśnie nad trawą pod jednym z krzewów, jakbym chciał coś podnieść. Cholera, czy ja tam coś znalazłem? – Zastanawiałem się gorączkowo, usiłując w nerwach odtworzyć w pamięci ten szczegół. Z zapisu monitoringu wynikało, że nie.

– Rozglądałem się, panie nadkomisarzu. Pan rozumie, nigdy wcześniej nie zetknąłem się z taką sytuacją.

– Rozglądał się pan?

– Tak.

– A w poszukiwaniu czego?

Chrząknąłem nieco zażenowany.

– Jakichś... dowodów...

– Dowodów?! – Kozłowski ruszył w moją stronę. Wyglądał, jakby chciał mi przyłożyć z pięści. – Dowodów?! Takie sprawy należą do policji, proszę pana! Byliśmy w tym miejscu przed panem, rozumie pan?! Pan nie ma prawa tam węszyć!

Pokiwałem pokornie głową na znak, że jestem durniem. Postanowiłem za wszelką cenę szybko się z tego wyplątać.

- Ma pan rację... – Zdobyłem się nawet na poparcie słów nadkomisarza.
- I co pan tam znalazł?
- Nic, panie nadkomisarzu.
- Zupełnie nic?
- Zupełnie.
- A może jednak szukał pan tam czegoś konkretnego? Bardzo konkretnego?
- Głos nadkomisarza znowu stał się nieprzyjemny.
- Ale czego? – Wyrwało mi się naiwnie.
- No, to już pan mi musi powiedzieć. To w końcu pan widział podobno ostatni denata Jana K...

Zrozumiałem, jakie mi szyją buty! Nie wpadłem jednak drugi raz w panikę. Raczej wzburzyłem się jasno sformułowanym oskarżeniem pod moim adresem.

– Wypraszam sobie, panie Kozłowski! – Nie wytrzymałem. – Nie robi pan ze mnie mordercy! Mój związek z tą sprawą jest zupełnie przypadkowy! Zgłosiłem przecież wszystko obecnemu tu aspirantowi...

– No właśnie! Zgłosił pan! – Nadkomisarz przyjął moje oświadczenie tak, jakbym właśnie przyznał się do zamordowania Kucharskiego. – A potem poszedł pan jak gdyby nigdy nic na pogrzeb denata, choć niby nie utrzymywał pan z nim żadnych kontaktów!

Zrobiło mi się słabo. Wszystko wskazywało na to, że od dobrego tygodnia byłem śledzony przez policję. A może zauważył mnie ten „tajniak” na pogrzebie? Tak, to musiał być policyjny szpicel. Skąd inaczej Kozłowski wiedziałby o moim udziale w pochówku?

– Panie nadkomisarzu... – jęknąłem. – Ja wiem... To może wygląda podejrzanie... Ale tylko tak wygląda... Ja... Ja tylko chciałem się czegoś dowiedzieć. To nie jest przecież żadna zbrodnia...

Użyłem wyjątkowo głupio dobranego słowa, ale zorientowałem się zbyt późno.

– A potem poszedł pan do redakcji, w której pracował zamordowany. Wypytywał o niego. Kilka dni później ktoś włamał się do „Wieści Cybińskich”. Przypadek?! Musi pan przyznać, że to wszystko wygląda bardzo podejrzanie... – Oficer ciągnął triumfalnie.

– Zabawa, panie nadkomisarzu... Zabawiłem się w detektywa.

– I także dla zabawy poleciał pan do Brukseli?

Cholera jasna, wiedzieli o mnie wszystko! Dosłownie wszystko! Musieli mnie śledzić, obserwować, jednym słowem – mieć na smyczy. I prokurowali dowody przeciwko mnie. Mieli ich już całkiem sporo, choć ciągle mogłem powiedzieć, że to tylko poszlaki...

Gorączkowo szukałem wyjścia z tej nedorzecznej sytuacji. Zrozumiałem, że to już nie przelewki i gra idzie o najwyższą stawkę. Nie tylko o dwie noce na dołku

i przełożony sprawdzian – także o moją renomę. Oczami wyobraźni widziałem już emocje w pokoju nauczycielskim w moim gimnazjum po informacji, że zostałem aresztowany pod zarzutem morderstwa. I dyrektora szkoły rozwiązującego ze mną umowę o pracę.

Było tylko jedno wyjście, choć – Bóg mi świadkiem – nie chciałem z niego skorzystać. To rozwiązanie w normalnych warunkach nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Tyle że warunki nie były normalne. Wyglądały idiotycznie.

– Chciałbym się skontaktować... z mecenasem Krzysztofem Popiołkiem – powiedziałem cicho.

– Kto to jest? – Kozłowski zrobił się czujny.

– Mój prawnik – oświadczyłem bez cienia dumy.

Nie dodałem, że przede wszystkim mój brat.

•••

Gliniarze nie musieli wiedzieć, że z młodszym ode mnie o trzy lata Krzychem nie przepadaliśmy za sobą. Nie tylko z powodu charakteru mojego brata, zadufanego w sobie prawnika po studiach i aplikacji, a obecnie podpory jednej z najważniejszych kancelarii adwokackich w mieście. Także z powodu nieskrywanej pogardy, jaką mi okazywał od czasu, gdy ukończył swoje prestiżowe studia. Dla niego ja – magister historii, w dodatku zatrudniony na niecałym etacie w gimnazjum – byłem właściwie nikim. No, może nie aż tak – na pewno jednak pożałowania godnym, życiowym nieudacznikiem. Widywaliśmy się rzadko, ostatnio rok temu na ślubie naszej kuzynki pod Łodzią. Zajechał wtedy pod lokal nowiutką hybrydową toyotą. Wyglądała przy moim dwudziestoletnim fordzie jak Salma Hayek za swoich najlepszych lat przy Wojciechu Pokorze, grającym Marysię w filmie Barei *Poszukiwany, poszukiwana*.

Ironia losu sprawiła, że musiałem skorzystać z jego pomocy. Zrobiłem to z prostego powodu – nie znałem innego prawnika. A przynajmniej nie było czasu ani okazji, by po innego sięgnąć.

Pół godziny później wszedł, a raczej wtargnął do pokoju, w którym przebywałem pod okiem policjantów, wysoki, w długim i zapewne drogim płaszczu, z fryzurą wyżelowaną na bok, na zczeskę. Na jego twarzy gościł ironiczny uśmiezek. Jakby nie dowierzał, że jego nudny i pożałowania godny braciszek mógł się władować w takie tarapaty.

– Adwokat Popiołek, kancelaria Justitia – rzucił w stronę policjantów. – O co chodzi, panowie?

Staął w rozkroku między mną a funkcjonariuszami, niechybnie zgrywając szeryfa. Skrzyżowaliśmy spojrzenia. W jego oczach dostrzegłem, że ma niezły ubaw.

– Ten pan chciałby skorzystać z pańskich usług – westchnął nadkomisarz

Kozłowski.

Podczas oczekiwania na Krzycha stracił sporo z pierwotnego temperamentu. A może po prostu nie wypił zwyczajowej o tej porze kawy.

– Czy mogę zamienić z panami kilka zdań na osobności? – zapytał mój brat.

Zgodzili się, więc za chwilę zostałem sam. Przez przeszklone drzwi widziałem, jak nadkomisarz tłumaczy coś Krzychowi, żywo gestykulując. W odpowiedzi mój brat złapał się dłonią za czoło, jakby nie dowierzając w to, co słyszy. Kilka minut później zaczął jednak gwałtownie oponować, a na koniec to on machał rękoma, jakby słuchał jakichś strasznych głupstw.

Właśnie dlatego nie mogłbym być prawnikiem, pomyślałem. Mierziła mnie myśl, że musiałbym zachowywać się w podobny sposób. Targowanie się nie leżało w moim charakterze. Na żadnym poziomie. Po prostu nie potrafiłbym. I już.

Nadkomisarz Kozłowski jakby spuścił z tonu, a stojący obok niego aspirant Gruszka sprawiał wrażenie zrezygnowanego. Teraz mówił głównie mój brat, gwiazda poznańskiej palestry. Z każdą kolejną minutą nabierałem przekonania, że sprawa nie jest przegrana. W końcu Krzychu ruszył ku drzwiom i wszedł do pokoju. Starannie zamknął za sobą drzwi.

– Zaraz cię wypuszczą, przestępczo – rzucił, siadając za stołem.

– Już?! Tak bez niczego?! – Czułem się cokolwiek oszołomiony. Czyżby mój brat był aż tak dobry w swoim fachu?

– Tak, już. – Na obliczu Krzycha zakwitł znowu złośliwy uśmieszek. – Tak naprawdę nic na ciebie nie mają.

– Jak to nie mają? A film?

– Gównu, nie film – prychnął z pogardą. – Przecież nie mordujesz na nim nikogo. A idę o zakład, że takich wścibskich koleśków jak ty jest na tym nagraniu więcej. To przecież żaden dowód.

– Widzieli mnie też na pogrzebie...

– Jak i pół setki innych ludzi. No i co z tego?

– Wiedzą nawet, dokąd ostatnio poleciałem...

– Loty za granicę nie są przecież zabronione.

Pokaz zimnej logiki w wykonaniu brata otrzeźwił mnie ostatecznie.

– Po co więc była ta cała szopka? – zapytałem z ulgą.

– Chcą cię przeczłgać. Zniechęcić do przeszkadzania im w ich robocie. Nic więcej.

– Przeszkadzania? W czym im przeszkodziłem?

– Oni to tak widzą, Boguś. Nic na to nie poradzisz. A skoro tak to widzą, to chcą cię przestraszyć. Ot, cała filozofia. Oczywiście możemy iść na zwarcie i oskarżyć ich teraz o bezpodstawne zatrzymanie. Jednak na twoim miejscu nie bawiłbym się w to. Nie warto. Szkoda zdrowia.

– To co robimy?

– Jak to co? – Krzychu spojrzał na mnie jak na kogoś ograniczonego umysłowo. – Wychodzimy!

Jakby na jego komendę do pokoju weszli Kozłowski i Gruszka. Nadkomisarz wyglądał na rozczarowanego i nie potrafił tego ukryć.

– Jest pan wolny – bąknął pod moim adresem.

Nie podziękowałem. Z trudem wstałem i ruszyłem ku wyjściu.

Nadkomisarz Kozłowski nie byłby jednak sobą, gdyby nie skorzystał z okazji do wygłoszenia ostatniego słowa.

– Mimo wszystko, panie Popiołek, proszę w najbliższych dniach nie opuszczać Poznania. – Zaproponował. – I nie szukać więcej dowodów na miejscu przestępstwa. To taka, hm, przyjacielska rada.

•••

– Co ci odpaliło, brachu?! – Na parkingu przed komendą, na którym stała imponująca hybrydowa toyota, Krzychu momentalnie zmienił ton. – Brakuje ci adrenaliny?! Znudziły ci się już wykłady o Mieszku, Dąbrówce i ich chrześcijańskim pożyciu?!

– Dobrawie. – Poprawiłem go, by nie dać zbić się z tropu i zyskać na czasie. – I wcale mi się nie znudziły. Też mógłbyś sobie poczytać... Po prostu zaciekawił mnie ten przypadek.

– Zaciekawił! Dobrze sobie! – parsknął. – Stary, nie znałem cię od tej strony. Ale nieważne! Mam gorącą prośbę, jak brat do brata: nie ładuj się więcej w takie „przypadki”, dobrze?! Bo jeszcze pomyślę, że ci na starość odpierdala! To są policyjne zabawki i ty ich w tym nie wyręczaj, okej? Bo innym razem będę zajęty i jeszcze cię zapuszczają na amen!

A przy okazji zepsują tobie nazwisko, pomyślałem nie bez dzikiej satysfakcji.

– Ile ci jestem winien? – zapytałem.

W Krzycha jakby diabeł wstąpił.

– Nie obrażaj mnie! – krzyknął. – To, że się nie lubimy, nie oznacza jeszcze, że masz mnie tak traktować!

– To dziękuję – powiedziałem i skierowałem się w stronę przystanku komunikacji miejskiej.

– Boguś, do cholery! – Zagroził mi drogę. – Pogadajmy chociaż raz jak ludzie.

– Proszę bardzo.

– Dlaczego kręci cię ta sprawa? Znałeś nieboszczyka?

– Nie.

– To czemu?

– Widziałem go przed śmiercią.

– Skąd ta pewność?  
– Po prostu go widziałem. Przy-pa-dek!  
– Powiedziałaś im to? – Brat wskazał kciukiem za siebie, na komisariat.  
– Tak – westchnąłem. – Ale potraktowali mnie jak wariata.  
– Teraz mają ciebie za niego tym bardziej. – Pocieszył mnie. – A tym „nieopuszczaniem miasta” specjalnie się nie przejmuj. To błaga, musieli coś powiedzieć na koniec, żeby wybrnąć z twarzą, psy jedne... Pies ich trącał.  
– Też tak myślę.  
– Daj sobie z tym spokój, proszę cię, Boguś! Koniec zabawy w Sherlocka. Zobaczysz: nic nie ustalisz, a wyrośniesz na głównego podejrzanego.  
– Już wyrosłem – odpowiedziałem, obchodząc brata z boku. – Ale wiesz co? Nie dbam o to. Przecież nic na mnie nie mają. I nie będą mieć.  
– Będziesz pod obserwacją. – Ostrzegł mnie w przelocie.  
– To nic nowego. – Wzruszyłem ramionami.  
– I pomyśleć, że jesteś starszy ode mnie... – Krzysztof pokręcił głową. – Poczekaj, podrzucę cię do chaty.  
– Dziękuję. – Uniosłem się honorem. – Chętnie się przejdę. Zrobił już dla mnie wystarczająco dużo, dość tej dobroczynności.  
Stał z wyrazem dezaprobaty na twarzy i patrzył, jak się pospiesznie oddalam. Gdy machnąłem mu z daleka ręką, ruszył w stronę swojej wypieszczonej toyoty. Byłem pewien, że rzucił pod moim adresem jakieś przekleństwo.

•••

Wróbel czekał na mnie przed swoją połówką bliźniaka. Mimo chłodu i zapadającego szybko zmroku tkwił na posterunku w tej swojej idiotycznej zielono-brązowej kamizelce, nasuwającej skojarzenia z kołem łowieckim. Albo towarzystwem wędkarskim. Gdy tylko zbliżyłem się do furtki, doskoczył do mnie poruszony.

– Panie Bogdanie, co to było? – W jego oczach zauważyłem niepokój.  
– Nie wiem, o co panu chodzi. – Próbowałem go zbyć, ale się nie udało. Stanowczym krokiem zagroził mi drogę do domu.  
– Już pan wie, o co pytam! – wysapał. – O tych tajniaków, którzy capnęli pana godzinę temu na moich oczach.  
– To była pomyłka. – Rzuciłem lekkim tonem, starając się bagatelizować sprawę. – Tak naprawdę czekali na kogoś innego.  
– Innego? – Wróbel raczej nie kupił tej zmyłki.  
– W każdym razie nie na mnie.  
Sąsiad, który wynajmował mi mieszkanie, obrzucił mnie nieufnym, zimnym spojrzeniem. Nigdy wcześniej tak na mnie nie patrzył.  
– Panie Popiołek – odezwał się szalenie oficjalnie. – Niech pan nie robi ze

mnie idioty! Ja służby rozpoznaję. Dlaczego zabrali pana ze sobą?

– Już panu powiedziałem. Pomylili mnie z kimś innym. Zdarza się. Proszę mnie przepuścić...

– Zaraz, zaraz, panie kolego. – Wróbel osadził mnie raz jeszcze w miejscu, tym razem chwytając za rękaw. W jego oczach dostrzegłem coś bardzo nieprzyjemnego.

– Chciałem panu powiedzieć, że nie życzę sobie tutaj takich scen! – Niemal wysyczał te słowa, by nie mógł ich usłyszeć nikt poza nami. – Jestem szanowanym obywatelem i takim chciałbym pozostać. Rozumiemy się?

– Jak najbardziej. – Potwierdziłem, zaskoczony jego pryncypialnością.

No tak, stary wojskowy, przeleciało mi przez głowę.

– Kilka osób widziało, jak wsiada pan w obstawie do samochodu. Jeśli policja znowu tu po pana przyjedzie, wypowiem panu mieszkanie. Nie życzę tu sobie żadnych ekscesów. Mam nadzieję, że mnie pan rozumie.

– Tak jest – odpowiedziałem po żołniersku.

Zwolnił chwyt, więc wreszcie mogłem ruszyć ku drzwiom. Gdy przekręcałem klucz w zamku, odniosłem wrażenie, że Konstanty Wróbel przewierca mi plecy swoim podejrzliwym wzrokiem. Po raz pierwszy pożałowałem, że tu mieszkam.



## **Część II**

### **TROP**

## 11.

Proboszcz nie powie głośno

- I co?
- I nic. Nikt nic nie wie.
- Nawet jego brat?
- Nawet on.
- A jego matka?
- Leży od miesięcy nieprzytomna pod aparaturą.
- A co jej się stało? Może...
- Nie, nikt jej nie pomógł. Przeszła ciężki wylew. Od dawna jest w śpiączce.

Siedzieliśmy z Markiem Cichoniem na ławce przy szkolnym boisku, wpatrując się w naszych uczniów, cieszących się promieniami czerwcowego słońca. Do końca roku szkolnego pozostały ledwie dwa tygodnie, zapowiadało się gorące lato. Cały świat jakby zatrzymał się w miejscu, a może raczej w śródmiejskich knajpach, w których tabuny kibiców co wieczór ekscytowały się meczami Euro. Nasi wygrali właśnie z Irlandią Północną i w kraju zapanowała trudna do opisanego euforia. Ten naród od dziesięcioleci tęsknił za futbolowym sukcesem. Wygłodniały i wyposzczony, nareszcie poczuł szansę. Tyle że teraz czekał nas mecz z mistrzami świata Niemcami. A to już nie zapowiadało fiesty, a raczej męczarnie.

Marek okazał się optymistą. Orzekł, że wreszcie nie przegramy z Niemcami na ważnej imprezie. A konkretnie: zamontował w komputerze jakiś program i wprowadził dane o obu drużynach. W jakich klubach grają zawodnicy, ile bramek straciły i strzeliły obie ekipy w ciągu ostatniego roku, jakie były wyniki ich bezpośrednich starć. Rezultat, jaki otrzymał, sugerował, że padnie remis. Najprawdopodobniej bezbramkowy. Wyśmiałem ten wynik i komputerowy program kumpla. Sam nie byłem aż tak wielkim optymistą. W ogóle nie miałem humoru. A może miałem, tyle że wisielczy.

Moje prywatne śledztwo – choć to określenie wydawało mi się mocno na wyrost – utknęło w martwym punkcie. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić, by choć odrobinę przybliżyć się do prawdy o śmierci Kucharskiego. Policja dość skutecznie wybiła mi zresztą z głowy myśl o kontynuowaniu moich nieudolnych prób. Choć przez kilka dni byłem wściekły na Kozłowskiego i Gruszkę, w końcu uznałem, że funkcjonariusze być może mają rację. Jakie mam prawo ładować się w obowiązki profesjonalnych służb, szkolonych do podobnych zadań? Jakie mam prawo wchodzić w czyjeś prywatne życie tylko dlatego, że pewnego razu na kilkadziesiąt sekund zetknąłem się z kimś na leśnej ścieżce?

– Czyli odpuszczisz? – Marek zmrużył oczy podrażnione nadmiarem słońca i spojrzął na mnie z wyrzutem. – Teraz, po tym wszystkim?

– A niby po czym? – Zjeżyłem się natychmiast.

Nie podobał mi się ton, jakim do mnie przemawiał.

– No, po wyjeździe do Brukseli. I po tym, jak cię załatwili na policji...

Upokorzenie na komisariacie piekło mnie do żywego. Po co, do cholery, on mi to znowu przypomina? On, mój najlepszy kumpel z pracy?

– Wrzuc na luz, Mareczku – wycodziłem przez zęby. – Co jeszcze mogę zrobić, do diabła? Przywrócić do świadomości jego matkę? Albo wskrzesić Kucharskiego i zapytać go, kto mu sprzedał kosę w żebra? Nie jestem Duchem Świętym. Zrobiłem chyba wszystko, co mogłem...

– Chyba – mruknął matematyk.

Z całej mojej wypowiedzi wydobył z chłodną, właściwą umysłem ścisłym precyzją jedyne słowo, które nie pasowało do reszty. Albo raczej: które dawało szansę na pociągnięcie beznadziejnego tematu.

– Chyba – powtórzyłem bez cienia złości.

Miałem dość tego tematu.

– Szybko się poddajesz, Bodziu. – Mój kolega nachylił się i skubnął żdźbło wysuszonej, żółtej trawy.

– Łatwo ci mówić – warknąłem.

Zerknąłem ze złością na zegarek. Jeszcze dwie minuty i ta cholerna duża przerwa wreszcie się skończy. Nie będę musiał wysłuchiwać uwag, które nic nie wnoszą do dawno umarłej sprawy.

– Szybko się poddajesz – powtórzył Marek, jakby chciał się ze mną drażnić.

Zamierzałem mu odpowiedzieć w mało parlamentarnym stylu, ale on sięgnął po coś za siebie i podał mi zwiniętą w rulon gazetę.

– Zobacz to – powiedział, podniósł się i ruszył w stronę szkoły.

To była aktualna „Wyborcza”. Znalazłem w niej spory wywiad z prokuratorem nadzorującym śledztwo w sprawie śmierci Jana Kucharskiego. Tak się zaczytałem, że nie usłyszałem dzwonka na lekcję. Autorem rozmowy był miejscowy dziennikarz, specjalizujący się w sprawach kryminalnych. Zadawał dociekliwe pytania i nie dał się łatwo zbyć. Prokurator odpowiadał zdawkowo i z wyczuwalną niechęcią. Tytuł wywiadu – *Zbrodnia bez kary* – załatywał Dostojewskim. Według mnie brzmiał zbyt patetycznie.

– *Czy to prawda, że sprawdzacie wątek związany z przeszłością Kucharskiego? Czy dziennikarz lokalnej gazety z Zielińca mógł się komuś narazić?* – pytał dziennikarz.

– *Mogę powiedzieć tylko tyle, że jest to jeden z istotnych wątków tej sprawy.*

– Prokurator uciekał od odpowiedzi.

– *Komu mógł nadepnąć na odcisk Kucharski?*

– *Panie redaktorze, chyba nie spodziewa się pan, że podam panu dane podejrzanych! Poza tym bardzo proszę nie rozmawiać ze mną w ten sposób. To nie licuje z powagą śmierci tego człowieka.*

– *Czyli są już jacyś podejrzani?*

– *Nic takiego nie powiedziałem.*

– *Według osób z otoczenia denata nie poruszał on w swojej pracy dziennikarskiej szczególnie niebezpiecznych tematów – Niezrażony żurnalista drażył temat.*

– *To pana opinia. Własną zachowam na razie dla siebie.* – Urzędnik się zjeżył.

– *Czyli Kucharski mógł komuś podpaść i zapłacić za to życiem?*

– *Panie redaktorze, apeluję do pańskiego poczucia odpowiedzialności! Proszę nie używać takich słów. To wyłącznie pana interpretacja...*

Oderwałem się na moment od lektury. Choć prokurator kluczył i nieudolnie gubił tropy, z wywiadu jasno wynikało, że prokuratura i policja wzięły pod lupę dziennikarskie dokonania zamordowanego. I że wokół nich służby budują prawdopodobny obraz tragicznego zdarzenia.

Wróciłem do wywiadu. Rozmowa była sumą nerwowo zadawanych pytań i jeszcze bardziej chaotycznych, impulsywnych odpowiedzi. Wyobraziłem sobie, jak dziennikarz „Wyborczej” dopadł prawnika pod drzwiami prokuratury. Albo gdzieś na ulicy – taką dynamikę miała wymiana zdań między tą parą.

– *Czy Jan Kucharski miał wrogów?*

– *Na obecnym etapie śledztwa nie odpowiem na to pytanie.*

– *Ale sprawdzacie to?*

– *A jak pan myśli, redaktorze?*

– *Myślę, że tak.*

– *No właśnie. Niech pan tak myśli. Pozytywnie.*

– *Kiedy poznamy wyniki śledztwa?*

– *Kiedy będziemy gotowi.*

– *Czyli?*

– *Gdy zatrzymamy podejrzanych.*

– *Będzie ich kilku?*

– *Bóg raczy wiedzieć.*

– *Ale przecież odpowiedział pan w liczbie mnogiej.*

– *W takim razie dementuję. W odpowiednim czasie poinformujemy opinię publiczną o szczegółach naszych ustaleń.*

– *Ustaleń? Czyli jest szansa, że poznamy zabójcę lub zabójców Jana Kucharskiego?*

– *Szansa jest zawsze, panie redaktorze.*

– *Jesteście blisko rozwiązania tej zagadki?*

- *Jesteśmy w sam raz...*
- *Przepraszam, ale nie rozumiem.*
- *Nie musi pan.*

Ostatnia odpowiedź prokuratora wybrzmiała cokolwiek bezczelnie. Żeby nie powiedzieć: arogancko. Odniosłem wrażenie, że nerwowość prokuratora nie wynikała wyłącznie z konkretnych, dociekliwych pytań dziennikarza. Zachowywał się, jakby za kordonem krótkich komunikatów chciał ukryć brak postępów. Od morderstwa w lesie upłynęły już przecież trzy miesiące. Gdyby służby rzeczywiście były na tropie albo ujęły zabójców, nie omieszkałyby się pochwalić sukcesem. Zwłaszcza w dobie „dobrej zmiany” – i jej polityków, tak lubiących ogrzać się w otoczeniu mundurowych.

Przez ten wywiad spóźniłem się na lekcję z drugą ce, a potem nie potrafiłem się skupić. Wszystko mi się myliło: Bismarck z Wilhelmem II, a rugi pruskie z rabacją. Całe szczęście, że uczniowie nie zwrócili na to uwagi. No, może poza Igozem, prymusem spod okna. Był na to zbyt bystry i pewnie dlatego przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Dzwonek okazał się wybawieniem. Wychodząc z klasy, zorientowałem się, że nigdy nie pofatygowałem się pod dom, w którym w ostatnich latach mieszkał Kucharski.

•••

Program komputerowy Marka okazał się genialny: na Euro we Francji rzeczywiście zremisowaliśmy z Niemcami, w dodatku bez bramek. Spotkanie było emocjonujące i cała Polska nieustannie rozpamiętywała dwa kiksy Milika, które nie pozwoliły nam wygrać z aktualnymi mistrzami świata. Następnego dnia wieczorem, gdy wszyscy tkwili zapewne przed telewizorami, oglądając powtórki ze zwycięskiego remisu, pojechałem na ulicę, przy której zamieszkał w ostatnich latach swojego życia dziennikarz „Więści Cybińskich”.

Ulica Żółwia, którą wskazał mi Liściak, nie różniła się niczym od innych w Zielińcu. Miała ten sam na poły wiejski klimat, a składała się z niewysokich domków z ogrodami, rozrzuconych po obu stronach drogi. Na wschodnim końcu dostrzegłem nawet typowo polski dworek szlachecki z datą 2005 wymalowaną na fasadzie. Stojąca przed solidnym murem z cegły klinkierowej terenowa honda poświadczala, że w dworku mieszkał zapewne jakiś wzięty lekarz albo prawnik.

Z opowieści Liściaka, naczelnego gazetki, wynikało, że Kucharski wprowadził się na Żółwią około 2000 roku, gdy zmarł jego ojciec i musiał zaopiekować się chorą matką. Łatwo mu było przenieść się z Wildy – był kawalerem, nie ciągnął za sobą bagażu rodziny. Jego decyzja dobrze o nim świadczyła. Poświęcił się opiece nad matką, gdy brat robił karierę dyplomatyczną za granicą.

Pod numerem siedemnaście stał niski, zbudowany z betonowych bloczków,

nieotynkowany dom. Stare okna z łuszczącą się farbą, skośny dach pokryty czymś przypominającym eternit i zaniedbany ogródek przed budynkiem dopełniały obrazu upadku, jakiego doświadczyli właściciele posesji. Widoczne w oknach zwiędłe rośliny, straszące żółcią spod krótkich firanek, wprawiły mnie w sentymentalny nastrój. Pomyślałem o przemijaniu. Kucharski już nie żyje, a jego nieświadoma niczego matka leży w szpitalu... Na myśl o tym zrobiło mi się nieprzyjemnie.

– Pan do Kucharskich? – Usłyszałem za plecami czyjś zaniepokojony, lekko zachrypnięty głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem niskiego, krótko ostrzyżonego, starego mężczyznę, pchającego przed sobą staromodny rower.

– A to tutaj? – Udałem niezbyt rozgarniętego. Skutecznie.

– Tak, dobrze pan trafił. – Potwierdził tutejszy, zatrzymując się i wpatrując się we mnie intensywnie. – Ale za późno już na odwiedzinę, panie szanowny.

– Za późno? – Nadal zgrywałem pierwszego naiwnego.

– No niestety. Kucharski nie żyje, a jego matka też już prawie na tamtym świecie. W szpitalu leży, chyba z tego nie wyjdzie. Wylew, proszę pana.

Udałem, że słowa mężczyzny mocno mnie zaskoczyły. Zafrasowałem się i dość teatralnie złapałem za szczękę.

– Pan się tak nie martwi. – Wiekowy cyklista chciał mnie pocieszyć. – Co ma być, to będzie. Każdy ma coś w niebie zapisane, tylko nie wie co.

– Święta prawda. – Przytaknąłem chętnie. Odpowiadało mi filozoficzne usposobienie tego człowieka. Zaryzykowałem więc proste pytanie.

– A ten Kucharski, to był dobry człowiek?

– A pan go nie znałeś? – Mój rozmówca się zdziwił.

– No, nie zdążyłem... – wymamrotałem zaskoczony.

– Aha – mruknął dziadek z rowerem.

I obrzucił mnie od razu mniej ufny spojrzeniem.

– Czyli nie jest pan nikim z rodziny. – Zawyrokował.

– Nie jestem. – Potwierdziłem. – Chciałem z nim porozmawiać po linii zawodowej. Bo wie pan, on był dziennikarzem, pisał w „Wieściach Cybińskich” i...

– Wiem, wiem. – Starszy mężczyzna znowu się rozpogodził. – Oj, dobrze pisał. Naprawdę dobrze! Wszyscyśmy jego artykuły w domu czytali. Dobry był z niego człowiek, „dzień dobry” za każdym razem pierwszy powiedział, a i w kościele go widywałem. Ładnie o przyrodzie pisał.

– No właśnie. – Chwyciłem się tej ostatniej wzmianki jak największej nadziei. – Wiem, że pan Kucharski dbał o czystość i ekologię.

– Oczywiście! – Chyba trafiłem w dziesiątkę, bo rowerzysta nabrał niespodziewanie ochoty na dłuższą opowieść. – Panie, on się nad każdym stratowanym kwiatkiem w parku pochylał. Jak tylko gdzieś śmieci zobaczył, zaraz

zdjęcie robił i do tej swojej gazetki wkładał. I buch, pisał artykuł. Że śmiecą, ludzie niewychowane. Że brudzą, las zanieczyszczają. A jakie miał dobre pióro, ho, ho! Dzisiaj już tak nikt nie pisze. Musisz pan wiedzieć, że Kucharski pisał piękną polszczyzną! Przepiękną!...

Czytałem wprawdzie wiele tekstów zamordowanego i nie odniosłem wrażenia, by wyróżniały się szczególnym językiem, ale nie przerywałem tej spontanicznej narracji. Coś mnie tknęło, że z tych wynurzeń starszego pana może się urodzić coś pożytecznego.

– ...Był dziennikarzem pełną gębą, panie kochany. Ostatni z tych, co to nie odpuszczali. Jeśli już raz chwycił jakiś temat, to go trzymał, aż problem nie został rozwiązany. A musi pan wiedzieć, że Kucharski nikogo się nie bał. Nikogo! Nie to, co te dzisiejsze gryzpiórki, panie szanowny... Sprzedajne i zdradzieckie!

Nadstawiłem uszu, bo opowieść znalazła się nagle w ciekawym punkcie.

– A niby kogo miałyby się bać? – rzuciłem z głupia frant.

Mój rozmówca oparł się o rower i spojrzał na mnie jak na ostatniego barana.

– Jak to, kogo? To pan nic nie wiesz?! Całe osiedle o tym huczy...

Mężczyzna z rowerem wypowiedział te słowa tak sugestywnie i z takim przekonaniem, że serce w piersi zabiło mi mocniej.

– A co niby mam wiedzieć?

– Nie wiesz pan, komu się Kucharski naraził?

...

Pokręciłem przecząco głową. Nie miałem pojęcia, o czym mówi ten człowiek. Ale bardzo chciałem się dowiedzieć.

Stary mężczyzna zmrużył oczy, jakby chciał raz jeszcze oszacować, czy warto zwierzać się przede mną z publicznej ponoć tajemnicy.

– A kim pan jest, jeśli wolno zapytać? – Usłyszałem pytanie, w którym pobrzmiewała nuta podejrzliwości.

– Znajomym. – Kłamstwo przeszło mi przez gardło stosunkowo gładko. – Już panu mówiłem, znaleźliśmy się zawodowo. Ja też jestem... hm... dziennikarzem.

Ostatnie zdanie nie zabrzmiało przekonująco, ale jakimś cudem mój rozmówca kupił to zapewnienie.

– Aaa, to co innego – bąknął, a ja skuliłem się w oczekiwaniu na pytanie o legitymację prasową.

– A pan? – Poszukałem obrony w prostym pytaniu.

– Sąsiadem pana Jana byłem. Mieszkam o tam! Pod trzynastką.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową. – To... komu niby naraził się ten Kucharski?

Sąsiad zamordowanego raz jeszcze obrzucił mnie baczny spojrzeniem. Tym razem jednak zwątpienie walczyło w nim z odrobiną zaufania.

– No przecież wiadomo, że podpadł tym śmierzdielom – stwierdził w końcu.

– Komu?!

– No, tym od farb. Pan wie, temu szwabskiemu koncernowi!

Musiałem przez chwilę poukładać myśli, by zrozumieć, o czym do mnie mówi mieszkaniec domu przy Żółwiej trzynaście.

– Chodzi panu o Farb-Rok? – upewniłem się na wszelki wypadek.

– Farb-Rok czy farb-srok... Cholera ich tam wie, jak się nazywają. Za to smród od nich idzie, jak cholera. Przyjedź tu pan kiedyś koło północy. Wtedy pracują pełną parą. Okna się nie da otworzyć, tak śmierdzi!

Poczułem, jak fala gorąca oblewa mi twarz i szyję. Czyżby prawda o śmierci lokalnego dziennikarza czaiła się w tak prostej plotce?

Mój rozmówca wspominał o wielkiej fabryce, której hale wyrosły w ciągu ostatniego roku na skraju miasta. O fabryce koncernu z Niemiec specjalizującego się w produkcji farb. O zakładzie, który dał pracę kilkuset poznaniakom. Czytałem o nim raz czy dwa w lokalnych gazetach, bo kwestia jego umiejscowienia budziła ogromne kontrowersje. Ekolodzy twierdzili, że fabryka stanęła zbyt blisko leśnej otuliny wschodnich dzielnic miasta i nie dawali się zbyć zapewnieniami o wysokich normach ochrony środowiska, które rzekomo gwarantował koncern. Mieli o tyle rację, że uciążliwe zapachy z zakładu co jakiś czas mimo zabezpieczeń wydostawały się poza jego obręb. Przy wiatrach ze wschodu kilka razy ten nieprzyjemny zapach czuć było także na mojej ulicy, choć mieszkałem ze dwa kilometry dalej.

Gorączkowo poszukiwałem w pamięci jakiegokolwiek tekstu Kucharskiego w „Wieściach Cybińskich” związanego z tym tematem – i nie potrafiłem go sobie przypomnieć. A przecież problem dla okolicznych mieszkańców był ewidentny.

– To Kucharski o tym pisał?

– No jasne, że pisał! – Sąsiad dziennikarza się ożywił. – I to jak! Tak im dał popalić, że im w pięty poszło!

– Ale jak? Gdzie?

– No gdzie? W gazecie, ma się rozumieć!

– W swojej? Jest pan pewny?

– A co to za różnica, w jakiej? Napisał o tych śmierzdielach tak, że mu cała dzielnica po mszy świętej w niedzielę gratulowała!

Poczułem, jak miękną mi nogi. Taaaaki motyw! A ja go przeoczyłem! Ale... Jak to w ogóle możliwe?!

– Kiedy to było, panie kochany? – Nawet nie zauważyłem, że trzymam starszego pana za chude ramię i potrząsam nim nerwowo.

– A będzie już z pół roku.

– I co? Z jakim skutkiem?

– To się, panie, zaczęły korowody! Do tego Farb-sroka zaczęły komisje



przyjeżdżać. A to radni, a to fachowcy od ekologii... Mówię panu: śmierdzielom grunt się zaczął palić pod nogami! – Mężczyzna z rowerem zaniósł się serdecznym śmiechem, prezentując walory swojej sztucznej szczęki. – Do dzisiaj za to panu Janowi wdzięczni jesteśmy. Może jeszcze ten cały koncert, znaczy się koncert, stąd wyrzuca. Niemce cholerne!

Szybko przestawiłem swoje myślenie na nowe tory.

– I uważa pan, że... Że to morderstwo to była zemsta?

– Wszyscy tak gadają. Nawet nasz proboszcz, chociaż nie powie o tym głośno. – Mężczyzna z rowerem ściszył głos, jakby się zawstydził, że napomknął o wilebnym.

– Nawet proboszcz – powtórzyłem bezwiednie, porażony miazdzącą, a jednocześnie przytłaczającą prostotą tych faktów.

Czyżby opowieść tego starego mężczyzny, na pierwszy rzut oka średnio rozgarniętego, kryła w sobie ziarno prawdy? Skoro jak mantrę powtarza ją cała okolica? A może to tylko nic niewarte bajdurzenie dziadka stojącego nad grobem? Kolejna miejska legenda, która zrodziła się z plotki rzuconej gdzieś pod budką z piwem?

Stałem przed furtką domu, w którym jeszcze niedawno mieszkał Jan Kucharski, spoglądałem na zeschnięte kikuty roślin w oknach i targały mną wątpliwości. Czy można zaufać tutejszej, szeptanej wersji wydarzeń? Czy to się w ogóle trzyma kupy? To byłoby tak proste, że aż niemożliwe. A skoro tak proste, to dlaczego do dzisiaj fabryką koncernu i jej kierownictwem nie zainteresowały się policja i prokuratura? Dlaczego o Farb-Rok nie zapytał prokuratora dziennikarz „Wyborczej”?

Sąsiad Kucharskich zerknął na staromodny zegarek.

– Na mnie już czas. Bo mnie jeszcze moja stara prześwięci... – powiedział, wsiadając na swój pojazd. – Miło się rozmawiało, panie dziennikarz. Ja panu mówię, to wszystko przez tych śmierdzieli. Tu szło o duże pieniądze... Ho, ho, na pewno o miliony euro...

Zatrzymałem go jeszcze na chwilę, kładąc rękę na kierownicy. Omal się nie przewrócił, ale zdołał się podeprzeć wyprostowaną nogą.

– Co jest?! – W jednej chwili wyszły z niego nerwy.

– Tylko jedno pytanie – wysapałem. – Gdzie?

– Co gdzie?

– Gdzie Kucharski napisał o tych śmierdzielach?

...

Starszy mężczyzna nie potrafił sobie przypomnieć, czy Kucharski opublikował krytyczny artykuł o fabryce farb w „Wieściach”, czy gdzie indziej. Do domu wracałem podenerwowany. Zaraz po powrocie rzuciłem się do komputera.

Wujek Google usłużnie wypływał ze swoich niezmiernych internetowych trzewi dziesiątki, setki linków do tekstów o równie głośnej co kontrowersyjnej inwestycji niemieckiego koncernu. W żadnym z nich nie natknąłem się na nazwisko Kucharskiego.

Jednego wszakże byłem już pewny. Zamordowany nie opublikował nic na ten temat na łamach „Więści Cybińskich”. Taka petarda nie uszłaby mojej uwagi, gdy przeglądałem zszywkę z archiwalnymi wydaniem tygodnika. Dla pewności zadzwoniłem do redaktora Liściaka.

– To fakt, nie pisaliśmy o nich. To znaczy o Farb-Roku – wyjaśnił z niejakim wstydem naczelny.

– Ale dlaczego? – Zdziwiłem się. – Taka sprawa, a wy nic?

– Za mali na to byliśmy – odpowiedział. I zaraz się wyłączył.

Przyjąłem to do wiadomości i szukałem dalej. Coś mi w tej historii nie grało, nie wiedziałem jednak co. Zrozumiałem około północy, gdy po kilku godzinach internetowej mordęgi na portalu „Głosu Wielkopolskiego” odnalazłem niepozornie zatytułowany list z lutego. Był ostry w formie, ale najważniejszy był podpis autora: „Jan K., mieszkaniec Zielińca”.

– Jan K.! K jak Kucharski! – Aż podskoczyłem z radości, przecierając zmęczone oczy.

*Szanowna redakcjo – pisał Jan K. – pragnę zwrócić Waszą uwagę na wyjątkowo śmierzący problem, jaki zafundowali nam, mieszkańcom Zielińca, niemieccy inwestorzy. Problem nazywa się Farb-Rok i jestem przekonany, że niebawem będzie o nim głośno. Dlaczego? Bo ta rzekomo ekologiczna, spełniająca najwyższe unijne normy w dziedzinie ochrony środowiska fabryka, na którą niefortunnie wyraziły zgodę władze naszego miasta, okazała się tykającą bombą. O tym, że bomba już tyka, świadczą paskudne wyzwiewy, które wachamy niemal co wieczór w naszej dzielnicy.*

*Naszych nosów nie zwiodą zapewnienia prezesa fabryki, że to zapachy z pobliskiego browaru Kompanii Piwowarskiej. Nic z tych rzeczy! Smród farb jest nieporównywalny z łagodną wonią drożdży. I jest bez porównania bardziej szkodliwy. Wystarczy poczytać w Internecie krytyczne opinie o działalności innej fabryki koncernu w Reichturgu (to w Bawarii), by zrozumieć, że zdrowie mieszkańców wschodniego Poznania znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie.*

*Chemia to rak, a zatrute powietrze to prosta droga do masowych nowotworów. Kto nie rozumie tej prostej zależności, nie powinien rządzić Poznaniem. Najwyższy czas, by zakładem Farb-Rok i jego prezesem zainteresował się Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska, a zapewne także prokuratura. My, mieszkańcy Zielińca, jesteśmy przekonani, że fabryka jest trucicielem, który pod osłoną rzekomych unijnych certyfikatów niszczy naszą enklawę przyrody, zielone płuca miasta. Szanowne władze, czas na działania! Jeśli nic z tym nie*

*zrobicie, my, mieszkańcy Zielińca, rozliczymy Was przy następnych wyborach. Możecie być tego pewni!*

List był napisany tym samym zadziornym, choć nieco staromodnym stylem, który poznałem, wczytując się w teksty Kucharskiego w „Wieściach”. Te same zwroty, ta sama filozofia i ta sama retoryka, miejscami trąca nieco populizmem. Ale – jak zawsze – w słusznej sprawie. Tylko dlaczego „Jan K.” nie opublikował tego listu w „Wieściach”? Skoro pisał tak wiele o innych, bez porównania mniej drażliwych sprawach? I co oznaczają słowa Liściaka, że byli na to „za mali”? Czyżby Kucharski uznał, że jeśli ma się boksować z potężną firmą, to lepiej na łamach regionalnego dziennika? I dlaczego nie podpisał się pełnym nazwiskiem? Czyżby się czegoś bał?

Wszystko to przedstawiało się szalenie tajemniczo i pobudzało wyobraźnię. Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Zastanawiałem się, dlaczego Kucharski napisał o największej aferze ze swojego terenu na obcych łamach. W dodatku w formie listu z zawołowanym podpisem.

Czy naprawdę obawiał się o swoje bezpieczeństwo?

A jeśli tak, to z czyjej strony?

•••

W następnych dniach sprawdziłem, czy list Kucharskiego miał jakieś reperkusje. I aż mnie zatkało: posługując się internetową wyszukiwarką, bez problemu ustaliłem, że to właśnie jego nieduży i niepozorny list uruchomił istną lawinę publikacji na temat Farb-Roku. W marcu o uciążliwej fabryce informowały chyba wszystkie miejskie media. Mało tego! Lokalna telewizja zrobiła kąśliwy reportaż, w którym prezes firmy, łysy jak kolano mężczyzna w garniturze od Hugo Bossa, wił się jak piskorz, zapewniając, że wyziewy z zakładu nie są groźne dla środowiska i okolicznych mieszkańców. Wymachiwał przy tym ekspertyzami z Inspektoratu Ochrony Środowiska, które miały potwierdzać jego słowa.

Przepytyany na tę okoliczność przedstawiciel inspektoratu potwierdził, że fabryka spełnia najbardziej rygorystyczne normy ekologiczne. Przyznał jednak, że w niektóre dni „zapachy z Farb-Roku mogą wydawać się przykre”. I że firma – mimo licznych zabezpieczeń i filtrów – nie potrafi sobie z tym problemem poradzić.

List Kucharskiego – a może także jego zakulisowe starania, był przecież dziennikarzem i znał innych ludzi mediów – okazał się więc kamieniem, który poruszył kolejne głazy i wprowadził kierownictwo koncernu w trudne położenie. Stary rowerzysta z Zielińca miał rację – po publikacjach prasowych do zakładu wybrali się radni miejskiej komisji ochrony środowiska, a w końcu służby wojewody z kolejnymi kontrolami. Temat stał się popularny i nośny. Wojewodzie z PiS-u bardzo odpowiadało kontrolowanie niemieckiego inwestora.

Prezes koncernu nie wytrzymał i w jednym z artykułów wyznał, że czuje się „prześladowany ze względów politycznych i narodowościowych”. Nie wzbudził jednak współczucia. Gra wojewody na niemieckich resentymentach najwyraźniej trafiła w upodobania elektoratu.

•••

W połowie lipca miasto ogarnęło nowe szaleństwo: niemal wszyscy ze smartfonami w dłoniach łapali pokemony, biegając jak szaleni po placach, skwerach i rzadko odwiedzanych zaułkach. Nowa gra wzięła w jasyr nawet dorosłych, z pozoru poważnych ludzi. Śledziłem tę narastającą wariację z dystansem i pobłażaniem. Zdaje się, że ulegli jej nawet niektórzy z pozornie rozmodlonych pielgrzymów, którzy przyjechali właśnie do Polski na Światowe Dni Młodzieży.

Kiedy większość populacji uganiała się za wirtualnymi stworkami, uwolniony od szkolnych obowiązków buszowałem po Internecie, zbierając informacje o Farb-Roku i jego prezesie. Firma była rzeczywiście europejskim gigantem, miała swoje odnogi w Holandii, Danii i Francji. Centrum koncernu mieściło się w Bawarii, w niedużym Reichtburgu. Kucharski powołał się w swoim liście na prawdziwą historię. Dwa lata wcześniej niemieckie media opisywały uciążliwości związane z wyziewami z tamtejszej fabryki. Sprawę ucięło zapewnienie niemieckich służb ochrony środowiska, że nieprzyjemne zapachy nie są szkodliwe dla przyrody i ludzi. Najwyraźniej niemieccy czytelnicy gazet uznali te oficjalne urzędowe wyjaśnienia za wystarczające i sprawa przycichła.

Prezesem polskiej fabryki koncernu w Poznaniu był niejaki Krzysztof Handtke. Znalazłem go na stronach poświęconych biznesowi. Miał pięćdziesiąt pięć lat, wcześniej pracował – kolejno – w zarządach dużej firmy kosmetycznej, logistycznej i transportowej. Rozrzut profesji był imponujący i znamionował człowieka o szerokich horyzontach. Z nielicznych ogólnodostępnych w necie biografii Handtkego wynikało, że karierę w biznesie zaczynał w schyłkowych latach PRL-u. Handlował wtedy zachodnimi perfumami. A może ich podróbkami?

Ślęcząc nad informacjami o Handtkem, natknąłem się niespodziewanie na wywiad, jakiego prezes Farb-Roku udzielił branżowemu pismu „Farby i Barwy”. Kliknąłem bez przekonania w wyświetlony przez Google’a link i przebrnąłem przez kilka pierwszych akapitów. Poświęcone były rynkowi farb w Polsce. Wywody prezesa okazały się nudne jak flaki z olejem i zniechęcony porzuciłem lekturę. Klikając na strzałkę wyjścia, kątem oka zauważyłem jednak w tekście frazę „Kontrowersje wokół Farb-Roku”.

Natychmiast cofnąłem się do artykułu. Passus, który przykuł moją uwagę, znajdował się przy końcu rozmowy. Zupełnie niespodziewanie prowadząca wywiad dziennikarka zadała ostatnie pytanie w oderwaniu od reszty rozmowy.

– Nie sposób nie zapytać o kontrowersje wokół Farb-Roku, jakie narosły w związku z nowym zakładem koncernu w Poznaniu. Liczne kontrole i artykuły prasowe na temat utrudniających życie mieszkańców zapachów zdają się sugerować, że Pana firma ma problemy z ekologią? – Dziennikarka „Farb i Barw” zaatakowała.

– Szanowna Pani, proszę nie powtarzać niesprawdzonych plotek. – Prezes Handtke musiał się zżeżyć, odpowiadając na to pytanie. – Takie dezinformujące treści przekazują osoby niemające pojęcia o nowoczesnych technikach, gwarantujących ekologiczne podejście do środowiska. Zapewniam, że nasza firma dokłada wszelkich starań, by produkować w zgodzie z najnowszymi trendami w ochronie środowiska. Certyfikaty, jakie posiadamy, nie pozostawiają żadnych wątpliwości... A co do winnych tych oszczerstw, to chcę stanowczo oświadczyć, że ich działania przyniosły naszej firmie wymierne straty ekonomiczne i wizerunkowe. Dlatego osoby te zostaną prędzej czy później ukarane. Poniosą wszelkie konsekwencje prawne i nie tylko...

Czytając ostatnie słowa wywiadu, poczułem dreszcz na karku. Prezes wyraźnie groził krytykom! I nie przebierał w słowach! Zapowiedział, że „osoby te zostaną prędzej czy później ukarane!”. I że czekają je „konsekwencje prawne i nie tylko”! To „nie tylko” przyprawiło mnie o szybsze bicie serca.

Wiedziałem, co będzie dalej. Musiałem się dostać do Handtkego.

## Biznesowa konferencja

Latem Europę ogarnęło krwawe szaleństwo. Niemal codziennie telewizyjne serwisy informacyjne przynosiły wieści o kolejnym ataku terrorystycznym we Francji czy Niemczech. Po masakrze, jakiej dokonał w Nicei muzułmański kierowca tira, rozjeżdżając na śmierć niemal sto osób świętujących dzień zdobycia Bastylia, zacząłem się obawiać o bezpieczeństwo młodych pielgrzymów, którzy zjechali do Polski na Światowe Dni Młodzieży i spotkanie z papieżem Franciszkiem. Pielgrzymów z wszystkich kontynentów widać już było na ulicach miasta. Roześmiani, przyjaźni, ciekawi kraju, w którym się znaleźli, wnieśli dużą dawkę ożywienia w życie wyludnionej wakacyjnymi wyjazdami metropolii.

Sporo o nich rozmyślałem, biegnąc w końcu lipca swoją stałą trasą doliną Cybiny. Wakacje było widać również tutaj: szutrowe alejki, zwykle pełne biegaczy, teraz świeciły pustkami. Zdecydowanie więcej rozmyślałem jednak o Farb-Roku, a zwłaszcza o jego prezesie. Zastanawiałem się, do czego zdolny może być pięćdziesięcioletni mężczyzna krytykowany przez media. Do czego może się posunąć szef wielkiej firmy, któremu zaczyna się palić grunt pod nogami?

Na zdjęciach, jakie bez trudu można było znaleźć w Internecie, prezes Handtke wyglądał na zrównoważonego człowieka. Łysy, z wysokim czołem i spokojnym spojrzeniem, przypominał mi trochę – ot, zboczenie zawodowe! – marszałka Rydza-Śmigłego. Choć był od niego niższy i tęższy. Doprawdy trudno mi było wyobrazić go sobie w stanie furii, rzucającego niedwuznaczne groźby pod czyimkolwiek adresem. Moje ponad czterdzieści lat na karku podpowiadało mi jednak, że pozory mogą mylić. Stateczny, dobrze ubrany mężczyzna z kochającą żoną i czwórką utalentowanych dzieci – taki obraz Handtkego odmalowało jedno z kolorowych pism – też przecież może okazać się potworem. „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono” – tłukła mi się po głowie sentencja ze znanego wiersza Szymborskiej. Postanowiłem nie zwracać uwagi na całe tło towarzyszące osobie prezesa. Trzeba się skupić wyłącznie na faktach. Na faktach!

Mimo gęstej roślinności słońce i upał dawały się mocno we znaki. Spociłem się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Przebiegając przez tamę na zachodnim końcu Stawu Browarnego, pomyślałem niespodziewanie, że może jednak powinienem dać sobie spokój z moim śmiesznym dochodzeniem i zawiadomić policję, żeby sama sprawdziła Handtkego. W końcu byłem tylko żalonym amatorem, trawiącym urlop na próbach dojścia do prawdy, do której sam nie miał raczej szansy dotrzeć. Raczej...

Wspomnienie ostatniej przymusowej wizyty na komisariacie sprawiło, że

odruchowo obejrzałem się za siebie. Nie, to bez sensu! Tutaj mnie przecież nie śledzą! To niemożliwe!

Odetchnąłem z ulgą jak człowiek, który łapie się na tym, że zaczyna świrować i że na szczęście jeszcze nad tym panuje. Potrzebowałem świeżego spojrzenia na sprawę i własne szanse. Jedno wszakże wiedziałem już teraz. Na wizytę na policji było zdecydowanie za wcześnie. Bo co im mogłem przynieść? Moje podejrzenia wywołane prasowym wywiadem prezesa? Wysmialiby mnie i zbyli, przecież dla nadkomisarza Kozłowskiego i aspiranta Gruszki byłem zwykłym psycholem, który bawił się w detektywa. Nie, na policję nie było na razie po co iść. Najpierw musiałem ustalić cokolwiek pewnego.

Cieężko dysząc u końca biegu, przypomniałem sobie, że skoro dziś środa, to jutro mam umówioną wizytę w Farb-Roku. Rozgrywałem ją w myślach od kilku dni.

...

Aby umówić się na spotkanie z szefem fabryki potężnego koncernu, użyłem podstępu. Zadzwoiłem do sekretariatu prezesa Handtkiego i przedstawiłem się jako Jan Bąk, przewodniczący Społecznego Komitetu Ochrony Środowiska. Nazwę organizacji wymyśliłem naprędce, nie zastanawiając się specjalnie nad tym, czy brzmi poważnie. Celowo nie podałem, czy to szacowne ciało działa w Poznaniu, Zielińcu, czy gdziekolwiek indziej. Pomyślałem, że w razie dekonspiracji trudniej będzie ustalić, skąd dzwoniłem.

Miałem powody do zadowolenia, bo poszło o wiele prościej, niż sądziłem. Sądząc po głosie, odebrała młoda sekretarka.

– Farb-Rok Poznań, sekretariat prezesa zarządu. – Usłyszałem w słuchawce szczebiot osoby najwyraźniej dumnej z frazy, którą wymawia wielokrotnie w ciągu dnia.

– Dzień dobry, mówi Jan Bąk. Jestem przewodniczącym Społecznego Komitetu Ochrony Środowiska. – Łgałem jak z nut. – Mam nadzieję, że słyszała pani o naszej inicjatywie?

– Tak, tak. Oczywiście. – Osoba po drugiej stronie ożywiła się, jakby moje pytanie dało jej szansę potwierdzenia swojej ważności. – W czym mogę panu pomóc?

Czekałem na to pytanie, jak Piłsudski na Rosjan pod Warszawą.

– Szanowna pani, bardzo zależy mi na spotkaniu z panem prezesem Handtkem...

– W sprawie? – Weszła mi w słowo.

– W sprawie konsultacji społecznych związanych z przyszłością użytków ekologicznych w naszej dzielnicy. – Brnąłem dalej dość bezczelnym tonem.

Szło mi o tyle łatwo, że po przeczytaniu dziesiątków artykułów o Farb-Roku

miałem w pamięci wszystkie mądre sformułowania związane z ekologią.

– Taaak? – Sekretarka prezesa natychmiast się usztywniła. – A czy mógłby pan powiedzieć coś więcej na temat tych... konsultacji?

– Oczywiście. – Ucieszyłem się w duchu, bo pytanie przedstawicielki szefa Farb-Roku zdawały się sugerować, że rybka połknęła haczyk. – Otóż rzecz dotyczy dwóch stawów położonych w naszej najbliższej okolicy. Chodzi o oczyszczenie ich dna ze zwiędłych liści, co przełoży się oczywiście na czystość akwenów i poprawi, że się tak wyrażę, życie w stawach. Pani rozumie, co mam na myśli?

– Eee, chyba tak – odpowiedziała niepewnym głosem sekretarka. – Ale... jaki związek z tymi stawami ma nasza firma?

Bingo! Z radości aż podskoczyłem.

– Sądźmy, że tak poważna marka zechce się dorzucić do tego przedsięwzięcia – wyrecytowałem zawczasu przygotowaną formułkę. – Taki szlachetny gest na pewno wpłynie na postrzeganie Farb-Roku w Poznaniu. To przecież okazja, żeby zademonstrować przywiązanie do zasad ekologii i...

– Tak, tak. Oczywiście! – Sekretarka błyskawicznie zrozumiała, z jaką wspaniałą ofertą dzwonię. – Czy będzie pan sam, czy z... komitetem?

Zastrześliła mnie tym pytaniem, zacząłem się plątać.

– Z komitetem... To znaczy sam – wypaliłem.

– Rozumiem. – Ton głosu sekretarki świadczył o tym, że sprawa znalazła się na dobrej drodze. – Co ja tu mogę panu zaproponować...

Usłyszałem szelest kartek biurkowego kalendarza. A potem stukanie ołówkiem w blat biurka.

– Proszę pana, prezes przyjmuje interesantów w środy. Wprawdzie w najbliższą środę ma już rozpisane wszystkie spotkania, ale... Wczoraj zadzwonili z przedszkola w Swarzędzu, że chcieliby przesunąć wizytę pani dyrektor z trzynastej na trzynastą trzydzieści. Jeśli więc zmieściłby się pan w tej połowie godziny, to...

– Pół godziny w zupełności mi wystarczy. – Zapewniłem sekretarkę prezesa Handtkego.

– Dobrze, zapisuję zatem pana godność. Pan Jan Bąk, Społeczny Komitet Ochrony Kraju...

– Raczej środowiska. – Sprostowałem łagodnie.

– Ależ oczywiście, że środowiska. – Sekretarka roześmiała się radośnie i zapewne poprawiła w kalendarzu nazwę lipnej organizacji. – Proponuję zatem środę o godzinie trzynastej. Co pan na to?

– Dziękuję, szanowna pani. Jestem szczęśliwy.

– Zatem do zobaczenia w środę, panie Bąk! Dziękuję za telefon.

– Do widzenia.

Umówienie spotkania z prezesem okazało się dziecinnie proste, ale wysiadając z auta zaparkowanego przed efektownym szklanym biurowcem



Farb-Roku, miałem duszę na ramieniu. I to duszę ciężką jak Titanic. Nie tyle z powodu fałszywych danych, jakie podałem, umawiając się na spotkanie, ile z obawy o to, jak przyjmie mnie Handtke. W końcu wcale nie zamierzałem go wcale namawiać na sponsorowanie akcji oczyszczania stawów. Chciałem zapytać go raczej o sprawy ostateczne. A sama rozmowa nie zapowiadała się łatwo i przyjemnie.

Szybko jednak mój strach ustąpił miejsca rozczarowaniu. Gdy wjechałem windą na drugie piętro i przekroczyłem próg sekretariatu, przywitały mnie wielkie ze zdziwienia oczy ładnej blondynki w żakiecie koloru morza.

– A to do pana nie zadzwonili? – zapytała mnie już od progu.

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Ojej, koleżanka musiała o panu zapomnieć! – Sekretarka zdawała się szczerze zmartwiona. – Najmocniej przepraszam, ale pan prezes musiał odwołać wszystkie dzisiejsze spotkania z powodu pilnego wyjazdu na konferencję branżową na Opolszczyźnie. Strasznie mi przykro, że się pan do nas fatygował...

– Mnie również – mruknąłem zbity z tropu. – A gdzie ta konferencja, jeśli wolno zapytać?

– W Mosznej. Wie pan, gdzie to jest? Mają tam piękny pałac, w którym co jakiś czas organizują spotkania dla biznesu...

Byłem zły i nie potrafiłem tego ukryć. Tyle starań i podchodów, a na koniec nici ze spotkania!

– I co mi teraz pani radzi? – zapytałem, by nie zdradzić rozdrażnienia.

– Hm... – Piękna sekretarka zagryzła wargi. – Szef wraca z konferencji w niedzielę, w firmie będzie w poniedziałek... Ale zaraz, zaraz... – Spojrzała w kalendarz. – W poniedziałek jedzie do Warszawy, a stamtąd natychmiast leci do Monachium. W Poznaniu będzie... za dwa tygodnie. To może lepiej umówię pana w sierpniu? Na przykład dziewiątego o dwunastej?

– Dobrze, niech mnie pani zapisze – mruknąłem bez przekonania.

W końcu umawiałem spotkanie prezesa Farb-Roku z fikcyjnym Janem Bąkiem, na które wcale nie musiałem się stawić. Tym bardziej, że w głowie zaświtał mi inny, zupełnie straceńczy pomysł. Samobójcza szarża naszych szwoleżerów pod Somosierrą w 1808 roku wydała mi się przy nim betką.

...

Gdyby akurat nie było lata i nie miałbym wolnego, nigdy nie wybrałbym się na Opolszczyznę. Tak się jednak złożyło, że tego roku moje wakacje nie miały żadnego planu. Poddały się więc potrzebie chwili. A może raczej popłynęły z prądem. Bo że to zrobię, wiedziałem już w sekretariacie prezesa Farb-Roku.

Podróż zajęła mi nieco ponad cztery godziny. Czyli dokładnie tyle, ile pokazał wcześniej internetowy program wybierający trasę. Najgorzej jechało się do

Wrocławia, bo budowa szybkiej „piątki” pocięła drogę między Rawiczem i stolicą Dolnego Śląska na kawałki. Ale gdy już mój stary ford uporał się z najgorszym odcinkiem, na autostradowej obwodnicy Wrocławia mógł się rozhulać i doładować lekko zmurszały akumulator. Zwłaszcza że przez następną godzinę jechałem autostradą.

Gdy zjechałem z A-4 i zagłębiłem się w opolską prowincję, rzuciły mi się w oczy dwujęzyczne nazwy miejscowości. Przypominały, że mieszkają tu przedstawiciele mniejszości niemieckiej. Przez szybę auta widziałem zadbane domy i wypielegnowane kwiaty. W końcu wjechałem do niewielkiej miejscowości, którą zapowiadała tabliczka z nazwą Moszna – Moschin. Do dziewiętnastowiecznego eklektycznego pałacu, uchodzącego za jeden z najładniejszych w Polsce, skręcało się w prawo, w stronę rozległego zespołu parkowego.

Budowla, nie wiadomo dlaczego nazywana zamkiem, a w całej Polsce reklamowana dziewięćdziesięcioma dziewięcioma wieżami i trzysta sześćdziesięcioma pięcioma pomieszczeniami, stanowiła kaprys pruskiego przemysłowca z tytułem hrabiowskim o świeżej metryce, który postanowił rzucić na kolana innych ówczesnych nowobogackich. Strzeliste wieże przywodziły na myśl czołówkę filmów Disneya. A może raczej Hogwart z książek o Harrym Potterze. Podjeżdżając do masywnej bryły pałacu, na łące obok dostrzegłem grupkę młodych adeptów sztuki tajemnej, ganiających w czarnych pelerynach z różdżkami w dłoniach. Najwidoczniej ruszył kolejny turnus dla najmłodszych turystów, wykorzystujący bajkowy potencjał pałacu.

Miałem niewątpliwie dużo szczęścia. Zamówienie z dnia na dzień pokoju w tym oryginalnym przybytku graniczyło z cudem. A jednak taki cud się zdarzył, choć okupiony drobną niedogodnością. Musiałem przystać na pokój bez łazienki. Nie przerażała mnie jednak wizja wspólnej toalety dostępnej z korytarza. Nie przyjechałem tu przecież dla wygody.

Jak na wielką biznesową konferencję, o której wspomniała sekretarka prezesa, na pałacowym parkingu stało zaskakująco niewiele samochodów. A tylko jednego z nich – czarnego mercedesa na wrocławskiej rejestracji – można by zaliczyć do parku maszynowego biznesowej elity. Może biznesmeni mieli w programie wycieczkę? – zastanawiałem się, wnosząc swoją torbę do holu o efektownym, kolebkowym sklepieniu. Z Mosznej blisko przecież w góry, a tym bardziej do Czech. Może prezesi i dyrektorzy wyskoczyli za granicę, by wypić sobie staropramena albo inną holbę?

– Pana godność? – odezwała się jedna z dwóch młodych kobiet pracujących w recepcji.

Gdy podawała mi klucz do pokoju, zapytałem:

– Przepraszam, a ta konferencja biznesowa, to gdzie? Bo spóźniłem się nieco

i nie chciałbym tracić czasu na poszukiwania...

Zaskoczona mina i wielkie oczy recepcjonistki mogły świadczyć o dwóch sprawach: albo konferencja była ściśle tajna, albo... zadałem pytanie z kosmosu.

– Jaka konferencja? – odpowiedziała pytaniem.

I wtedy zrozumiałem, że trafiłem na ślad jakiejś ściemy.

– Biznesowa – odpowiedziałem, żeby nie wyjść na idiotę.

– Ostatnią mieliśmy w czerwcu – odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem sympatyczna blondynka. – Chyba spóźnił się pan nieco bardziej, niż pan myśli.

Obie recepcjonistki zachichotały ubawione własnym dowcipem.

– Pewnie ma pani rację – odpowiedziałem przez zęby.

Wziąłem klucz i ruszyłem bez przekonania ku swojemu pokojowi. Właśnie zrozumiałem, że ktoś mnie zrobił w balona. I że zapewne przejechałem te trzysta kilometrów zupełnie bez sensu. Kobiety z recepcji nadal chichotały za moimi plecami. A mnie wcale nie było do śmiechu.

## 13.

### Rozterki kretyna

Pokój okazał się lepszy, niż się spodziewałem. Wysoki sufit, stolik z wodą i szklanką, wygodne łóżko i staroświeckie meble przydawały mu nieco szlachetności. Jedyńm łącznikiem ze współczesnością był cieniutki telewizor LCD, przytwierdzony do ściany na wprost łóżka. Gdyby nie on, miałbym wrażenie, że trafiłem do hotelu z epoki Gomułki.

Pierwsze, co zrobiłem po opadnięciu na łóżko, to włączyłem mój smartfon i wszedłem w Internet. „Konferencja” – „biznes” – „Moszna” – wpisałem trzy hasła w Google’a, zawęziłem w narzędziach wyszukiwania datę do ostatniego tygodnia i uruchomiłem wyszukiwanie.

Wyników było przynębiająco mało. Żaden nie odnosił się do imprezy, która rzekomo miała się odbywać w pałacu, w którym właśnie przebywałem. Znalazłem za to kilka opisów konferencji z czerwca, zapewne tej, o której wspomniały recepcjonistki. Dorzuciłem do okienka wyszukiwarki hasła „Farb-Rok” i „Handtke”, ale nie znalazłem żadnej wzmianki o jakimkolwiek związku łysego prezesa z miejscem, do którego trafiłem.

Zakląłem szpetnie. Czyżbym naprawdę okazał się jeleniem? Czyżby sympatyczna sekretarka prezesa okłamała mnie, nie mrugnawszy okiem? Nie chciało mi się w to wierzyć, wypowiedziała przecież swoją kwestię w bardzo naturalny sposób. Poza tym, gdyby chciała się mnie po prostu pozbyć, nie wymieniałaby chyba nazwy miejscowości, do której miał się wybrać jej szef...

Z podobnymi myślami biłem się do obiadu. Głód i wątpliwości wypędziły mnie z pokoju. Idąc po schodach na parter, do zamkowej restauracji, rozglądałem się wokół z nadzieją, że gdzieś wśród turystów zobaczę dobrze mi już znaną z Internetu twarz. Mijając grupę chętnych do zwiedzenia obiektu, którą witał sympatycznie wyglądający przewodnik, tak się na nią zapatrzyłem, że omal nie zderzyłem się z pracownicą restauracji, niosącą coś na tacy na piętro.

– Przepraszam – bąknąłem, unikając w ostatniej chwili katastrofy.

W nienaturalnie białej restauracji z pseudobarokowymi zdobieniami na ścianach i sufitach z goryczą zjadłem schabowego. Nie znalazłem w niej oczywiście prezesa. Nie było go też w parku okalającym zamek od północy. Najwyraźniej zostałem wystawiony do wiatru. Tylko przez kogo? I dlaczego?

Przez popołudnie miotalem się wokół osobliwej budowli, chcąc nie chcąc, przyglądając się fanaberii pewnego dziewiętnastowiecznego hrabiego, który uparł się, by w jednym zamku zmieścić wszystkie historyczne style architektoniczne. Mieszanka gotyku z renesansem i barokiem świetnie prezentowałyby się zapewne

w oku kamery – zresztą przed wyjazdem znalazłem wzmiankę, że kręcono tu sceny do filmu *Daas* – mnie jednak drażniła, żeby nie powiedzieć: wkurzała. Nie dość, że mój wyjazd okazał się nieporozumieniem, to jeszcze musiałem krążyć dookoła zabytku, który budził we mnie mieszane uczucia estetyczne. Biała rzeźba kościotrupa, widoczna pod dachem najwyższej wieży, wydała mi się zupełnym kiczem.

Obiekt podobał się za to turystom. Grupki fotografujące z wielkim zacięciem ten wybująły kwiat eklektyzmu biegały wokół pałacu, szukając najlepszych plenerów. Nie potrafiłem wykrzesać z siebie podobnego entuzjazmu. Byłem zły, że cała ta wyprawa, która miała popchnąć moje dochodzenie do przodu, okazała się warta tyle, co funt kłaków.

Zdaje się, że dziewiętnastowieczny właściciel zamku miał hopla na punkcie Wenecji. Około stuhektarowy park położony na północ od budowli zryty był kanałami, przez które niegdyś przerzucono liczne lekkie mostki. Skomplikowany system tam spiętrzał w razie potrzeby wodę, by towarzystwo mogło sobie popływać łódkami niczym weneckimi gondolami. To się bawili w wieku pary i elektryczności! – zgrzytałem zębami, przechadzając się po parku w coraz słabszej nadziei, że gdzieś pośród drzew i krzewów dojrzę krągłą sylwetkę mężczyzny z wygoloną głową. Nadzieja umarła ostatecznie wieczorem, gdy postępujący chłód i komary przegoniły mnie do mojego pokoju.

•••

Byłem tak zły, że nie chciało mi się nawet schodzić na kolację. Zmusiłem się – ciągle wierząc, że spotkam w restauracji prezesa Handtkego. Tkwiłem przy stole i piwie jak samotny biały żagiel. Skapitulowałem około dwudziestej pierwszej.

Zamknąłem drzwi pokoju na klucz i rzuciłem się na łóżko. Było mi wszystko jedno. Czułem się jak zbity pies, a może raczej jak zawodnik sumo, wypruty z sił po wyjątkowo ciężkiej walce. Moje nogi domagały się odpoczynku, a zmęczenie przydusiło mnie do poduszki...

Pewnie bym zasnął jak grzeczne dziecko wraz z zapadającym za oknem mrokiem, gdyby nie dźwięk telefonu.

Dzwonił Marek, mój kolega matematyk.

– Widzisz to?! – zapytał podekscytowanym głosem.

– Widzę ciemność – wyznałem zupełnie szczerze.

– Ha, ha, ha! Ale śmieszne! – warknął, a ja uświadomiłem sobie, że odpowiedziałem tekstem z *Seksmisji*, jego ulubionej komedii. – Oglądasz telewizję, baranie?

Zdziwiłem się, bo Marek rzadko bywał tak obcesowy.

– Jaką telewizję? – jęknąłem.

– Włącz *Ekspres Reporterów*! Na dwójce, jakbyś nie wiedział...

Z trudem namacałem pilota na nocnej szafce i włączyłem telewizor. Na dwójce rzeczywiście emitowano *Magazyn Ekspresu Reporterów*. Na ekranie zobaczyłem dobrze mi znaną twarz mężczyzny w mundurze. Policyjnym mundurze.

Nadkomisarz Kozłowski – jak dowiedziałem się z paska u dołu ekranu: Andrzej Kozłowski – prezentował się tak samo pewnie, jak wtedy na komendzie, kiedy zdecydowanym tonem zakazał mi opuszczania miasta. Widząc go, uświadomiłem sobie, że złamałem zakaz – ale machnąłem na to ręką. Przecież to było kwartał temu! Nadkomisarz stał przed reporterem *Ekspresu* i z miną pokerzysty informował o postępach śledztwa dotyczącego „zabójstwa Jana K. w parku nad Cybiną”. Jako przebitki prezentowano policyjne zdjęcia z miejsca zbrodni.

Musiałem nacisnąć raz jeszcze na pilota, by lepiej słyszeć bohatera reportażu.

– *...Tak więc obecnie nie wykluczamy żadnej z możliwości* – podsumował dłuższy wywód nadkomisarz Kozłowski, poprawiając ruchem dłoni daszek swojej czapki.

Czyli jednak się denerwuje, pomyślałem.

– *Jakie możliwości wchodzi w grę, panie nadkomisarzu?* – zapytał dziennikarz.

– *Na obecnym etapie śledztwa nie mogę o tym mówić. Sam pan rozumie, dla dobra sprawy nie ujawniamy jej szczegółów...*

– *Nie jest jednak tajemnicą, że zamordowany był znanym dziennikarzem w Zielińcu. Czy policja bada wątek ewentualnej zemsty za niewygodne publikacje Jana K.?* – Reporter nie dawał za wygraną.

Zamarłem w oczekiwaniu na odpowiedź. Czyżby policja i dziennikarze również wiedzieli o pogroźkach prezesa Farb-Roku?

– *Nic mi nie wiadomo o takich publikacjach* – wyznał Kozłowski, a ja odniosłem wrażenie, że powiedział to wyjątkowo szczerze. – *Co nie oznacza, że nie sprawdzamy wszelkich poszlak. Denat prowadził aktywne życie zawodowe i jego dokonania oraz kontakty są przez nas wnikliwie analizowane.*

Reporterski mikrofon zbliżył się do twarzy nadkomisarza, jakby dziennikarz chciał go dosłownie docisnąć do ściany komendy. Kozłowski chrząknął nerwowo.

– *A czy analizowany jest także wątek związany z dalszą przeszłością denata?*  
– Padło pytanie zza kamery.

– *To znaczy?*

– *To znaczy, czy śmierć Jana K. mogła mieć związek z jego działalnością opozycyjną w czasach PRL? Czy badacie ten wątek?*

Nadkomisarz Kozłowski uśmiechnął się sztucznie.

– *Nie jestem pewien, czy rozumiem pana pytanie* – odpowiedział. – *Sugeruje*

pan, że Jan K. został zamordowany, ponieważ był znaczącą postacią Solidarności?

– Nie sugeruję, tylko pytam, panie nadkomisarzu. Chcę wiedzieć, czy śledztwo koncentruje się wyłącznie na ostatnich latach życia denata, czy dotyczy również jego działalności w czasach PRL...

– Nie widzę związku. – Kozłowski uciał temat.

Ale dziennikarz okazał się wyjątkowo uparty.

– Czyli nie badacie dalekiej przeszłości Jana K.? – Nie odpuszczał.

– Nie potwierdzam i nie zaprzeczam. Musi pan zrozumieć, że dobro śledztwa wymaga od nas...

Przestałem słuchać policyjnej nowomowy. Z wypowiedzi Kozłowskiego wynikał jeden prosty wniosek: policja nie miała nic. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Choć nie mogłem wykluczyć, że nadkomisarz blefował.

Chwyciłem telefon.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytałem.

– No pewnie. Czekałem, co powiesz...

– A co mam powiedzieć? Sam widziałeś. Chyba nic nie wiedzą. Albo nie chcą powiedzieć.

– Myślę, że to drugie... – Marek na moment zawiesił głos. – A tak *à propos*: gdzie ty właściwie jesteś? Byłem dziś u ciebie, ale twój sąsiad powiedział, że wyjechałeś na wakacje.

– To prawda, Mareczku – mruknąłem, zastanawiając się, jak w bezkonfliktowy sposób spławić przyjaciela.

Nie miałem zamiaru opisywać mu bezmiaru idiotyzmu, w jaki zamieniła się moja śledcza wyprawa na Opolszczyznę.

– Dziwnie tajemniczy się zrobiłeś, Bodziu.

– Wydaje ci się.

– Jakaś dziewczyna?

– E tam, nudny jesteś.

– To gdzie jesteś?

– Opowiem ci, jak wrócę.

– O! Czyli jednak się nie poddałeś, brachu?

– Wszystko w swoim czasie, przyjacielu – powiedziałem i rozłączyłem się.

Jeszcze nigdy nie robiłem tak dobrej miny do tak złej gry.

...

Jak na podły nastrój, towarzyszący mi podczas pierwszego dnia pobytu w Mosznej, tej nocy spałem wyjątkowo smacznie. Być może była w tym zasługa piwa wypitego do kolacji. A może po prostu byłem zmęczony poszukiwaniami mitycznego prezesa.

Obudziłem się około ósmej rześki i pełen zapachu. Natychmiast podbiegłem

do okna. Mój pokój znajdował się na drugim piętrze, nad głównym wejściem do części hotelowej zamku. Z okna rozpościerał się doskonały widok na parking dla gości.

Nie odniosłem wrażenia, by liczba aut się zwiększyła. Raczej ich ubyło. Nie dostrzegłem też żadnego wozu z poznańską rejestracją – oczywiście poza moim eskortem. Przy srebrnej skodzie octavii z Wrocławia prezentował się nader godnie, nawet mimo rdzewiejącego nadkola.

Służbowy wóz Handtkego mógł mieć warszawską rejestrację, przemknęło mi przez głowę. Raz jeszcze wychyliłem się przez parapet. Na wprost wejścia stał jeden jedyny wóz z rejestracją rozpoczynająca się na W. Był to jednak czerwony peugeot dwieście siedem. Trudno było przypuszczać, by akurat nim przyjechał szef zakładu zachodniego koncernu. Może jednak pozory mylą?

Kiedy rezerwowałem pokój, wykupiłem pakiet dwóch noclegów ze śniadaniami. Poszedłem więc na poranny posiłek. Obsługa hotelu – kilka młodych dziewczyn w jednakowych służbowych strojach – przygotowała je w największej sali na tym samym piętrze. Gorąca kawa, świeże pieczywo i smaczna jajecznica postawiły moje psychiczne samopoczucie na nogi. Nie wiem dlaczego, ale z każdym kolejnym łykiem płynnej kofeiny nabierałem ochoty na dalsze poszukiwania. Może sprawił to wczorajszy program w telewizji? Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że policja nie wiedziała, co powinna zrobić. Niby nie wykluczała wszelkich możliwości, z zemstą za publikacje Kucharskiego włącznie, ale najwyraźniej nie miała mocnych punktów zaczepienia. Tak przynajmniej wyczytałem z miny nadkomisarza Kozłowskiego. Tylko z pozoru wydawał się on pewny swego. W oczach policjanta dostrzegłem coś na kształt strachu. A może po prostu byłem wczoraj zbyt zmęczony i własne projekcje brałem za rzeczywistość?

Wilczy apetyt wzięłem za oznakę chęci do walki. Skoro mój organizm wchłonął w siebie wielkie ilości jajecznicy na kiełbasie, piątą już kromkę z okładem, a w dodatku zażył sobie drugą filiżankę kawy, to znaczy, że może jeszcze nie wszystko stracone. Że mój wewnętrzny zegar biologiczny zbierał siły i energię, by zmobilizować się do jeszcze jednego wysiłku. Poczuję się znowu panem sytuacji. Może jednak ten wyjazd okaże się produktywny? Może dopadnę w końcu tego łysola i wyciągnę z niego, dlaczego zlecił zabójstwo Kucharskiego?

Opity kawą i naładowany dobrymi chęciami wyruszyłem na kolejny obchód zamku. Po drodze dwa razy zahaczyłem o toalety – nerki działały sprawnie. Wpadł mi do głowy niecny pomysł, by jakimś sposobem przechytrzyć dwie sympatyczne kobiety w recepcji i zajrzeć do książki gości. Niewiele się namyślając, zszedłem do holu i przysiadłem na ławeczce, wyczekując na okazję. Wyszło jednak na to, że jestem naiwniakiem i głupcem. Dwie recepcjonistki, które poprzedniego dnia powitały mnie drwiącym tonem, praktycznie nie opuszczały swojego miejsca za szeroką na dwa metry ladą. Cały czas były w ruchu: przyjmowały nowych gości,



wydawały klucze, odbierały je, sprzedawały pamiątki, rozmawiały przez telefon i przyjmowały rezerwacje, udzielały też informacji turystom, którzy zamierzali zwiedzić zabytek z przewodnikiem.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy po prostu nie podejść do jednej z nich i nie zapytać, w którym pokoju zatrzymał się Krzysztof Handtke. Uznałem to jednak za idiotyczny pomysł. Co bym powiedział: że to mój przyjaciel i nie mogę go odnaleźć? Dziś, w dobie Facebooka, telefonów komórkowych i smartfonów? „A dlaczego pan do niego nie zadzwoni?” – zapytałaby mnie na pewno. Ładnie bym wyglądał!

Minęła godzina z hakiem. W holu kłębił się spory tłumek, czekający na przewodnika. Zrozumiałem, że nie ma szans zajrzeć *incognito* do księgi meldunkowej. Boże, jakich beznadziejnych pomysłów chwytają się tonący! Podniosłem się wolno z ławki i poszedłem do restauracji.

Była jeszcze pusta, krzatali się w niej tylko pracownicy lokalu. Spojrzeli na mnie na tyle niechętnie, że wycofałem się na korytarz. Nie pozostało mi nic innego, jak wyjść na zewnątrz.

Wokół podłużnego stawu przy wejściu do parku zastałem kilka młodych par, fotografujących tnące wodę kaczki lub liczących głośno zamkowe wieże i wieżyczki.

– Osiemnaście, dziewiętnaście... Dwadzieścia! E, w przewodniku chyba bujają. Na pewno nie ma dziewięćdziesięciu dziewięciu! – Denerwował się sympatyczny grubasek, obejmujący swoją dziewczynę.

– No coś ty, Adrian! W przewodniku nie podawaliiby nieprawdy. – Obruszyła się jego sympatia, pucułowata nastolatka w koszulce z odważnym dekoltem.

– Ależ wy macie problemy – mruknąłem sam do siebie, kierując się w stronę parku.

Znowu szedłem główną aleją, stanowiącą oś symetrii, a może raczej kręgosłup potężnego parku. Po obu stronach ciągnęły się kanały wypełnione stojącą zieloną wodą – pozostałość po weneckim bziku dziewiętnastowiecznych niemieckich ziemian. Na ich obrzeżach rosły ogromne, nieco zdziczałe rododendrony. Kiedyś, ponad sto lat wcześniej, musiało tu być naprawdę pięknie, pomyślałem. Oczyma wyobraźni zobaczyłem damy w zwiewnych sukniach, siedzące na łódkach popychanych wiosłami przez mężczyzn w nienagannie skrojonych surdutach i płaszczach. Niestety, nigdzie nie zobaczyłem przedstawiciela wyższej klasy zarządzającej z początków dwudziestego pierwszego wieku.

Optymizm wyparował ze mnie ostatecznie około dwunastej, gdy dotarłem do czworokątnego obelisku zamykającego alejkę od północy. Jak informowała tablica z różowego marmuru, przytwierdzona do cokołu, przed wojną w tym miejscu stał

pomnik Huberta Tiele-Wincklera, protoplasty rodu właścicieli Mosznej. Trzymetrowa postać z brązu została zdemontowana i zniszczona wcale nie przez zamieszkujących zamek w 1945 roku Rosjan, ale przez Polaków w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku...

Zamiast zadumać się nad tym, że historia rzadko bywa czarno-biała, czułem złość. Ani razu podczas mojego spaceru w leśnej gęstwinie nie błysnęła żadna łysa głowa! Zostawiłem obelisk za sobą i skręciłem w lewo. Przechodząc jednym z wielu mostków, przerzuconych przez zarastający kanał, łagodnym łukiem obszedłem zamek, dochodząc do zabudowań pobliskiej stadniny.

Jak przeczytałem poprzedniego dnia na pamiątkowej tabliczce na murze zamku, za komuny mieściło się tu Centrum Terapii Nerwic. Zacząłem żałować, że lecznica nie przetrwała do naszych czasów. Na pewno podaliby mi na miejscu niejeden specyfik, który natychmiast ukoiłby moje zszargane nerwy...

Poczułem charakterystyczny zapach słomy i końskich odchodów. Zrezygnowany przystanąłem przy drewnianym ogrodzeniu, obserwując trening młodych jeźdźców. Sprawiali wrażenie dumnych i pełnych werwy. Widząc ich radość, poczułem się starym, bezużytecznym kapciem. Takim z dziurą w miejscu dużego palca, wyrzuconym na śmietnisko z powodu nieprzydatności. Kapciem, któremu zamarzyło się zostać szlachetnym butem z ostrogą. Tyle że ostroga okazała się zrobiona ze słomki.

Westchnąłem i zmusiłem raz jeszcze nogi do ruchu. Zrobiłem wielkie koło, obchodząc zamek tym razem od południa. Zajrzałem nawet nad staw, osłaniający eklektyczną budowlę od wschodu. I znowu klapa. Ani śladu prezesa. Z poczuciem niewymownej klęski wróciłem do zamku na obiad.

•••

Jestem kretynem – uznałem w swoim pokoju, zanim uciałem sobie poobiednią drzemkę. A drzemało mi się źle. Złość wprost mnie rozsadzała. Złość na siebie samego. Na własną głupotę. Zrozumiałem, że moje działania to czysta amatorszczyzna. Że podpaliłem się, wierząc, że mam w tej sprawie coś do dodania od siebie. Że byłem naiwny – a jednocześnie niewyobrażalnie pyszny, skoro uważałem, że moim powołaniem jest wytropienie zabójcy Jana Kucharskiego; Bogu ducha winnego gburowatego biegacza, który nawet nie odmachnął mi ręką, kiedy mijałem go na leśnej ścieżce. Nie, moim powołaniem było uczyć dzieci historii. Ściganiem przestępców niech się zajmą prokuratorzy i policjanci!

Resztę dnia spędziłem w pokoju, przerzucając kanały za pomocą pilota. Gdyby nie transmisja z olimpiady w Rio, która przeciągnęła się do wieczora, pewnie spakowałbym manatki i jeszcze tego samego dnia wyjechał do domu. I tylko srebrny medal Mai Włoszczowskiej, naszej wspaniałej kolarzki górskiej, osłodził nieco gorzkość mojej osobistej porażki.



## 14.

Ile chcesz, łobuzie?

A jednak prezes Krzysztof Handtke bawił w pałacu!

Dostrzegłem go jeszcze tego samego dnia wieczorem, gdy z kwaśną miną siedziałem za stołem restauracji i popijałem Tyskie, poprawiając trawienie rolady śląskiej z kluskami w sosie pieczeniowym. Całe szczęście, że zjadłem już wszystko, bo niechybnie udławiłbym się kawałkiem mięsa. Łysy jak kolano szef Farb-Roku wszedł na salę restauracyjną, rozglądając się czujnie na boki. Jego wyteżona uwaga szybko stała się całkowicie zrozumiała: stateczny mąż i ojciec czwórki dzieci prowadził za rękę o połowę od siebie młodszą blondwłosą pannę w zdecydowanie skromnym wdzianku, podkreślającym atuty jej ogromnego biustu i zjawiskowo długie nogi.

– O cholercia – mruknąłem sam do siebie, starając się spuścić wzrok i udawać kompletnie niezainteresowanego tą sceną. Zważywszy na ożywienie wśród męskiej części klienteli, wypadłem wyjątkowo nienaturalnie.

Handtke zdawał się nie dostrzegać mojej wpadki. Zdecydowanym ruchem poprowadził dziewczynę, która z powodzeniem mogłaby być jego córką, do stolika, z którego roztaczał się miły widok na wnętrze przylegającej do restauracji pałacowej oranżerii. Zachowywał się jak macho, który wie, co robi, i ma wszystko pod kontrolą. Po chwili oboje zatopili wzrok w kartach dań.

A jednak! Sekretarka nie skłamała, mówiąc o wyjeździe szefa do Mosznej! Może nawet uwierzyła w te brednie o konferencji biznesu, zamawiając szefowi pokój? Stało się dla mnie jasne, że prezes nie przyjechał tu z obowiązku, ale dla przyjemności. Przyjemność miała przymilny, wcale niewymuszony uśmiech i co jakiś czas czule głaskała szefa Farb-Roku po dłoni. Zacząłem główkować, jak podejść prezesa. Rozmowa w obecności jego laleczki zdecydowanie odpadała – nie chciałem żadnych świadków. Nie wiedziałem, kim jest ta ponętna babka, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że była związana z Handtkem nie tylko prywatnie, ale również zawodowo. A jeśli to jedna z jego sekretarek albo asystentek? Nie, nasze spotkanie nie mogło stać się publiczną tajemnicą. Zwłaszcza rozmowa na taki temat!

Musiałem być mocno zmęczony, skoro jedno piwo znieczuliło we mnie wszelkie zdroworoządkowe odruchy. Zapomniałem, co mi grozi, i szaleńczo – bez żadnej asekuracji – snułem pomysły, w jaki sposób spotkać się z prezesem sam na sam.

Muszę ustalić, w którym mieszka pokoju, przemknęło mi przez głowę. Zapytać o to wesołe recepcjonistki? Nie, na szczęście byłem jeszcze wystarczająco

trzeźwy. Działalem przecież w konspiracji, nie mogłem więc dać plamy. Podejść kobiety w recepcji i sprawdzić to nielegalnie, podstępem? Ale po co, skoro... mogę się pofatygować za śledzoną parą?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Można więc było przypuszczać, że po kolacji prezes zechce się nacieszyć tą piękną chwilą w swoim apartamencie. Sądząc po jego maślanym spojrzeniu, błędzącym w dekolcie blondynki, miał apetyt nie tylko na pieczeń ze schabu, którą pałaszował w iście olimpijskim tempie.

Uregulowałem rachunek za moją roladę i siedziałem nadal grzecznie, udając zainteresowanie kartą deserów. Trochę to jednak trwało, bo partnerka prezesa po kolacji zażyczyła sobie lampkę wina. Zanim skończyła ją sączyć, zrobiła się prawie dwudziesta pierwsza. Handtke rzucał co jakiś czas czujne spojrzenia po sali, która pustoszała z każdą minutą. Jak tak dalej pójdzie, zostanę jedynym klientem poza nimi. W dodatku bez żadnego zamówienia! – Spanikowałem.

W tym samym momencie prezes przywołał kelnerkę, uregulował rachunek i para podniosła się z krzeseł. Blondynka natychmiast przyłgnęła do mężczyzny, wieszając się na jego ramieniu. Na błogiej, pełnej zadowolenia twarzy prezesa wykwitł radosny uśmiech. Jego prawa dłoń spoczęła na biodrze wybranki i razem ruszyli ku schodom prowadzącym na piętro.

Odczekałem, aż znikną za przeszklonymi drzwiami restauracji, i niespiesznie wstałem od stołu. Leniwym krokiem ruszyłem za prezesem i jego lolitką.

•••

Hotel w zamku nie należał do najwyższej kategorii. Wystrój wewnątrz przypominał turystyczne przybytki z czasów schyłkowego PRL-u. Na korytarzach zachowano stare boazerie, a trzeszczący parkiet z pewnością nie był moim sprzymierzeńcem, gdy podążałem za osobliwą parą. Prezes szeptał swojej towarzysze coś na ucho, a ta śmiała się w głos, jakby właśnie usłyszała najlepszy dowcip w swoim życiu. A może najlepszą propozycję?

Niewiele mnie to w tamtej chwili obchodziło. Kluczowy był dla mnie numer pokoju, w którym zatrzymał się szef Farb-Roku. Zapowiadał się w nim upojny wieczór, więc szanse na spotkanie z prezesem w cztery oczy – nawet przypadkiem, na korytarzu – malały do zera. Ale przecież od czegoś musiałem zacząć. Dobrze wiedzieć, gdzie mieszka człowiek, z powodu którego tu przyjechałem.

Wbrew pozorom, Handtke nie zaprowadził swojej wybranki do jednego z najdroższych apartamentów, ale do zachodniego skrzydła zamku, w którym znajdowały się pokoje z łazienkami w cenach dostępnych dla zwykłych śmiertelników. A to cwaniak, maskuje się, pomyślałem. Łatwiej się ukryć w liczniejszym gronie średniaków niż w jednym z kilku apartamentów.

To był pokój numer trzysta trzydzieści pięć, na drugim piętrze, na samym

końcu długiego korytarza za rogiem, skryty nieco przed wzrokiem osób niepożądanych. Został najwyraźniej wybrany i zarezerwowany z pełnym rozmysłem, co wskazywało na zdolności logistyczne dojrzałego podrywacza. Facet musiał robić skok w bok nie pierwszy raz, skoro zaplanował to wszystko z tak dalece posuniętą ostrożnością.

Para była tak zajęta sobą, że przestałem się martwić rozsypującym się parkietem, który zdradzał moją asystę. Czule objęci, gruchając jak dwa gołąbki, ani razu nie obejrzelisię za siebie. Było to nawet zrozumiałe – w międzyczasie dłoń prezesa z biodra dziewczyny przesunęła się na jej pośladek. Ciągu dalszego za drzwiami pokoju mogłem się już tylko domyślać. Zgrzyt zamka w drzwiach zapowiadał, że tego dnia nasze podchody się skończyły.

Łagodnym łukiem, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń osób postronnych, skręciłem w lewo, ku głównym schodom zamku. Nie musiałem jednak z nich skorzystać. Tak się szczęśliwie złożyło, że mój skromny pokój z łazienką na zewnątrz mieścił się na tym samym piętrze! Wychodząc do toalety, miałem na widoku cały korytarz – aż po ostatni pokój numer trzysta trzydzieści pięć.

...

Kilka następnych godzin spędziłem właściwie na korytarzu. Usiadłem w starym, pamiętającym zapewne czasy Jaruzelskiego fotelu, stojącym w narożniku tego ciemniejącego tunelu, udając, że nadzwyczaj interesują mnie wieści z mojego smartfona. Prawdę mówiąc, internet działał fatalnie, ale wgapiąłem się w ekran, budując alibi wśród licznych hotelowych gości, wracających późną porą do swoich przytulnych gniazdek. Co jakiś czas rzucałem spokojne spojrzenie w stronę zachodniego krańca korytarza. Niestety, prezes jakoś nie kwapił się, by opuścić pokój rozkoszy.

Zdawałem sobie sprawę, że szanse na taki cud są beznadziejnie małe. Właściwie graniczyły z zerem, zważywszy na to, że godzinę wcześniej dosłownie rozbierał swoją towarzyszkę wzrokiem. Mimo to trwałem na posterunku, wierząc w wyjątkowe zdarzenie, które pomoże mi przybliżyć się do prawdy. W końcu w naszej historii przez duże „H” zdarzyło się już kilka niezłych cudów, włączając w to „cud nad Wisłą” (choć akurat tego endeckiego zwrotu nie lubiłem, bo dezawuował wysiłek polskiego żołnierza pod Warszawą w 1920 roku). Może i mnie się coś trafi?

Około dwudziestej trzeciej nie wytrzymałem i wstałem z niewygodnego fotela, by rozprostować kości. Pograżony w półmroku korytarz wydał mi się inspirujący do przechadzki. Lekko utykając, doszedłem po trzeszczącym parkiecie do okna zamykającego korytarz po stronie zachodniej. Zobaczyłem przez nie słabo oświetlony placyk ze stosem pociętego drewna kominkowego. Ale przecież nie ten

widok był dla mnie najważniejszy. Przechodząc obok drzwi pokoju zajmowanego przez prezesa i jego blondynkę, nadstawiłem ucha.

Usłyszałem radosne kobiece piski i – zdaje się – plusk wody, dobiegający prawdopodobnie spod prysznicza. No, no, no... Pan prezes niewątpliwie należał do ludzi czynu, którzy nie zwykli tracić czasu. Jakby to powiedział mój kumpel matematyk, szansa rozmowy na poważniejsze tematy malała w postępie geometrycznym.

Odchodząc od drzwi, poczułem wstyd. Zachowywałem się, jakbym był reporterem jakiegoś świerszczyka. Jeszcze tylko brakowało, bym wtargnął do pokoju i zaskoczył parę *in flagranti*, robiąc całą serię zdjęć! Mój Boże, czy naprawdę tak nisko upadłem?

Szybko wróciłem na fotel, do roli biernego obserwatora wydarzeń. Gdy ochłonałem, uznałem, że nie powinienem się jednak wstydzić. Nie przyjechałem tu przecież, by rejestrować miłosne igraszki Handtkego. Szło o niewyjaśnioną śmierć człowieka, a to usprawiedliwiała wszelkie metody. Zresztą, nie moja wina, że prezes okazał się łasy na kobiece wdzięki i przyjechał tu w konspiracji. Byłem ogonem, który za sobą pociągnął. A jak wiadomo, to pies macha ogonem – odwrotne przypadki zdarzają się nadzwyczaj rzadko...

Niemal przysnąłem w niewygodnym fotelu, a smartfon wypadł mi z rąk i z trzaskiem upadł na podłogę. Gdy się po niego schyliłem, na tarczy zegarka zobaczyłem, że minęła północ.

Cholera, siedzieć tu jeszcze czy dać sobie spokój? A jeśli odejdę, a on jutro rano wyjedzie, zanim wstanę? – rozmyślałem nieco chaotycznie. Późna pora nie sprzyjała szybkim decyzjom. I kiedy bliski już byłem wycofania się do mojego pokoju bez łazienki, w półmroku spowijającym koniec korytarz usłyszałem trzask przekręcanego w zamku klucza. Zamarłem zaskoczony. Nawet nie zdążyłem przyłożyć twarzy do ekranu telefonu, by znowu udawać surfowanie w Internecie. Który pokój? – tylko tyle zdążyłem pomyśleć.

To był prezes Farb-Roku. Poznałem go od razu po łysinie, która odbijała słabe światło lampy wiszącej pod sufitem jak mała latarka...

...

Nagle coś sobie przypomniałem. Coś, co powiedział mi ten osiłek Grzesiu, który niedaleko miejsca zabójstwa dobierał się do Mariolki... Przecież on, zdaje się, wspominał coś o łysym osobniku na rowerze! Serce zabiło mi mocno i jakoś arytmicznie w piersi.

Tymczasem Handtke rozejrzał się, a widząc niemal pusty korytarz, zamknął za sobą drzwi i ruszył ku windzie.

...

Odczekałem chwilę, aż zniknie za zakrętem, i poderwałem się z leciwego fotela. Nie wierzyłem własnemu szczęściu. Drżałem z napięcia i emocji, bo wiedziałem, że druga taka okazja może mi się już nie zdarzyć. Musiałem w pełni wykorzystać to, co dał mi los. Musiałem!

Prezes chwilę pokręcił się przy drzwiach windy, ale był zbyt niecierpliwy, by na nią poczekać. Nagle zmienił decyzję i skierował się z powrotem ku schodom.

Tym manewrem zupełnie mnie zaskoczył. Szedł teraz naprzeciw mnie, w lekkiej przewiewnej bluzie, rozpiętej pod szyją. Mimo swego wieku z bliska wyglądał dziesięć lat młodziej. Gdy się mijaliśmy, obrzucił mnie krótkim, choć wnikliwym spojrzeniem.

Zachowałem zimną krew. Udałem, że nie widzę jego zainteresowania, i zmierzałem dalej pewnym krokiem w stronę windy. Chyba nie wzbudziłem podejrzeń, bo Handtke nawet się nie zawahał. Kiedy doszedłem do windy, przy której był jeszcze kilkanaście sekund wcześniej prezes, on sam był już na schodach w centralnej części zamku. Odczekałem kilka sekund, by się upewnić, że zszedł niżej, i podążyłem jego śladem.

Cholernie trzeszczący parkiet demaskował moje zamiary, ale dudnienie drewnianych schodów, po których niemal zbiegał Handtke, na pewno zagłuszyło dźwięki towarzyszące mojemu skradaniu się. Chwilę później znalazłem się na schodach. W odróżnieniu od prezesa nie spieszyłem się jednak przesadnie. Nawet wtedy, kiedy tupot nóg szefa Farb-Roku ucichł.

Wolnym krokiem zszedłem na dół, do rzęsiście oświetlonego holu. Za ladą recepcji zobaczyłem mężczyznę pod trzydziestkę, który przeglądał jakieś dokumenty. Nawet nie zwrócił na mnie uwagi.

Restauracja o tej porze była już zamknięta, więc możliwości były dwie: albo Handtke wyszedł głównym wyjściem wprost na parking przed pałacem, albo wybrał się na zewnątrz tylnym wyjściem, prowadzącym na taras i schody wiodące do parku i fontanny. Musiałem szybko zdecydować i postawiłem na taras.

Nie pomyliłem się. W mroku zalegającym wokół pałacu dostrzegłem mały żarzący się ognek. Prezes stał przy basenie z nieczynną już fontanną, mieniącym się czterema barwami małych reflektorów. Głód nikotyny okazał się mocniejszy od apetytu na seks.

Byliśmy jedynymi ludźmi po tej stronie zamku, więc dostrzegł mnie od razu. Cokolwiek bym w tej sytuacji zrobił, wypadłoby sztucznie i podejrzanie. Bez zastanowienia ruszyłem więc ku prostokątowi pełnemu wody. Pływające za dnia po stawie kaczki przycupnęły na dyszach fontanny, wtulając łby w skrzydła. Chyba nie chciały być świadkami sceny, do której zaraz miało dojść.

Prezes stał nieruchomo, oparty nogą o kamienne obramowanie fontanny. Kilka razy zaciągnął się mocniej i strzepnął popiół do wody. Nie patrzył w moją stronę. Sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach.



Miałem raptem kilkanaście sekund, by ostatecznie wybrać, w jakich słowach się do niego zwrócę. Uznałem, że najlepiej będzie od razu przejść do konkretów. Przycisnąć go faktami i zadać mu kluczowe pytanie, zanim zdąży ochłonać..

To nie on jednak został zaskoczony.

Gdy przystanąłem dwa metry obok prezesa, Handtke rzucił niedopałek na żwirową alejkę, zdusił go energicznym ruchem podeszwy i nie spoglądając nawet na mnie, zapytał:

– Kim jesteś? I czego ode mnie chcesz?

•••

Z wrażenia zaschło mi w gardle. Zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, Handtke spojrzał na mnie jak na przestępcę i dodał chrapliwym głosem:

– Widziałem cię w restauracji. I na korytarzu. A teraz tutaj. Dlaczego za mną chodzisz?

Schował prawą dłoń do kieszeni spodni, jakby chciał zasugerować, że coś w niej ma. Poczulem dreszcz na plecach. A jeśli on jest uzbrojony? Tego, cholera, nie przewidziałem!

– Głuchy jesteś?! – Głos prezesa był natarczywy i nieprzyjemny. Zdradzał zdenerwowanie. – Dlaczego nie odpowiadasz? Jesteś prywatnym detektywem? Kto ci zlecił tę robotę? No, powiedz coś w końcu...

– Nie jestem żadnym... – wybełkotałem, zupełnie zbity z tropu.

Jego dłoń w kieszeni niebezpiecznie się poruszyła, jakby przymierzał do niej broń. Zupełnie mnie sparaliżowało.

– Okej, rozumiem. Przysłała cię tu moja żona? – Handtke obrócił się w końcu w moją stronę, a na jego wygoloną głowę padło teraz czerwone światło z iluminacji fontanny. Wyglądał jak Max Schreck, grający starego wampira w przedwojennym *Nosferatu* – blady i jednocześnie zalany krwią. Wzdrygnąłem się na to wspomnienie.

– Nie, to nie tak... – wydukałem w końcu pierwszy składny komunikat.

– Ile chcesz? – Najwyraźniej nie przekonałem prezesa. – Mów szczerze, bez ściemy.

– Ile czego?

– No, to już zależy od ciebie. Złoty, euro. A może dolców?

Zrozumiałem, że zaszło nieporozumienie. Handtke wziął mnie za prywatnego detektywa, naślanego na niego przez żonę. I właśnie postanowił mnie przekupić, by prawda o naturze jego biznesowego wyjazdu nie wyszła na jaw.

Poczulem się jak współnik zbrodni. I było mi z tym źle.

– Nie jestem żadnym detektywem – odpowiedziałem wściekły. – Nie przyjechałem tu, żeby pana szpiegować.

– Nie?! – Szef fabryki farb wyjął dłoń ze spodni, a ja zauważyłem w niej

zmiętą w kulkę kraciastą chustkę.

Odetchnąłem choć na chwilę.

Handtke szybkim ruchem wytarł pot ze świecącego czoła.

– To o co ci chodzi, łobuzie?! Tylko szybko, nie mam czasu na duperele!

Drażniło mnie, że wali do mnie per „ty”, ale przymknąłem na to oko. Prawdopodobnie był zestresowany i nie zwracał uwagi na formę. Rozejrzałem się na boki. Asystowały nam tylko dwie najwyższe wieże zamku, odcinające się teraz ponurymi, czarnymi konturami od granatowego nieba. Nadal byliśmy sami i bardzo mnie to cieszyło.

– Przyjechałem tu z innego powodu – powiedziałem spokojnym tonem, usiłując raz jeszcze zebrać myśli.

– Innego? – Mimo ciemności dostrzegłem, jak wybałuszył na mnie swoje ślepia. – Jak to in-ne-go?! Myślałem, że chodzi wam o Izę...

– Nonsens – wypaliłem. – I nie żadnym nam, tylko mnie. Nikt mi niczego nie zlecił, rozumie pan?

– Nie do końca. – Handtke sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej paczkę cameli. – Zapalisz? – zaproponował niespodziewanie.

– Nie palę.

– W takim razie po co tu przyjechałeś, kolego?

To był przełom, prezes po raz pierwszy uczłowieczył mnie w swojej wypowiedzi.

Przełknąłem z nerwów ślinę. Sprawa – jak powiedzieliby starożytni Rzymianie – doszła do trzeciego szeregu. Od tego momentu nie było już odwrotu.

– Przyjechałem tu, żeby zadać panu jedno pytanie – wycodziłem przez zęby, siląc się jednocześnie na spokój.

– O, to zaczyna być ciekawe! – Handtke zaciągnął się dopiero co odpalonym papierosem i bezczelnie wydmuchnął dym w moją stronę. Na jego twarz wychynął szyderczy uśmiech. – A niby o co chcesz mnie zapytać? Po ile stoją akcje Farb-Roku? Czy może o wysokość mojej pensji?

Zdławiłem w sobie złość. Ten facet był pospolitym bucem, pełnym pychy i arogancji, jaka rośnie w człowieku pod wpływem szybkiego awansu lub niebywałego powodzenia. A może z powodu zwykłej bandyterki. Serce zabiło mi mocniej, gdy z trudem wypowiedziałem zdanie, które ułożyłem sobie w myślach już kilka dni wcześniej:

– Chcę wiedzieć, dlaczego zabił pan tego człowieka.

## 15.

To była twarda sztuka

Handtke zakrztusił się dymem, a kąciki jego oczu nabiegły łzami. Nie, tego raczej nie mógł zagrać. Chyba że był aktorskim geniuszem.

– Co ty bredzisz, człowieku?! – wycharczał, walcząc z gryzącym mu gardło dymem papierosa. – Co ty, do cholery, pierdolisz?!

Spodziewałem się, że będzie zaprzeczał, ale nie przypuszczałem, że zrobi to w tak wiarygodny sposób. Jego reakcja wydała mi się całkowicie naturalna. Podejrzenie naturalna.

– Niech się pan nie zgrywa. – Zaproponowałem dość przytomnie. – Doskonale pan wie, o kogo chodzi.

Prezes zaciągnął się raz jeszcze dymem, znowu dmuchnął nim w moim kierunku, a potem zaczął się śmiać. Cholerycznie, spazmatycznie, głośno. Jego rechot odbijał się w niecce stawu i niósł ku ciemnym murom zamku, załamując gdzieś między ich skrytymi w mroku detalami.

– Czyś ty oszalał, człowieku?! – odezwał się po dobrej minucie, opanowując w końcu odruch śmiechu. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

– O zabitym dziennikarzu! – wypaliłem w złości. – O Janie Kucharskim!

– Kucharskim? A kto to jest, u diabła?

– Kto to był! – Poprawiłem go impulsywnie. – To był dziennikarz „Wieści Cybińskich”! To on odważył się napisać o tym, że zatruwacie środowisko! Że wasz zakład śmierdzi na potęgę! I że nie ujdzie wam to płazem...

Handtke momentalnie spoważniał i cisnął papierosa do stawu. Iskra zasyczała i zgasła.

– To potwarz – powiedział, a jego twarz pobladła jeszcze bardziej. – Nie znam żadnego Kucharskiego.

– Kazałeś go zabić – syknąłem, drżąc z emocji. – Widzieli cię na miejscu zbrodni!

Na plecach czułem ciarki, nogi mi drżały z emocji, a może ze strachu, ale brnąłem dalej w ten dialog. Tak wyobrażałem sobie moją rolę i chciałem ją wypełnić do końca.

– Nic nie wiem o żadnym Kucharskim! – powtórzył Handtke dobitnie, potrząsając mnie za ramię. – Nie mam pojęcia, kim był! A już tym bardziej nie wiem, że nie żyje. Gdzie to się stało?! Kiedy?! I czy on naprawdę napisał coś o mnie?!

W tej swojej złości wydał mi się autentyczny, naturalny. Albo był doskonałym aktorem.

– Napisał list opublikowany w „Głosie Wielkopolskim” – odparłem, strząsając z siebie jego dłoń. – Opisał, jak zasmradzacie okolicę. To on uruchomił cykl artykułów na temat pana fabryki. To po jego liście przyjechały do was kontrole... A potem... znaleziono go nieżywego na leśnej ścieżce!

Bladość na twarzy szefa firmy przeszła w purpurę.

– Nawet jeśli tak było... – Prezes Farb-Roku się zawahał. – Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Wkurzył mnie znowu.

– A kto mu groził?! – wypaliłem mi prosto w twarz. – No kto?

– Gdzie?!

– W wywiadzie!

– Jakim wywiadzie?

– W „Farbach i Barwach”!

– Gdzie?!

– W „Farbach i Barwach”! Zapowiedziałeś tam, że osoby szkalujące wasz zakład zostaną ukarane!

Handtke chwycił się za głowę. Z wrażenia – a może po to, by ukryć twarz. Musiał być zmieszany, bo długo jej nie odsłaniał. Zamiast tego zrobił kilka kroków do przodu i w tył, jakby nie mógł się pogodzić z tym, co właśnie usłyszał.

Czułem, że muszę coś jeszcze powiedzieć.

– Tak, panie prezesie. Rozszyfrowałem twoje prawdziwe intencje. Wygadałeś się w rozmowie z dziennikarką „Farb i Barw” i teraz się z tego nie wymigasz. Policja zna już tę zbieżność słów i faktów! – Zablefowałem z obawy o własne bezpieczeństwo.

Handtke z wolna opuścił ręce. Jego twarz nabrała kolorów. A usta były krwiste, jakby przed chwilą sączył czyjąś juchę.

– Jesteś pojebany – wyszeptał. – Musisz się leczyć, człowieku.

...

Zrobił krok w moją stronę. Odruchowo cofnąłem się w kierunku ciemnej bryły zamku.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię – mówił do mnie tonem, jakim przemawia się do kogoś, kto zachowuje się nienormalnie. – Chcę ci tylko powiedzieć, że kompletnie ci odwaliło. I mówisz, że byłeś z tym na policji?

Bada mnie, przemknęło mi przez głowę. Sprawdza, jak się rzeczy mają.

– Tak. – Zablefowałem. – Znają już ten wywiad i zastanawiają się, co z tobą zrobić.

To dziwne, ale nagle jakby się rozluźnił.

– Ciekawe, że sami się tu nie pofatygowali – mruknął i sięgnął po kolejnego camela. – Wiesz, kolego, myślę, że ściemniasz. Że opowiadasz mi tu bajki, żeby

mnie przestraszyć. Ale to ci się nie uda, bo to wszystko są totalne bzdury! Nie znam żadnego Kucharskiego, nie czytałem nigdy jego tekstu! A oskarżanie mnie o udział w jego zabójstwie – bo jak rozumiem, został zamordowany – to już grube nadużycie! Bekniesz za to prędzej czy później!

Jego przemowa nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia.

– Znowu pan straszy – skomentowałem na chłodno. – Zupełnie niepotrzebnie. Nie boję się pana ani pana bandy.

Prezes pokiwał głową jak bezradny lekarz, który ma do czynienia ze szczególnie trudnym przypadkiem.

– Wiesz co... Nie chce mi się już z tobą rozmawiać – stwierdził i ruszył ku zamkowi.

– Tak jest najłatwiej – rzuciłem za nim bez zastanowienia.

Zatrzymał się i raz jeszcze obrzucił mnie spojrzeniem pełnym politowania, a może nawet pogardy.

– Spierdalaj! – powiedział. – Nie mam nic wspólnego z historią, którą opowiadasz, rozumiesz?!

– Czyli...

– Nie ma żadnego „czyli”. Nie zabiłem żadnego dziennikarza ani nikogo innego! To jakieś brednie... Szkoda gadać.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę schodów prowadzących na zamkowy taras. Chrząst szutru pod jego podszewkami był coraz cichszy, aż w końcu zaniknął.

Pozostałem sam ze swoimi wątpliwościami. Obawa, że się pomyliłem, rosła we mnie z każdą minutą. A potem przyszedł koszmar śmieszności.

Tej nocy nie zmrużyłem oka.

•••

Było już jasno, gdy ktoś zapukał do moich drzwi.

Wstałem z łóżka i podszedłem do nich pełen najgorszych obaw.

– Kto tam? – zapytałem.

– To ja. – Usłyszałem szept.

– Kto ja?

– Krzychu Handtke.

Zawahałem się, czy otwierać. Skąd on znał numer mojego pokoju? Musiał sprawdzić nocą, do którego pokoju wróciłem! Po co jednak była mu ta wiedza, skoro wziął mnie za debila i psychopatę? Czyżby...

Prezes wyczuł chyba moje obawy, bo raz jeszcze zapukał w drzwi i powiedział:

– Pan się nie boi. Chciałem tylko pogadać.

Nie odpowiedziałem. Bałem się, jak jasna cholera. Po co ładuje się mi do

pokoju o piątej nad ranem? Wpuścić go czy nie?

– Proszę pana... To ważne. – Głos Handtkego podniósł się nieco.

Wyczułem w nim jakąś szczerłość. Zaryzykowałem.

Gdy przekręciłem klucz w zamku i nacisnąłem klamkę, popchnął lekko drzwi do środka, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się wewnątrz. Pewnie po to, by nie zobaczył go ktoś postronny.

Był w granatowym szlafroku z fantazyjnym złocistym obszyciem. Na nogach miał wygodne klapki. Wyglądał, jakby wracał z zamkowego spa. Tylko zmarszczki i cienie pod oczami wskazywały, że nie spał tej nocy. Chyba jednak nie z powodu Izy...

Bez słowa wszedł do środka i usiadł na krześle przy stoliku. Czuł się jak u siebie, bez zastanowienia sięgnął po butelkę z Nałęczowianką i pociągnął z niej spory łyk.

Może to było głupie, ale przekręciłem klucz w zamku i usiadłem obok niego. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie, jakbyśmy w jednej i tej samej chwili zobaczyli ducha.

– Chciałem pana przeprosić – przemówił w końcu jako pierwszy konspiracyjnym tonem. – Wczoraj... to znaczy w nocy... dałem się ponieść nerwom. Niepotrzebnie. Pan rozumie, te pańskie słowa... To był dla mnie szok!

Nie wiedziałem, jak się zachować.

– To, co pan powiedział, dało mi do myślenia – dodał szeptem prezes. – Zdaję sobie sprawę, że mógł pan wyciągnąć takie wnioski, jakie pan wyciągnął. Zapewniam jednak, że prawda wygląda zupełnie inaczej. Nie miałem pojęcia o żadnym zabójstwie... A nazwisko tego dziennikarza poznałem dopiero z pana ust. Słowo honoru.

Przez chwilę zastanawiałem się, co się tu właściwie dzieje. I czy słowo „honor” ma dla kogoś takiego jak Handtke jakiegokolwiek znaczenie. Bardziej wyczuwałem, niż wiedziałem, że prezes jest szczerzy. Wyglądał na autentycznie poruszonego. Tylko... Jak sprawdzić, że mówi prawdę?

– Dlaczego pan to powtarza? – zapytałem. – Przecież już mi pan to wykrzyczał.

– Tak, to prawda. – Handtke zasępił się, po czym znowu łyknął Nałęczowianki. – Nie chciałbym jednak, żeby narobił pan jakichś...

„Głupstw” – dopowiedziałem w myślach. Czyżby jednak miał coś na sumieniu i przyszedł mnie przekonać, bym nie drażył sprawy?

Mimo wczesnej pory szef Farb-Roku doskonale czytał w moich myślach.

– Nie chcę panu niczego zabraniać – powiedział. – Być może powinien pan drażyć tę sprawę... Chodzi mi tylko o to, żeby mnie pan w to nie mieszał. Bo naprawdę nie mam z tą historią nic wspólnego. No... może kilka niefortunnie wypowiedzianych słów w wywiadzie dla głupiego pisma. Jak Boga kocham, w

życiu bym nie sądził, że mogą one wywołać takie skutki!

Nie wiedziałem, jak bardzo prezes kocha Boga. Jeśli tak bardzo, jak swoją żonę, to byłem zgubiony. Jeśli jednak choć odrobinę więcej – niewykluczone, że przeżyję kolejny dzień.

– Nie wiem, czy pan rozumie, o co mi chodzi, ale... – odezwał się znowu.

– Wiem, wiem – mruknąłem. – Mam dać panu święty spokój.

– Właśnie. Bo to nie ma sensu. Niech mi pan uwierzy, to ślepa uliczka.

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Bujał mnie czy nie? Chyba jednak nie, bo specjalnie pofatygował się do mojego pokoju skoro świt, zamiast nadać „temat” swoim siepaczom. No właśnie, siepaczom... Jaką miałem pewność, czy nie stoją już za drzwiami, czekając na przyzwolenie szefa?

Sytuacja zdawała się idiotyczna. Widok klucza w zamku, który zresztą przekręciłem, trochę poprawił moje samopoczucie. Zaraz potem zrozumiałem, że gdyby Handtke rzeczywiście chciał mnie sprzątnąć, zrobiłby to już dawno – albo wraz z nim do pokoju wpadliby jego ludzie i podzieliłbym los Kucharskiego. Tymczasem siedziałem obok niego jak stary kumpel. Rozmawiałem. I żyłem. Ciągle żyłem. Czy to znaczy, że prezes rzeczywiście jest niewinny?

– Czy... czy przesłuchała pana policja? – zapytałem.

– Mnie? A po co? – Zareagował impulsywnie.

Zbyt nerwowo, by było to nieszczerze.

– A tak. Rozumiem. – Zmitygował się. – Nie, nikt mnie nie przesłuchał ani nie wzywał na przesłuchanie. Myśli pan... Sądzi pan, że muszę się z tym liczyć?

Westchnąłem głośno.

– Nie mam pojęcia, proszę pana – odpowiedziałem.

Wszystko zależało przecież od tego, do czego doszła policja. Czy badali wątek ekologicznych zainteresowań Kucharskiego. Czy znaleźli jego list opublikowany w „Głosie”. I czy zadali sobie trud i przestudowali wypowiedzi prezesa Handtkego z ostatnich tygodni. Szczerze mówiąc, wątpiłem w to. Nie podzieliłem się jednak tą myślą z porannym intruzem. Z człowiekiem, który mnie jednak zaskoczył.

– A ja myślałem, że przyjechał pan za mną, bo byłem kiedyś w milicji – wypalił niespodziewanie prezes.

– Milicji? – Zdębiałem.

– Tak. W MO. W Milicji Obywatelskiej.

– Wiem, czym była MO – odparłem urażony, bo jego wyjaśnienia naruszały moją zawodową dumę. – Znam ją zresztą z autopsji.

– Co to znaczy „z autopsji”. – Prezes się ożywił i odstawił butelkę na stół.

– Oberwałem raz pałą. Od ZOMO, „bijącego serca partii”.

– ZOMO to co innego. – Handtke się obruszył. – To były prostaki. Bydło od czarnej roboty. Orkowie.

Wypowiedział te słowa z taką wyższością, jakby był wtedy co najmniej Tolkienowskim Sarumanem, jeśli nie Sauronem. Literackie porównanie w jego ustach całkowicie mnie zaskoczyło.

– To czym pan się tam zajmował, w tej milicji? Nie rozganiał pan opozycji?

– Uchowaj Boże! – Prezes wyglądał na szczerze ubawionego, a ja znowu nabrałem podejrzeń. – Byłem podoficerem w komendzie wojewódzkiej. Gdyby komuna nie zdechła, pewnie służyłbym do dziś. Może zostałem komendantem?

– Pan?

– A czemu nie? Zapowiadałem się całkiem dobrze. Dostawałem pochwały, oficjalne gratulacje na piśmie. To były dobre czasy dla mundurówki, czułem poparcie góry i...

– No dobrze. – Przerwałem kliwie resortowe wspominki z czasów schyłkowego PRL. – Po co? Po co właściwie opowiada mi pan te historie?

– Bo po naszym spotkaniu rozmyślałem przez pół nocy. I pokojarzyłem, że ten cały Kucharski to był kiedyś ważny gość w Solidarności.

Zatkało mnie. Nie spodziewałem się, że prezes jednak przyzna, że miał coś wspólnego z ofiarą.

– Więc jednak go pan znał? – Poderwałem się z krzesła.

– Pan siądzie, kolego. – Handtke machnął lekceważąco ręką. – Nigdy nie miałem okazji go poznać. Ale słyszałem o nim, i to całkiem sporo. Na odprawach na komendzie. Albo podczas zajęć, hm, politycznych...

•••

Opadłem na krzesło kompletnie zmieszany. Ładne kwiatki! Już prawie uwierzyłem w niewinność Handtkego, a ten zafundował mi nagle taką huśtawkę! Dlaczego przyszedł do mnie, żeby wypowiadać się ze swojej przeszłości? Dlaczego uważał, że to może być ważne? Byłem dezorientowany i rozbity. Musiałem szybko pozbierać myśli, ale nieprzespana noc wkładała kij w szprychy i nie pozwalała mi się rozpędzić.

– To... był pan po drugiej stronie barykady – bąknąłem w końcu świadomy, że wreszcie dotknąłem sedna sprawy.

– O właśnie! – Prezes się ucieszył. – Byłem komuchem. Jak to teraz krzyczą ci kretyni z PiS? „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje!” A najśmieszniejsze jest to, że wielu z nich było bardziej umoczonych w tamten system ode mnie. Robią kariery na stanowiskach w rządzie! Śmiechu warte.

– Dlaczego Kucharski był wtedy taki ważny? – Wróciłem do zasadniczego tematu.

Facet w szlafroku, siedzący nad ranem w moim pokoju, wydawał mi się z każdym kolejnym zdaniem coraz bardziej groteskowy.

– Cholera, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. – Prezes nieco teatralnie



podrapał się za uchem. – Chyba był we władzach Solidarności. Pan wie, tej zdelegalizowanej, podziemnej. Zdaje się, że uchodził wtedy na milicji za wyjątkowego twardziela.

– Twardziela?

– No, chyba można tak powiedzieć. Zaraz... Czy to nie on uciekł kiedyś z więzienia? To znaczy, z obozu internowania? Czy nie wykorzystał przypadkiem prześcieradła, żeby...

– Nie, to nie on. – Wszedłem mu w słowo. – Myli go pan z Maciejem Frankiewiczem. Ale Frankiewicz był w Solidarności Walczącej, a to było co innego.

– Może ma pan rację. – Handtke nie wyglądał na przekonanego. – Ale z tą ucieczką Kucharskiego to chyba nie pomyłka.

Wysiliłem moją niewyspaną pamięć. Zdaje się, że Skrzypczak z Cegielskiego wspominał coś o głodówce zorganizowanej w obozie w Gębarzewie przez Kucharskiego. O ucieczce nic dotąd nie słyszałem. Handtke konfabulował albo coś źle zapamiętał.

– Zostawmy to. – Zaproponowałem. – Niech mi pan lepiej powie, dlaczego milicja uważała go za twardziela. Sam pan tak przecież powiedział...

– Dokładnie nie wiem. Taka szła za nim fama. Nie pamiętam, czy się ukrywał, czy nie, ale na komendzie wszyscy mówili o nim z takim... jakby to powiedzieć? Z szacunkiem. Albo nie, to nie był szacunek. Już wiem. Wszyscy w milicji odnosili się do niego z respektem. Jak do człowieka, który jest nieobliczalny.

– To znaczy?

– To znaczy: nieobliczalnie groźny.

– Dla kogo?

– No jak to, dla kogo? Dla nas, dla milicji. No i dla systemu.

– Ale dlaczego groźny?

– Panie, daj pan spokój! Już tego nie pamiętam. Za krótko tam byłem, rozumiesz? Raptem pięć lat. A potem wszystko się przewróciło, komuna poszła do grobu i nastały świetliste czasy kapitalizmu.

Na których zresztą nieźle skorzystałeś – dopowiedziałem sobie w duchu. Handtke był klasycznym przykładem ludzi starego systemu, którzy dzięki swojej pozycji, koneksjom i możliwościom najłatwiej odnaleźli się w nowych okolicznościach – chwycili pana Boga za rękę. Bo też, paradoksalnie, mieli do tej ręki najbliższej.

– To musiał pan być w partii... – zagailem.

– Ech, panie. Szkoda gadać! – Szef Farb-Roku aż zakasłał od gwałtownego śmiechu. – To była tylko taka gadka szmatka. Rodzaj religii, w którą i tak nikt nie wierzył. Coś jak dzisiaj religia smoleńska. Chciałeś awansować, to musiałeś mieć

legitymację PZPR. Takie to były czasy. Bez tego gówna można było tylko chodniki pucować...

– No, nie tylko... – Zaprotestowałem słabo.

Nie miałem ochoty prowadzić z nim historycznego sporu. Widać było, że świetnie potrafiłby usprawiedliwić nie tylko siebie, ale i z milion innych ówczesnych członków partii.

– Czyli wtedy, w czasach służby w milicji, nie spotkał się pan z Kucharskim? – Wróciłem do sedna.

– Ani wtedy, ani nigdy potem. Owszem, słyszałem o nim, że to twarda sztuka. Ale tylko tyle.

– Co to znaczyło: „twarda sztuka”?

– O matko, ale z pana nudziarz! – Prezes się zirytował. – Już przecież mówiłem, że trudno mi powiedzieć coś konkretnego! Takie chodziły słuchy! Tak o nim opowiadali oficerowie!

Ktoś załomotał nagle do drzwi z wściekłością znamionującą dużą determinację.

– Ciszej tam, cholera jasna! – Usłyszeliśmy tubalny głos. – Jeszcze nie ma szóstej, a wy pieprzycie i pieprzycie! Wszystko słyszać, jak na kazaniu!

Wymieniliśmy z prezesem szybkie spojrzenia.

– Najmocniej przepraszam! – odkrzyknąłem jako gospodarz. – Będziemy ciszej!

– No! – Rozjuszony sąsiad wracał niechybnie do łóżka.

– Nic tu po mnie – szepnął Handtke.

– Rozumiem – bąknąłem.

W końcu ktoś na niego czekał.

– W każdym razie niech pan zapamięta – prezes nachylił się przez stolik, żebym lepiej słyszał jego cichy głos – znałem tego człowieka jedynie z opowieści innych gliniarzy. Nie mam nic wspólnego z jego śmiercią. Nic!

Gdy podszedł do drzwi i chwycił klucz, raz jeszcze odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu:

– A ja myślałem, że po prostu nakrył mnie pan z Izą!

## 16.

Dość tej zabawy

Powrót do domu był jak rozłożona na trzysta kilometrów psychiczna egzekucja. Zwykle uwielbiam prowadzić i cieszę się z długich wyjazdów. Tym razem nie mogłem doczekać się końca podróży. Chciałem być jak najdalej od dziwnego pałacu, zwanego nie wiedzieć czemu zamkiem, w którym wyszedłem na kompletnego idiotę. Jak najdalej od niewiernego prezesa, który uświadomił mi, jak bardzo się pomyliłem. Zamiast samozwańczego stróża prawa zostałem niskiej klasy strażnikiem moralności. Co za tandeta! Co za poniżenie!

Ani przez chwilę nie wróciła do mnie myśl, że Handtke mógł mnie oszukać. Że był zamieszany w zabójstwo. To, co zobaczyłem w Mosznej, sposób jego zachowania, jego reakcje – wszystko to świadczyło na jego korzyść. Ten facet może i był krętaczem w świecie biznesu albo na niwie prywatnej – ale nie w tej sprawie. Jego zaskoczenie było tak prawdziwe, jak prawdziwa była moja wściekłość, kiedy uświadomiłem sobie, że zrobiłem sobie trzydniową wycieczkę krajoznawczą do śmieszności. Do totalnego ośmieszenia.

To, że poza mną i prezesem nikt o tym nie wiedział, nie łagodziło mojego rozgoryczenia. Paliło mnie w środku, jak diabli – i nawet dwa piwa, wydobyte późnym wieczorem z lodówki, gdy w końcu dotarłem do domu, nie ugasiły żalu do samego siebie. Jak mogłem się tak dać wkłęcić? Chyba rzeczywiście sfiksowałem, skoro chwyciłem się opowiadki nieznanego staruszka jak prawdy objawionej. Inna sprawa, że szybko znalazłem argumenty przemawiające za jej prawdziwością. Po cholerę ich szukałem? A może je znalazłem, bo bardzo chciałem je znaleźć? Może nawet za bardzo...

Zanim zapadłem w rwany, nerwowy sen, postanowiłem, że dam sobie wreszcie spokój z tą całą historią. Kim ja w końcu byłem, żeby uparczywie wracać do czegoś, czego nie rozumiałem i nie byłem w stanie wyjaśnić? Prostym belfrem, któremu przez chwilę wydawało się, że może zostać komisarzem Wallanderem. A w rzeczywistości wystawił się na pośmiewisko. Okrutne, bo podszyte krańcową naiwnością.

Tej nocy znowu spałem źle.

•••

Na szczęście kończył się sierpień. Lato, które tego roku nie rozpieszczęło, rzuciło do ataku wszystkie skrzętnie dotychczas chowane rezerwy. Nagle zrobiło się upalnie, co ostatni raz zdarzyło się chyba w końcu czerwca.

Rzeczywistość przypomniała o sobie mocnym walnięciem między oczy.

Jadąc na tradycyjną o tej porze roku radę pedagogiczną, pocilem się w moim nieklimatyzowanym fordzie. Świadomość umykających wakacji i kac po eskapadzie na południe Polski wpędzały mnie w coraz głębszy dołek. Pewnie dlatego podczas spotkania szacownego grona pedagogicznego byłem skrajnie rozkojarzony i naraziłem się na kąśliwe uwagi kolegów.

Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodziło. Znacznie bardziej niepokoiły mnie plotki o tym, że nowa władza zamierza zlikwidować gimnazja. Szeptali o tym na zebraniu niemal wszyscy.

– I co teraz z nami zrobią? Przecież nie mogą nas wszystkich zwolnić? – Niosły się po sali ciche pytania bez dobrych odpowiedzi. Były jak pomruki nadciągającej burzy, tyle że nikt nie wiedział, kiedy nadejdzie i czym się skończy. Nawet w prasie krytycznej wobec rządu nie potrafili jasno napisać, czy minister edukacji – ta sama, która podała w wątpliwość dawno już ustalone fakty na temat zbrodni w Jedwabnem – rzeczywiście porwie się na gimnazja. Rada pedagogiczna przebiegła więc w napięciu zdradzającym jedno łączące nas wszystkich uczucie: niepewność.

Na domiar złego, odprężenia nie dawało mi bieganie. Biegało mi się źle. Ciężko, bo nawet wieczorami powietrze było gorące i suche. Naszła mnie depresyjna refleksja, że nie bez znaczenia jest też mój wiek. Nie miałem wszak dwudziestu paru lat, tylko kolejne dwadzieścia więcej, a to oznaczało, że biegłem z plecakiem na ramionach. Odczuwałem to szczególnie, gdy bez trudu na trasie wymijały mnie umięśnione trzydziestolatki w obcisłych spodenkach uwydatniających ich muskularne uda. Ja mogłem im przeciwstawić jedynie umięśniony piwny brzuszek. Jakoś nie znikał, choć biegałem już od pół roku.

Przeżywałem ewidentny kryzys – tym gorszy, że doskonale zdawałem sobie z niego sprawę. Nie wiedziałem, jak się z niego wydobyć. W jednej z gazet przypadkiem zobaczyłem uśmiechniętą twarz prezesa Farb-Roku. Tekst pod fotografią opowiadał o tym, gdzie elity biznesowe spędzają wakacje. Handtke zadeklarował, że we wrześniu wybiera się z żoną do Tajlandii.

Po wyczerpującej konferencji biznesowej na Opolszczyźnie nareszcie mogłem wypocząć...

•••

Najlepszym lekarstwem na traumy jest podobno praca. W moim wypadku sprawdziło się to co do joty. Kiedy tylko wpadłem w wir szkolnych obowiązków, poczułem, że łapię grunt pod nogami. Tydzień od wznowienia lekcji byłem już innym człowiekiem, wyleczonym z mrzonek o własnym śledztwie.

Trochę zaczął mnie Marek, mój kolega matematyk. Na którejś przerwie przy kawie w szkolnym barze zapytał mnie o to, co robiłem w wakacje.

– Gdzie byłeś, że nie chciałeś mi nawet powiedzieć? – zagadnął.

– Nie ma o czym gadać. – Staralem się szybko uciąć wątek.  
– To miało związek z Kucharskim? – Nie odpuszczał.  
– Yhy. – Przyznałem niechętnie. – Ale nie pytaj o nic więcej...  
– Dlaczego?  
– Bo naprawdę nie ma o czym mówić. – Zeżliłem się potężnie.  
– No dobrze już, dobrze! – Spasował. – Strasznie się jakiś nerwowo ostatnio zrobiłeś.

– Nie twoja sprawa.  
– Pewnie, że nie moja. Ale mój nos, a może przede wszystkim rachunek prawdopodobieństwa mi mówi, że wpadłeś na jakiś trop. Na tyle ważny, że postanowiłeś go sprawdzić.

– I co jeszcze ci mówi rachunek prawdopodobieństwa, panie Pitagorasie? – Ten ostatni wątek nawet mnie rozbawił.

Uśmiechnąłem się kwaśno, co Marek natychmiast skwitował komentarzem:

– Mówi mi, że to było fiasko.

– Wyliczyłeś to?

– Oczywiście. Znając twojego pecha, nie było to trudne...

Za ten sarkazm lubiłem Marka najbardziej. Szturchnąłem go bez pardonu łokciem pod żebro, co niewątpliwie spodobało się dwóm moim uczniom, przechodzącym akurat obok z bułkami w dłoniach. Puściłem do nich oko, by przypadkiem nie donieśli o moim występku dyrektorowi szkoły. Skinęli głowami, jakby milcząco potwierdzając, że zostali dopuszczeni do tajemnicy i nie zamierzają jej zdradzić.

– Czyli, sumując, twoje śledztwo zostało zawieszona? – Marek nie omieszkął się upewnić, masując obolały bok.

– Dość tej głupiej zabawy – powiedziałem, odganiając myśli o brodatym mężczyźnie, którego zobaczyłem na leśnej alejce. I o dwóch podejrzanych facetach, ani chybi podążających jego śladem.

A może tylko tak mi się wydawało?

## 17.

Pan zawróci!

Nowy rok szkolny miał w sobie coś kasandrycznego. Coraz pewniejsze stawało się, że szkoła, w której uczyłem, tak samo jak tysiące innych gimnazjów w Polsce zostanie „wygaszona”. Ładne słowo, wymyślone przez rząd, brzmiało zdecydowanie lepiej, niż „zlikwidowana”, ale w praktyce zapowiadało to samo. My, nauczyciele gimnazjów, wracaliśmy do pracy w niepewności, czy za rok będziemy jeszcze komuś potrzebni. Owszem, pani minister z szerokim uśmiechem na twarzy zapewniała, że nowe podstawówki z ośmioma klasami przyjmą nas z otwartymi rękoma, ale nie mieliśmy złudzeń, że to tylko czcza gadanina. Każdy czuł, że reorganizacja to kolejna okazja do zwolnień w edukacji. Niż demograficzny w szkołach powodował, że rządzący mieli w zanadru sensownie brzmiący argument: „racjonalizacja zatrudnienia”. Uczyliśmy więc dzieciaki, siedząc na bombie. Niepewni dnia ani godziny. I było nam z tym źle.

Na szczęście naszych rozterek nie wyczuwali uczniowie. Do szkoły wrócili rozkojarzeni, jak to zwykle bywa po wakacjach. Najgorzej z powrotem do rzeczywistości poradzili sobie ci z drugiej be. Wcale mnie to nie zdziwiło, bo nawet na najwyższych obrotach w środku semestru bywali rozczulająco nieogarnięci. Mimo to lubiłem te dzieciaki. Bo to, że nie przepadały za wkuwaniem dat, nie oznaczało, że nie były inteligentne. Zresztą historia to przecież nauka o procesach, zależnościach, przyczynach i skutkach, a niekoniecznie o wpisywaniu konkretnych wydarzeń na oś chronologiczną. Byłoby miło, gdyby potrafiły rozpoznać datę 966. Albo 1000. Albo 1025...

Właśnie o Polsce Mieszka I i Bolesława Chrobrego przyszło mi prowadzić pierwszą powakacyjną lekcję w drugiej be. Nie lubię sztywnych wykładów, chciałem rozluźnić atmosferę. Wpadłem na przewrotny pomysł, by odwołać się do letnich wyjazdów moich podopiecznych. Może któryś z nich zbłądził przypadkiem z rodzicami do Gniezna albo na Ostrów Lednicki? O naszym poznańskim Ostrowie Tumskim nie wspominając...

– Moi drodzy – zagailem, robiąc tajemniczą minę. – Czy podczas wakacji ktoś z was nie odwiedził miejsca, w którym powstała Polska?

Zobaczyłem trzydzieści par szeroko otwartych oczu. Zrozumiałem, że jestem niepoprawnym optymistą. I starym prykiem, który w głowie ma jeszcze PRL-owskie wycieczki po kraju. Dziś dzieciaki jeżdżą do Chorwacji albo do Włoch. Ewentualnie latają tanimi lotami do Barcelony czy na inne Korfu.

– Ja byłem na Wawelu. – Zaskoczył mnie siedzący pod oknem Andrzej, jak zwykle w czarnej koszulce z trupa czaszką. – Ale... o co właściwie panu chodzi?

Sala parsknęła śmiechem. Wiadomo, musieli odreagować stres, a Andrzej świetnie nadawał się do roli detonatora.

– Dziś porozmawiamy o początkach naszego kraju. Dlatego zapytałem, czy ktoś z was odwiedził jakieś miejsce związane z wydarzeniami z dziesiątego wieku – wyjaśniłem cierpliwie. – Kraków to jedno z najstarszych miast w Polsce, ale miałem na myśli inne, o wiele bliższe.

– Wawel jest bliski sercu każdego Polaka, proszę pana – odezwał się z ostatniej ławki Waldek, zwany przez kolegów „Snickersem”. Klasowy prowokator z włosami metalowca nie ominął takiej okazji. – To pan nie wie, dlaczego?

– Mam nadzieję, że nam to wyjaśnisz. – Odbiłem piłeczkę.

Ale to nie był dobry ruch. Atmosfera niespodziewanie się zagęściła, w klasie zrobiło się dziwnie cicho. Musiałem przejąć inicjatywę.

– Spoczywają tam niektórzy polscy królowie. I marszałek Józef Piłsudski – powiedziałem, starając się nadać swoim słowom swobodne brzmienie.

Chyba jednak nie wyszło, młodzież wyczuje każdy zgrzyt.

– I jeszcze ktoś. – „Snickers” uśmiechnął się złośliwie, jakby przyłapał mnie na błędzie. A potem dorzucił: – Lubi pan zimnego Lecha?

Rechtot męskiej części drugiej be uświadomił mi, że z pozoru prosta lekcja historii niebezpiecznie przesunęła się w kierunku polityki, w dodatku żenująco niskich lotów. Waldek jak zwykle prowokował i sprawdzał, jak się zachowam tym razem.

Postanowiłem zignorować jego zaczepkę.

– Spoczywa tam również prezydent Rzeczypospolitej – zauważyłem. – Nie o Wawelu jednak mamy rozmawiać. No trudno, skoro nikt z was...

– Nie chce pan rozmawiać o prezydencie Kaczyńskim? – Jak zwykle przekreślił moje słowa „Snickers”. – Oj, bo doniesiemy, gdzie trzeba...

– A potem już tylko kompania honorowa i apel smoleński! – wypalił niespodziewanie Adrian, kolega „Snickersa” z ławki.

Całe towarzystwo znowu zaniósło się śmiechem. Choć było to trudne, utrzymałem powagę na twarzy. Młodzi najwyraźniej śledzili, co się wokół nich dzieje, i trudno było mieć im za złe, że parodiują rzeczywistość. Pewnie testowali w ten sposób, co sądzą o rządach „dobrej zmiany”. I po której jestem stronie.

Mimo wszystko postanowiłem trzymać się tematu.

– W połowie dziesiątego wieku to nie Kraków był najważniejszy, ale kilka grodów w Wielkopolsce – powiedziałem. – Kto potrafi je wymienić?

– Poznań, Gniezno i Ostrów Lednicki. – Agnieszka Królak, klasowa prymuska, przysłała mi z pomocą.

Spojrzałem na nią z wdzięcznością.

– Bardzo dobrze – podsumowałem. – Do kompletu brakuje jeszcze jednego, a może nawet dwóch...

- Leszno? – wypalił zwykle mało rozbawiony Jędrzej.
- Grodzisk – oświadczył jego kolega z ławki Adam.
- To może... Piła? – zapytała Baśka, siedząca w ławce przy drzwiach.
- Oj, piła, dużo piła – syknął „Snickers”.

Pozwoliłem sobie na uśmiech, ale lekki, życzliwy, by nie urazić uczennicy.

– Nikt nie wie? – zapytałem raz jeszcze. – Tym grodem, z którego być może, zdaniem niektórych archeologów, wywodził się ród Piastów, był Giecz. Wiecie, gdzie to jest? Nie? Dzisiaj to wieś niedaleko Środy, ale w dziesiątym wieku stało tam potężne grodzisko, w którym książę Mieszko trzymał drużynę wojów...

Podszedłem do mapy i pokazałem im punkt w samym środku państwa pierwszych Piastów.

Waldek vel „Snickers” ziewnął przeciągle, zupełnie tego nie kryjąc. Trochę mnie to ruszyło.

– Kolego, chodź no do mapy. – Zdecydowałem. – Przyda ci się trochę ruchu.

Wysoki osiłek w skórzanej kurtce z ćwiekami wstał niechętnie z krzesła. Kiedy wręczyłem mu wskaźnik, spojrzał na mnie zimnym wzrokiem.

– Na początek pokaż, gdzie byłeś latem nad morzem.

Zbaraniał, ale nie odmówił. Podszedł do mapy i zaczął błędzić wzrokiem w okolicy Zatoki Gdańskiej. W końcu, zadowolony z siebie, wskazał Gdańsk.

– Tu byłem – oświadczył.

– No właśnie. – Podjąłem wątek. – Zanim „Snickers” zameldował się na Wybrzeżu, by spróbować tamtejszego piwa, w drugiej połowie dziesiątego wieku całe Pomorze wraz z Gdańskiem opanował Mieszko I.

– Ale wtedy nie było chyba piwa? – Wyrośnięty uczeń przy mapie zainteresował się zupełnie niespodziewanie.

– Tak sądzisz? Okej, twoim zadaniem na następną lekcję będzie ustalenie, co pito na dworze księcia Mieszka. Zanim jednak wrócisz do ławki, pokaż koleżankom i kolegom granice państwa Mieszka w 992 roku. To data śmierci naszego pierwszego historycznie poświadczanego władcy. O właśnie! Widzicie? Oprócz rodowej Wielkopolski i Pomorza nasze państwo składało się wówczas także ze Śląska, Mazowsza, ziemi małopolskiej i sandomierskiej.

– A to? – „Snickers” wycelował w dolny kąt mapy.

– To Grody Czerwieńskie, czyli dzisiejsze pogranicze polsko-ukraińskie. – Wyjaśniłem zadowolony, że zadał kolejne pytanie. – Przechodziły z rąk do rąk, Mieszko, a potem Bolesław walczył o nie z Rusią Kijowską...

Przerwałem, bo mój wzrok przykuł nagle obrazek za oknem. Zobaczyłem dobrze znajomą mi kręłą sylwetkę w charakterystycznej kamizelce moro i małego chłopca, prowadzonego za rękę do szkoły. Mój sąsiad Wróbel w roli dziadka, który odprowadzał wnuczka do podstawówki, prezentował się niezwykle godnie. Nawet mimo surowego wyrazu twarzy. Przebiła z niej duma i powaga.



– Chyba jednak pili wtedy piwo – mruknął spod mapy „Snickers”, odrywając mnie od obserwacji życia za oknem.

– Ustalisz to i opowiesz nam, jak było, na następnej lekcji – powtórzyłem. Nawet nie zaproponował. Reszta lekcji przebiegła bez incydentów.

•••

Czas upływał mi między szkolnymi obowiązkami i wieczornym śledzeniem wydarzeń w kraju przed ekranem telewizora. Nie bez satysfakcji odnotowałem, że poszukiwacze „złotego pociągu”, którzy już rok wcześniej zapewniali o odnalezieniu go w skalnym tunelu pod Wałbrzychem, nie znaleźli choćby jednego wagonu, nie mówiąc nawet o zasypanym rzekomo tunelu. – Spróbujemy za rok w innym miejscu – oświadczył z niewyraźnym uśmiechem na twarzy jeden z dwójki „eksploratorów”. Już rok wcześniej byłem pewien, że opowieści o pociągu pełnym złota, ukrytym rzekomo w Sudetach, to kolejna bajka dla dorosłych. Dziwne było tylko to, jak wielu ludzi dało się na nią znowu nabrać.

Z drugiej strony, trochę rozumiałem, co czuli niedoszli odkrywcy „złotego pociągu”. W końcu sam niedawno wybrałem się na południe, święcie przekonany, że jestem na tropie „złotego mordercy”. I boleśnie się przekonałem, jak blisko jest od nadętej pewności siebie do zwykłej śmieszności. Tak, to bolesne doświadczenie ciągle tkwiło we mnie jak zadra.

Nadal biegałem, choć nie było już w tym entuzjazmu – raczej rutyna. Lepiej się czułem i lepiej myślałem, kiedy dwa razy w tygodniu przebiegłem swoją trasę między zagajnikiem a stawem. W moim wieku ból naciągniętych mięśni czuje się trzy, cztery dni, więc organizm sam podpowiadał mi, kiedy mogę znowu się sprawdzić. Było to z pewnością lepsze niż ślęczenie nad pierwszymi kartkówkami.

•••

Drugi weekend w nowym roku szkolnym zapowiadał się burzowo. Oglądając w piątek prognozę pogody, zastanawiałem się, kiedy pobiegać: czy w sobotę przed południem – bo później miała przyjść fala deszczy – czy w niedzielę wieczorem, gdy miało zacząć się wypogadzać. Wybrałem sobotę, choć niechętnie. Wolałem biegać wieczorami – padałem wtedy jak kłoda na łóżko i rano budziłem się względnie świeży. Tym razem zdecydowałem się zmęczyć przed południem.

W powietrzu czuć już było wzbierającą wilgoć. Kwadrans przed dziesiątą po lekkim śniadaniu wybiegłem na swoją stałą trasę. Już bez entuzjazmu, jaki towarzyszył mi w marcu, gdy debiutowałem jako biegacz długodystansowy. Po krótkiej rozgrzewce zagłębiłem się w las.

Tego dnia na szutrowych alejkach wzdłuż doliny Cybiny było pusto i smętnie. Nadciągające z zachodu bure chmury skutecznie zniechęciły nawet największych entuzjastów biegania. W lesie zrobiło się ciemno i cokolwiek

nieprzyjemnie. Mimo woli rozglądałem się na boki i co jakiś czas rzucałem spojrzenie za siebie. Nie czułem się pewnie. Wzmagający się wiatr i narastający szum gałęzi nad moją głową zniechęcały do dalszego biegu. Zerknąłem na zegarek. Nie, piętnaście minut ruchu to poniżej mojej godności. Chociaż pół godziny...

Dobiegłem do tamy spiętrzającej wodę w stawie i skręciłem ku Antoninkowi. Na policzku poczułem pierwsze, drobne jeszcze krople deszczu. Trudno. Najwyżej zmoknę, pomyślałem. W domu przecież mogę się wysuszyć i ogrzać. Myśl o piwie w lodówce poprawiła mi nastrój. Miałem pewność, że mój trud zostanie nagrodzony.

Pobiegłem wzdłuż północnego brzegu stawu, a potem zrobiłem pętlę i zakręciłem ku szosie prowadzącej w stronę Swarzędza. Czułem już dystans w nogach, mój oddech stawał się coraz płytszy i miałem problem, by utrzymać tempo. I pewnie prędzej czy później mój bieg stałby się marszobiegiem, gdyby nie widok, jaki niespodziewanie otworzył się przede mną w dobrze mi znanym miejscu...

Znowu zobaczyłem dwa pniaki blokujące wjazd do lasu samochodom. I dziwnie powykrecaną przez wiatry sosnę. Ktoś znowu przywiązał do niej biało-niebieską taśmę. Na niedużej przestrzeni uwijało się kilkunastu mężczyzn, zarówno w policyjnych mundurach, jak i w cywilu. Dwóch z nich miało na uszach potężne słuchawki. W dłoniach trzymali urządzenia, które niemal na pewno były wykrywaczami metalu. Wodzili ich kolistymi końcami po leśnej ściółce, w napięciu wsłuchując się w sygnały płynące ze słuchawek.

Wokół porozstawiano kilka skrzynek do złudzenia przypominających wzmacniacze muzyczne. Ekipa była tak zajęta swoją pracą, że w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi. Dostrzegli mnie natomiast dwaj funkcjonariusze na alejce, zabezpieczający prace specjalistów.

– Pan zawróci! – Usłyszałem wydany zdecydowanym tonem nakaz.

Zdziwiłem się, bo bez problemu mogłem przebiegnąć alejką obok krzątających się policjantów. Mundurowi najwyraźniej jednak nie życzyli sobie żadnych świadków. A ja nie życzyłem sobie kolejnych kłopotów. Grzecznie wykonałem więc polecenie i skierowałem się w stronę stawu.

Im byłem dalej od tajemniczych poszukiwań w miejscu wiosennej zbrodni, tym więcej o niej myślałem. Czego oni znowu tam szukają? Czyżby ostatnim razem przeoczyli coś istotnego? A może wręcz przeciwnie – zdobyli nowe informacje, których konsekwencją są wznowione badania na miejscu morderstwa?

Zanim dobiegłem do domu, z nieba spadł rześisty deszcz. Wróciłem mokry, jakbym kąpał się w stawie, a nie wokół niego biegał. Nie było mi jednak zimno. O nie! W środku byłem rozgrzany do czerwoności. Przed oczyma znowu miałem brodatego gburę, który nie odwzajemnił mi ręką serdecznego gestu biegacza. I dwóch mężczyzn za jego plecami.

Bardzo chciałem się uwolnić od tej wizji. I ciągle nie potrafiłem.

## 18.

Nie bądź frajerem!

– Pani Adamska, a słyszała pani o tej policji?

– A co niby?

– No, że znowu tam byli.

– Gdzie?

– W lesie. Znowu węszyli.

– A co mi do tego?

– Jak to co? Śladów szukają.

– A niech szukają, wariaty jedne!

– Czyli mają jakieś kłopoty, żeby tego drania odnaleźć...

– Co mi tu, pani Karolino, głowę zawracasz... Jakiego znowu drania? – Niska, pulchna kobieta o nazwisku Adamska zniecierpliwiła się ostatecznie i obróciła ku sąsiadce – dla odmiany wychudłej jak skoczkini wzwyż.

– No tego, co biednego Kucharskiego w lesie zabił.

– Kucharskiego?

– No jak to, nie słyszała pani? Tego dziennikarza z „Wieści Cybińskich”, nie pamięta pani? W marcu to chyba było...

Kilka innych osób stojących w kolejce w osiedlowym sklepie poruszyło się niespokojnie. Wśród nich byłem i ja, zaskoczony nowym wątkiem osiedlowych plotek.

– A tak, coś słyszałam. – Adamska nie sprawiała bynajmniej wrażenia realnie zainteresowanej tematem. Właśnie zbliżała się do lady i chyba zastanawiała się, czy wziąć Nutellę w dużym, czy w małym słoiku. – No ale po co mi tu pani w kółko o tej policji opowiada?

– Bo pani zięć zdaje się w policji pracuje... Nie mówił nic o tym morderstwie? – Chuda tyka uśmiechnęła się przymilnie. Widać było, że temat ją kręci.

Adamska machnęła ręką, jakby opędzała się od uciążliwej muchy.

– Daj pani spokój – odpowiedziała. – Ja tam w pracę zięcia się nie wtrącam. Zresztą, on w policji drogowej robi. To chyba z tą sprawą nic wspólnego nie ma... Chleb, cztery bułki i Nutellę poproszę. Tak, tę większą. Niech wnuki mają!

Kobieta, która nagabywała Adamską, wzruszyła ramionami i niespodziewanie odwróciła się do mnie.

– A pan co o tym wszystkim myśli? Znajdą go czy nie?

– Nie mam pojęcia, proszę pani – odezwałem się nieco rozdrażniony. – Nie znam się na tym.

– To musiał być jakiś psychopata. – Usłyszałem z tyłu znajomy głos.

Konstanty Wróbel właśnie przekroczył próg sklepu i wszystko wskazywało na to, że szedł mi z odsieczą. Stał na końcu kolejki i spojrzał z dezaprobatą na chudą ciekawską.

– A dlaczego tak pan myśli?

– Bo tylko tacy atakują spokojnych ludzi.

Wróbel wypowiedział swój sąd z pewnością znamionującą znawstwo problemu. Ton jego głosu, zupełnie pozbawiony emocji, zrobił na słuchaczach duże wrażenie. Były wojskowy chyba wiedział, co mówi. I mógł mieć sporo racji. Nie pomyślałem dotąd o takiej możliwości. Ciągle zdawało mi się, że Kucharski padł ofiarą jakiejś zaplanowanej akcji z udziałem dwóch podejrzanych mężczyzn, którzy za nim biegli. A jeśli to było tylko złudzenie, a w rzeczywistości zadźgał go nożem osobnik niezrównoważony psychicznie? Przecież nie można było wykluczyć i takiej ewentualności.

– Pan służył w wojsku, prawda? – Chuda kobieta spojrzała na Wróbla z nieskrywanym podziwem.

– Tak, proszę pani.

– To chyba pan się na tym zna?

– Może tak – westchnął sąsiad, u którego wynajmowałem mieszkanie.

Choć nasze ostatnie spotkanie nie należało do przyjemnych, poczułem trochę sympatii do tego skromnego człowieka. Były żołnierz miał w sobie coś, co wzbudzało ufność. Coś bezpośredniego. Umiejętność szybkiej i trzeźwej oceny sytuacji. I opisanie jej bez zbędnego gładzenia. Dla takich jak Wróbel zawsze liczył się konkret. Zawsze i wszędzie. Tak, bardzo mi to odpowiadało.

Adamska tymczasem zapakowała zakupy do siatki i odeszła od lady, kierując się ku wyjściu.

– Ale niech pani zięcia zapyta. Może coś słyszał? – Kobieta o imieniu Karolina okazała się bardziej natrętna, niż przypuszczałem.

– Dobrze już, dobrze. Zapytam. – Adamska uśmiechnęła się bez przekonania i wyszła ze sklepu.

Odprowadzając ją wzrokiem, natknąłem się na spojrzenie Wróbla. Wzrokiem wskazał mi największą plotkarę w kolejce i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Boże, co za ludzie!”.

Uśmiechnąłem się do niego. Wiadomo: są ludzie i ludziska.

•••

Był późny wrześnieowy wieczór. Chyba już po dwudziestej, bo na zewnątrz zapadł mrok. Słęczałem akurat nad konspektami najbliższych lekcji, których zażyczył sobie dyrektor szkoły. Zastanawiałem się właśnie, jak wykorzystać na zajęciach filmy dokumentalne dostępne w Internecie, gdy zadzwonił mój telefon.

Na ekranie wyświetliło mi się nazwisko Liściaka, redaktora naczelnego „Więści Cybińskich”. Nie słyszałem go od kilku miesięcy.

– Dobry wieczór, panie redaktorze. – Odebrałem połączenie. – Co pana do mnie sprowadza?

Po drugiej stronie usłyszałem znaczące chrząknięcie.

– Pytali mnie o pana.

– O mnie? – Poczulem falę gorąca. – Kto?

– Policja. Było tu wczoraj dwóch takich, w cywilu. Ktoś im chyba doniósł, że był pan u mnie w redakcji kilka razy. Potwierdziłem, bo to przecież żadna tajemnica.

– Tak, tak. Oczywiście... – Przytaknąłem nerwowo. – O co... O co jeszcze pytali?

– No wie pan... – Liściak zawiesił głos. – Nie wiem, czy mogę mówić o takich rzeczach... To jednak policja i...

– No tak, rozumiem... – Starąłem się wypowiadać spokojnie i logicznie, choć w gardle rosła mi gęła strachu, a może raczej zaskoczenia pomieszane z niepewnością.

– Chyba podejrzewają, że ma pan z tym coś wspólnego...

– Podejrzewają mnie niesłusznie! – Zdenerwowałem się. – Niech im pan nie wierzy, do jasnej cholery! Bardzo pana proszę! Ja...

– Dobrze, już, dobrze! – Redaktor Liściak sprawiał wrażenie przejętego moją niewdzięczną sytuacją. – Ja panu wierzę! Zresztą, wystawiłem panu jak najlepsze świadectwo.

– Ja... Mogę wszystko wytłumaczyć. Naprawdę! – Poczulem się znowu jak osaczony zwier.

– Wiem, wiem.

– A tak w ogóle, to nie ma już o czym mówić.

– Jak to? Dlaczego?

– Bo przestałem się tym zajmować, panie redaktorze.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Na linii zapadło kłopotliwe milczenie. Wkurzało mnie, że policja ciągle uważa mnie za osobę podejrzaną, którą należy sprawdzać. A jeszcze bardziej irytowało mnie to, że była to zdecydowanie najprostsza z czynności, jaką mundurowi mogli wykonać w ramach swoich obowiązków. Marnotrawili czas, sprawdzając moje alibi, podczas gdy zabójca lub zabójcy przebywali na wolności i zapewne śmiali się z nich do rozpuku.

– To niedobrze, panie Bogdanie – westchnął w końcu Liściak.

– Co niedobrze? – Nie zrozumiałem.

– Szkoda, że pan to rzucił. Bo widzi pan, na swój sposób panu ufam. I nawet

pana polubiłem. A policja mnie, za przeproszeniem, wkurwia. Odkąd zgłosiłem im włamanie i pobrali próbki, nic się w tej sprawie nie dzieje. Nic! Mają mnie najpewniej za jakiegoś oszołoma. Bo kiedy zapytałem, co wynika z ich analizy, to zbyli mnie głupawymi uśmieszkami...

Poczułem dziwne ukłucie pod sercem. Było jak sygnał alarmowy.

– Chwileczkę. – Wszedłem mu w słowo. – To byli ci sami funkcjonariusze, co poprzednio, gdy zgłosił pan podejrzenie włamania?

– Nie, panie kolego. Wtedy przyszli do mnie tacy młodzi, wyszczekani. Jacy oni byli przemądrzali! A wczoraj przyjechało dwóch dużo starszych. Takich... po pięćdziesiątce. I byli grzeczni.

Po pięćdziesiątce – mruknąłem sam do siebie. Właśnie uświadomiłem sobie dziwną zbieżność. Ci dwaj, którzy biegli za Kucharskim... Cholera, oni też mieściliby się w tym przedziale wiekowym!

– Czy pokazali panu legitymacje policyjne? – Rzuciłem do telefonu, pełen najgorszych obaw.

– Jeden machnął mi przed oczyma jakąś książeczką. Zdaje się, że była w granatowej okładce... Ale... po co panu ta wiedza, kolego kochany?

– Nic takiego! – odpowiedziałem trochę zbyt szybko. – Dziękuję za informację. Będę się miał na baczności, nie zrobię żadnych głupstw. Do uszy...

– Ej, panie Popiołek! – zawołał szef „Wieści”, żebym tylko się nie rozłączył. Osiągnął swój cel.

– Tak?

– Nie wyłączaj się pan jeszcze!

– Dlaczego?

– Bo ja właściwie dzwonię do pana z czym innym.

– To znaaaaczy? – Ziewnąłem bez żadnego skrępowania w słuchawkę.

Jeszcze przed chwilą miałem szczerą nadzieję, że już nigdy więcej nie będę musiał się spotkać z naczelnym lokalnej gazety.

– Znalazłem jakieś notatki Janka. Nic wielkiego, ale jednak...

– Notatki?! – Aż mi dech w piersiach zapało. – Gdzie?!

– W szafce, w której trzymał herbatę. Odkryłem je przypadkiem.

– I nie powiedział pan o tym policji?

– Nie, bo znalazłem je, kiedy już sobie pojechali.

– I... czego pan właściwie ode mnie chce?

– Chcę, żeby je pan zobaczył.

– Ale dlaczego?

– Bo to coś ciekawego.

– Cóż... – Zawahałem się znowu. – Mówiłem już panu, że zostawiłem tę sprawę śledczym.

– Panie Bogdanie, nie bądź pan frajerem! Czekam w redakcji, będę jeszcze

przez godzinę.



## **Część III**

### **LITERA**

## 19.

### Notes z za herbaty

W oknach redakcji „Wieści” paliło się słabe światło. Lampy mojego dwudziestoletniego forda omiotły łuszczące się tynki budynku, po czym wyłowiły z mroku drobną sylwetkę Liściaka. Machał do mnie szeroko rozwartymi rękoma, mocno czymś poruszony. Wyglądał, jakby naprowadzał samolot na pas startowy.

Wyskoczyłem z samochodu i podałem mu dłoń.

– A to ci heca! – Nie ukrywał podekscytowania. – W życiu bym się nie spodziewał, że coś jeszcze znajdziemy!

Nie wiem, dlaczego zaliczył mnie do swojej spółki, ale zrobiło mi się trochę różnie. Może całe to moje nieudolne poszukiwanie prawdy było nic niewarte, ale zawsze to miłe, gdy ktoś ci kibicuje. Choćby i naiwnie.

– Gdzie pan to ma? – zapytałem.

– W środku. Chodźmy!

O ile na dworze było rześko, wręcz chłodno, o tyle we wnętrzu redakcji poczułem, że się pocę. Zrzuciłem szybko z siebie dżinsową kurtkę i cisnąłem ją na fotel. Emocje, pomyślałem o sobie z pogardą. Znowu złapałem się na tym, jak łatwo dają się wkręcać.

Redaktor naczelny tego przybytku z przejętą miną podszedł do narożnika skromnego newsroomu. Był w nim zlew, nad którym wisiała nieduża, mocno sfatygowana szafka.

– Tu trzymamy herbatę w saszetkach. I kawę... – wyznał ścisłym głosem.

Z trudem powstrzymałem się, żeby nie parsknąć śmiechem. Stary pismak przesadzał z tajemniczością. Ocierał się w tym o groteskę.

– Policja tam nie zajrzała? – zapytałem zdziwiony.

– Chyba nie. Nie przyszło im to do głowy.

– Dziwne.

– Może. Ale najważniejsze, że dzisiaj zajrzałem tam ja. Niech pan zobaczy, szafka wisi dość wysoko. Nie mogłem namacać pudełka z herbatą. Musiałem wejść na taboret, no i odkryłem... to!

Dlaczego Liściak przechował do momentu mojego przyjazdu notes o zielonych, mocno sfatygowanych okładkach dokładnie w tym samym miejscu, w którym go znalazł, pozostanie jego tajemnicą. Być może zrobił tak dla wywarcia na mnie większego wrażenia. Nie osiągnął jednak celu. Byłem coraz bardziej zirytowany tą szopką.

– Niech pan zobaczy... – Liściak zaczął do mnie przemawiać z jakąś nabożną powagą. – Ten notes musiał należeć do Janka. Chyba widziałem go kilka

razy w jego rękach. Ale co tam, nie to jest najważniejsze! Niech pan spojrzy na te zapiski. Czy... czy nie są dziwne?

Otworzył notatnik i podał mi go ostrożnie, jakby miał do czynienia z największą świętością. Kartki były w kratkę. Zerknąłem bez przekonania na zapisane piórem, równe linijki tekstu:

*...Poniedziałek, 4 maja 2015. Słońce, 17 stopni C. 1 godzina 20 minut, 13,5 km*

*Czwartek, 7 maja 2015. Deszcz, 13 stopni C. 1 godzina 15 minut, 13 km*

*Niedziela, 10 maja 2016. Chmury, 12 stopni C. 55 minut, 9 km...*

Zachciało mi się głośno śmiać. Powstrzymałem się jednak, żeby nie zrobić Liściakowi przykrości. W końcu zachowywał się wobec mnie nadzwyczaj życzliwie. Tym razem jednak grubo przesadził z rangą znaleziska. Notatki Kucharskiego zajmowały prawie pół notesu i kończyły się w marcu 2016 roku. Nawet średnio rozgarnięty uczeń wpadłby na to, że stanowią skrupulatny raport biegacza z jego sportowych dokonań.

– Panie redaktorze, przecież to zapiski biegowe pana kolegi – powiedziałem spokojnym tonem.

Liściak wyglądał na skrajnie rozczarowanego. Gdy odbierał ode mnie notes, z wrażenia, a może raczej z rozczarowania, zadrżały mu dłonie. I wtedy z notatnika wypadło coś jeszcze. Wprost na podłogę.

Szef gazety schylił się i podniósł niedużą, złożoną w pół kartkę. Położył ją na biurku i rozprostował. Gdy pochylił się nad świstkiem papieru, zauważyłem, że kartka wygląda, jakby została wyrwana ze środka notesu. Ktoś napisał na niej błękitnym atramentem kilka linijek tekstu.

– To też jest pismo Janka. – Liściak natychmiast ocenił.

– Skąd pan wie?

– Bo to jego pismo – powtórzył jak automat.

– A może ktoś miał podobny charakter?

– Nawet jeśli, to tylko Janek pisał u nas piórem. Był... staroświecki. No, niech pan to przeczyta!

Podniosłem kartkę bez przekonania. Pismo było szybkie, niedbałe. Częściowo rozmazane, jakby autor notatki schował nagle kartkę do notesu, nie dbając o to, że atrament jeszcze nie obsechł. A może... Może musiał szybko ukryć swoje zapiski? Tylko przed kim?

Moja wyobraźnia znowu zaczęła działać na podwyższonych obrotach, ale na szczęście zdawałem sobie z tego sprawę. Za wszelką cenę chciałem uniknąć kolejnego złudzenia, że mam w ręku jakiś ważny dowód, prowadzący do następnego odkrycia. Wystarczająco sparzyłem się w wypadku podejrzeń wobec prezesa Handtkiego – jak się okazało, śmiesznych i nedorzecznych.

Pismo Kucharskiego – o ile to rzeczywiście on napisał te kilka linijek – było

niewyraźne. Musiałem zbliżyć się z kartką do lampy, by rozeznac słowa, zapisane na papierze. Nie było ich wiele. Wyglądały jak szyfr.

*1963 sam. gr.,*

*potem VI,*

*zmiana 1984 listop.,*

*doraźne gr. w woj.*

– odczytałem w milczeniu. Szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiałem. Moją uwagę przykuły jednak dwie daty, które znalazły się w enigmatycznej notatce. Problem w tym, że ani jedna, ani druga nic szczególnego mi nie mówiły. No, prawie nic, bo rok 1984 kojarzył mi się z piłkarskimi mistrzostwami Europy i fenomenalnym Michele Platiniem. Była to pierwsza futbolowa impreza, którą na poważnie śledziłem w telewizji.

– I co pan powie? – Liściak szturchnął mnie łokciem w bok. – To ci dopiero zagwozodka, prawda?

– Bo ja wiem? – odezwałem się bez przekonania. – Wygląda to na jakąś naprędce sporządzoną notatkę. Tylko z czego?

– Ano właśnie... – Liściak ściszył głos. – Mówiłem już panu, że Janek miał swoje tajemnice? Ta kartka właśnie to potwierdza.

Wzruszyłem ramionami. Kawałek papieru zabazgrany jakimiś skrótami o niczym jeszcze nie przesądzał. Wyobraziłem sobie, że dziennikarze – zwłaszcza ci starszej daty – codziennie wykonują setki podobnych notatek, które tylko oni są w stanie odczytać. W tym wypadku musiało być podobnie. Skoro Kucharski zostawił tę kartkę w notesie, upchniętym w szafce z herbatą, znaczyło to tylko tyle, że nie miała dla niego specjalnej wartości.

– Spokojnie, redaktorze – powiedziałem, by nie dać się znowu podkreślić rzekomą tajemniczością notatki. – Ten kawałek papieru o niczym jeszcze nie świadczy. Niech pan powie: czy dziennikarz porzuca coś ważnego na półce z kawą?

Liściak spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

– Dlaczego „porzuca”? – zapytał z wyrzutem w głosie. – A może Janek chciał tę kartkę tam schować?

– Schować? – prychnąłem. – No, nie! Niech pan nie będzie śmieszny! Kto chowa ważne notatki tam, gdzie codziennie zagląдают inni?

Pożałowałem tych słów, bo Liściak skulił się urażony. Miałem nadzieję, że nie obraził się na dłużej. Nie zamierzałem go urazić.

– Ejże, ale... tu jest coś jeszcze...

W samym rogu kartki dostrzegłem jakiś drobny znaczek, wykonany także piórem.

Coś, jakby numeracja strony.

A może jednak nie...

Litera!

– Pokaż pan! – Liściak błyskawicznie zapomniał o tym, że go obśmiałem, i pochylił się nad kartką, którą trzymałem w drżących teraz dłoniach. – Czy to litera A?

– Raczej D. – Ocenilem, wyężając wzrok. – Czyżby pana kolega numerował swoje notatki literami alfabetu, a nie cyframi?

– Skąd mam wiedzieć? – Szef lokalnej gazety się zasepił. – Aż tak dobrze Janka nie znałem.

Przez następny kwadrans nie znaleźliśmy żadnego sensownego wytłumaczenia dla obecności D w rogu kartki. Liściak zmarkotniał, jakby wreszcie zrozumiał, że to żadne odkrycie. Ja też nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

•••

Zanim pożegnałem się z Liściakiem, na wszelki wypadek zrobiłem komórką zdjęcie tej osobliwej notatki.

– Pokaże to pan policji? – zapytałem.

– Chyba powinienem – odparł, choć nieprzekonany.

– Niech pan zrobi, jak pan uważa za stosowne. – Nie pomogłem mu podjąć decyzji.

Szczerze mówiąc, nie wierzyłem w szczególną wartość tych zapisków. Wydawały mi się przypadkowym i nic nieznaczącym znaleziskiem.

Nie dałem jednak odczuć Liściakowi, jak bardzo rozczarowany byłem jego odkryciem. Wiedziałem – czułem to! – że jest moim jedynym sojusznikiem w tej sprawie. I nie chciałem tego stracić. Nawet jeśli moje pożałowania godne wysiłki miałyby się zakończyć niczym, warto było poznać redaktora Macieja Liściaka.

Jadąc do domu, zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Czy zbagatelizować jedyny materialny ślad po pracy dziennikarza Jana Kucharskiego, czy jednak spróbować dociec, co zawiera notatka. A tym samym ustalić, czy to w ogóle istotna informacja. Z redakcji „Wieści” do wynajmowanego przeze mnie lokum jechało się raptem pięć minut. Pięć minut pełne wahania i nadziei. Pięć minut nerwów i pokusy odpuśczenia. Gdy zaparkowałem pod domem, byłem już pewny: nie zostawię tego wątku bez próby wyjaśnienia.

Chciałem tego bardziej dla Liściaka niż dla siebie.

•••

Gdy w końcu uporałem się z konspektami, była już dwudziesta druga. Ziewałem jak człowiek, który od dawna porządnie się nie wyspał, ale zmusiłem się jeszcze do wysiłku. Spisałem z komórki dziwną inskrypcję, zachowując podział na poszczególne linie zapisu. Brzmiał on dziwnie, a jednocześnie intrygująco. Może to

jakiś szyfr? A może powinienem poprosić o pomoc kryptologa?

*1963 sam. gr.,*

*potem VI,*

*zmiana 1984 listop.,*

*doraźne gr. w woj.*

– przeczytałem w milczeniu. O co, do licha, tu chodzi?

Ponieważ nie przychodziło mi do głowy nic oryginalnego, odpaliłem laptopa i wbiłem w wyszukiwarkę hasło „1963”. Wikipedia uświadomiła mi, że w tym roku odbył się po raz pierwszy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. A także: Wrocław nawiedziła epidemia czarnej ospy, otwarto Zalew Zegrzyński, Polska pokonała w Szczecinie Norwegię aż dziewięć do zera, a swojego pierwszego gola dla reprezentacji zdobył Włodzimierz Lubański. W końcu, co mnie jako belfra historii zainteresowało najbardziej, w sześćdziesiątym trzecim roku w starciu z ZOMO zginął Józef Franczak, pseudonim „Lalek”, ostatni partyzant podziemia poakowskiego w Polsce Ludowej.

No dobrze, co to wszystko miało jednak wspólnego z notatką Kucharskiego? Czego mogła ona dotyczyć? Bo chyba nie debiutu Lubańskiego w reprezentacji... Spróbowałem dopasować choć jedno z wydarzeń do pojawiających się w zapiskach Kucharskiego skrótów, ale była to zabawa głupiego. Nic do siebie nie pasowało. Rozczarowany wpisałem w Google’a hasło „1984”.

No tak, to można było przewidzieć. Najpierw wyskoczyło mi odesłanie do powieści George’a Orwella o tym samym tytule. A potem lawina wydarzeń z ponurego okresu PRL: niewyjaśniona śmierć Piotra Bartoszcze, premiera filmu *Seksmisja*, kara śmierci orzeczona przez sąd wojskowy dla Ryszarda Kuklińskiego, rekord Europy Mariana Woronina w biegu na sto metrów, wreszcie wyrok w procesie o zabójstwo Grzegorza Przemyska i porwanie oraz morderstwo księdza Jerzego Popiełuszki przez trzech funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. A na dodatek: strajk szkolny we Włoszczowie w obronie prawa do wieszania krzyży i początek procesu zabójców Popiełuszki.

W porównaniu z panoramą roku 1963, dwadzieścia jeden lat później w życiu Polaków nastąpiło straszne tąpnięcie – jakościowe i zapewne psychiczne. Wszystko to nie tłumaczyło jednak, dlaczego obie daty umieścił w swojej notatce Kucharski. I co znaczył powtarzający się w notatce skrótowiec „gr”. W szkolnym grafiku oznaczałby grupę, ale czy tu także? A jeśli nawet tak, to w związku z tym co oznaczałby skrót *sam. gr* – samorządna grupa? Chyba nie, skoro chodziło o rok 1963, czyli czasy Gomułki, w których prawdziwego samorządu nie było.

Inny problem stanowiło rozszyfrowanie, jaką zmianę z czerwca odnotował nieżyjący już dziennikarz? Bo to, że zapis *potem VI, zmiana 1984 listop.* odnosił się do jakiegoś czerwca, a potem z kolei do listopada, nie ulegało dla mnie kwestii. A *doraźne gr. w woj.*? Nie przychodziło mi na myśl nic innego niż „doraźne grupy

w wojsku”. Tylko dlaczego w wojsku, skoro w 1984 roku stan wojenny był już zawieszony? Niby zawieszony, a przecież wtedy wyłowili z Wisły ciało księdza Popiełuszki...

Nad rozgryzieniem tej zagadki zmitrężyłem kolejną godzinę. W tym czasie świat za oknem zastygł w ciemnej magmie, a ja ślęczałem nad ekranem smartfona i komputera jednocześnie, szukając jakichkolwiek skojarzeń. Około północy wpadłem na to, że być może powinienem sprawdzić, co konkretnego działo się w czerwcu 1963 roku, a co w czerwcu lub listopadzie roku 1984. Może to naprowadzi mnie na jakiś trop?

Czerwiec 1963 roku nie wyglądał ciekawie. W Internecie znalazłem informację, że – poza festiwalem piosenki w Opolu – w Instytucie Nauki PAN w Warszawie uruchomiono wtedy pierwszy polski laser. I tyle. Pustynia. Zniechęcony, wpisałem w okienko wyszukiwarki ponownie rok 1984. I spojrzałem na czerwiec.

*...11 czerwca – ukrywający się od 13 grudnia 1981 r. działacz Solidarności Bogdan Lis został aresztowany.*

*17 czerwca – odbyły się wybory do rad narodowych. Rząd ocenił frekwencję na 74,7 proc., niezależni obserwatorzy z opozycji na ok. 60 proc.*

*18 czerwca – oddano do użytku latarnię morską w Gdańsku... – poinformowała Wikipedia. Kucharski był w „S” tak samo jak Lis. Ale co z tego? W notatce dziennikarza nie było nic ani o Lisie, ani o związku...*

*Zjechałem kursorem w dół, w okolice listopada 1984 roku.*

*...3 listopada – odbył się pogrzeb księdza Jerzego Popiełuszki.*

*5 listopada – otwarto obwodnicę kielecką.*

*11 listopada – powstała liberalno-demokratyczna partia Niepodległość...*

*Odruchowo skoczyłem kursorem wyżej.*

*...19 października – w pobliżu Górska pod Toruniem porwany został Jerzy Popiełuszko.*

*21 października – biskupi archidiecezji warszawskiej wystosowali list do wiernych, w którym wyrazili niepokój o losy ks. Popiełuszki...*

*...30 października – zatrzymano trzech funkcjonariuszy SB podejrzanych o uprowadzenie i zamordowanie księdza... Z zalewu na Wiśle w okolicach Włocławka wyłowiono ciało*

*3 listopada – odbył się pogrzeb księdza Jerzego Popiełuszki...*

Poczułem, że serce uderzyło mi mocniej. No tak, że też nie skojarzyłem tego od razu! Popiełuszko! Przecież to wtedy, jesienią 1984 roku został zamordowany! A Kucharski był wtedy w podziemnej Solidarności, dla której ten mord był potężnym ciosem! I mógł mieć jakiś związek z tą sprawą! Tylko jaki?

Dobrzy odchodzą, a źli żyją

Jeszcze poprzedniego dnia byłem święcie przekonany, że sprawa śmierci Jana Kucharskiego raz na zawsze przestała zaprzętać moje myśli. Jeszcze wczoraj...

Sęk w tym, że przyszedł następny dzień, a pierwszą moją myślą po przebudzeniu było: czy skrót *gr.* w notatce pozostałej po denacie nie oznacza przypadkiem tyle, co „grób”. Jeszcze na dobre nie podniosłem się z łóżka, by zaparzyć kawę, a już przyszło kolejne skojarzenie: czy *sam.* nie jest przypadkiem skróconą wersją słowa „samobójstwo”?

Zanim jednak doczłapałem do kuchni, zorientowałem się, że chyba jeszcze nie obudziłem się naprawdę – i zaraz potępiłem sam siebie w myślach za te fanaberie. Popijając kawę, pomyślałem, że nie mogę znowu popełnić błędów, które już mi się przytrafiły – nie mogę „się podpalić” byle czym, bo działałem wtedy mało racjonalnie. Mógłby coś o tym powiedzieć prezes Farb-Roku, ale jego akurat chciałem jak najszybciej wyrzucić z pamięci.

Moje rozważania krążyły wokół tego, co jeszcze można zrobić z wiedzą, a może raczej podejrzeniem, jakiego nabrałem pod wpływem analizy treści zapisanej na pomiętej kartce. Owszem, ciągle miałem wątpliwości, czy świstek papieru odnaleziony w tak banalnym miejscu ma wartość, jaką przypisywał mu Liściak. Chciałem mieć jednak czyste sumienie – być absolutnie pewny, że zrobiłem wszystko, co możliwe, by wyjaśnić tę sprawę.

Przez chwilę poważnie zastanawiałem się, czy nie pójść z moim najnowszym odkryciem na policję. Przykre doświadczenia z wiosny nadal skutecznie zniechęcały mnie do tego wariantu. W najlepszym wypadku zostałbym wyśmiany na komendzie. Zresztą, czy ja naprawdę coś odkryłem? Czy trafnie odczytałem zapisek *zmiana 1984 listop.?* A jeśli nawet, to co w takim razie oznaczał ciąg dalszy, owo tajemnicze: *doraźne gr. w woj.?* Zapewne miało to coś wspólnego z wojskiem. W jaki zatem sposób odnosiło się do zabójstwa księdza Popiełuszki, najmakabryczniejszej zbrodni późnego PRL-u?

Łamałem sobie głowę, ale nie mogłem wymyślić nic mądrego. Zerknąłem na zegarek – i zakląłem głośno. Za kwadrans ósma! Wyglądało na to, że spóźnię się na pierwszą lekcję.

...

Znowu nie mogłem się skupić podczas zajęć, które prowadziłem. Drwiące uśmiešky uczniów pierwszej a były najlepszym dowodem, że zbyt często gubię



wątek. Zdaje się, że zapomniałem nawet o kartkówce, którą miałem przeprowadzić. Całe szczęście, że nie zapomniałem zanieść dyrektorowi konspektów, których sobie zażyczył.

Intuicyjnie czułem, że tajemnica śmierci brodacza ma związek z jego solidarnościową przeszłością. Data 1984 w jego notatce tylko utwierdzała mnie w przekonaniu, że coś jest na rzeczy. A ta litera D w rogu kartki? Czyżby sugerowała, że kartka jest tylko fragmentem większej całości? Jeśli tak, to trzeba było przyznać, że Kucharski miał osobliwe metody numeracji notatek. To, co o nim dotychczas wiedziałem, nakazywało przypuszczać, że próbuję wyświetlić przeszłość wielce oryginalnej postaci.

Solidarność...

Wracając samochodem do domu, nagle uświadomiłem sobie, że istnieje człowiek, z którym nie udało mi się dotąd spotkać, a który może mieć kolosalną wiedzę o przeszłości Kucharskiego. W marcu nie zastałem w domu Marcelego Gibasa, członka podziemnego zarządu związku z czasów stanu wojennego! Jego sąsiadka wspomniała wtedy, że jest w Stanach Zjednoczonych. I że wróci nie przedziej niż za miesiąc. A przecież od tamtej pory minęło pół roku!

Zachwycony swoim kolejnym odkryciem, skierowałem auto w stronę Zielińca.

...

Miałem nosa. Tym razem po naciśnięciu dzwonka przy furtce, z typowej dla czasów komuny betonowej kostki z płaskim dachem wyskoczył na dwór starszy jegomość z mocno już niemodnym, sumiastym wąsem. W granatowych, raczej tanich dżinsach i flanelowej koszuli w kratę przypominał nieco postać z amerykańskich westernów. By dopełnić całości pierwowzoru, brakowało mu tylko win-chestera w dłoni. Zamiast niego w prawicy trzymał miotłę. Wyglądał groźnie, zupełnie jakby chciał mi nią przyłożyć. A może po prostu zamierzał właśnie wyjść przed dom, by pozamiatać zeschnięte liście?

– Pan do kogo? – rzucił nieco prowokacyjnym tonem.

– Do Marcelego Gibasa.

– A w jakim celu?

– Chciałem porozmawiać o Janie Kucharskim.

Może mi się tylko wydawało, ale odniosłem wrażenie, że dłoń starszego pana zacisnęła się mocniej na kiju od miotły.

– A kim pan jest, jeśli można wiedzieć? – Obrzucił mnie spojrzeniem, w którym dominowała nieufność.

Zrobił kilka kroków w stronę furtki, ale zatrzymał się w pół drogi.

– Może lepiej niech pan pogada z Liściakiem. To naczelny naszej gazetki...  
– Zapropomował.

– Wiem, znamy się. Rozmawiałem z nim już kilka razy. To on mnie do pana skierował.

Wzmianka o Macieju Liściaku przełamała chyba pierwsze lody. Gibas podszedł do furtki i przekręcił klucz tkwiący w jej zamku. Bez słowa otworzył przede mną metalowe drzwi. Zaskrzypiały przeraźliwie, wystawiając kiepskie świadectwo gospodarzowi.

– Cholera, nie zdążyłem jeszcze naoliwić zawiasów – mruknął niezadowolony. – Wszystko przez ten wyjazd. Za długo siedziałem u córki... Pan wejdzie do domu.

Przepuścił mnie przodem, a potem ruszył za mną z miotłą w ręce. Ciągle był jeszcze nieufny, ale skoro wpuścił mnie do siebie, musiał uznać, że nie jestem aż tak niebezpieczny.

Gdy tylko weszliśmy do przedsiionka, przytrzymał mnie za rękaw i nakazał:

– No, to teraz niech pan powie, kim pan jest.

– Bogdan Popiołek. Nauczyciel w gimnazjum na osiedlu....

– A czego pan uczy?

– Historii.

– A! – Po raz pierwszy poczułem coś w rodzaju sympatycznego zaskoczenia w jego głosie. – To się w takim razie dobrze składa. Bo Janek to był ładny kawałek naszej historii.

– Naszej?

– No tak, naszej. Znaczą się, solidarnościowej.

Odstawił miotłę i przez ciemny hol wprowadził mnie do salonu umeblowanego w stylu wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Materiałowe obicia dwóch sof były już mocno wytarte. Między nimi stała szeroka ława na niskich nóżkach, a za nią lekko przesuszony figus. Na ścianie wisiała reprodukcja popularnego obrazu Kossaka. Całość sprawiała wrażenie mocno zaniedbanego lokum.

– Przepraszam, że tu może nie najczyściej, ale odkąd zostałem wdowcem, nie mam jakoś do tego serca. – Gibas usprawiedliwił się chyba bardziej przed samym sobą. – Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazał dłonią na sofę.

Siedzenie było zakurzone, ale nie dbałem o to. Byłem szczęśliwy, że nareszcie uda mi się porozmawiać z bliskim przyjacielem tragicznie zmarłego.

– Pan spisuje historię Solidarności? – Zastrześlił mnie tym pytaniem.

– Nie, nie. – Uśmiechnąłem się chyba sztucznie. – Jestem tu, bo staram się zebrać jak najwięcej informacji o panu Janku. Żeby zrozumieć, co się mogło stać.

– Aha. Żeby zrozumieć... – powtórzył bezwiednie. Trudno było rozgryźć, czy moja odpowiedź go usatysfakcjonowała. – Wie pan, rozmawiałem już o tym z policją. Co ja zresztą mogę w tej sprawie powiedzieć?

Zastanawiałem się nad pierwszym pytaniem. Wiedziałem, że dużo od niego

zależy. Gdybym je spalił, Gibas mógłby się nie otworzyć.

– Niech pan mi powie, dlaczego Kucharski był taki ostry... – Wybrałem metodę z zaskoczenia.

– Ostry? – Gibas jakby się zdziwił – Janek? Kto panu takie rzeczy...

– Ech, słyszało się tu i ówdzie. – Zrobiłem unik, bo nagle uprzytomniłem sobie, że powoływanie się na byłego milicjanta Handtkego byłoby ryzykowne. – W Cegielskim też mi powiedzieli, że był człowiekiem, który nie pozwalał sobie w kaszę dmuchać. Podobno w Gębarzewie wiedział, jak się zachować...

Przypomniałem sobie Skrzypczaka, tego związkowca z Cegielskiego. Mówił, że w ośrodku internowania Kucharski pierwszy zorganizował protest głodowy. Zdaje się, że powiedział o nim: „miał chłop jaja!”. I dodał, że był jednym z ostatnich, którzy „traktowali swoje życie i obowiązki serio”.

– A tak, to prawda – westchnął Gibas. – Wie pan, mnie bardzo trudno o tym rozmawiać, bo byliśmy z Jasiem bardzo zżyci. Ostatni raz widzieliśmy się chyba w lutym, tuż przed moim wylotem do Ameryki. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. I jak to się stało! To przechodzi moje wyobrażenie!

– Gdzie się panowie spotkaliście ostatnim razem? Tutaj?

– Tak, panie szanowny. Siedzieliśmy, jak my tu teraz. Zdaje się, że usiadł dokładnie tu, gdzie pan...

– O czym rozmawialiście?

– Mój Boże! – Gibas machnął ręką. – Ja mu opowiadałem, co będę w Stanach u córki robił. A on? – Na moment zawiesił głos, przywołując w pamięci obrazki sprzed pół roku. – Chyba... Chyba za dużo nie mówił.

– Milczał?

– Wie pan, to był bardzo fajny chłop, ale skryty. Jestem przekonany, że miał swoje tajemnice, o których nikomu nie mówił.

– Tajemnice? Wie pan coś na ten temat?

Gibas uśmiechnął się przepraszająco.

– Nie wiem. Takie sprawy raczej się wyczuwa, niż wie – odpowiedział. – Był raczej typem introwertyka, choć w razie potrzeby stać go było na wielkie poświęcenia. Jak choćby ta głodówka w Gębarzewie...

Byłem zły. Wiele osób wystawiało Kucharskiemu wspaniałe świadectwo – tyle że słabo poparte konkretnymi dowodami. Brakowało mocnych punktów zaczepienia.

– No tak. – Poruszyłem się zniecierpliwiony. – Ale nie zwierzył się panu z czegoś przed śmiercią? Wtedy, w lutym? Może wspominał o czymś mimochodem? O czymś, na co pan wtedy nie zwrócił uwagi? A może chciał się w jakiejś sprawie poradzić?

– Nie przypominam sobie. Pamiętam tylko... – Gibas jakby się zawahał. – Jakoś tak nam przez chwilę na wspominki zeszło. Rozmawialiśmy o naszych

kolegach ze związku, którzy już odeszli na wieczną służbę. I on w pewnym momencie powiedział coś takiego: „Dobrzy odchodzą, a źli sobie żyją”. Tak, tak to chyba brzmiało. A potem jeszcze dodał: „I to całkiem nieźle”.

Nareszcie coś! – podpowiedziała mi intuicja.

– O kogo mu chodziło, panie Marceli? – Chwyciłem się tego wątku jak tonący brzytwy.

– Boże święty, nie mam pojęcia. Nie rozwinął tematu.

– A pan go nie dopytał? – jęknąłem rozczarowany.

– Niech się pan nie dziwi. Wie pan... Jasiu miał takie skłonności do filozofowania. Pewnie chodziło mu o komuchów. O to, że niektórzy ludzie Solidarności umarli w biedzie, a dawni towarzysze z PZPR mają się w nowym ustroju jak pączuszki w maśle. Jasiu nie był w tym zresztą oryginalny. Niech się pan rozejrzy, los źle się z nami obszedł.

– Z nami?

– Z tymi, którzy zmieniali ten kraj. Niech pan spojrzy choćby na Wałęsę. Szarpie się, miota, ciągle go ktoś podgryza. Wiecznie musi udowadniać, że nie był wielbłądem. Że to on komunę obalił, choć dziś wielu chciałoby napisać tę historię inaczej...

Nie mogłem nie przyznać mu racji. Nie przyszedłem jednak do niego rozmawiać o polityce. Chciałem wiedzieć jak najwięcej o Janie Kucharskim, skromnym człowieku z tego samego osiedla, na którym mieszkał Gibas.

– Panie Marceli – zagałem raz jeszcze. – Czy pana przyjaciel miał w latach osiemdziesiątych jakieś związki z księdzem Popiełuszką?

– Z księdzem Jerzym? – W oczach starego człowieka zauważyłem błysk zaskoczenia. – Nic mi o tym nie wiadomo. A dlaczego pan pyta?

Wahałem się, czy wyciągnąć telefon i pokazać mu zdjęcie notatki sporządzonej przez Kucharskiego. Nie chciałem, żeby sprawa się rozniosła; było przecież prawdopodobne, że Gibas puści tę informację dalej.

– W jednej z książek znalazłem informację, że delegacja z Cegielskiego była na pogrzebie Popiełuszki. – Wymyśliłem naprędce uzasadnienie. – Sądzi pan, że Jan Kucharski mógł w nim uczestniczyć? Że mógł znać księdza Jerzego osobiście?

– Nie, to niemożliwe. – Dawny związkowiec odpowiedział zbyt gwałtownie, by mu nie wierzyć. – Nie sądzę, by miał kiedykolwiek okazję go poznać. To znaczy, niczego nie można wykluczyć, ale ja nic o tym nie wiem.

Skinąłem głową i podrapałem się zakłopotany za uchem. Czyżby cała moja wątła teoria o ukrytym sensie zapisków Kucharskiego właśnie spektakularnie legła w gruzach?

– A czy pana przyjaciel interesował się wojskiem? – zapytałem bez wiary. W pamięci miałem bowiem inny skrót z notatki Kucharskiego: *doraźne gr. w woj.*

– W jakim sensie? – Gospodarz spojrział na mnie dziwnie.

– No, czy interesował się armią. Zwłaszcza za komuny.

Gibas znowu zrobił zdziwioną minę.

– Pan wybaczy, ale chyba pyta pan o kogoś innego. Janek był z przekonania pacyfistą, jestem tego pewny.

– Można być pacyfistą i zbierać informacje o wojsku...

– Nie wydaje mi się. Nic o tym nie wiem.

Cholernie mało wiedzieli o Kucharskim jego przyjaciele, przemknęło mi przez głowę. Było to tak zaskakujące odkrycie, że aż wydało mi się podejrzane. Potrafiłem sobie wyobrazić, że był on małym mrukiem, ale to przecież niemożliwe, by przez ponad dwadzieścia lat nie otworzył się w rozmowie przed nikim! No, chyba że był psychopatą...

– Nie prowadził jakiegoś dziennikarskiego śledztwa? – Wypaliłem w akcie desperacji. Desperacji, bo dobrze wiedziałem, o czym pisał Kucharski.

– Nie zwierzał mi się z takich spraw. – Gibas uciął wątek.

Odniosłem wrażenie, że jest już zmęczony moją wizytą i kolejnymi natarczywymi pytaniami.

– Dziękuję panu. – Podniosłem się z sofy i podałem mu dłoń na pożegnanie.

– Bardzo mi pan pomógł.

– Naprawdę? – Przyjaciel Kucharskiego nie uwierzył w grzecznościową formułkę. – A mnie się nie wydaje. Musi pan pamiętać, że Jasiu nie był łatwym człowiekiem.

– To znaczy?

– Nie chodził i nie opowiadał o wszystkim, co robi. Był raczej zamknięty w sobie. I dlatego trudno ustalić, co się stało w tym lesie.

– Rozumiem.

– Mimo to życzę panu powodzenia. Bo w naszą policję nie wierzę.

## 21.

My wiemy swoje

Po rozmowie z Gibasem straszliwie korciło mnie, by pójść pod adres Kucharskiego, zaczekać, aż się ściemni, i spróbować dostać się do środka jego domu. Byłem przekonany, że gdzieś tam można by znaleźć zdecydowanie więcej takich dziwnych notatek. Pytanie brzmiało: czy wyłoniłaby się nich jakaś sensowna, spójna albo chociaż prawdopodobna wersja wydarzeń prowadzących do eskalacji, czyli do śmierci Kucharskiego? Ciągle czułem podskórną, że to zabójstwo nie było przypadkowe. Brakowało mi tylko nitki, którą mógłbym chwycić, by ruszyć po krętej ścieżce ku prawdzie.

A jeśli kartka, którą znalazł Liściak, jest nic niewarta? Może to jakieś bzdety, które kiedyś przypadkiem wynotował Kucharski, a potem rzucił byle gdzie, bo już mu do niczego nie były potrzebne? Skoro tak, dlaczego ciągle łamałem sobie głowę nad sensem tajemniczo brzmiącego zapisu?

Oczywiście, szybko poskromiłem pokusę włamania się do domu Kucharskiego. Jeszcze tylko brakowało, żebym ściągnął sobie na głowę całą poznańską policję! Przejeżdżając obok budynku matki Kucharskiego, rzuciłem okiem w jego stronę. Bryłę domu spowijały ciemności. Od dawna był przecież *de facto* niezamieszkały. Na myśl, że miałbym po nim chodzić w mroku, wpatrując się w wąski strumień światła latarki, wzdrygnąłem się nie bez strachu. Aż takim szaleńcem nie byłem. Przynajmniej na razie.

Tej nocy męczyłem się, nie mogąc zasnąć. A kiedy w końcu zmrużyłem oczy, dopadł mnie dziwny sen. Szedłem za wysokim mężczyzną o wygolonej głowie. Gonilem go potem przez jakiś ciemny las. Uciekał, powiewając szerokim, lekkim, czarnym płaszczem. W rozproszonym we mgle świetle latarni wyglądał demonicznie, jak wcielenie szatana z horrorów klasy B. A mimo to, nie wiedzieć czemu, pędziłem za nim, niemal chwytając poły jego płaszcza. I w momencie, gdy już, już zaciskałem dłonie na czarnym materiale, potknąłem się o wystający korzeń i padłem jak długi, wypuszczając szatę uciekiniera z dłoni.

Upadek musiał być bolesny, ale we śnie tego nie odczułem. Pamiętam tylko, że leżąc bezradnie na błotnistej drodze, odprowadzałem wzrokiem tajemniczą postać z łysą głową. Aż nagle uciekinier, jakby pewien, że już go nie dopadnę, przystanął i powoli odwrócił się ku mnie. W świetle księżyca rozpoznałem znajomą twarz...

To był Leon Kucharski, brat denata. Gdy otrząsnąłem się z absurdałnej nocnej mary, przypomniałem sobie, co Leon Kucharski powiedział mi podczas naszego spotkania w Brukseli. Zdaje się, że wspomniał coś o związkach Jana z

dominikanami. Może by u nich popytać, ktoś mógł go tam przecież zapamiętać. Zawsze to jakiś nowy trop.

Zwlokłem się z łóżka bez przekonania. Trochę już tych „nowych tropów” przeżyłem, większość z nich zaprowadziła mnie na manowce, i coraz trudniej było mi się zmobilizować. Sprawdzę jeszcze tylko ten wątek, postanowiłem nad filiżanką kawy, gdy kofeina zdążyła już postawić mnie do pionu i natchnąć raz jeszcze wolą walki. Sprawdzę, a potem raz na zawsze dam sobie spokój z udawaniem, że prowadzę własne śledztwo. Tak będzie najlepiej i dla mnie, i dla tej sprawy.

•••

Wrzesień był wyjątkowo upalny. Około drugiej, gdy podjechałem do centrum miasta, na ulicach nie było czym oddychać. Zupełnie jakby był czerwiec, a nie końcówka lata. Zostawiłem samochód w cieniu drzew i wykorzystując chwilowy spokój na ulicy, przebiegłem w nielegalnym miejscu przez cztery pasy ruchu alei Niepodległości dzielące mnie od dziedzińca kościoła dominikanów. Przebieżka była krótka, ale wystarczyła, żebym poczuł wilgoć na karku. Z przyjemnością przekroczyłem więc bramę i schroniłem się w cieniu krużganków.

Hałas dochodzący z pełnej samochodów alei odbierał temu miejscu trochę świętości. Spływający po fasadzie świątyni winobluszcz nie zdążył się jeszcze zaczerwienić. Szeroki dziedziniec, otoczony z trzech stron kolumnadą, pławił się w słonecznym ukropie. Nic dziwnego, że był całkowicie pusty.

Przez chwilę pokręciłem się wzdłuż kolumnady, zaszedłem nawet na chwilę do zakątka zwanego Kaplicą Katyńską. Ponieważ jednak nie spotkałem żadnego zakonnika, zdecydowałem się wejść do kościoła.

W środku było chłodno i cicho. Dwa rzędy jońskich kolumn prowadziły w naturalny sposób wzrok ku tonącemu w półmroku ołtarzowi. Usiadłem w najbliższej ławce i się przeżegnałem. Skromny wystrój i spokój panujący w świątyni sprzyjały skupieniu i zadumie.

Nie byłem w kościele sam, w ławkach przede mną modliło się w sumie kilkanaście osób. Nigdzie nie było natomiast widać zakonników. Postanowiłem wejść po schodkach i zajrzeć do części kościoła, w której znajdują się konfesjonały. I słusznie, bo w jednym z nich dojrzałem spowiednika. Ucieszyłem się, chyba najbardziej z tego, że kolejka do niego nie była długa. Na odpuszczenie przewin czekało w milczącej modlitwie dwóch mężczyzn w moim wieku i nastolatka.

Góra dziesięć minut, oszacowałem. Liczyłem na to, że zagadnę zakonnika, gdy skończy dyżur. Ale musiałem poczekać dłużej. Ojciec w konfesjonale nie należał bowiem do spowiedników sprinterów. Każdemu z grzeszników poświęcił co najmniej dziesięć minut, zapewne długo instruując każdego z nich, jak powinien

wyglądać szczerzy żal za grzechy i pokuta. Gdy spowiednik pojawił się w końcu w nawie, poruszał się lekko zgarbiony, jakby dosłownie niósł na plecach ciężkie brzemie, którym obarczyli go przed chwilą wierni. Siwizna przydawała mu powagi. Co najważniejsze jednak, zakonnik zmierzał ku drzwiom, prowadzącym do atrium.

Przeżegnałem się raz jeszcze i poderwałem z ławki. W samą porę, bo dominikanin właśnie popchnął ciężkie skrzydło drzwi, wpuszczając do wysokiego portyku ostry błysk słońca.

Pozwoliłem mu w spokoju opuścić kościół.

– Proszę ojca! – zawołałem za nim, gdy i ja wyszedłem ze świątyni.

Kiedy odwracał się do mnie na dziedzińcu, wydawał się zaskoczony.

– Słucham? – Zmierzył mnie jednym długim spojrzeniem od stóp do głowy.

– Pan mnie szukał?

– Tak. – Przytaknąłem, choć nie miałem pojęcia, jak nazywa się osoba duchowna, którą zacząłem.

– A w jakiej sprawie? Bo chyba nie chodzi o spowiedź?

– Nie, raczej nie. – Uśmiechnąłem się kwaśno. Akurat w tym aspekcie byłem mocno na bakier z modelem życia świątobliwego. – Chciałem z ojcem porozmawiać o Janie Kucharskim.

Wiekowemu zakonnikowi drgnęła powieka.

– To nie jest dobre miejsce na taką rozmowę. Proszę ze mną – powiedział i ruszył przez dziedziniec.

•••

Poprowadził mnie do ukrytego pod bluszczem skrzydła klasztoru po północnej stronie świątyni. Wąskim korytarzem doszliśmy do drzwi, za którymi mieściła się cela dominikanina. Wchodząc, rzuciłem okiem na blaszkę z mosiądzu z imieniem lokatora. Ojciec Tomasz wskazał mi miejsce na kanapce pod oknem, a sam usiadł naprzeciwko w starym fotelu na biegunach. Z odgradzonej od nas murem ruchliwej ulicy Libelta dochodziły ciche pomruki samochodowych silników.

– Dlaczego interesuje się pan Janem Kucharskim? – zapytał po dłuższej chwili milczenia, podczas której uważnie mi się przyjrzał.

– Widziałem go chyba jako ostatni tuż przed śmiercią – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Mówiłem to zdanie już tyle razy, że przeszło mi przez gardło bez większych problemów. Wiedziałem, że brzmi wiarygodnie i robi wrażenie na odbiorcach. Ale dominikanin w ogóle nie zareagował na moje słowa. Nadal wpatrywał się we mnie z uwagą, choć chyba niepodejrzliwie.

– To informacja dla policji, proszę pana – skomentował spokojnie i pewnie, jakby chodziło o stwierdzenie, że Bóg istnieje.



– To prawda. Już wiosną podzieliłem się nią z policją – powiedziałem. – Tyle że nie potraktowano mnie serio. Albo inaczej: potraktowano mnie nadzwyczaj serio. Stałem się głównym podejrzanym.

– A rzeczywiście nim pan nie jest?

Zamiast zaprzeczać, w ciągu następnego kwadransa opowiedziałem ojcu Tomaszowi w dużym skrócie, co zobaczyłem w dniu śmierci Kucharskiego i jakie konsekwencje miała dla mnie wizyta na komisariacie. Przypominało to trochę spowiedź, tyle że nie wyjawiałem grzechów i nie siedzieliśmy w konfesjonale. Słuchał mnie życzliwie, empatycznie, ze dwa razy wzruszył ramionami, odnosząc się w ten sposób do absurdalnych reakcji funkcjonariuszy. A kiedy wspomniałem o tym, jak zabrali mnie z ulicy, by pouczyć, co mi wolno, uśmiechnął się gorzko.

– Wybacz pan, ale trochę ich rozumiem – odezwał się w końcu. – Może nieświadomie, ale stworzył pan wiele poszlak, które mogły wskazywać na pański udział w tej sprawie... No, ale mniejsza z tym. Skoro przyszedł pan tutaj, to znaczy, że nie zamierza pan jednak ustąpić pola policjantom?

Chrząknąłem, zaskoczony tak jasno sformułowaną i trafną opinią.

– A ojciec uważa, że powinienem?

W odpowiedzi dominikanin odepchnął się lekko nogami, wprawiając bujany fotel w lekki ruch. Gdyby rozmowa nie dotyczyła tak zasadniczej sprawy, pewnie parsknąłbym śmiechem na ten widok.

– Decyzje w takich sprawach to kwestia sumienia każdego z nas – stwierdził, dopiero gdy fotel wyhamował. – Dlatego nie będę pana do niczego namawiał. To pan musi zdecydować. Sam.

Skinąłem głową na znak, że zgadzam się z moim rozmówcą.

– Ja już zdecydowałem, proszę ojca – powiedziałem.

Pobrużdżona wiekiem twarz zakonnika pozostała niewzruszona, ale odniosłem wrażenie, że moje słowa go ucieszyły.

– Dobrze, młody człowieku – stwierdził, co zabrzmiało nieco komicznie w kontekście mojego wieku. – Jak zatem mogę ci pomóc?

•••

Duchowny poprawił się w fotelu i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Porwanie i śmierć księdza Jerzego Popiełuszki były szokiem dla nas wszystkich. – Rozpoczął swoją opowieść. – Pamiętam dobrze tamtą jesień 1984 roku. Było wtedy wyjątkowo paskudnie. I nie myślę tylko o podupadających nastrojach po marazmie wywołanym stanem wojennym. Przed oczami mam ciągle obraz pluchy, błota, zwiędłych liści zmieszanych z ziemią, tych ciągłych deszczy i ogólnej szarości. To była wyjątkowo wredna jesień, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Internowani w stanie wojennym z reguły wrócili już do domów, zwalniani, ale ciągle pod dyskretnym nadzorem. Pamiętam to dobrze, wtedy rozpoczynałem

moją służbę właśnie tu, w Poznaniu. Ciągnęli do nas ludzie ze wszystkich stron: z zakładów pracy, z uczelni, ze szkół. Szukali w naszych murach pociechy, wsparcia, dobrego słowa. Nasze duszpasterstwo akademickie pękało w szwach, przyjmowaliśmy pod dach każdego, nie pytając o poglądy czy rodowód. Pomoc bliźniemu nie była wtedy tylko pięknym nakazem płynącym od ołtarza z Pisma Świętego, tylko realizowała się każdego dnia w prostych odruchach ludzkiego serca. Nie było podziałów wśród zgnębionych, bo przeciwnik był wtedy jeden, spod czerwonego znaku. Liczyło się tylko, jak przetrwać i nie stracić ducha.

Oczywiście śledzili nas, inwigilowali. Przychodzili na nasze msze, nagrywali nasze kazania. A potem wzywali naszego przeora, jednego i drugiego, do Urzędu Wojewódzkiego, do Urzędu do Spraw Wyznań. Żądali zaprzestania „treści antysocjalistycznych”, naciskali i grozili. Nikt jednak nie spodziewał się, że z czasem przejdą do jawnej wrogości. I że posuną się do morderstwa. Męczeńska śmierć księdza Jerzego otworzyła nam oczy na to, w jakim kraju żyjemy. W jakiej dyktaturze. I czym ryzykujemy, głosząc słowo Boże i wzywając do miłości bliźniego. Byliśmy jak owce pośród wilków. A może jak pasterze wśród owiec, osaczanych przez wilki. Niepewni swoich sił i możliwości...

Poruszyłem się na trzeszczącej ze starości kanapce nieco zniecierpliwiony. Ojciec Tomasz zdawał się rozpocząć właśnie rzetelne, pełnometrażowe kazanie, a ja miałem znacznie skromniejsze oczekiwania.

– Przepraszam, a jaka w tym była rola Jana Kucharskiego? – wtrąciłem lekko niegrzecznie, próbując podczepić się pod najnowszy wątek.

– Zaraz, zaraz, młody człowieku... – Zakonnik uniósł palec wskazujący, jakby chciał mi nim pogrozić. – Wszystko po kolei. Przecież sam pan zapytał o zabójstwo księdza Jerzego, prawda? Jan – wtedy wszyscy mówiliśmy na niego „Jasiu” – był takim dobrym duchem naszego duszpasterstwa. Był trochę inny od reszty tych krzykliwych, rozemocjonowanych i rozpolitykowanych studentów. Zdaje się, że komuniści nie dali mu skończyć studiów na politechnice, o ile oczywiście dobrze pamiętam... Po internowaniu już na studia nie wrócił...

– No właśnie. – Znowu zachowałem się niezbyt elegancko, przerywając duchownemu jego wywód. – Czy wie może ojciec, dlaczego internowali Kucharskiego? Przecież był wtedy bardzo młody i chyba niewiele znaczył w Solidarności Cegielskiego?

Łagodne oblicze zakonnika nagle stężało, srebrne brwi zsunęły się w burzową chmurę.

– Co pan mówi?! – Obruszył się. – Jasiu był sercem i duszą organizacji związkowej w zakładach Cegielskiego! Miał świetne pióro i pisał ostro o komunistach. Nic dziwnego, że znalazł się w ośrodku odosobnienia razem z władzami Solidarności, z ludźmi postawionymi wyżej od siebie. Nie było w tym nic dziwnego! Dziwne byłoby, gdyby komuna go nie zatrzymała...

– Ale przecież... nie powiedziałem, że to dziwne – zająknąłem się z wrażenia. – Zdziwiło mnie tylko, że tak wiele znaczył mimo...

– Gdyby go pan wtedy poznał, nie byłby pan zdziwiony! – fuknął zakonnik.  
– To był wzór, proszę pana. Dziś takich ludzi już nie ma.

– Jakich?

– Odważnych. Dzielnych. Prawdziwych patriotów.

– A co go łączyło z księdzem Jerzym? – Naprowadziłem znowu rozmowę na pożądane tory.

– Jasiu nie miał nic wspólnego z księdzem Popiełuszką.

– Nic? Zupełnie nic? – westchnąłem.

– Nie zdążył go nawet poznać. Bardzo zresztą tego żałował.

Poczułem, jak rozczarowanie rozrywa mnie od wewnątrz. Cała moja wyprawa w tym cholernym upale poszła na nic! Wysłuchałem kazania świętobliwego ojca, z którego dla sprawy nie wynika nic. Zupełnie nic!

Nie potrafiłem ukryć zawodu i mój rozmówca to zauważył.

– Dlaczego pan się zmartwił? – zapytał wprost.

– Bo już mi się wydawało, że coś odkryłem. – Wyrwało mi się bezwiednie. – Ale to było złudzenie. Dziękuję ojcu, że poświęcił mi chwilę. Przynajmniej wiem, na czym stoję.

Podniosłem się z kanapy i chciałem podać dominikaninowi dłoń, on jednak nie zareagował. Nadal siedział w swoim fotelu, delikatnie się bujając. Utkwiony w sufit wzrok zdawał się sugerować, że intensywnie o czymś rozmyśla.

– Przepraszam, chciałbym się pożegnać – odezwałem się.

Ojciec Tomasz spojrzał na mnie z rodzajem przygany we wzroku.

– Niech pan poczeka, młody człowieku. Jasiu przyjaźnił się z innym duchownym – powiedział, cedząc słowa z rozmysłem. – Z naszym bratem, który zginął w dziwnych okolicznościach. Słyszał pan o ojcu Zenobiuszu?

•••

Coś tam kiedyś słyszałem. A wzrok mojego gospodarza kazał mi natychmiast usiąść. Zastanowiło mnie, co ojciec Tomasz miał na myśli, wspominając o „dziwnych okolicznościach”. I dlaczego w ogóle mi o tym wspomniał?

– Ojciec Zenobiusz był uwielbiany przez młodych, takich jak Jasiu. – Dominikanin ponownie złożył dłonie niczym do modlitwy, oparł na nich podbródek i przymknął oczy. – Przyjechał do nas w połowie lat siedemdziesiątych, chyba z Lublina. A może z Krakowa... Tak, bodaj z Krakowa. W latach stanu wojennego skupiły się wokół niego dziesiątki, ba, setki zaangażowanych religijnie studentów. To z ich pomocą założył centrum, które pomagało osobom represjonowanym. Takim, jak Jasiu. I ich rodzinom. Wtedy gesty solidarności

znaczyły więcej niż dziś. Więcej niż kostki masła czy sera z amerykańskich darów. Dawały ludziom poczucie, że nie zostali sami. Że ponad opresyjnym państwem i jego siepaczami jest coś wyżej, coś zdecydowanie ważniejszego... Słyszał pan o radiowym duszpasterstwie? Albo o piśmie „Przystań”? Ojciec Zenobiusz pisywał w nim pod pseudonimem. To były mądre, potrzebne teksty. Formowały młodych ludzi. Jasiu też je z pewnością czytał. Gdyby żył, mógłby potwierdzić...

To dziwne, ale nagle przestało mi się spieszyć. Zapragnąłem pozostać w tej cichej, chłodnej celi, bo opowiadana przez zakonnika historia była mi jakoś bliska. Nie tylko dlatego, że byłem nauczycielem.

– Ojciec Zenobiusz był oparciem dla naszej miejskiej opozycji. Przychodzili do niego rolnicy, robotnicy z Cegielskiego albo z Wiepofamy, studenci, młodzież. – Duchowny kontynuował, poprawiając pomarszczone fałdy habitu. – Oczywiście, był śledzony, jak wielu z nas. Skarżył się nam, że ciągle za nim chodzą. Że nie ma chwili spokoju, nawet gdy wyjdzie do parku za operą, ciągle ma za sobą ogon: zwykle jakiegoś cywila, który mu się bacznie przygląda. Raz wrócił z parku zakrwawiony. To była jesień, ciemny wieczór. Ktoś go pobił, rozbił mu nos. Zenobiusz twierdził, że to był przypadek, że napatoczył się na dwóch pijanych. Ale czy pijani ludzie są w stanie pobić młodego, sprawnego człowieka? Ktoś inny skojarzył to zdarzenie z kazaniem, jakie wygłosił nasz brat w poprzednią niedzielę. Mówił wtedy bez ogródek o tym, że ten nieludzki system prędzej czy później musi upaść. I że przyjdzie czas, że winni prześladowań zostaną rozliczeni. Ale Zenobiusz nie wiązał tego pobicia z kazaniem. Może niesłusznie? Dziś już nie jesteśmy w stanie tego wyjaśnić. Faktem jest, że go nękali. Odbierał telefony z pogrózkami. Wzywali go do pobliskiego Urzędu do Spraw Wyznań na rozmowy. Nigdy się nam nie zwierzał, o co go wypytywali i czym mu grozili. Był zamknięty w sobie... O, w tym bardzo przypominał naszego Jasia!

Zaczynało do mnie docierać, że ojciec Tomasz opowiada o tym nie bez powodu. Czyżby Kucharski miał jakiś związek z tą historią? Skoro przyjaźnił się z ojcem Zenobiuszem, to może...

– Zginął w wypadku drogowym w 1983 roku. – Słowa mojego gospodarza zabrzmiały twardo. – Jechał do domu, do rodziców, mieszkali gdzieś na Mazowszu. I wie pan co, młody człowieku? Nikt do dzisiaj nie wierzy w ten wypadek. To znaczy wierzy prokurator i policja. Ale my, którzy znaliśmy Zenobiusza, wiemy swoje.

•••

Szybko policzyłem, że gdy zginął ojciec Zenobiusz, miałem zaledwie jedenaście lat. Nie mogłem więc go poznać. Moje doświadczenia opozycyjne zaczynały się – i kończyły – na udziale w jednej demonstracji, rozgonionej przez ZOMO w 1988 roku. A potem komuna padła i ruszyła budowa nowej

rzeczywistości. Trzy lata później poszedłem na studia. Pod wpływem słów ojca Tomasza przypomniałem sobie, że kiedyś w trakcie studiów ktoś mi o ojcu Zenobiuszu opowiadał. Z uznaniem dla jego niezłomnej postawy w trudnych czasach. Ale szczegóły szybko zatarły mi się w pamięci. Pędzący do przodu czas kapitalistycznych zmian nie sprzyjał rozpamiętywaniu lat, do których niewielu chciało wracać.

– Jasiu ciężko przeżył tę śmierć. – Twarz zakonnika zasępiła się jeszcze bardziej, gdy wypowiadał te słowa. – Wie pan, oni się bardzo zaprzyjaźnili, choć Zenobiusz był dużo starszy. Jakoś tak pasowali do siebie charakterami. Jasiu mu we wszystkim pomagał. Rozumieli się bez słów. Myślę, że Jaś Kucharski wiedział, że chodzą za Zenobiuszem, że go inwigilują. Pewnie dlatego nie mógł się pogodzić z tym, co się wydarzyło. Nie uwierzył, że Zenobiusz w biały słoneczny dzień mógł zjechać fiatem z pustej drogi i uderzyć w drzewo...

Poczułem na karku nieprzyjemny dreszcz. Czyżby...

– I co? – Wyrwało mi się niezbyt mądre pytanie. – Co z tym zrobił?

Dominikanin spojrzał na mnie, a ja dopiero teraz zauważyłem, że ma wilgotne oczy.

– Tego nie wiem – odpowiedział. – To znaczy, nie wiem nic pewnego. Różne rzeczy słyszałem, ale to mogły być plotki, nieprawdy.

– A co ojciec słyszał?

– Zaznaczam, że to nic pewnego. Ale w naszym środowisku mówiło się... Mówiło się, że Jasiu próbował wyjaśnić na własną rękę, co się stało z Zenobiuszem.

Z wrażenia z trudem przełknąłem ślinę. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. A więc jednak! Kucharski skrywał jakąś tajemnicę! W tle, za jego plecami, kiedyś, lata temu, rozegrała się być może mroczna historia, która mogła rzutować na jego dramatyczny koniec... Ale jak tu wierzyć w zasłyszane sensacje, skoro brzmią jak ponura teoria spiskowa?

– Kto mówił takie rzeczy? To ważne, proszę ojca.

– Nie potrafię już dzisiaj sobie przypomnieć. Usłyszałem to, zdaje się, raz czy drugi od jakiegoś działacza Solidarności... Ale to było lata temu. Zresztą, sam Jasiu nigdy nic na ten temat nie mówił. A ja nie pytałem. Pewnie uznałem, że to tylko pogłoski. Bo wie pan, chyba nie było ciągu dalszego tej sprawy...

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– To znaczy sprawę wypadku Zenobiusza badała już po upadku komuny nowa, solidarnościowa prokuratura. – Ojciec Tomasz sprecyzował. – Ale nie znalazła żadnych dowodów, że było tam coś nieczystego. Uznano to oficjalnie za wypadek drogowy i tyle. A Jasiu chyba się z tym w końcu pogodził. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Rozmawiał z nim ojciec kiedykolwiek?

– O tej sprawie? Już mówiłem, że nie.  
– A on sam? Z niczego się ojcu nie zwierzył?  
– Nie w tych sprawach. W innych, co do których wiąże mnie tajemnica spowiedzi.

Nie zamierzałem drażnić tematu. Musiałem uszanować delikatność materii. Najważniejsze było to, że jakimś cudem zdobyłem zaufanie wiekowego zakonnika. I że się przede mną otworzył. Było to o tyle niebywałe, że widzieliśmy się przecież pierwszy raz.

– I co pan teraz zamierza zrobić? – Ojciec Tomasz założył ręce na głowę, gładząc swoje srebrne włosy.

– Jeszcze nie wiem – wyznałem szczerze.

Czułem się oszołomiony, zaskoczony. Zupełnie, jakbym zniecka oberwał pięścią w twarz. Krew pulsowała mi intensywnie w skroniach, a myśli były głębsze jedna od drugiej.

– Mam tylko do pana ogromną prośbę. – Dominikanin znowu złożył ręce, jakby chciał mnie o coś błagać. – Proszę pod żadnym pozorem nie robić głupstw. Wie pan, o czym myślę?

– Chyba tak – mruknąłem niechętnie, choć nie byłem pewien, o co mu chodzi.

– Niech pan działa roztropnie. Powoli. A najlepiej... A najlepiej niech się pan w ogóle zastanowi, młody człowieku, czy warto się pakować w tę historię. Po co? Co to da po tylu latach?

## Prawda materialna

Wyszedłem z klasztoru wewnątrznie rozbity. Natłok nowych faktów powodował, że w głowie miałem chaos. Ale w tym chaosie było coś, co stanowiło nowy, potężnie pobudzający motyw. Wiedziałem, czułem, byłem więcej niż pewien, że nie mogę odpuścić tej sprawy. Zbyt wiele było w niej znaków zapytania. Historia ojca Zenobiusza, choć przedstawiona skrótowo przez ojca Tomasza, działała na wyobraźnię. Jadąc do dominikanów, nie spodziewałem się, że będę wracał z trzęsącymi się rękoma. A teraz dłonie musiałem schować w kieszeniach, by choć doraźnie poskromić emocje.

Słońce zdążyło się już ukryć za koronami drzew, rozrzucając po ziemi słabsze, choć rażące oczy promienie. Idąc ku parkingowi, minąłem wiatę przystanku komunikacji miejskiej. Wisiał na niej plakat zapowiadający film *Smoleńsk*. Z mgły wyłaniał się ogon i końcowy fragment kadłuba tupolewa, w którym w 2010 roku zginęło dziewięćdziesięciu sześciu rodaków.

W szkole miałem z uczniami dyskusję, czy pójść do kina na film Krauzego. Klasa podzieliła się niemal równo na zwolenników i przeciwników tego pomysłu. Zrozumiałem wtedy, jak bardzo jesteśmy rozdarci jako społeczeństwo. Stało na tym, że kto chce, pójdzie na film sam. Nie namawiałem ani do pójścia, ani do zrezygnowania z obejrzenia go. Choć sam nie wybierałem się do kina. W pamięć zapadły mi słowa jednego z prasowych recenzentów, mówiące o „błuźnierczej scenie” w finale filmu: użyto w niej duchów zamordowanych w Katyniu oficerów, by uprawdopodobnić tezę o zamachu. Jako człowiek, który liźnął jeszcze ostatnie lata PRL-u, byłem wyczulony na manipulację. Ta wydawała mi się skrajnie obrzydliwa.

Gdy wsiadałem do samochodu, daleki już byłem od rozważań na temat współczesnego filmu propagandowego. Myśli znowu wróciły do postaci Jana Kucharskiego. I do osoby ojca Zenobiusza. Kim był? I jak zginął, skoro jego śmierć tak mocno poruszyła przed laty Kucharskiego? Musiałem to koniecznie sprawdzić.

...

Nie miałem żadnych trudności, by zebrać podstawowe informacje na temat ojca Zenobiusza i jego śmiertelnego wypadku. A przy okazji zorientować się, ile narosło wokół tego zdarzenia interpretacji i teorii spiskowych. Najobszerniejszy materiał na temat wypadku dominikanina znalazłem na stronie „Wyborczej”. Informacje podane w reportażu nie brzmiały jednoznacznie.

Była wiosna 1983 roku. Zakonnik jechał fiatem sto dwadzieścia sześć pe, zwanym wtedy „małym fiatem”, do swoich rodziców do Przasnysza. Ciepły, kwietniowy, słoneczny dzień. Świetne warunki do jazdy. A jednak ojciec Zenobiusz nie dotarł do celu. Nieopodal niewielkiej wsi w ówczesnym województwie toruńskim niemal w samo południe zjechał z pustej drogi i uderzył rozpędzonym samochodem prosto w drzewo. Zmarł w następstwie odniesionych obrażeń wewnętrznych po przewiezieniu do szpitala w niewielkim Aleksandrowie Kujawskim.

Nie wykonano sekcji zwłok. Milicja szybko umorzyła dochodzenie, nie oglądając nawet miejsca wypadku. Funkcjonariusze orzekli, że prawdopodobną przyczyną nieszczęścia było zaśnięcie kierowcy. Tylko czy czterdziestokilkuletni mężczyzna może w samo południe ot tak, po prostu zasnąć nad kierownicą?

Pogrzeb dominikanina w Poznaniu był wielką demonstracją. Kilkanaście tysięcy osób przy grobie. Ówczesny przeor klasztoru ogłosił, że ojciec Zenobiusz zginął w wypadku. Potem okazało się, że zrobił to na prośbę milicji. Ale niewielu mu uwierzyło. „W czasie pogrzebu przekonanie, że to było zabójstwo, było przemożne” – powiedziała dziennikarzowi jedna z ówczesnych współpracownic ojca Zenobiusza z duszpasterstwa akademickiego. Wszyscy pamiętali, że za zakonikiem ciągle chodzili esbecy. Że śledzili go nawet, kiedy wyjeżdżał poza Poznań.

Nie miałem wątpliwości, że ojciec Zenobiusz był dla poznańskiej opozycji w tamtych czasach tam samo ważny, jak ksiądz Popiełuszko dla swoich wiernych w Warszawie. Ksiądz Jerzy został zamordowany w październiku 1984 roku, a więc półtora roku po wypadku ojca Zenobiusza. Uprawdzili go trzej funkcjonariusze SB. Utopili, wrzucając skrepowanego do Wisły z zapory we Włocławku.

To morderstwo miało pozostać tajemnicą, ale sprawa zrobiła się głośna za sprawą kierowcy księdza, któremu udało się zbiec. A wkrótce odnaleziono w Wiśle ciało kapłana. Pogrzeb kapelana Solidarności zgromadził tysiące Polaków. Był dla społeczeństwa wstrząsem.

Władza nie mogła zamieść sprawy pod dywan. Musiała przystać na publiczny proces esbeków, którzy zorganizowali porwanie, uprawdzili, torturowali i zabili kapłana. Zostali skazani na kary od czternastu do dwudziestu pięciu lat więzienia, później złagodzone. Nigdy nie udało się wskazać stojących za mordercami inspiratorów zbrodni. Dla wszystkich znających realia PRL było jednak jasne, że esbecy, którzy zamordowali księdza Popiełuskę, nie działali sami.

Czy Służba Bezpieczeństwa mogła mieć również udział w śmierci Zenobiusza? I czy Jan Kucharski rzeczywiście usiłował to sprawdzić? Przecież jego enigmatyczna notatka odnosiła się do roku śmierci księdza Jerzego, nie ojca Zenobiusza. A jeśli tak, to do czego doszedł? Czy rzeczywiście w pewnym momencie uznał, że brak mu wystarczających dowodów i zrezygnował?



Z prasowych tekstów, które znalazłem w Internecie, wynikało, że po upadku komunizmu, w 1991 roku, zagadkową śmiercią ojca Zenobiusza zajęła się nadzwyczajna komisja sejmowa zwana komisją Rokity od nazwiska jej przewodniczącego Jana Marii Rokity. Uznano bowiem, że milicja nie wykonała wielu podstawowych czynności na miejscu wypadku pod Aleksandrowem. Dopiero wówczas prokuratorzy przeprowadzili wizję lokalną na miejscu zdarzenia. Nie ustalono, czy osiem lat wcześniej ktoś za ojcem Zenobiuszem jechał. Ale ówczesny komendant najbliższego posterunku MO zeznał, że zaraz po wypadku milicyjne materiały zabrała SB. Co z nimi zrobiła? Nie wiadomo. Wróciły do MO dopiero kilka tygodni później. Czyżby esbecy coś sprawdzali? A może fałszowali dokumentację? Przy okazji wyszło na jaw, że w miejscu wypadku postawiono krzyż, przy którym okoliczni mieszkańcy składali kwiaty. Ale dziwnym trafem ktoś je usuwał.

Ojciec Tomasz, który opowiedział mi o śmierci ojca Zenobiusza, miał rację: badająca sprawę na początku lat dziewięćdziesiątych prokuratura nie znalazła żadnych dowodów na udział w wypadku tak zwanych osób trzecich – czyli na zabójstwo kapłana. I dwa lata później musiała umorzyć śledztwo. Co ciekawe, eksperci z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji w Warszawie wykluczyli jednocześnie, by zakonnik mógł zasnąć nad kierownicą. Analizując obrażenia dominikanina, orzekli, że tuż przed uderzeniem w drzewo prawdopodobnie schylił się, sięgając po jakiś przedmiot – tego dnia przewoził bowiem luzem wiele darów z Zachodu. I ten właśnie moment nieuwagi miał być przyczyną zjechania z drogi i uderzenia w drzewo, co zakończyło się poważnymi obrażeniami kierowcy, prowadzącymi do śmierci.

Jeden z odnalezionych przeze mnie tekstów zawierał wypowiedź prokuratora z Torunia, prowadzącego wówczas śledztwo. Zapisalem jego imię i nazwisko. Janusz Brzostek. Wiedziałem, że muszę go odnaleźć i zadać mu parę pytań. Mógł przecież w trakcie śledztwa poznać Kucharskiego. I dowiedzieć się o nim czegoś ważnego.

...

Namierzyć prokuratora Brzostka wcale nie było łatwo. Nawet dziś, w dobie internetowych wyszukiwarek, GPS-ów i innych cudów techniki. Najłatwiej było dotrzeć do informacji z jego udziałem. Szybko się zorientowałem, że od kilku lat nie pracował już w zawodzie – mniej więcej około 2012 roku zniknął z pola widzenia w internetowej sieci. Z wcześniejszych informacji wynikało, że mieszkał, a już na pewno pracował w Toruniu, w tamtejszej Prokuraturze Okręgowej.

Zadzwońłem więc do prokuratury, prosząc o kontakt z Brzostkiem. Dowiedziałem się, że rzeczywiście nie pracuje już w zawodzie. Kiedy poprosiłem w sekretariacie o jakieś namiary na byłego prokuratora, musiałem podać mój

numer telefonu i wyjaśnić, kim jestem i w jakiej sprawie chcę się z nim skontaktować. Zawahałem się, ale ostatecznie podałem moją prawdziwą profesję. I nadmieniałem, że chodzi mi o śledztwo w sprawie śmierci poznańskiego dominikanina.

Na odzew czekałem raptem kilka godzin. Późnym wieczorem, gdy lekko przybity nieuctwem moich podopiecznych ślęczałem nad kartkówkami dotyczącymi czasów Bolesława Krzywoustego, moja komórka zawibrowała na półce. Zerknąłem na ekran – numer telefonu przyszłego rozmówcy jednak się nie wyświetlił.

– Dzień dobry, czy rozmawiam z panem Popiołkiem? – Usłyszałem zachrypnięty męski głos.

– Tak, to ja.

– Mówi Janusz Brzostek. Przekazano mi, że chciał pan się ze mną skontaktować.

– Tak, tak! – Przytaknąłem nieco zbyt żarliwie. – Chciałem poznać szczegóły śledztwa dotyczącego sprawy śmierci ojca Zenobiusza.

– Przepraszam, ale nie rozumiem... W jakim celu? Jest pan podobno nauczycielem, nie prokuratorem – odpowiedział niezbyt przyjemnym tonem.

– To prawda. Ale interesuję się tą sprawą.

– Dlaczego?

– Był z nią być może związany mój... znajomy. – Wybrnąłem dość pochopnie z trudnej sytuacji.

– Kto? – Były prokurator był rzeczowy.

– Jan Kucharski, działacz Solidarności z Poznania. – Rzuciłem w słuchawkę i zamarłem w oczekiwaniu. Od tego, co Brzostek mi odpowie, zależał przecież cały ciąg dalszy tej dziwnej historii.

– Nie znam nikogo takiego – burknął były prokurator.

– Nigdy się pan z nim nie zetknął? – Nie potrafiłem ukryć rozczarowania.

– Szanowny panie... – Tembr głosu Brzostka zdawał się znamionować irytację. – Nie rozumiem, w jakim celu pyta mnie pan o nieznaną mi osobę. Ale jeśli tylko z takiego powodu zdecydował się pan mnie fatygować, to...

– Nie tylko. – Wszedłem mu w słowo, bo czułem, że muszę zareagować. – Chcę poznać pana opinię na temat tamtego wypadku. Pan wie, tego pod Aleksandrowem...

– To stare dzieje. Nie ma do czego wracać. Zresztą, sprawa została dość dobrze opisana.

– Tak, wiem. – Desperacko walczyłem o uwagę mojego rozmówcy. – A jednak... A jednak mam do pana kilka szczegółowych pytań.

– To na pewno nie jest rozmowa na telefon.

– Zgoda. Nawet pan nie wie, jakie to dla mnie ważne. Jeśli zechciałby pan

znaleźć dla mnie chwilę... Przyjadę, gdzie trzeba. Tylko pół godziny. Pół! Ja naprawdę przyjadę do Torunia...

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy, długa jak wieczność.

– I nie jest pan dziennikarzem? – Usłyszałem w końcu pytanie.

– Broń Boże.

– No dobrze, znajdę dla pana godzinę. Ma pan szczęście, bo wie pan... ja nie znoszę pismaków.

Ucieszyłem się w duchu, że powiedziałem prawdę o sobie. Po raz pierwszy mój zawód mi pomógł, a nie utrudnił sprawę.

•••

Umówiliśmy się na najbliższą sobotę. Końcówka września okazała się bonusem do zakończonego już lata – dni były jeszcze ciepłe i słoneczne. Kiedy o ósmej z minutami wyjeżdżałem z Poznania, słońce zaczynało właśnie delikatnie przygrzewać przez szyby samochodu.

Niespełna dwie godziny później byłem w Toruniu. Wąskim mostem ze stalowymi przęsłami przejechałem nad szeroką w tym miejscu Wisłą i zostawiając po prawej urokliwe wieże Starego Miasta, pojechałem w stronę Planetarium. Znałem trochę miasto, byłem tu kilka razy jako opiekun szkolnych wycieczek. Minałem Planetarium i Franciszkańską, dojechałem do ulicy prowadzącej wprost na Rynek Staromiejski. Nakaz skrętu poprowadził mnie jednak w lewo. Zaparkowałem jakieś sto metrów dalej, pod teatrem imienia Wilama Horzycy.

Umówiliśmy się w jednej z kafejek przy ulicy Chełmińskiej. Odnalazłem ją bez trudu, w oddali majaczyła masywna wieża katedry.

Brzostek okazał się niskim, dobrze zbudowanym mężczyzną około sześćdziesiątki. Falę siwych włosów zaczesywał do tyłu, przypominał w tym trochę prezesa Trybunału Konstytucyjnego. I tak samo jak profesor Rzepliński nosił dwudniowy zarost. Orli nos nadawał mu drapieżnego rysu. Ubrany był elegancko, choć swobodnie: w marynarkę i dżinsowe spodnie. Siedział przy stoliku w rogu sali, znad którego w pełni kontrolował sytuację w niedużym lokalu.

– To pan... – mruknął na mój widok i podniósł się wolno, by podać mi dłoń.

– Napije się pan kawy?

Po krótkich ceregielach zgodziłem się na zaproponowane mi cappuccino i usiadłem naprzeciwko byłego prokuratora z wieloletnim stażem. Zdażyłem ustalić, że Brzostek był jeszcze niedawno gwiazdą toruńskiej prokuratury. Należał niewątpliwie do tutejszej elity.

– Muszę przyznać, że zaciekawił mnie pan – powiedział, przyglądając się nieufnie mojej osobie. – Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego tak panu zależało na naszym spotkaniu?

Opowiedziałem mu pokrótce, że byłem prawdopodobnie świadkiem

ostatnich chwil Jana Kucharskiego. Wyjaśniłem, kim był zamordowany i że być może coś go łączyło ze sprawą ojca Zenobiusza. Zaznaczyłem, że to tylko przypuszczenie, ale dodałem z naciskiem, że w tej chwili liczy się każdy szczegół. A mam podstawy sądzić, że denat interesował się okolicznościami śmierci dominikanina.

Brzostek słuchał mnie spokojnie, co jakiś czas marszcząc siwe brwi. Nie byłem pewien, czy dlatego, że mi nie dowierza, czy może miał taki nerwowy tik. Gdy zamilkłem, spojrzął na mnie z przyganą i powiedział:

– Ale dlaczego nie zainteresował pan swoimi podejrzeniami policji?

Następny kwadrans poświęciłem więc na opisanie moich mało satysfakcjonujących relacji ze stróżami prawa. Pokiwał głową i nie skomentował mojej opowieści. Zamiast tego westchnął, siorbnął swoje cappuccino i zapytał:

– To co chciałby pan wiedzieć?

– Dokładnie przeczytałem to, co jest dostępne w sieci – powiedziałem. – Ale zanim zapytam o szczegóły, proszę mi powiedzieć: to był wypadek czy jednak...

– Proszę pana, w decyzji o umorzeniu śledztwa napisałem jasno, że brak jest dowodów wskazujących na udział osób trzecich w wypadku. – Mój rozmówca się zachnął. – Dlaczego podważa pan tę konkluzję?

– Niczego nie podważam. – Zaprotestowałem. – Pomyślałem jednak, że może gdzieś w środku, wewnątrz siebie, ma pan wątpliwości, jak było.

Brzostek poprawił się na swoim krześle. Chyba zaskoczyłem go tą wypowiedzianą wprost sugestią.

– Pyta mnie pan o moje przecucia? W pracy prokuratora nie ma takiego pojęcia. Są tylko dowody lub ich nie ma... – Schylił się nad stołem. – Ale dobrze, powiem coś panu. Tylko proszę zachować to dla siebie... Sprawa nie jest do końca wyjaśniona. To znaczy, nie dysponowaliśmy wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, wszystkimi możliwymi dowodami. Milicja wiele spraw zaniedbała, a potem nie udało się już sprawdzić wszystkiego. Na przykład stanu technicznego pojazdu. Mnie obowiązuje jednak prawda materialna. Wszystko, co podczas mojego śledztwa było możliwe do wyjaśnienia, zostało wyjaśnione.

– Ale przecież ten zakonnik był śledzony. Jeździli za nim, raz go nawet pobili...

Brzostek spojrzął na mnie sceptycznie.

– Nie wykluczam, że tak było. Ale to jeszcze za mało, by komuś przypisać czyn zbrodniczy. Na razie wszystko wskazuje na to, że na szosie pod Aleksandrowem doszło do nieszczęśliwego wypadku drogowego. Dominikanin z jakichś bliżej niewyjaśnionych przyczyn stracił panowanie nad pojazdem i zjechał na pobocze. A tam stało drzewo. Grube, stare drzewo. Straszny zbieg okoliczności. On nie mógł wyjść z tego cało.

Chłodny prokuratorski wywód zrobił na mnie przygnębiające wrażenie.

Zrozumiałem, jak niewielki margines zostawił mi Brzostek na jakiegokolwiek dywagacje. O spekulacjach nie wspominając.

Sięgnąłem do kieszeni po notes z zapiskami. Przyjechałem wszak dobrze przygotowany.

– A dlaczego wtedy, w 1983 roku, nie wykonano sekcji zwłok? – zapytałem.

– To akurat łatwo wytłumaczyć. Sekcji nie było, bo przez jakiś czas po wypadku zakonnik przebywał w szpitalu. Zdaje się, że przeszedł operację. To trwało chyba z tydzień. W tej sytuacji sekcja nie miała już sensu – odpowiedział spokojnym tonem Brzostek.

Coś mi tu nie pasowało. Szybko to wychwyciłem.

– W prasie napisali, że ojciec Zenobiusz zmarł kilka godzin po wypadku...

– To bujda, zapewniam pana. Zmarł kilka dni później. Jestem tego więcej niż pewien.

– Był przytomny?

– Tylko krótko po przywiezieniu do szpitala w Aleksandrowie. Wieczorem nie było już z nim kontaktu.

– Odzyskał jeszcze przytomność?

– Z tego, co ustaliłem, już nie.

– I nikt na miejscu albo w szpitalu nie zauważył niczego podejrzanego?

Janusz Brzostek spojrział na mnie jak na kosmitę.

– Chyba za dużo naoglądał się pan tych seriali na HBO – skomentował zgryźliwie, odsuwając od siebie pustą już filiżankę.

– Nie mam HBO...

– Nieważne! – Brzostek był rozdrażniony. – Nie, nie było żadnych świadków. Oczywiście poza dwojgiem ludzi z dużego fiata, którzy pierwsi próbowali ratować ранego dominikanina. Tak więc chcę panu powiedzieć, że nie wiem o niczym podejrzanym. Bądźmy poważni! Skoro już się zdecydowałem z panem rozmawiać, a wcale nie musiałem, a pan zdecydował się tu przyjechać, to nie zachowujmy się jak – za przeproszeniem – jakaś podkomisja smoleńska. Nie wymyślajmy czegoś, na co nie ma dowodów. Jeszcze raz panu powtórzę: nie było – i nadal nie ma – żadnych dowodów na zamach! A skoro tak, możemy porozmawiać wyłącznie o wypadku drogowym. Bardzo nieszczęśliwym wypadku.

...

Straciłem ochotę na dalsze dopytywanie o detale sprawy. Dotarło do mnie, że rozmawiam z człowiekiem, który zjadł zęby na tej sprawie i udziela mi w pełni profesjonalnych odpowiedzi. Podczas gdy ja – śledczy amator, pożałuj Boże – próbuję szukać dziury w całym. Które jednak żadnej dziury nie ma i mieć nie chce.

– To teraz ja mam pytanie. – Niespodziewanie Brzostek przejął inicjatywę. – Przez telefon, a teraz tutaj, wspomniał pan o mężczyźnie, który został

zamordowany. Jak rozumiem, wydarzyło się to w marcu. Zasugerował pan, że ten człowiek mógł mieć związek ze sprawą ojca Zenobiusza. Skąd pan to wie, jeśli wolno zapytać?

– Bo ten człowiek znał tego dominikanina na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – wyjaśniłem. – Współpracowali blisko w duszpasterstwie akademickim. W Poznaniu mówią, że po śmierci ojca Zenobiusza Kucharski próbował dojść prawdy.

– Kto mówi?

– Współbracia z klasztoru.

– To pewna informacja?

– Zakonnik, który mi o tym powiedział, zaznaczył, że coś na ten temat obikoło mu się o uszy.

– Czyli to nic pewnego – skomentował Brzostek.

– To prawda – podsumowałem.

Były prokurator zamyślił się, coś go chyba dręczyło, wyglądał, jakby ze sobą walczył.

– Niech mi pan przypomni, jak się nazywał ten zabity? – zapytał w końcu.

– Jan Kucharski.

– Aha, Kucharski – powtórzył, jakby chciał utrwalić sobie to nazwisko. – Niestety, mówiłem już panu, że nie poznałem nikogo takiego. To znaczy, że nikt taki się do mnie nie zgłosił, gdy prowadziłem śledztwo. Jestem pewien, że zapamiętałbym go. Bo ja mam dobrą pamięć do nazwisk.

– Zapewne – powiedziałem.

Wahałem się, czy wyciągnąć komórkę i pokazać mu odkrytą przez Liściaka notatkę Kucharskiego. Zauważyłem jednak, że mój rozmówca przez ostatnich kilka minut zaczął mnie traktować jakby mniej poważnie. Odpuściłem, nie chciałem się narazić na kolejny wybuch jego irytacji. Miałem zresztą poczucie, że wydobyłem już z niego wszystko, co można było wyciągnąć z byłego prokuratora. A może nawet więcej.

Chwilę porozmawialiśmy jeszcze o polityce, a potem Brzostek zaczął wymownie zerkać na zegarek. Gdy się żegnaliśmy, spojrział jednak na mnie jakoś życzliwiej i przeprosił za to, że chwilami był „mało sympatyczny”.

– Pan wybaczy, ale ja ciągle patrzę na tę sprawę chłodno, prokuratorским okiem. – Usprawiedliwił się. – I panu też zalecam taką spokojną, zdystansowaną postawę. Różni ludzie mówią różne rzeczy. Ale to nie znaczy, że wszystkich ich musimy w równym stopniu brać serio.

Chyba zrozumiałem, co chciał mi przez to powiedzieć. Mimo to wracałem do domu z mieszanymi odczuciami.

## 23.

Ktoś zadzwonił po mszy

Były prokurator zasiał we mnie ziarno z wątpienia. Jego argumenty wydawały się mocne, ale mimo wszystko nie przekonywały mnie ostatecznie. Czulem, że ciągle pozostaje w tej historii jakiś margines na alternatywną wersję wydarzeń. Nie można było przecież całkowicie wykluczyć, że śledztwo Brzostka nie ustaliło prawdy. Choć targały mną sprzeczne uczucia, uchwyciłem się tej myśli jak liny rzuconej rozbitkowi na wzburzonym morzu. A może po prostu bardzo chciałem uwierzyć, że ciągle istnieje taka możliwość?

Nim dojechałem do Poznania, wiedziałem już, co powinienem zrobić. Dotarło to do mnie gdzieś pod Gniezmem, gdy wjechałem na drogę szybkiego ruchu, a moje myśli ruszyły ostro do przodu wraz z szybkością, której nabrał mój chybotający się na wszystkie strony po przekroczeniu setki ford. Zrozumiałem, że muszę odnaleźć kogoś z duszpasterstwa akademickiego. Musiałem dotrzeć do znajomych Kucharskiego z tamtych lat.

Wiedziałem, że obowiązki w gimnazjum nie pozwolą mi zabrać się za to od razu po weekendzie, więc jeszcze w niedzielę wyszukałem w Internecie tekst z „Przewodnika Katolickiego” o duszpasterstwie w czasach komuny. Na jednym ze zdjęć zobaczyłem ojca Zenobiusza – wysokiego, chudego mężczyznę w białym habicie, trzymającego w jednej dłoni kielich, a w drugiej hostię. Fotografie zrobiono podczas jednej z mszy, podczas których zakonnik udzielał licznie zgromadzonym studentom komunii.

Tekst o duszpasterstwie naprowadził mnie na kilka nazwisk. Wynotowałem je sobie, a potem przepuściłem przez Google’a. Efekt okazał się wielce obiecujący. Najwięcej wyników dało hasło „Leszek Mostecki”. Zorientowałem się, że jest wykładowcą na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza i ma profil na Facebooku. Napisałem do niego za pośrednictwem wynalazku Zuckerberga.

To był strzał w dziesiątkę. Odpowiedział już następnego dnia wieczorem. Zdawał się zaintrygowany moim zapytaniem o jego znajomość z Janem Kucharskim. Odpisał, że chętnie ze mną porozmawia. I zaproponował, bym zjawił się u niego na uczelni w środę po dwunastej. Ponieważ tego dnia kończyłem zajęcia w szkole o trzynastej trzydzieści, zaproponowałem spotkanie o czternastej. Przystał na to, ale zmienił miejsce spotkania. Zaprosił mnie na obiad w Marche – knajpce z szybkim jedzeniem pod Okrąglakiem. Zgodziłem się na miejsce spotkania, ale zastrzegłem, że sam za siebie zapłacę. W końcu na obiad było mnie jeszcze stać.

•••

– Pewnie pan myśli, że zwariowałem. – Doktor Leszek Mostecki, filolog z UAM, pękaty facet po pięćdziesiątce z wąsem podwinął rękawy, zanim chwycił łyżkę i zagłębił ją w krupniku. – Pewnie pan sądzi, że należę do sekty oszołomów. Ale nie, proszę pana, nie należę. Ja naprawdę uważam, że w tym wypadku było coś niejasnego. Mostecki siorbnał bez skrępowania, jakby zupa okazała się za gorąca. A może rzeczywiście taka była.

Przełknąłem w spokoju nieduży kartofel. Spodziewałem się, że od naukowca z uniwersytetu, niegdyś blisko związanego z ojcem Zenobiuszem, usłyszę co innego niż od prokuratora Brzostka. Jednak żarliwość, z jaką złożył swoją deklarację, mocno mnie zaskoczyła.

– Nie myślę, że pan zwariował. – Uśmiechnąłem się w nieco wymuszony sposób. – Ale już nie wiem, komu wierzyć. Rozmawiałem z prokuratorem, który próbował wyjaśnić tę sprawę w 1991 roku...

– Za późno. – Mostecki wszedł mi w słowo.

– Być może. – Zgodziłem się. – Ale jednak wydaje mi się, że zrobił wszystko, co wtedy można było zrobić. Tym bardziej, że nie udało mu się odnaleźć świadków wypadku. Przynajmniej bezpośrednich świadków.

Doktor Mostecki uporał się z zupą i odsunął od siebie pusty talerz. Szybkim ruchem wytarł usta serwetką.

– Nie neguję, że prokuratura się starała – powiedział. – Ale sam pan wie, jak wiele zależy od czynności i dowodów zebranych na miejscu zdarzenia zaraz po wypadku. Niech pan sobie teraz uświadomi, że wtedy, w 1983 roku, nikt się o to nie zatroszczył. Może nie dopatrył, a może celowo tym się nie zajął. Przecież milicja szybciotko umorzyła sprawę. Nie dziwi to pana?

– Można to interpretować dwojako. – Odważyłem się pójść pod włos. – Albo rzeczywiście coś było na rzeczy i milicjanci chcieli zamaskować ślady ingerencji „nieznanych sprawców”, albo to był rzeczywiście zwykły wypadek. Tak zwykły, że milicja nie widziała powodu, by go drażnić.

– Pan jest naiwny. – Mostecki ocenił mnie surowo. – To były czasy, gdy milicja niczego nie pozostawiała przypadkowi. Skoro nie wyjaśniała tej tajemniczej śmierci, to znaczy, że miała taki nakaz z góry.

– Jest pan pewny?

– Czuję to, proszę pana.

Westchnąłem rozczarowany.

– Pańskie wrażenia to dla mnie za mało – wyznałem szczerze. – Ma pan jakieś dowody?

Mostecki przyjrzał mi się znad talerza z drugim daniem tak, jak spogląda się na niesfornego brzdąca.

– Chyba nie zna pan wszystkich okoliczności tego wypadku – bardziej



orzekł, niż zapytał. – Prokurator zapewne nie wspomniał panu o tym, co powiedział ojciec Zenobiusz tuż przed śmiercią?

Zatkało mnie, z wrażenia omal nie udławiłem się kawałkiem kotleta.

– A... on coś w ogóle powiedział?

Filolog odłożył sztućce i ściszył głos, jakby się obawiał, że ktoś nas usłyszy.

– Tak, szanowny panie – niemal wyszeptał, schylając się do mnie nad stołem. – Gdy pogotowie przywiozło ciężko rannego ojca Zenobiusza do szpitala, przez bodaj godzinę był z nim jeszcze kontakt. Owszem, był w szoku, stracił przecież wiele krwi, ale jeszcze mówił.

Zamarłem w oczekiwaniu na dalszy ciąg opowieści.

– Jeszcze w karetce powiedział ratownikom, kim jest. To było ważne, bo jechał ubrany po cywilnemu. Mówił też, że nie wie, jak to się stało, że uderzył w drzewo. – Mosteckie kontynuował cichym głosem swoją opowieść. – Gdy znalazł się w szpitalu, jego mowa stawała się coraz bardziej niewyraźna, ale można go jeszcze było zrozumieć. Na miejscu był akurat tamtejszy kapelan. Gdy się dowiedział, że przywieźli dominikanina z wypadku, natychmiast do niego poszedł. Wyprosił lekarzy. Rozmawiali przez dłuższą chwilę w samotności. Zenobiusz mówił z trudem, ale wypowiedział zaskakujące zdanie. A właściwie dwa zdania...

– Jakie?

– „Niech ksiądz się modli za komunistów”. I dodał: „Bo to są biedni ludzie”.

•••

Odsunąłem talerz. Jedzenie kotleta podczas rozmowy o śmierci człowieka wydało mi się niestosowne. Przez minutę siedzieliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu. Mosteckie rzucał na mnie badawcze, a jednocześnie gniewne spojrzenia. Zdawał sobie sprawę, że jego relacja zrobiła na mnie piorunujące wrażenie.

– Skąd pan to wie? – wydukałem w końcu, gdy otrząsnąłem się z pierwszego szoku.

– A jak pan myśli? Od kapelana, oczywiście. Rozmawiałem z nim po latach. Jego też te słowa nurtowały. Zwłaszcza że chwilę potem ojciec Zenobiusz stracił przytomność.

– Uważa pan, że...

– A pan? Jak pan odebrał te słowa?

Znowu zapadło milczenie. Czuję, że dotknąłem właśnie czegoś niezwykle ważnego, choć jednocześnie ulotnego. Wyobraziłem sobie szybko zapadający mrok w szpitalnej sali na Kujawach. I bladego, tracącego miarowy oddech i przytomność zakonnika. Jego ostatnie słowa musiały wywołać dreszcz na skórze przypadkiem obecnego w szpitalu kapelana.

– Czy ten ksiądz... Czy on to zeznał przed prokuratorem? – zapytałem.

– Tak. – Mosteckie odchylił się w tył, oparł plecy o krzesło i podniósł głos. –

Ale zlekceważono jego zeznanie.

– Jak to? Dlaczego?

– Bóg raczy wiedzieć. – Naukowiec rozłożył bezradnie ręce. – Zwłaszcza że było przecież także zeznanie ojca Tomasza.

Znowu mnie zaskoczył.

– Tomasza?

– No tak, tego ojca Tomasza, którego pan odwiedził. Prokuratura przepytала oczywiście wszystkich zakonników, którzy mieli kontakt z ojcem Zenobiuszem w okresie, kiedy prowadził duszpasterstwo akademickie. I podczas tych rozmów ojciec Tomasz – w latach osiemdziesiątych znany z ostrych antykomunistycznych kazań – wspomniał, że jakiś czas po wypadku ktoś do niego zadzwonił.

– Tak?

– To było może godzinę po mszy, podczas której ojciec Tomasz wygłosił swoje kazanie. Telefonujący się nie przedstawił. Powiedział tylko, żeby ojciec Tomasz się uspokoił, bo „inaczej skończy jak Zenobiusz”.

– To była jawna groźba! – Niemal podskoczyłem z wrażenia.

– Właśnie. I czytelne nawiązanie do rzekomego wypadku. Prawda, że to wszystko zastanawiające?

•••

Miałem problem z szybkim poukładaniem sobie w głowie nowych informacji. Jedno było wszak bezsporne: istniały przesłanki, by sądzić, a przynajmniej podejrzewać, że za śmiercią ojca Zenobiusza stała Służba Bezpieczeństwa. Dlaczego nie wspomniał mi o nich prokurator Brzostek? Czyżby uważał, że nie miały znaczenia?

– Tak, to wszystko wydaje się podejrzane – przyznałem.

– Podejrzane? – sarknął Mosteckie. – W tej sprawie nie znajdzie pan lepszych dowodów! Proszę pana, w SB pracowali fachowcy od mokrej roboty. Zapewniam pana, że nie pozostawili na miejscu żadnych śladów. I pewnie żadnych papierów dokumentujących tę akcję. Zresztą spalili większość swoich kartotek w 1989 roku, zanim ci naiwniacy z Solidarności połapali się, co się w resorcie dzieje. Aha, i jeszcze jedno! Wypadek Zenobiusza wydarzył się na terenie, na którym działał jeden z zabójców Popiełuszki. Niedaleko tamtego miejsca rok później utopili księdza Jerzego. Sporo tych dziwnych zbiegów okoliczności, prawda?

Wywód Mosteckiego brzmiał na tyle spójnie i logicznie, że trudno było nie przyznać mu racji. A jednak ciągle miałem wątpliwości. Bo skoro w wypadku mogli uczestniczyć esbecy, to jak spowodowali, że mały fiat dominikanina ni stąd, ni zowąd zjechał z drogi i wyrznął w drzewo? Wydawało mi się to ciągle mocno przypadkowym zdarzeniem.

– Pewnie się pan teraz zastanawia, jak to zrobili? – Dawny przyjaciel ojca

Zenobiusza czytał w moich myślach, jak w otwartej księdze. – Otóż, proszę pana, wbrew pozorom możliwości mieli co najmniej kilka. Najbardziej prawdopodobna: ktoś rzucił z bliskiej odległości w przednią szybę dużym kamieniem. Zakonnik mógł zasłonić się ręką, to naturalny odruch, i stracić na chwilę panowanie nad kierownicą. W ten sposób próbowali za pierwszym razem uśmiercić księdza Popiełuszkę. Niech pan zauważy, że w aktach sprawy zapisano: zakonnik mógł się po coś schylać, nie kontrolując toru jazdy auta. Schylić mógł się równie dobrze w odruchu obronnym, by nie oberwać kamieniem. Szyba poszła w drobny mak, co potem uznano za wynik zderzenia fiata z drzewem. A że w środku samochodu znaleziono kamień? Mógł tam przecież wpaść w trakcie wypadku.

Cholera, to ma ręce i nogi – przyznałem w duchu.

– A teraz niech pan rozważy inny scenariusz. Dominikanin zostaje wcześniej zatrzymany na trasie przez milicjanta. Ten pryska mu w twarz jakimś świństwem obezwładniającym albo opóźniającym reakcję. Mimo to zakonnik upiera się, by kontynuować podróż i dojechać do rodziców. Ale nie daje rady...

Opowieść Mosteckiego, zwarta i sensowna, coraz bardziej mnie intrygowała.

– Jest jeszcze trzecia możliwość, choć najmniej prawdopodobna: Zenobiuszowi dosypano coś do jedzenia jeszcze w klasztorze – ciągnął filolog. – I czwarta hipoteza: ktoś jechał za nim i w decydującym momencie uderzył z tyłu w małego fiata, kierując go na drzewo. Nie można tego wykluczyć, brakuje przecież świadków wypadku...

Słuchałem tych zimnych, brutalnie brzmiących rozważań jak rażony piorunem. Widać było, że Mostecki – a zapewne także jego środowisko – gruntownie przeanalizował tamten wypadek. Zrobił to na tyle głęboko, że teraz, po latach, w skondensowanej formie mógł mi zaprezentować główne wątki podejrzeń.

– Na koniec powiem panu, że nie przebadano nigdy „malucha” ojca Zenobiusza – podsumował mój informator. – To znaczy, zaprzyjaźniony z dominikanami mechanik obejrzał go dzień później, stwierdzając uszkodzenia układu hamulcowego...

– Czyżby...

– Nie wiem. Nie sposób rozstrzygnąć, kiedy one powstały. Czy ktoś przeciął przewód z płynem hamulcowym, czy pękł on pod wpływem zderzenia z drzewem? To drugie też jest przecież możliwe.

Moja głowa była ciężka od nowej wiedzy. Straciłem apetyt i chaotycznie rozglądałem się na boki, szukając dobrego pytania. Ucieszyłem się, gdy wreszcie je znalazłem. Było krótkie, konkretne.

– Znał pan Jana Kucharskiego?

Mostecki drgnął zaskoczony.

– Oczywiście, kto nie znał Janka?

– Czy to prawda, że próbował wyjaśnić tamten wypadek?

...

Dawny przyjaciel ojca Zenobiusza westchnął głęboko.

– Tak mówią – odpowiedział jakoś bez przekonania.

W porównaniu z żarliwością, z jaką wygłaszał hipotezy na temat przyczyn śmierci dominikanina, jego słowa zabrzmiały jakoś słabo.

– Kto?

– Niektórzy dominikanie.

– A pan? Wie pan coś na ten temat?

– Nic pewnego.

– To znaczy?

– Mogę panu powiedzieć, że Janek nigdy nie pogodził się ze śmiercią Zenobiusza. To był nasz autorytet. Ba! Jak to słowo słabo dziś brzmi! To był nasz idol! Ale nie w tym idiotycznym dzisiejszym rozumieniu! Trudno to sobie wyobrazić, ale ten szczupły, drobny człowiek w białym habicie dawał nam wtedy nadzieję, że kiedyś będzie normalnie, pięknie, uczciwie. Że ta paskudna komuna i jej aparat represji ustąpią miejsca prawdzie i uczciwości. I tak się stało, choć on tego nie doczekał...

Po nieogolonym policzku Mosteckiego spłynęła niespodziewanie łza. Chwyciłem jego dłoń, ale cofnął ją. Zawstydzonym ruchem roztarł słońną wilgoć z twarzy.

– Co do Janka... Myślę, że próbował się czegoś dowiedzieć. Był zbyt blisko Zenobiusza, by tego nie zrobić. Wiem, że kilka dni po wypadku, gdy Zenobiusz leżał jeszcze nieprzytomny w szpitalu w Aleksandrowie, Janek pojechał z kimś na miejsce zdarzenia. Ale co z tego wyniknęło, trudno mi powiedzieć. Janek zrobił się inny, zamknął się w sobie. Rzadziej zaglądał do nas, do duszpasterstwa. Niektórzy z nas uważali nawet, że po śmierci Zenobiusza zdziwaczał...

– Z kim tam pojechał?

– Mój Boże... Nie wiem. Nie pamiętam. Taka wiadomość krążyła wśród nas bardziej jako plotka niż coś pewnego. Wszyscy byli przybici sytuacją, zresztą wkrótce potem Zenobiusz zmarł. Dobrze pamiętam pogrzeb, ale... Janka chyba wtedy z nami nie było. Dziwne, prawda? To akurat dobrze zapamiętałem.

– Sam pan powiedział, że nie mógł się z tym pogodzić.

– Właśnie. On się z tym nigdy nie pogodził. Akurat tego jestem pewny.

Obawiałem się tego pytania, ale musiałem je zadać.

– Sądzi pan, że zabójstwo Jana Kucharskiego mogło mieć związek ze śmiercią ojca Zenobiusza?

Mosteckie założył dłonie za głowę i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie wiem, proszę pana – odezwał się w końcu. – Może lepiej, że nie wiem.



### Protokół z wizji lokalnej

Po spotkaniu z filologiem trzęsły mi się ręce. Liczyłem, że bliski współpracownik dominikanina rzuci na sprawę nowe światło, ale nie spodziewałem się, że zostanę zarzucony tyłoma nowymi wątkami. Wahałem się, czy nowe informacje o okolicznościach śmierci sprzed ponad trzydziestu lat można uznać za dowody, czy tylko za sygnały alarmowe. Jednak relacja o ostatnich słowach ojca Zenobiusza poruszała wyobraźnię. Nie mogłem się od niej uwolnić.

Doszedłem do placu Cyryła Ratajskiego, gdzie zaparkowałem samochód. Byłem jednak zbyt rozdygotany, by usiąść za kierownicą. Przysiadłem na ławce na przystanku tramwajowym i wyjąłem komórkę. Numer do prokuratora Brzostka wbiłem sobie już kilka dni wcześniej. Musiałem go zapytać o nowe fakty.

– Słucham? – W słuchawce zabrzmiał dobrze mi już znany, chropawy głos.

Przypomniałem się Brzostkowi i wyjaśniłem, dlaczego go niepokoję. Wysłuchał mnie uważnie, a kiedy zadałem pytanie, wcale się nie zmieszał. Sprawiał wrażenie, jakby już wielokrotnie na nie odpowiadał.

– Proszę pana, słowa ojca Zenobiusza, wypowiedziane tuż przed jego śmiercią, to żaden dowód – stwierdził pewnym tonem. – Wyobrażam sobie, że tak mógł wtedy powiedzieć każdy duchowny, który znalazłby się w sytuacji ciężko rannego zakonnika.

– Niby dlaczego? – rzuciłem nieco zaskoczony.

– Pan wie, osoby duchowne mają lepsze wyczucie spraw ostatecznych. Podejrzewam, że każdy inny politycznie zaangażowany ksiądz, przeczuwający zbliżającą się śmierć, mógłby wypowiedzieć podobną sentencję. Przecież ona brzmi podobnie, jak słowa Chrystusa na krzyżu: „Ojcze, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią”...

Brzostek zaskoczył mnie swoją znajomością Biblii, ale to porównanie przemówiło do mnie. Ojciec Zenobiusz niewątpliwie należał do elity ówczesnej opozycji. Na łożu śmierci być może chciał powiedzieć, że odpuszcza winy swoim przeciwnikom. I niekoniecznie mogło mu chodzić o domniemanych sprawców jego wypadku...

– A te pogrożki pod adresem ojca Tomasza?

– Cóż, to były stałe praktyki SB – westchnął były prokurator. – Znam dziesiątki księży z tamtego okresu, którzy odbierali podobne telefony. To także nie jest dowód, co najwyżej pewna poszlaka... O niczym nieprzesądająca, jeśli mnie pan rozumie.

– Staram się.

– Widzę, że żyje pan tą sprawą. – Brzostek niespodziewanie przejął inicjatywę. – To dobrze, nie zamierzam pana w żaden sposób zniechęcać. Proszę tylko zachować chłodną głowę, bo w tej historii łatwo nadmiernie się podniecić, a to nie sprzyja precyzyjnemu myśleniu.

– Dziękuję za radę – mruknąłem.

Choć miałem za sobą jazdę ślepych torem, w tej chwili mimo wszystko nie uważałem, że postradałem zmysły.

– Skoro już pan zadzwonił... – Były prokurator na chwilę zawiesił głos. – Długo rozmyślałem po naszym spotkaniu. Wydaje mi się, że mogę panu coś jeszcze podpowiedzieć. Może nie powinienem, ale co tam... Jestem już na emeryturze, więc czuję się zwolniony z niektórych zobowiązań.

– O co chodzi?

– Chciałem wskazać panu ciekawe źródło. Wie pan, co to był „Obserwator Wielkopolski”?

– Oczywiście. Jedno z najważniejszych podziemnych pism opozycji w Poznaniu.

– Właśnie. Otóż w jednym z wydań tej gazety, chyba jeszcze w 1983 roku, znalazł się ciekawy tekst. Niech pan zgadnie, na jaki temat.

– Wypadku ojca Zenobiusza?

– Właśnie. O ile dobrze pamiętam, była to relacja dwóch działaczy opozycji z miejsca zdarzenia. Coś w rodzaju protokołu z wizji lokalnej. Ktoś tam kiedyś pojechał i opisał, co udało się ustalić zaraz po wypadku. Wiem o tym, bo sam sprawdzałem niektóre z tych informacji. Oczywiście, nie znajdzie pan tam nazwisk autorów, co najwyżej ich pseudonimy albo akronimy. Ale przecież może pan na ich podstawie dojść, o kim mowa. I dotrzeć do tych ludzi.

– Panu się nie udało?

– Nie, bo dostałem ten tekst do wglądu w końcowej fazie postępowania. Nie miałem czasu szukać autorów.

– Co napisali?

– Za dużo pan wymaga ode mnie, a raczej od mojej pamięci. To było dwadzieścia trzy lata temu. Ale może pan sam zobaczyć. Może panu się uda ustalić coś więcej...

– Ale... uważa pan, że ci ludzie napisali prawdę?

– Powtórzę, szanowny panie: mnie obowiązuje prawda materialna. A tam aż się roi od pogłosek.

...

To był szalony dzień, ale miałem wystarczająco dużo wolnego czasu, by to szaleństwo działania pisało się samo. Z placu Cyryla Ratajskiego do Biblioteki Uniwersyteckiej jest dosłownie żabi skok. Dziesięć minut po rozmowie z

Brzostkiem byłem już w klimatycznej czytelni z piękną drewnianą antresolą, pośród tysięcy książek i przed wielkim monitorem do przeglądania mikrofilmów. Mogłem oczywiście wrócić do domu i spróbować odnaleźć „Obserwatora” na stronie internetowej Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej. Ale odkładanie tematu było ponad moje siły – nagle zaczęło mi się spieszyć. Zagadka śmierci ojca Zenobiusza i prawdopodobny związek z nią Kucharskiego przynaglały mnie do pójścia na skróty. Zresztą byłem pewien, że przeglądanie mikrofilmów „Obserwatora” na dużym monitorze będzie znacznie łatwiejsze niż męczenie się z oglądaniem plików na małym ekranie laptopa. I tu się nie pomyliłem.

Poszukiwania tekstu, o którym przypomniał sobie Brzostek, rozpocząłem od kwietnia 1983 roku. Bo właśnie w kwietniu doszło do wypadku ojca Zenobiusza. Numery podziemnego „Obserwatora”, zgrzebne jak czasy, które opisywały, miały zróżnicowaną objętość. Czasem dwie strony, a czasem nawet dziesięć, dwanaście. Pismo wydawano na kiepskiej jakości szarym papierze. Pisane na maszynie, w zwartych liniach, było w latach stanu wojennego cennym źródłem informacji o sytuacji w zamkniętym kraju. I potężnym czynnikiem mobilizującym nielicznych odważnych. „Obserwator” był z założenia dwutygodnikiem, ale w rzeczywistości wychodził nieregularnie. Przeglądanie go sprawiało mi, sympatykowi historii, prawdziwą frajdę. Uświadamiało, jak wiele wydarzyło się w Polsce od tamtych czasów. Jak zmienił się nasz kraj. I w jak fatalnych warunkach przyszło żyć i utrzymywać swoje rodziny ojcom i matkom ludzi takich, jak ja.

Złapałem się na tym, że zbyt łapczywie czytam to, co widzę na ekranie, a przecież musiałem znaleźć konkretny tekst. Z żalem zacząłem szybciej przewijać szpule, na które nawinięty był mikrofilm. To cud, że jeszcze go otrzymałem. Metaliczny szczęk szpul zwrócił uwagę kilku osób pochylonych nad laptopami. Obejrzelisię na mnie z niesmakiem, jakby zobaczyli przybysza z zamierzchłej przeszłości.

Nie dbałem o to, co sobie o mnie myślą. Kręcąc szpulą, przesuwałem do przodu wiosnę 1983 roku, opisaną na łamach nielegalnego wówczas czasopisma. Nierówne, z trudem wybite na maszynie linie tekstów falowały mi przed oczyma niczym wzburzone morze. Gdy wyhamowałem, zorientowałem się, że znalazłem się już w maju tamtego roku.

Przed oczyma miałem teraz bity wersalikami tytuł: *TO BYŁO MORDERSTWO*. Rzut oka poniżej i już miałem pewność, że znalazłem to, co chciałem. Obszerny tekst na niemal całą kolumnę pisma był drobiazgowym sprawozdaniem z miejsca wypadku. Utrzymany w konwencji reportażu, opisywał okoliczności, w jakich mały fiat ojca Zenobiusza zjechał niespodziewanie z drogi i uderzył w stojące na poboczu drzewo. Z wiadomych przyczyn dwaj autorzy tekstu nie przytaczali nazwisk ani żadnych danych, które pozwalałyby zidentyfikować osoby udzielające informacji.



*...Jak nam powiedział X, samochód o. Zenobiusza niemal do ostatniej chwili jechał prosto, nie korygując toru jazdy względem łagodnego łuku drogi. Dopiero w ostatniej fazie kierowca wykonał jakby nieznaczny skręt w prawo, próbując zapewne uratować się przed zderzeniem. Wskazywały na to ślady kół na szosie. Ale nie ślady hamowania – tych, jak dowiedzieliśmy się z własnych źródeł, na miejscu wypadku nie stwierdzono. Odruch obronny kierowcy był mocno spóźniony i w efekcie daremny. Auto z prędkością około 70–80 km na godzinę uderzyło w topolę, co doprowadziło do zmasakrowania jego karoserii i wybicia szyby...*

*...Z informacji zebranych od Z., który przypadkiem znalazł się chwilę później na miejscu wypadku, przy rozbitym fiacie 126 p zatrzymała się para podróżująca dużym fiatem w przeciwnym kierunku, próbując udzielić zakonnikowi pomocy. Według Z. przy aucie o. Zenobiusza kręciło się wtedy także dwóch bliżej niezidentyfikowanych mężczyzn, którzy wysiedli ze stara zaparkowanego nieopodal. Wiadomo, że mężczyźni ci coś przy zniszczonym aucie robili. Niestety, nie ma pewności, co. Wspomniana para – młode małżeństwo z Dobrzynia – zajęta była udzielaniem pierwszej pomocy dominikaninowi i nie odnotowała, czym zajmowali się pozostali dwaj świadkowie dramatycznego zdarzenia. Osobnicy ci szybko odjechali starem w nieznanym kierunku, prawdopodobnie w stronę Inowrocławia...*

Poczułem ciarki na plecach. A więc dominikanin nie rozbił się sam, bez żadnych świadków! Przynajmniej według ustaleń działających *incognito* reporterów „Obserwatora”!

*...Trudno uwierzyć w wersję milicji, że dominikanin zasnął za kierownicą. Pogoda tego dnia była wysmienita, było słonecznie i warunki do jazdy zdawały się doskonale. Zastanawiać powinna obecność nieznanymi mężczyzn na miejscu wypadku, zaobserwowanych przez świadków. Co tam robili? Dlaczego kręcili się przy rozbitym samochodzie zakonnika? Znamy już podobne przypadki działania tzw. nieznanymi sprawców. Inne relacje zdają się wskazywać wprost, że wypadek pod Aleksandrowem nie był zwykłą katastrofą, tylko zaplanowanym i na chłodno przeprowadzonym morderstwem...*

Starłem się nie ulegać wymowie tekstu, ale było to trudne. Z relacji biło przekonanie jej autorów, że ktoś zabił zakonnika. Kim byli ci dociekliwi ludzie, którzy pojechali tam kilka dni po wypadku? Kogo było stać na taką odwagę, by wypytywać w okolicy o świadków zdarzenia? Czytając nieco chaotycznie ich sprawozdanie, dotarłem do końca tekstu. U jego dołu – co było rzadkością – widniały dwa akronimy: KAJ i ZAK.

Przez chwilę zastanawiałem się, kogo skrywają. I ten KAJ cholernie mnie ucieszył. Nie mógł bowiem oznaczać nikogo innego niż Jana Kucharskiego.

Zaraz potem poczułem strach. Zrozumiałem, w co wdepnąłem.

Ona

Wiedziałem już, że w 1983 roku Kucharski wraz z nieznaną mi na razie osobą poszli tropem podejrzanego wypadku, w którym zginął ich duszpasterz i bliski przyjaciel. I że byli na miejscu zdarzenia kilka dni później, próbując dociec prawdy. Udało im się dowiedzieć, że jakieś młode małżeństwo usiłowało ratować ciężko rannego zakonnika. I że oprócz nich przy rozbitym fiacie kręcili się jeszcze dwaj mężczyźni z samochodu ciężarowego.

Wszystko to działało na wyobraźnię i skłaniało do ponurych wniosków. Na teoretycznie stwierdzony przez ówczesną milicję wypadek kładł się cieniem praktyczny osąd dwóch działaczy opozycji solidarnościowej, którzy pofatygowali się na miejsce i zebrali szokujące informacje. O ile oczywiście były one prawdziwe.

Wracając do domu, zastanawiałem się, kim był towarzysz Kucharskiego, ukrywający się pod skrótem ZAK? Jeśli przyjąć, że akronim powstał na tej samej zasadzie, na której Jan Kucharski ukrył się pod skrótem KAJ, to należałoby przypuszczać, że był to ktoś, ukrywający się pod imieniem na literę K, a nazwiskiem na Z. Jakiś Kazimierz Zawadzki? Albo Karol Zasada? A może to była kobieta? Na przykład Katarzyna Zielińska? I jak ją – albo jego – odnaleźć?

Zaraz po szybkiej kolacji zadzwoniłem raz jeszcze do Brzostka. Trochę się obawiałem, czy zechce jeszcze ze mną rozmawiać. Odebrał natychmiast, jakby czekał na mój telefon.

– I co, czytał pan? – zapytał.

– Tak. Mam kilka pytań.

– Pewnie chce pan wiedzieć, dlaczego nie wspomniałem panu o dwóch tajemniczych osobnikach, którzy rzekomo kręcili się przy zniszczonym samochodzie.

– Właśnie. – Ochoczo przytaknąłem. – Przyzna pan, że to... że to dość zaskakująca informacja!

Były prokurator wziął głęboki oddech.

– Owszem, to robi wrażenie – przyznał. – Ale...

– Tak?

– Ale nie znajduje potwierdzenia w zeznaniach tej młodej pary, która udzieliła rannemu pierwszej pomocy. Musi pan wiedzieć, że udało mi się dotrzeć do tych ludzi. Pochodzili, zdaje się, z Mogilna. Przysięgali na wszystkie świętości, że ratując dominikanina, nie widzieli wokół siebie innych ludzi.

– Ale przecież...

– Tak, wiem. Na pierwszy rzut oka tekst „Obserwatora” zdaje się sugerować, że informacje o podejrzanych osobach przy rozbitym fiacie zakonnika pochodzą właśnie od młodego małżeństwa, które próbowało ratować ojca Zenobiusza. Ale z tego, co pamiętam, w tekście pojawia się niejaki Z, na którego powołują się dziennikarze „Obserwatora”. Wygląda więc na to, że był jeszcze ktoś, kto to widział...

– Czyli? – Byłem nieco skołowany i domagałem się uporządkowania informacji.

– Moim zdaniem są dwie możliwości: albo autorzy tekstu zdobyli informację o dwóch mężczyznach z innego źródła, którego nie uda się nam już zapewne poznać, albo...

– Albo tych mężczyzn nie było – odpowiedziałem.

– Otóż to. Widzę, że zachował pan jednak chłodną głowę. – Brzostek mnie pochwalił.

Wcale nie poczułem się z tego powodu lepiej. Zanim zakończyłem rozmowę, wolałem się jednak upewnić.

– A pana zdaniem, jak było? – rzuciłem prowokacyjnie.

– Już panu mówiłem. Nie ma mojego zdania. Jest zdanie świadków, czyli tego małżeństwa. Oni byli przekonani, że poza nimi nikt się przy małym fiacie nie zatrzymał.

– Choć ktoś inny widział być może coś innego.

– Być może. A być może ta młoda para celowo nie powiedziała wszystkiego? Możliwości jest sporo, szanowny panie.

– Rozumiem. Dziękuję za odpowiedź.

•••

Tamtego wieczora pomyślałem po raz pierwszy, że całe to bieganie dla zdrowia to jeden wielki pic na wodę. I że chyba dam sobie z tym spokój.

Biegło mi się koszmarnie. Fakt, miałem tygodniową przerwę. Czuję, że moje starzejące się z wolna ciało po raz pierwszy postawiło opór. Jakby chciało mi powiedzieć: „Dobra, stary, czas dać sobie spokój z tymi fanaberiami! Wieku nie przeskoczysz, wyluzuj facet!”. Zadyszka to był zresztą pikuś. Gdzieś w połowie mojego tradycyjnego dystansu przypomniła o sobie obolała rzepka lewego kolana, a obydwie achillesy zamiast się rozgrzać i przejść w stan miłej przebieżki, postanowiły przypomnieć o swoim istnieniu w możliwie bolesny sposób.

Był początek października, pożółkłe liście zaczęły swój nieubłagany lot ku ziemi, a wraz z nimi zapikowały w dół moje ambicje biegacza. Zapikowały ostro i gwałtownie. Na tyle gwałtownie, że zatrzymałem się na leśnej ścieżce, dysząc ciężko niczym ostatni tur w polskiej kniei, osaczany przez oszczepników. Czy ja właściwie nie robię z siebie idioty? – przebiegło mi przez głowę. Coraz bliżej mi

do pięćdziesiątki, a zgrywam nastolatka. Biologii nie oszukam. Najwyższy czas zawiesić buty na kołku...

Wiedziałem, że kryzys musi kiedyś nadejść. Od dobrego miesiąca bieg nie sprawiał mi już takiej frajdy, jak w pierwszych, wiosennych miesiącach. Trudno było wzbudzić w sobie nowy entuzjazm, biegałem bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Aż w końcu tego październikowego dnia dotarło do mnie, że chyba nie nadaję się na biegacza. I że raczej powinienem kierować się złotą maksymą: „nic na siłę”.

A jednak nie pogodziłem się z triumfem słabości. Bardziej z wrodzonej przekory, niż z potrzeby udowodnienia sobie, że jednak mogę, poderwałem się raz jeszcze do wysiłku. Z obolałą rzepeką i sztywnymi jak struny achillesami doczłapałem w tempie emeryta do domu. Pod prysznicem pomyślałem, że ten bieg był moim Waterloo. Wyobraziłem sobie, że Napoleon musiał czuć się podobnie rozбитym, jak ja.

Ale to nie był koniec emocji tego dnia. Gdy usiadłem przed telewizorem, by obejrzeć „Wydarzenia” Polsatu, mój telefon zawibrował na stole. Spojrzałem na ekran. Dzwonił redaktor Liściak, naczelny naszej dzielnicowej gazety.

– Chcę panu powiedzieć, że przekazałem kartkę Janka policji – oznajmił poważnym głosem.

– Zdecydował się pan. I co?

– I nic.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia, panie Bogdanie? – Głos Liściaka zdradzał rozgoryczenie i rozczarowanie. – Podjechałem z kartką na komisariat, powiedziałem, co i jak. Wysłuchali, a potem popatrzyli na mnie jak na kogoś, kto ma problemy z głową. Prawie im tę kartkę musiałem wciskać, żeby załączyli ją do akt sprawy!

– Wcale mnie to nie dziwi – mruknąłem, bo rzeczywiście nie byłem zaskoczony. Szczerze mówiąc, sam zacząłem wątpić, czy znaleziony na półce za pudełkiem z herbatą świstek z notesu ma jakąkolwiek wartość. Dziwaczne skróty i dwie daty sprawiały wrażenie kodu znanego wyłącznie autorowi notatki. Autorowi od pół roku martwemu.

– I co mi pan teraz radzi? – Liściak sprawiał wrażenie człowieka czującego, że jego obywatelska postawa nie została doceniona i szukającego pociechy. – Co jeszcze można zrobić w tej sprawie?

– Jeśli czuje się pan zlekceważony czy źle potraktowany przez funkcjonariuszy, może pan napisać skargę do komendanta wojewódzkiego. – Zaproponowałem bardziej ze współczucia niż z przekonania. – Ale raczej odradzam. Wie pan, jestem jakoś dziwnie pewny, że komendant co najwyżej odpowie panu grzecznościowym mailem. Policja nie lubi problemów. Niech mi

pan wierzy, wiem, co mówię...

– Szlag by to trafił! – Liściak się zdenerwował. – A mamy niby „dobrą zmianę”? Może... może napiszę w tej sprawie do ministra Błaszczaka? Co pan myśli, może chociaż on popędzi to całe towarzystwo do działania?

Pomysł zaangażowania ministra odebrałem jako wyraz skrajnej desperacji szefa lokalnego organu prasowego. Nie chciałem go urazić, więc nie skomentowałem tej propozycji.

– Panie redaktorze – odezwałem się łagodnie. – Czasami nie warto kopać się z koniem. Bo jeszcze i z pana zrobią podejrzanego.

Chyba zrozumiał aluzję, bo wyłączył się bez pożegnania.

Podszedłem do miniwieży i włączyłem ulubioną płytę The Cure. Po pokoju poniósł się kojący nerwy dźwięk gitar. *The last day of summer* cholernie dobrze pasował do mojego stanu ducha.

*Nothing I am,  
nothing I dream,  
nothing is new,  
nothing I think or believe in or say,  
nothing is true...*

– śpiewał Robert Smith. Dokładnie tak się czułem. Nikim, a raczej niczym.

Spokojny, melancholijny ryf utworu uporządkował jednak moje myśli. Usiadłem w fotelu i sięgnąłem znów po smartfona. Szybko odnalazłem zdjęcie notatki Kucharskiego. Spojrzałem na nie raz jeszcze.

*1963 sam. gr.,  
potem VI,  
zmiana 1984 listop.,  
doraźne gr. w woj.*

Instynktownie czułem, że za tymi niepozornymi czterema linijkami tekstu kryje się jakaś tajemnica. Skoro wiosną 1983 roku Jana Kucharskiego stać było – wbrew wszystkim i wszystkiemu – na poszukiwanie prawdy o śmierci ojca Zenobiusza, coraz bardziej byłem przekonany, że jego przeszłość skrywa jeszcze niejedną niespodziankę. Czy to rzeczywiście on był autorem ukrytym za akronimem KAJ? A jeśli tak, to czy poprzestał na jednym, gorzkim w wymowie tekście, opublikowanym w „Obserwatorze Wielkopolskim”? Czy drążył sprawę dalej? Z jakim skutkiem? I czy nadal pomagał mu w tym człowiek ukryty za skrótem ZAK?

...

– Zaraz, zaraz... – Marceli Gibas pochylił się nad opasłym tomem dokumentującym dzieje podziemnej Solidarności. – Tu powinien być indeks osobowy... Jak pan mówił? Kazimierz jaki?

Były szef regionalny związku przyjął mnie o wiele cieplej niż poprzednim razem. Wyczuwałem, że bardzo chce mi pomóc. Najwyraźniej przekonał się do mnie i traktował mnie już jak swojego.

– Panie Marceli, to był tylko przykład – wyjaśniłem szybko, żeby nie narażać go na niepotrzebne poszukiwania, które i tak skazane były na porażkę. – Nie wiem, jak się nazywał ten człowiek. Prawdopodobnie miał imię na K, a nazwisko na Z. O ile w ogóle należał do Solidarności, bo nawet tego nie jestem pewny.

– No dobrze, to może najpierw zobaczymy wszystkich na Z. A potem dopasujemy tych, którzy mają imię na K.

Była to rozsądna propozycja i chętnie na nią przystałem. Starszy pan przerzucił wolumen na przednią okładkę i szybko odszukał spis nazwisk, występujących w opracowaniu.

Pochyliłem się nad księgą razem z nim. Palec Gibasa zjechał na słupek pod literą Z, by za chwilę zatrzymać się na wysokości może dwudziestego nazwiska.

– Zamojski Karol – odczytałem. – Pierwsza osoba, która spełnia moje kryterium.

– To nie on – skomentował od razu Marceli Gibas. – On nigdy nie był dziennikarzem. Zajmował się zaopatrzeniem dla związku.

Palec Gibasa zjechał kilka linijek niżej.

– Zbierski Kamil – przeczytałem. – Może to on pisał do „Obserwatora”?

Gibas skrzywił się sceptycznie.

– Raczej nie – odpowiedział spokojnie. – To był kolega z sekcji oświatowej. Bardzo pracowity, ale do prasy raczej nic nie pisał.

– Raczej?

– Tak mi się wydaje. Znam go głównie z pracy w szkolnictwie. Zresztą... zaraz, przecież w stanie wojennym on nie był chyba nawet pełnoletni.

To był argument przesadzający. Raczej wątpliwe, by Kucharski zabrał na trudną misję w teren nastolatka.

– Co mamy dalej? – Delikatnie popędziłem Gibasa.

Jego palec wskazujący obsunął się znowu o kilkanaście linii.

– O, a tu mamy Kingę Zielińską. – Ożywił się mój gospodarz. – Co to była za piękność, mówię panu! No tak, ale do pisania raczej nie miała talentu. Była chyba pielęgniarką w szpitalu na Lutyckiej...

Zamilkł, skupiając się znowu na zapełnionej nazwiskami kartce. Przez chwilę wydawało się, że nie znajdzie już żadnego innego pasującego imienia i nazwiska, ale niespodziewanie jego dłoń zatrzymała się u samego końca listy nazwisk na Z.

– Klaudia Zuberek! – zawołał triumfalnie. – No tak, to musiała być ona! No przecież! Że też od razu na to nie wpadłem!

– Zuberek? – Podniosłem się znad stołu, a Gibas wraz ze mną. – Kim była Klaudia Zuberek?

Oblicze pana Marcelego promieniowało jakąś niewytłumaczalną radością. Wspomnienie tej osoby musiało być dla niego nadzwyczaj miłe.

– Klaudia... – Rozmarzył się. – Kochało się w niej pół zarządu. Co to była za dziewczyna! Może nie była tak piękna jak Zielińska, ale miała w sobie to coś, co powodowało, że wszyscy wodzili za nią wzrokiem. A jaki charakterek! Zawsze stawiała na swoim. Ech, mówię panu... Było, minęło...

– Dziennikarka? – zagadnąłem, żeby wrócić do kluczowego wątku tej rozmowy.

– No, chyba można tak powiedzieć. – Gibas zgodził się ze mną. – Przynajmniej w takim zakresie, w jakim wtedy można było uważać się za wolnego, niezależnego dziennikarza. Wie pan, czasy były durne, wolna prasa to były wyłącznie gazety Solidarności. Najpierw legalne, a potem podziemne, drukowane na powielaczach, gdzieś po piwnicach, często przy świeczkach... Tak jak „Obserwator”.

– Czyli to ona pojechała z Kucharskim na miejsce wypadku?

– Jestem tego absolutnie pewien.

– Czy... – Zawahałem się, bo pytanie wydało mi się delikatnej natury. Ale zadałem je: – Czy Zuberek i Kucharskiego coś łączyło?

Gibas uśmiechnął się melancholijnie.

– Nie wiem. Ale wcale bym się nie zdziwił. Jasiu był wrażliwy na ładne dziewczyny. Był typem podrywacza, ale chyba z żadną nie związał się na dłużej. To znaczy, chciałem powiedzieć, na stałe.

– Rozumiem – odpowiedziałem również uśmiechem. – To niech mi pan jeszcze powie, gdzie odnajdę Klaudię Zuberek.

Tajemnica sprzed lat wciągała mnie jak bagno.

## Kolega rozumie

Euforia wywołana rozszyfrowaniem, z kim Kucharski pojechał w 1983 roku na miejsce wypadku, trwała krótko. Rychło bowiem się okazało, że Marcelli Gibas nie ma zielonego pojęcia, jak po tylu latach odnaleźć Klaudię Zuberek. Przypomniawszy sobie tylko, że po upadku komunizmu przez kilka lat pracowała w nowych, wolnych mediach. Podobno na jakiś czas zaczęła się w lokalnej „Gazecie Wyborczej”, ale jej prawicowe poglądy spowodowały, że szybko zmieniła redakcję na inną. Na jaką – tego już Gibas nie potrafił sobie przypomnieć. Był jedynie pewien, że gdy Kwaśniewski wygrał wybory prezydenckie – a więc pod koniec 1995 roku – Zuberek już w mediach nie było.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że wyjechała z Poznania – stwierdził.

Gibas próbował dowiedzieć się czegoś, telefonując do starych znajomych, ale jego próby spęłzyły na niczym. Mało kto pamiętał już dawną piękność, a zupełnie nikt nie potrafił wskazać, co się z nią stało po zakończeniu dziennikarskiej przygody. Ktoś bąknął, że „chyba wyjechała do Stanów”. A ktoś inny, że jego zdaniem „przeniosła się do Warszawy”. Nie było żadnej pewności, że to nie plotki. Zrozumiałem, że dalej muszę działać na własną rękę.

Gdy się żegnaliśmy, Gibas wyglądał na szczerze zmartwionego.

– Strasznie mi przykro. – Kręcił siwą głową i szarpał sumiastego wąsa, który upodabniał go do westernowego rewolwerowca. A może raczej do bohatera żywca wyjętego z Sienkiewiczowskiego *Ogniem i mieczem*. – Strasznie mi przykro, że nie mogę panu pomóc. Ale co zrobić? Co zrobić?

– Niech się pan tak bardzo nie przejmuj. – Postanowiłem go pocieszyć. – I tak dużo mi pan pomógł. Dzięki panu wiem, kogo szukać. A skoro wiem, to prędzej czy później znajdę.

– Mam nadzieję, panie Popiołek. – Gibas podał mi dłoń i nagle coś sobie przypomniał. – Ale, ale... Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. W Gdańsku mamy centralne archiwum związku. Gdyby pan się tam zakręcił... Może by znaleźli dla pana jakąś informację.

– Okej, to dobra myśl. – Pochwaliłem go na odchodnym.

Raz jeszcze podziękowałem za pomoc i ruszyłem ku furtce. Przez ostatnią godzinę, jaką u niego spędziłem, bardzo go polubiłem. On mnie chyba też.

– Niech pan na siebie uważa! – zawołał za mną z troską w głosie.

Pomachałem mu ręką, ale w sercu poczułem niepokój. Wydawało mi się, że ktoś mi już powiedział coś podobnego. Tylko kto?



Nie mogłem sobie przypomnieć.

Jadąc do domu, zastanawiałem się, co Gibas chciał mi przez to powiedzieć?

•••

Następnego dnia na dużej przerwie nie poszedłem do stołówki na kawę, tylko zaszłyłem się w najdalszym kącie pokoju nauczycielskiego i zadzwoniłem do Gdańska. Miałem jednak pecha. Okazało się, że z powodu remontu siedziby Komisji Krajowej archiwum związku zawodowego zostało spakowane w kartony i wyniesione do magazynów. Uzyskanie jakiegokolwiek informacji o dawnych członkach Solidarności było praktycznie niemożliwe – przynajmniej do końca roku.

Chwyciłem się więc starej, sprawdzonej metody – zaufałem wujkowi Google. Po powrocie ze szkoły wpisałem w okno wyszukiwarki nazwisko Klaudii Zuberek. Z miejsca wyskoczyło kilkanaście wyników, tyle że dla Klaudii Żuberek. Google wyszukał natomiast Klaudię Zuberek na Instagramie. Gdy jednak kliknąłem w link, żeby się zorientować, czy może to być poszukiwana przeze mnie osoba, okazało się, że konto zdjęciowe jest puste.

Zaraz potem naszła mnie w sumie dość trzeźwa refleksja, że kobieta, której szukam, może mieć około sześćdziesiątki – a więc niekoniecznie jest już zainteresowana wrzucaniem do sieci swoich zdjęć. A w ogóle może się okazać wykluczona cyfrowo. Mimo to odpaliłem Facebooka i wrzuciłem jej godność w wyszukiwarkę tego popularnego portalu. Znalazłem tylko kilka małolat z nazwiskiem na Ż. Odpuściłem sobie oglądanie ich „sweet-foci”.

Wyglądało na to, że trafiłem w ślepią uliczkę. Niby wiedziałem już całkiem sporo, a jednak brakowało mi ostatecznego potwierdzenia, że podążam dobrym tropem. Przez cały wieczór zastanawiałem się, kto jeszcze mógłby mi pomóc. W końcu wpadłem na to, że może będą coś wiedzieli związkowcy z Cegielskiego. Następnego dnia zadzwoniłem do Hieronima Skrzypczaka, u którego byłem wczesną wiosną. Przypomniiał mi sobie dość szybko, a potem skarcił:

– To pan ciągle jeszcze się bawisz w policję? A myślałem, że jesteś pan rozsądnym człowiekiem...

Gdy zapytałem o Zuberek, potwierdził, że dawno temu ją znał. Ale miał z nią zdawkowy kontakt, a po stanie wojennym w ogóle stracił ją z oczu.

– Gdzie może teraz mieszkać? – dopytałem.

– A ona w ogóle żyje? – odpowiedział pytaniem. – Pojęcia nie mam, co się z nią dzieje. Chyba wyjechała, ale dokąd?

Rozłączyłem się zniecierpliwiony i zły. Złapałem się na tym, że trzęsą mi się ręce. To wszystko wina spotkania z Mosteckim i jego jednoznacznych sugestii. Chyba zaczynałem świrować. Pocieszające było to, że potrafiłem jeszcze zdać sobie z tego sprawę.

Przez następne dwa dni chodziłem po szkole jak struty i z tych nerwów potraktowałem drugą be niezaplanowanym sprawdzianem. Wystarczył jeden idiotyczny żart „Snickersa”, bym zapalał chęcią zemsty. Gdy zebrałem na koniec lekcji kartki, zrozumiałem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. A potem ze wstydem wyrzuciłem kartkówki do kosza.

W końcu, podczas którejś z przerw, przypomniałem sobie o ojcu Tomaszu, wiekowym dominikaninie, który otworzył mi oczy na nowy aspekt sprawy. Może znał Zuberek i wie, gdzie powinienem jej szukać?

Tak się przywiązałem do tej nagłej myśli, że zaraz po lekcjach wskoczyłem do samochodu i pojechałem do klasztoru. Tu jednak czekała mnie niemiła niespodzianka. Od współbraci zakonnika dowiedziałem się, że pojechał z pielgrzymką do Rzymu. I że – jako człowiek starej daty – nie używa telefonu komórkowego. A już tym bardziej komputera. Im samym nazwisko poszukiwanej przeze mnie kobiety nic nie mówiło.

– Szlag by to trafił! – zakląłem, wychodząc z furty klasztornej. Miałem wrażenie, że w jednej chwili wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

W końcu tygodnia, gdy traciłem już nadzieję na ciąg dalszy, na jednej z przerw zaczepił mnie znowu Marek, kolega matematyk.

– Stary, obserwuję cię od kilku dni i wydaje mi się, że odleciałeś. – Szturchnął mnie podczas dyżuru na korytarzu. – Nie wiem tylko dlaczego.

– Pilnuj swojego nosa, panie liczydło – odburknąłem rozeźlony.

– Łał-łał! – Marek bynajmniej się nie obraził. Poczul raczej, że coś jest na rzeczy. – Śledztwo nie idzie, czy jak?

– Jakie śledztwo? Marek, co ty bredzisz?

– Mówię, co widzę. Jeszcze w ubiegłym tygodniu biegałeś po szkole radosny jak baletnica, na paluszkach, a teraz oklapłeś jak kombajnista na emeryturze. Co jest, stary? Przecież wiesz, że ze mną zawsze możesz pogadać.

Biłem się z myślami, czy wtajemniczać go we wszystkie ustalenia. Jakoś nie miałem nastroju, by akurat w tym momencie dzielić się z nim wrażeniami.

– Szukam kogoś – wycedziłem przez zęby. – I nie mogę odnaleźć. Kobieta, około sześćdziesięciu lat, dawno temu była dziennikarką. Prawdopodobnie kiedyś wyjechała z Poznania. W necie ani śladu, ludzie też nic nie wiedzą... Cholera, nie mam pomysłu, jak do niej dotrzeć...

Marek Cichoń spojrzał na mnie tak, jakbym zażądał od niego rozwiązania prostej nierówności. Albo próbował zagać go banalnym grafem.

– Wszystko jest rachunkiem prawdopodobieństwa – stwierdził.

– A ty znowu swoje... – Zrezygnowany machnąłem ręką.

– Chwilę! Posłuchaj! – Kolega matematyk poczuł się chyba dotknięty moją uwagą. – Matematyka, a ściślej rzecz biorąc statystyka, czyli badanie zjawisk masowych, potrafi nam udzielić odpowiedzi na najdziwniejsze nawet pytania.

– Marczyku, nie wciskaj mi bajek – zaprotestowałem. – Przecież mi nie wyliczysz, czy ta kobieta nadal żyje. Albo gdzie ją rzucił los.

– No, tego bym nie powiedział! – Marek niespodziewanie zapalił się do dyskusji. – Posłuchaj. Powiedziałeś mi o tej kobiecie kilka zdań. Dla mnie najistotniejsze były dwie informacje. Wiesz jakie?

– Niech zgadnę: że ma około sześćdziesięciu lat i była dziennikarką.

– To też. Ale najważniejsza była dla mnie informacja, że wyjechała niegdyś na stałe z Poznania. Bo wyjechała na stałe, prawda?

– No... Tak się dowiedziałem.

– No właśnie. A w którym roku? Wiesz?

– Zdaje się, że po pięćdziesiątym piątym.

– A! Czyli miała wówczas pod czterdziestkę.

– No tak...

– Prawdopodobieństwo, że nadal żyje, jest bardzo wysokie. Średni wiek życia kobiet w Polsce to obecnie prawie osiemdziesiąt dwa lata. Nasza poszukiwana jest w wieku mocno poniżej średniej, co znacząco zwiększa szanse, że odnajdziesz ją żywą.

– To mnie pocieszyłeś! – Prychnąłem z lekką pogardą. – Tyle to sam sobie mogłem wywnioskować.

– Ale nie wywnioskowałeś. – Zaśmiał mi się w nos, bezczelny. – A teraz uważaj! Dokąd wyjeżdżają ludzie z Poznania za lepszą pracą? No?

– Zwykle do Warszawy. – Przyznałem niechętnie.

– No właśnie! Lepiej płatną, a przy tym często bardziej prestiżową pracę oferuje nam najczęściej stolica, choć za nią nie przepadamy i nie lubimy o tym mówić – perorował Marek. – A teraz zadajmy sobie pytanie, dokąd za bardziej prestiżową pracą wyjeżdżają z Poznania dziennikarze? No, mistrzu intelektu? Jak brzmi prawidłowa odpowiedź?

– Też do sto-ly-cy – wymamrotałem.

– Ano właśnie! A dlaczego? Bo w tym zawodzie tylko praca w stolicy wiąże się z szansą na potężny awans zawodowy, o jakim w Poznaniu można tylko pomarzyć. Kumasz bazę, Bogdan? Jestem na dziewięćdziesiąt procent przekonany, że ta twoja panna przeniosła się do Warszawy.

Choć metody i argumenty Marka wydały mi się mało naukowe, to jednak jego wnioski tchnęły we mnie nową nadzieję. Może powinienem poszukać Klaudii Zuberek w Warszawie? Może moja misja wcale nie jest pozbawiona szans na sukces? Tylko jak odszukać nieistniejącą w necie byłą dziennikarkę w dwumilionowej metropolii?

•••

Gdy po dzwonku kończącym przerwę wracałem do klasy, zza drzwi

sekretariatu wychylił się dyrektor gimnazjum. Ostrzyżona na jeża siwa głowa Antoniego Sadowskiego miała dla kontrastu ceglasto-czerwone pasy.

– Kolego Popiołek... – Szef rozejrzał się na boki, jakby upewniając się, że nikt niepowołany go nie usłyszy. – Poproszę kolegę na chwilę do mnie.

– Ale moja klasa czeka... – Próbowałem oponować.

– Pięć minut, nie więcej – odpowiedział, otwierając szerzej drzwi.

Chyba nie miałem wyjścia. Sekretarka szefa spojrzała na mnie dziwnie. Dyrektor przeszedł ze mną szybko przez sekretariat, a potem starannie zamknął za sobą obite wytłumiającym skajem drzwi gabinetu.

– Pan usiądzie, kolego. – Wskazał mi krzesło stojące naprzeciwko swojego biurka.

Sam zaś szybkim nerwowym ruchem zagłębił się w fotelu. Zanim się odezwał, zaczął bębnić palcami po biurku jakiś chaotyczny motyw.

– Chciałem kolegę poinformować, że wczoraj po południu złożyli mi wizytę funkcjonariusze policji z pobliskiego komisariatu – powiedział w końcu, puentując to zdanie kolejnym bębnieniem palcami. – Pytali o kolegę. Jak się sprawuje w szkole, jakim jest nauczycielem i pedagogiem. I wreszcie: co o koledze sądzę.

Takie buty, pomyślałem nie bez złości. Policja nadal sprawdza mnie na wszelkie możliwe sposoby! Byłem jednak spokojny i opanowany, nie okazałem żadnych emocji.

– Rozumiem, panie dyrektorze – odpowiedziałem chłodnym tonem. – Mam nadzieję, że pańska opinia nie była najgorsza...

– Oczywiście, że nie! – Dyrektor się zaperzył, z wrażenia jednocześnie luzując sobie krawat, zdecydowanie za ciasno ściągnięty pod szyją. – Wystawiłem panu jak najlepsze świadectwo: aktywny, zaangażowany, z osiągnięciami podopiecznych w wojewódzkich konkursach wiedzy historycznej... Bo to wszystko prawda, panie kolego! Ale policjanci nie powiedzieli, dlaczego o kolegę pytają. Dlatego kolega pozwoli, że zapytam: o co w tym wszystkim chodzi? Bo, sam kolega rozumie, takie sprawy mogą rzutować na opinię o szkole... A tego, szczerze mówiąc, wolałbym uniknąć.

Rzuciłem okiem na dyplomy dumnie wiszące nad głową szefa. Potwierdzały, że nasze gimnazjum rzeczywiście należało do grona najlepszych w Poznaniu.

– Proszę się nie obawiać, panie dyrektorze – powiedziałem, siląc się na spokój, choć pod czaszką aż mi się gotowało. – Zapewniam pana, że to nieporozumienie.

– No... Zasadniczo jestem gotów w to uwierzyć, ale... – Sadowski miotał się z najgorszymi myślami, a nie mogąc się wysłowić, wybębniał je teraz obiema dłońmi na biurku. – Ale sam kolega rozumie... Chciałbym wiedzieć, co o tym wszystkim myśleć... Bardzo, bardzo kolegę lubię i rozumiem, i dlatego...

– Panie dyrektorze, dziękuję za szczerść. Nie mam powodu, by coś

ukrywać. Już wyjaśniam. Tak się składa, że zostałem świadkiem w pewnej sprawie natury... – zawahałem się – ...natury kryminalnej.

– Kryminalnej... – jęknął Sadowski.

– Świadkiem! – Podkreśliłem stanowczo, co zresztą było zgodne z prawdą. – Wiosną złożyłem zeznania na policji i od tamtej pory co jakiś czas sprawdzają moją wiarygodność.

– Ale dlaczego? – Dyrektor zadał jak najbardziej logiczne pytanie.

– Niestety, nie wiem. To policja prowadzi śledztwo.

– No tak! Oczywiście... – Dyrektor zamrugnął oczami, jakby zaskoczony moją odpowiedzią. – Tym niemniej... Gdyby kolega coś wiedział albo nie daj Boże doczekał się wizyty policji, bardzo proszę mnie o tym poinformować. Tak na wszelki wypadek.

– Oczywiście – przyrzekłem, w duchu przeklinając policję.

Odnosiłem wrażenie, że moja budowana przez lata rzetelnej pracy pozycja w szkole padała właśnie jak domek z kart. Rozedrgany głos i rozbiegane ręce dyrektora mówiły więcej niż jego gładkie słówka. Facet trząsał się jak osika i zapewne miał mnie już za kryminalistę.

– Tak na wszelki wypadek – powtórzył Sadowski. – Kolega rozumie, musimy dbać o dobre imię szkoły. Zwłaszcza teraz, gdy tyle się mówi o likwidacji gimnazjów... Nie możemy dawać żadnych pretekstów...

Mój Boże, pomyślałem. Jedna wizyta policji i już sprawa robi się polityczna! Jeszcze by tylko brakowało, żeby do naszego gimnazjum zajęła ekipa telewizyjnych „Wiadomości” – miałyby gotowego newsa o kryminogennym środowisku gimnazjalnych nauczycieli. Cóż to by była za petarda, miód na serce planującej rzeź gimnazjów minister edukacji!

– Ma pan rację. – Przytaknąłem z grzeczności. – Jak tylko... coś się wydarzy, poinformuję pana dyrektora jako pierwszego.

Miałem nadzieję, że nie wydarzy się nic. Ale żadnej pewności.

Nie wiem, czy Sadowski mi uwierzył. Nie wyglądał na uszczęśliwionego moją deklaracją. Gdy opuszczałem jego gabinet, obrzucił mnie po raz pierwszy spojrzeniem, w którym wyczułem nieufność.

Wracając do uczniów, zastanawiałem się, czy pojechać do nadkomisarza Kozłowskiego i wygarnąć mu, co o tym wszystkim myślę. Całe szczęście, że musiałem poprowadzić lekcję i spędzić trzy kwadransy przed tablicą. W przeciwnym razie dyrektor Sadowski szybko doczekałby się ponownej wizyty gliniarzy. Tyle że wtedy zeznawałby na temat winnego czynnej napaści na funkcjonariusza.

## Stan terminalny

Październik rozkręcił się na dobre, atakując pluchą i zimnym wiatrem resztki wspomnień z nienaturalnie gorącego września. Dzień w dzień od rana do wieczora mżyło i zawiewało wilgocią, odbierając ochotę do jakiegokolwiek aktywności. Z braku warunków musiałem zawiesić moje bieganie po dolinie Cybiny. Przyszło mi to – o dziwo! – bez przesadnego żalu. Jak powiedzieliby zapewne komentatorzy sportowi, kryzys mentalny pogłębił się znacząco.

Beznadziejna pogoda miała tę jedyną zaletę, że po pracy mogłem bez rozpraszania się usiąść do laptopa i buszować w internetowej superbazie. Która jednak – jak się okazało – wcale nie była taka super. W temacie Klaudii Zuberek i początków wolnego dziennikarstwa w trzeciej RP okazała się mocno przereklamowana. Ścisłe rzecz biorąc, nie znalazłem w necie nic wartościowego na temat osoby, której poszukiwałem.

Byłem zaskoczony, bo wydawało mi się, że skoro Zuberek otarła się o „Wyborczą”, to musiała pozostawić w internetowej przestrzeni jakikolwiek ślad. A tymczasem magiczny net nie znał nikogo takiego. Było to o tyle zrozumiałe, że Klaudia Zuberek pisała w czasach, gdy gazety miały tylko papierowe wydania. Nie zdążyła zatem zaznaczyć swojej obecności na jakichkolwiek serwerach!

Zniesmaczony, zadzwoniłem do redakcji gazety z prośbą o jakieś tropy. Okazało się jednak, że Zuberek nikt już tam nie pamięta. – Teraz rządzi następne pokolenie. – Usłyszałem od miłej sekretarki. Udało jej się ustalić tylko tyle, że na pewno widziano ją w Warszawie jeszcze w 2005 roku. Podobno rzuciła dziennikarstwo i poszła w jakiś biznes. Jaki? Tego nikt nie potrafił powiedzieć.

Podziękowałem i zadzwoniłem pod inny adres – do warszawskiej centrali Solidarności. Zapisali nic im niemówiące nazwisko, lekko się przy tym podśmiewając, obiecali pomoc i pożegnali w tonie, który nie wróżył nic dobrego.

...

Następny tydzień był zwyczajną szkolną harówką, rutynową i rzadko ekscytującą. Przez kraj przetoczyły się „czarne marsze” kobiet w proteście przeciwko „dobrej zmianie” w prawie antyaborcyjnym. A minister edukacji ciągle zwlekała z ostatecznym odkryciem kart: czy rzeczywiście zlikwiduje gimnazja, czy nie. Paradoksalnie pewną nadzieję dało nieoczekiwane wystąpienie prominentnej posłanki obozu rządzącego w obronie gimnazjów katolickich. A my, nauczyciele ratajskiego gimnazjum, żyliśmy i pracowaliśmy jak na pokładzie Titanica. Niektórzy z nas twierdzili, że zderzyliśmy się już z górą lodową i zaczynamy tonąć.

Inni – mniej liczni – że dopiero obraliśmy kurs na górę.

Ktoregoś wieczoru, gdy tkwiłem nad szkicem przyszłorocznej wycieczki z moją klasą do Krakowa i Wieliczki, zadzwonili wreszcie z centrali Solidarności.

– Mam coś dlaa pana. – Usłyszałem od tej samej młodej, lekko jękającej się działaczki związkowej, z którą rozmawiałem poprzednio. – Taaa pani Zuberek była przez kilka lat ekspertem naaaszego związku w podkomisji medialnej...

– Wreszcie! – Ucieszyłem się, bo właśnie złapałem koniec cienkiej nitki, która – taką miałem nadzieję – zaprowadzi mnie do poszukiwanej. – Czy wiecie, gdzie teraz mieszka? Może macie jakiś telefon?

– Z tym jest gorzej. Bo to byyyło osiem lat temu. W naszej baaazie mamy tylko adres z Bemowa, ale już nieaaaktualny.

– Szkoda...

– Aaale niech pan zapyta w banku...

– Banku?

– Tak, w grupie Pekao SA. Tam praaacowała potem, jak od nas odeszła. Tyyye wiemy. Przepraszam, że tak mało...

– Wcale nie! – Zaprzeczyłem radośnie, bo nagle na czarnym niebie zajaśniała gwiazda nadziei. Dziękuję bardzo! I pozdrawiam!

Tą gwiazdą była myśl o moim koledze ze studiów, który nie skończył jak ja w państwowym szkolnictwie, ale sobie tylko znanymi drogami zrobił całkiem imponującą karierę w sektorze bankowym. Zdaje się, że ostatecznie zahaczył się właśnie w Pekao SA...

•••

Kumpel był bardzo zdziwiony, gdy odezwałem się po latach. Ale się ucieszył, bo w czasie studiów zżyliśmy się ze sobą i wypiliśmy razem niejedno piwo. Moja prośba nie była dla niego żadnym problemem.

– Daj mi kilka godzin. – Wyszedł z propozycją.

Dałem. Odezwał się po godzinie. Mówił ściszym głosem, jakby się obawiał, że ktoś go podsłucha.

– To w zasadzie tajne dane firmy. – Zastrzegł się. – Pamiętaj: w razie czego, nie dałem ci tego adresu.

Choć nie wiedziałem, co oznacza „w razie czego”, przyrzekłem na wszystkie świętości, że go nie wydam. I szybko zanotowałem adres. Zuberek mieszkała w centrum, niedaleko budynku warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych. Ucieszyłem się, bo to oznaczało, że nie będę błądził po obrzeżach stolicy.

– Jest jeszcze coś. – Mój kolega sprzed lat mówił teraz tak cicho, że musiałem się mocno skupić, by zrozumieć jego słowa. – Ona od kilku miesięcy nie przychodzi do pracy.

– Jak to: nie przychodzi?

– Stary, to przykra sprawa – wyszeptał. – Ona od dawna walczy z rakiem. W tym roku jej zdrowie znowu się pogorszyło. To właściwie stan terminalny. Leczą ją w domu, bo nie chciała pójść do hospicjum...

Poczułem, jak moje serce wpada w nerwową arytmie. Sprawa nie przedstawiała się różowo. Kobieta, której w ostatnich dniach uporczywie szukałem, była na wyciągnięcie ręki – a jednocześnie stała się bardziej odległa niż kiedykolwiek wcześniej. Miałem skrupuły, nie wyobrażałem sobie wizyty u tak ciężko chorej kobiety. Choćby cel tych odwiedzin był najbardziej szlachetny.

Kumpel podał mi też telefon do Zuberek, ściągnięty z bankowej bazy danych. Podziękowałem mu, obiecałem wspólne wyjście na piwo – i rozłączyłem się. Szczerze mówiąc, wątpiłem, czy kiedykolwiek skorzystam z informacji, które właśnie zdobyłem. Wiadomość o ciężkiej chorobie byłej dziennikarki podziałała na mnie wyjątkowo przygnębiająco.

Przez następne dni biłem się z myślami, co robić. Nie tak wyobrażałem sobie moment, w którym dane mi będzie dotrzeć do osoby, która wraz z Janem Kucharskim stanęła wiele lat temu w miejscu tajemniczej śmierci dominikanina. Sądziłem, że ta chwila będzie związana z wielką radością, z nieopisaną dziką euforią. Tymczasem po rozmowie z kolegą wpadłem w stan otępienia. Nie umiałem sobie z tym poradzić. Nie umiałem, po prostu nie potrafiłem sobie wyobrazić wizyty u umierającej Klaudii Zuberek.

•••

Był ciemny, październikowy wieczór. Depresyjny i zimny. Na ekranie telewizora minister edukacji z szerokim uśmiechem tłumaczyła, że skoro przed laty Związek Nauczycielstwa Polskiego był przeciwny utworzeniu gimnazjów, to ona chętnie dziś pomoże spełnić jego dawne postulaty. I dodała, że zupełnie nie rozumie, dlaczego nauczyciele z ZNP uwzięli się, by teraz protestować przeciwko jej reformie oświaty, kasującej gimnazja. – Żaden nauczyciel gimnazjów nie straci pracy z powodu reformy – zapewniała solennie. Ale jakoś trudno jej było uwierzyć. W szkole, w której pracowałem, w obietnice minister nie wierzył nikt. A jej ślepy pęd do kolejnej, kosztowanej zawieruchy w oświacie budził lęk.

– Bajul bajul... – mruknąłem, chwytając za pilota.

Byłem już za stary na takie lukrowane opowiadki o garbatych aniołkach. Bez wahania zmieniłem program.

Na innym kanale leciał jakiś dokumentalny film. Szybko zorientowałem się, że traktuje o wojnie wywiadów na terenach okupowanych przez Trzecią Rzeszę. Druga wojna światowa to mój konik, chętnie nadstawiłem więc ucha. Zobaczyłem archiwalne, białe-czarne zdjęcie pięknej, młodej kobiety o smutnym spojrzeniu. Była Polką, która pracowała dla Armii Krajowej, a jednocześnie dla brytyjskiego Secret Intelligence Service. Podczas przerzucania przez zieloną granicę została



ciężko ranna.

*...w zapyziałej wsi, w której nie miała szans na profesjonalną opiekę medyczną, dotarł do niej polski przelozony – czytał lektor. – Była słaba, straciła wiele krwi. Mimo to zdążyła przekazać koledze ustną instrukcję, dzięki której do Londynu trafiły miesiąc później dokładne dane celów alianckich bombardowań. Przekazała ją w ostatniej chwili...*

Zaraz potem zobaczyłem skromną żołnierską mogiłę pod bieloną ścianą wiejskiego kościoła, w której pochowano dzielną agentkę. Wstrzymałem z wrażenia oddech. Coś mnie w tym wszystkim zastanowiło. W głowie wybrzmiewała mi jak szalona fraza „w ostatniej chwili”.

A może... Może jednak... Może jednak powinienem spróbować?

## Dezintegracja

Odważyłem się następnego dnia. Drżącą dłonią, dwukrotnie się myląc, wybrałem warszawski numer na moim smartfonie. Sygnał kilkakrotnie odbijał się na niewidocznych łączach, a każda kolejna sekunda wzmagała napięcie. Byłem już bliski rezygnacji, kiedy ktoś odebrał połączenie.

– Słucham... – Słaby kobiecy głos utwierdził mnie w przekonaniu, że dobrze się dodzwoniłem.

– Mówi Bogdan Popiołek. – Przedstawiłem się, licząc się z tym, że Klaudia Zuberek się rozłączy. – Moje nazwisko nic pewnie pani nie powie. Dzwonię z Poznania...

– Skąd?

– Z Poznania. W sprawie Jana Kucharskiego. Wiem, że go pani знаła...

– Jak to „znała”?

– To pani nie wie?

– Czego?

– Że on nie żyje. Został zamordowany.

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Wiadomość musiała być dla niej szokiem, przez chwilę słyszałem tylko cichy, miarowy oddech.

– Kiedy to się stało? – zapytała w końcu.

– W marcu, proszę pani. Ktoś zabił go, gdy biegał w lesie.

– Mój Boże, jeszcze to... – westchnęła. – A pan kim właściwie jest? I dlaczego dzwoni do mnie z taką informacją?

Choć pewnie targały nią emocje, jej głos był matowy, suchy. Brzmiał jak komunikat czytany przez przepracowanego radiowego lektora.

Opowiedziałem Klaudii Zuberek, co się stało z Janem Kucharskim. I dlaczego ją niepokoję. O tym, jak zignorowała mnie policja. I czego się dowiedziałem od dominikanów. A wreszcie także o tym, jak odkryłem, że wraz z Kucharskim była w 1983 roku na miejscu wypadku ojca Zenobiusza. Gdy wspomniałem o zakonniku, Zuberek załkała. A może tylko tak mi się zdawało?

Pominałem jedną kwestię – jak do niej dotarłem. Ale wcale jej to nie interesowało. To była bardzo konkretna osoba. Mimo swego stanu od razu przeszła od rzeczy. Po dziennikarsku, chciałoby się powiedzieć.

– Rozumiem – podsumowała moją nerwową opowieść. – Jak mogę panu pomóc?

– Chciałbym... – Zawahałem się w decydującym momencie. – To znaczy, byłbym pani bardzo wdzięczny, gdybym mógł z panią dłużej porozmawiać o Janie

Kucharskim.

Zwlekała z odpowiedzią. Wyobrażałem sobie, jak biła się z myślami, tam, po drugiej stronie linii. Właśnie dowiedziała się, że nie żyje bliski jej człowiek. W dodatku o spotkanie prosił ją nieznaną mężczyzna o niejasnych intencjach. Tłumaczyłem się z nich dość chaotycznie. Nie byłem pewny, czy zdobyłem jej zaufanie.

– Cóż, to da się zrobić – odpowiedziała w końcu. – Tylko musiałby pan przyjechać do mnie, do Warszawy. Ostatnio... Ostatnio jestem niedysponowana.

•••

Spieszyłem się.

Sobota nadawała się idealnie. Nie musiałem prosić dyrektora o dzień urlopu. Gdy wczesnym rankiem wyszedłem z odświeżonej na Euro 2012 hali dworca Warszawa Centralna i zerknąłem na Pałac Kultury i Nauki – pamiątkę po dawnej sowieckiej kurateli – poczułem, że znalazłem się na nowej ścieżce mojego prywatnego śledztwa.

Klaudia Zuberek mieszkała w dwupiętrowej odrestaurowanej kamienicy przy ulicy Nowy Świat. Mieszkanie było nieduże, przypominało rozkładem klasyczną, może nieco większą od tradycyjnych kawalerkę. Okna jej pokoju wychodziły wprost na wysoką fasadę warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych, niegdyś gmachu Komitetu Centralnego PZPR. Gdy dotarłem na miejsce około dziesiątej rano, dawna siedziba „przewodniej siły narodu” rzucała ciągle jeszcze cień na budynki po drugiej stronie ulicy. Ten drobny fakt wydał mi się mocno symboliczny: przyjechałem tu wszak w sprawie z przeszłości, która kładła się cieniem na teraźniejszość. Tyle tylko, że ciągle nie wiedziałem, jak głęboki jest ten cień.

Drzwi otworzyła mi młoda dziewczyna z włosami blond związanymi w kitkę. W pierwszej chwili pomyślałem, że to córka Zuberek, ale szybko się okazało, że mam do czynienia z pielęgniarką w cywilu. Z wąskiego, krótkiego korytarza zaprowadziła mnie wprost do największego pomieszczenia tego lokum. W jasno oświetlonym przez dwa wysokie okna bez firanek pokoju dostrzegłem ławę w kolorze hebanu i dwa fotele. W jednym z nich siedziała wążka, krucha kobieta. Obok niej zauważyłem metalowy stojak, na którym zawieszona była butla z jakimś przezroczystym płynem. Niewielka szklana aparatura dawkowała lek w kroplach, spływający następnie plastikową rurką do wenflonu wpiętego w lewą dłoń pacjentki. Pewnie morfina albo inny lek przeciwbólowy, domyśliłem się.

Zza pleców fotela wystawał z kolei metaliczny, obły kształt, przypominający butlę z tlenem. Na oparciu fotela spoczywała maska, połączona przewodem z butlą.

Zrozumiałem, że Zuberek nie może wstać na powitanie, więc podszedłem do niej i schylając się, ucałowałem ją w prawą dłoń. A właściwie splot kostek,

skrytych pod nienaturalnie suchą skórą.

– To ja do pani dzwoniłem. – Przypomniałem się, choć i tak z jej szarych oczach wyczytałem, że to wiedziała. – W sprawie Jana Kucharskiego.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Zaproponowała, wskazując łagodnym ruchem wolnej ręki drugi fotel. – Przepraszam, że nie mogę pana przywitać, jak należy. Mój Anioł Stróż nie pozwala. – Mrugnęła okiem, przenosząc spojrzenie na stojak z lekiem.

– Rozumiem – powiedziałem, pełen podziwu dla jej bohaterskiej autoironii.

Choć Klaudia Zuberek miała niespełna sześćdziesiąt lat, wyniszczająca choroba wyostrzyła jej rysy. Wyglądała na osobę o dwadzieścia lat starszą. Jej włosy zdawały się zaczesana na bok kępka suchej trawy, a skóra była popielato-żółtawa. Zapadłe policzki nadawały jej twarzy pozór szczupłości, uwypuklając chorobliwie wyraźne, błyszczące oczy i podkreślone chyba za mocno szminką usta. Niewysoka i chuda, była zapewne cieniem kobiety, która przed laty razem z Janem Kucharskim próbowała rozwikłać zagadkę śmierci dominikanina na drodze pod Aleksandrowem Kujawskim.

Ona także obserwowała mnie, jakby oceniając, na ile może być ze mną szczerą. Wytrzymałem jej uważne spojrzenie i odpowiedziałem na nie uśmiechem. Chyba ją to rozbroiło, bo niespodziewanie na jej twarzy też pojawił się grymas uśmiechu, ślad dawnej piękności.

Niegdyś musiała mieć powodzenie, pomyślałem. Niegdyś, trzydzieści lat temu.

– Justynko, odpocznij sobie troszkę. – Zuberek zwróciła się słabym, choć zdecydowanym głosem do pielęgniarki. – Chcielibyśmy porozmawiać sobie w cztery oczy.

– Oczywiście. Gdyby tylko pani czegoś potrzebowała, proszę nacisnąć na dzwonek. – Dziewczyna wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Dopiero teraz zauważyłem, że w rogu fotela Zuberek leży nieduża metalowa kostka z czerwonym przyciskiem.

– No, to możemy powspominać. – Klaudia Zuberek jakby się ożywiła.

W jej szarych jak stal oczach dostrzegłem iskierki zainteresowania.

– To czego właściwie chciałby się pan dowiedzieć? – zapytała.

– Jak to było wtedy, wiosną 1983 roku. Gdy zginął ojciec Zenobiusz... – Naprowadziłem ją bez zbędnych wstępów na to, co interesowało mnie najbardziej.

– Gdy został zamordowany. – Poprawiła mnie natychmiast, stanowczo, ale nie podnosząc głosu. – Proszę pana, zacznijmy od tego, że ten fakt jest dla mnie bezsporny. I był bezdyskusyjny także na Janka.

•••

– No właśnie. – Przytaknąłem chętnie, bo Zuberek po raz kolejny

potwierdziła, że jest osobą bardzo konkretną. – Czytałem wasz tekst w „Obserwatorze Wielkopolskim”. Jak udało się wam zebrać dowody, że w wypadku było coś nieczystego? Przecież milicja i SB krążyły po okolicy, pilnując oficjalnej wersji wypadku.

Zuberek westchnęła płytko, jakby nie mogła nabrać w płuca więcej powietrza.

– Proszę pana, to nie było proste – przyznała. Mówiła na wydechu, cicho, ale wyraźnie. – Na pomysł wpadł Janek. To on był tym szaleńcem, który rzucił hasło: „sprawdzamy”. Bo musi pan wiedzieć, że gdy do Poznania dotarła informacja o wypadku Zenobiusza, a potem o jego śmierci, niektórzy z nas, ludzi duszpasterstwa akademickiego, rzeczywiście sądzili, że to był nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Tym bardziej, że Zenobiusz uchodził za... jakby to precyzyjnie określić... za niedzielnego kierowcę. Nie był za kierownicą raptusem, ale też nie miał wielkiego doświadczenia. Niejeden z nas pomyślał w pierwszym odruchu, że może rzeczywiście przysnął, zjechał z drogi i uderzył w drzewo. Wie pan, wtedy, w latach osiemdziesiątych, na drogach nie panował tak intensywny ruch jak dzisiaj. A już na pewno był znikomy na odcinku, na którym zginął Zenobiusz. Zmierzam do tego, że niedoświadczony kierowca, jadący w słoneczny dzień w porze obiadowej, mógł rzeczywiście zasnąć nad kierownicą. Ale Janek był wśród nas tym, który stanowczo odrzucał taką możliwość. On od początku był święcie przekonany, że za tym wypadkiem ktoś stał. Że to niemożliwe, by Zenobiusz, w końcu poważny zakonnik, szarżował małym fiatem i znalazł się nagle na poboczu na zupełnie prostym fragmencie drogi.

– Skąd się wzięło to przekonanie Jana Kucharskiego?

– Z życia, proszę pana. – Wzruszyła ramionami. – Wszyscy wiedzieliśmy, że chodzą za Zenobiuszem. Że go śledzą. Raz go nawet pobili, wie pan? W parku za operą.

– Tak, tak, słyszałem. Ale zdaje się, że ojciec Zenobiusz odżegnywał się od kojarzenia tego zdarzenia ze Służbą Bezpieczeństwa.

– No właśnie! Cały Zenobiusz! – Zuberek podniosła głos, kasłając jednocześnie w poszukiwaniu tchu. – On by wybaczył najgorszym wrogom! A może... A może po prostu nie chciał się pa... paniki!

Kobieta zakaszlała, walcząc z odkrztuszeniem czegoś, co zalegało w jej oskrzelach. Do pokoju wbiegła zaniepokojona pielęgniarka.

– Co się dzieje?! Pomóc w czymś?

– Dziękuję, Justynko... Już jest lepiej – wycharczała kobieta, z trudem stabilizując oddech. – Przepraszam pana, moje płuca... To galareta, nie płuca. A może raczej czarna smoła...

Klaudia Zuberek sięgnęła po maskę i kilkakrotnie głęboko wciągnęła tlen. Upewniwszy się, że sytuacja jest opanowana, dziewczyna ponownie opuściła

pokój, przypominając o dzwonku.

– Anioł, nie pielęgniarka – powiedziała Zuberek. – Gdyby nie ona, udusiłabym się już ze dwa razy we własnym domu...

Widząc zakłopotanie na mojej twarzy, natychmiast zmieniła wątek.

– Musi pan wiedzieć, że Zenobiusz był świętym człowiekiem. Takim przywódcą rozbitej, rozpierchniętej opozycji. W swoim duszpasterstwie gromadził zresztą nie tylko ludzi wierzących, także ateuszy. Wszyscy mu ufali. Potrafił też wygłaszać wspaniałe, mądre homilie. Jak myśmy na nie czekali! Dzisiaj, gdy młodzi odnoszą się do Kościoła nieufnie, trudno to sobie wyobrazić. Ale wtedy... Wie pan, dziś sobie myślę, że słowa Zenobiusza miały moc zmieniania ludzi. Dlatego oni tak bardzo się go obawiali...

– Oni, czyli esbecy?

– Tak. Psy reżimu. – Słaby głos Zuberek nabrał nagle twardości. – Ludzie bezideowi. Karierowicze gotowi napluć w twarz własnej matce. Ludzie, dla których życie ludzkie nie miało specjalnej wartości. Gotowi posunąć się do podłej zbrodni, byle tylko zamknąć usta niepokornym. Tak, jak to zrobili z księdzem Jerzym. A wcześniej z naszym Zenobiuszem.

Pewność jej ostatniego sądu wymagała reakcji.

– Prokuratura tego nie potwierdziła – skomentowałem. – Rozmawiałem z człowiekiem, który prowadził to śledztwo. Nie znalazł żadnych dowodów na udział osób trzecich w wypadku...

– Kiedy to było, proszę pana? – Spojrzała na mnie z wyrzutem. – Osiem lat po zdarzeniu! Osiem lat! Pan wie, co oni zdołali przez ten czas ukryć? Ile fałszywych dokumentów wyprodukować? Nie mam złudzeń, że tak było. Bo byłam tam, na miejscu wypadku, razem z Jankiem. I usłyszałam, co usłyszałam.

– Dotarliście do świadków nieznanymi prokuraturze?

Zuberek mrugnęła do mnie okiem.

– Trafił pan, panie nauczycielu – powiedziała z lekką ironią w głosie. – My, Janek i ja, bez żadnego wsparcia działaliśmy wtedy więcej niż cała ta nasza, pożałuj Boże, prokuratura w tak zwanej „wolnej Polsce”. Ale po kolei, szanowny panie. Po kolei.

•••

Kludia Zuberek raz jeszcze sięgnęła po maskę, przymknęła oczy i przez kilka minut raczyła się czystym tlenem, jakby zdawała sobie sprawę, że będzie teraz potrzebowała najwięcej sił.

– No dobrze. – Odłożyła maskę na brzeg fotela.

Oddychała teraz w miarę sprawnie, choć gdy nabierała powietrza, z jej oskrzeli dobywał się lekki świst. – Pyta pan, jak tam było, na szosie pod Aleksandrowem – jej wzrok poszybował ku ścianie, na której dopiero teraz

zauważyłem oprawiony w ramy, biało-czarny pejzaż z szarą wstęgą drogi pośrodku. – Było tak, jak na tym zdjęciu. Zrobiłam je właśnie tam, na miejscu wypadku. Było zimno, deszczowo, niesympatycznie. Z dojmującym wrażeniem, że ktoś obserwuje nasze nieudolne działania. To było chyba tydzień po wypadku Zenobiusza. A może szybciej? Sama już nie pamiętam. Najpierw była desperacja: zatrzymywaliśmy przejeżdżające samochody i pytaliśmy ludzi, czy coś wiedzą o wypadku. Czy przypadkiem wtedy tędy nie przejeżdżali. Albo czy coś nie obięło im się o uszy. Dziś się dziwię, że nikt o tym nie doniósł na milicję albo jeszcze gdzieś indziej. Mieliśmy szczęście. A jednocześnie nie mieliśmy. Bo początkowo nikt nic nie wiedział. Wtedy nie było wolnych mediów, telewizji informacyjnych dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie było Internetu, Facebooka i innych technicznych cudeniek, które powodują, że świat stał się mały, jak globus na biurku dziecka. Krążyły ledwie jakieś głupawe plotki, niesprawdzone i niewiarygodne. Wie pan, ludziska różne rzeczy wymyślają. Ktoś coś tam bąknął, że Zenobiusz jechał z kobietą. Że... Ech, szkoda nawet powtarzać te głupoty. Dziś mam do tego inny stosunek. Dziś jestem prawie pewna, że ktoś celowo rozpuszczał takie świństwa po okolicy, żeby wzmoc dezinformację. Bo kiedy powstaje nagle kilka wersji jakiegoś tragicznego wydarzenia, to ono samo zaczyna tracić na znaczeniu. I o to im pewnie chodziło. Żeby ludzie siali plotki, a nie dostrzegli w tym morzu kłamstwa drobnego ziarna prawdy.

Zuberek potrafiła opowiadać. Jej opis był żywy, plastyczny. Znać w nim było jej dawną reporterską pracę.

– Ale my z Jankiem to ziarno wyłowiliśmy – oświadczyła z dumą. – Nie daliśmy się nakarmić papką propagandy. Gdy się zorientowaliśmy, że działamy po omacku, chaotycznie i ryzykownie, Janek zaproponował, żeby odwiedzić okolicznych mieszkańców. Nieopodal na górcie stał mały drewniany dom. Mieszkał w nim samotny stary człowiek. Z okien miał dobry widok na drogę. I okazało się, że tamtego dnia porządkował obejście i widział, jak żółty fiacik Zenobiusza pojawił się na drodze. A zaraz za nim ciężarowy star...

Zamilkła na chwilę. Widziałem, że jej ręce zaczęły drżeć ze wzruszenia,, a po jej bladym policzku spłynęła łza.

– Ten pan był bardzo odważny. I spostrzegawczy – odezwała się znowu. – Mówił, że jego uwagę przykuł rzadko spotykany, kanarkowy kolor samochodu Zenobiusza. Jak opowiadał, dominikanin jechał spokojnie i prosto. Jednak tylko do pewnego momentu. Nagle... Nagle zza jednej z topól rosnących przy asfalcie wyskoczyła jakaś ubrana na czarno postać i zamachnęła się w stronę auta Zenobiusza. Zaraz potem ten pan usłyszał trzask i fiata zaczęło znosić w stronę pobocza. W kilka sekund stracił stabilność i uderzył w drzewo. Ale najważniejsze było to, co ten starszy mężczyzna zaobserwował zaraz potem... Jak nam opowiedział, jadący za fiatem star zatrzymał się tuż przy rozbitym samochodzie.

Wyskoczyło z niego dwóch słabo widocznych z daleka mężczyzn, którzy podbiegli do fiata i coś przy nim majstrowali. Co dokładnie, tego nasz świadek nie potrafił odpowiedzieć. Mówił tylko, że kręcili się wokół wraku, jakby czegoś szukali. A potem zaraz wskoczyli w trójkę, razem z tym, który wybiegł zza drzewa, do ciężarówki i odjechali. Wszystko trwało najwyżej pięć minut...

•••

Cisza, która między nami zapadła, była nie do zniesienia. Tu się chciało krzyknąć, głośno domagać sprawiedliwości. A jednocześnie szacunek dla śmierci człowieka nakazywał, by milczeć.

– Myśli pani, że ktoś rzucił kamieniem w przednią szybę fiata? – Nie wytrzymałem długo w milczeniu. Pytania same cisnęły się na usta.

– Na pewno – odpowiedziała bez zawahania. – To stara esbecka metoda. Przypomnę panu, że w ten sam sposób półtora roku później próbowali za pierwszym razem zgładzić księdza Popiełuszkę. Ale im się wtedy nie udało, bo ksiądz jechał z kierowcą, a ten nie dał się zastraszyć i wyprowadził auto z opresji. Zenobiusz takim mistrzem kierownicy nie był. Musiał spanikować i stracić kontrolę nad samochodem. Wie pan, podobno milicja ustaliła później, że po coś się schylał – i dlatego stracił panowanie nad fiatem. A my z Jankiem jesteśmy... to znaczy byliśmy przekonani, że on się skulił i zasłonił odruchowo ręką, żeby uchronić się przed kamieniem, który leciał w jego stronę. To taki bezwarunkowy odruch. Człowiek w takich chwilach nie myśli. Puścił kierownicę – a dalej już poszło...

Milczałem, rozważając jej słowa. Musiałem przyznać, że w logiczny sposób tłumaczyła, dlaczego dominikanin zjechał z nienacka na pobocze, na którym czekało go zderzenie z drzewem. Mimo wszystko coś mi jednak w tej historii zgrzytało. Szybko wychwyciłem co.

– A ten świadek... Milicja ani inni do niego nie dotarli?

Zuberek poruszyła się niespokojnie w fotelu.

– Mam nadzieję. Ale tego nie wiem – przyznała. – W naszej relacji celowo go zmistyfikowaliśmy. Żeby nie ułatwiać zadania esbecji.

Nagle przypomniałem sobie szczegół z ostatniej rozmowy z prokuratorem Brzostkiem.

– Czy... Czy wasz świadek został w waszym tekście ukryty pod literą Z? – zapytałem.

– Szczegółów już nie pamiętam. Ale wydaje mi się, że w „Obserwatorze” celowo zmieniliśmy kolejność wydarzeń po wypadku, by wytworzyć wrażenie, że świadkiem był ktoś, kto przyjechał na miejsce zdarzenia, a nie osoba obserwująca wypadek z oddali. I to chyba nieźle wyszło, przynajmniej tak to zapamiętałam. Wie pan, jak komuna upadła, raz jeszcze pojechaliśmy tam z Jankiem. To był może



dziewięćdziesiąty rok. Chcieliśmy raz jeszcze dotrzeć do tego mężczyzny z domu na górcę, liczyliśmy, że teraz otworzy się zupełnie i może poda nam nowe szczegóły. Ale spotkał nas zawód. Okazało się, że nikt już tam nie mieszkał. Dom stał opuszczony.

– Ale Jan Kucharski nie zrezygnował z prób rozwikłania sprawy? – Zreflektowałem się, że przed chwilą Zuberek podała mi ważną informację.

– Nie. Chciał za wszelką cenę wyjaśnić, kto stał za śmiercią Zenobiusza. Prosił mnie o pomoc, ale ja wtedy zaczęłam pracę w mediach. Nie miałam na to wszystko czasu. Owszem, pojechałam z nim pod Aleksandrów, ale później już mu nie towarzyszyłam. Mniej więcej w tym samym czasie w Sejmie powołano komisję Rokity do zbadania podejrzanych śmierci opozycjonistów w czasach PRL. Uznałam, że oni zrobią to lepiej, bardziej fachowo. Czy pan wie, że ta komisja doliczyła się około stu takich niewyjaśnionych śmierci?

Coś o tym słyszałem, ale skala problemu rzeczywiście robiła wrażenie.

– Jan Kucharski współpracował z tą komisją? – zapytałem.

– Nie wiem. Przestałam się tym interesować. Zresztą... oddaliliśmy się już wtedy z Jankiem. Pan rozumie, co mam na myśli...

– Czy... byliście parą? – zapytałem idiotycznie.

Oczy Zuberek zaszczylił wilgocią.

– Niepotrzebnie pan o to pyta – szepnęła.

...

– Przepraszam – wydusiłem z siebie zmieszany.

– Nic się nie stało...

Z kieszeni spodni wyciągnęła chusteczkę higieniczną i wytarła nią kąciki oczu. Gdy poruszyła lewą dłońią, plastikowa rurka podająca środek znieczulający rozhuśtała się niebezpiecznie.

– Czy... Czy on szedł dalej tym tropem?

– Nie wiem. Jak mówiłam, straciłam kontakt z Janem. – Zuberek zamyśliła się. Jej spojrzenie błądziło po suficie, jak gdyby usiłowała sobie coś przypomnieć.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ale znając Janka, jego uparty charakter... Wcale bym się nie dziwiła, gdyby nadal ich ścigał... Wie pan, myśmy wtedy, w stanie wojennym, byli zżyci z Zenobiuszem jak rodzina...

Siedziałem oszołomiony ogromną liczbą nowych informacji. Musiałem je szybko usystematyzować, żeby zadać dalsze sensowne pytania.

– Czy Janek... Przepraszam, czy Jan Kucharski miał konkretnych podejrzanych? – zapytałem.

– Nie potrafię panu powiedzieć. – Uśmiechnęła się sztywno i smutno. – Kiedy działaliśmy razem, nigdy nie padły z jego ust żadne nazwiska. Ale wiem, że dużo czytał o Służbie Bezpieczeństwa. Interesował się jej strukturą, zasadami

organizacji. Wręcz studiował te zagadnienia. Po 1989 roku zaczęły się ukazywać książki na ten temat. Lepsze i gorsze. Nowe ustalenia przynosiły też działania komisji Rokity. Wszystko to budowało zatrważający obraz.

– Zatrważający?

– Tak. – Zuberek ściszyła głos. Wcale nie dlatego, że obawiała się nawrotu kaszlu. – Wszystko wskazuje na to, że w latach osiemdziesiątych w łonie SB działała grupa likwidująca przeciwników politycznych. Grupa zawodowych morderców. Miała nieformalną strukturę, nie pozostawiała po sobie żadnych dokumentów. Szkolono ją głównie u Wielkiego Brata, zresztą nic dziwnego. Sowieci mieli długie tradycje mordowania opozycji.

Serce uderzyło mi mocniej. Słowa Zuberek otworzyły w mojej pamięci jakąś dawno zatrzaśniętą klapkę. Nagle uświadomiłem sobie, że będąc na studiach, z wypiekami na twarzy czytałem sprawozdania z prac komisji Rokity. Tam również mówiło się o bandyckiej grupie działającej pod przykrywką SB. Grupie, na której istnienie nie było żadnych materialnych dowodów – poza efektami ich „pracy” w terenie.

– Słyszałem o tym – przytaknąłem. – Zdaje się, że do tej grupy należeli mordercy księdza Popiełuszki?

– Właśnie. To był departament „D”, od słowa „dezintegracja”. Mówi to panu coś?

Nadal niebezpieczni

Poczułem, jak krew odpływa mi z głowy, a serce traci właściwy rytm. D jak „dezintegracja”! Boże, jaki ja byłem ślepy! Przecież właśnie literę D umieścił w swojej enigmatycznej notatce Kucharski! Czyli jednak! Jan Kucharski tropił zabójców Zenobiusza! Zarówno w latach osiemdziesiątych, gdy jego działania skazane były na niepowodzenie, jak i później – równolegle z prokuraturą i sejmową komisją Rokity!

Ciężar tego odkrycia wałnął mnie w piersi jak obuch. Przez chwilę z wrażenia nie mogłem złapać tchu. Zrobiło mi się duszno i gorąco.

– Źle się pan czuje? – Klaudia Zuberek się zaniepokoiła. – Może zadzwonię po Justynkę?

Pokręciłem przecząco głową. Czułem, że po miesiącach błądzenia wszystkie elementy układanki nagle zaczęły z hukiem wskakiwać na swoje miejsca. A puzzle, które z nich powstawały, przedstawiały coś potwornego.

– Myśli pani, że Kucharski zapłacił za to życiem? – wydukałem z siebie dość oczywiste pytanie.

– A pan? Co pan o tym myśli?

– Wygląda na to, że znalazł się blisko morderców. Może zaczął komuś deptać po piętach... Zginął od ciosu nożem. To nie mógł być przypadek, że akurat on. I akurat w tak brutalny sposób... – Dedukowałem na gorąco.

I nagle wystraszyłem się własnych myśli. Zrozumiałem, że od dłuższego czasu również igrałem ze śmiercią. Choć nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Chora pokiwała smutno głową.

– Tak mogło być – przyznała. – Bo Janek nigdy nie odpuszczał.

Nagle przypomniałem sobie o zapiskach Kucharskiego. Wyciągnąłem z kieszeni mój telefon i wyświetliłem na jego ekranie zdjęcie tajemniczego zapisu, odnalezionego przez Liściaka na kartce w notesie Kucharskiego.

*1963 sam. gr.,*

*potem VI,*

*zmiana 1984 listop.,*

*doraźne gr. w woj.*

– Proszę spojrzeć – poprosiłem Zuberek. – To notatki pana Jana odnalezione przypadkiem przez jego kolegę z redakcji „Wieści Cybińskich”, lokalnej gazety, w której pracował. Czy mówi to pani coś?

Była dziennikarka zmarszczyła czoło.

– Przepraszam, słabo widzę. Mógłby pan to przeczytać?

Spełniłem jej prośbę. Enigmatyczne skrótowce zabrzmiały znowu jak tajny, zupełnie niezrozumiały kod. Przynajmniej dla mnie.

– Hm... – Zuberek się zamyśliła. – Skoro Janek napisał to D w rogu, to jestem przekonana, że notatka ma związek ze Służbą Bezpieczeństwa.

– No tak, tylko co znaczą te skrótó?

– Muszą mieć związek z departamentem „D”. Skoro są tu dwie daty, to może Janek wynotował sobie jakieś ważne momenty z historii tej formacji?

Bingo!, pomyślałem z uznaniem o przenikliwości Zuberek. Że też sam na to nie wpadłem! No tak, ale skąd, u licha, miałem wiedzieć, że chodzi o jeden z tajnych wydziałów SB?

– Myśli pani, że zapisał sobie w ten sposób istotne daty z historii „Dezintegracji”?

Zuberek uśmiechnęła się słabo.

– Janek zawsze miał skłonność do szyfrowania informacji...

– To znaczy?

– Niech pan nie traktuje tego, co powiedziałam, dosłownie. On po prostu lubił pisać skrótowcami. I to takimi, które mówiły coś tylko jemu samemu. W tej notce jest moim zdaniem mowa o jakichś „samodzielnych grupach”, które powstały w 1963 roku. Potem coś się chyba z nimi wydarzyło w czerwcu, bo tak odczytuję rzymską szóstkę. Ale co? Dalej jest mowa o zmianie w listopadzie 1984. Zatem już po śmierci księdza Jerzego. Co się mogło wtedy wydarzyć w tych cholernych służbach? Może mi pan przeczytać raz jeszcze ten fragment?

– *Doraźne gr. w woj.* – odczytałem z ekranu.

– Ano właśnie! – Zuberek się ożywiła, a na jej woskowym obliczu pojawiły się dwa wyraźne rumieńce. – „Doraźne grupy w wojsku”. Tak bym to czytała. Tylko co ma z tym wspólnego wojsko? I jakie grupy w nim powstały?

Wymieniliśmy zaaferowane spojrzenia. Analiza dawnej zapiski tchnęła odrobinę życia w wymizerowane ciało Klaudii Zuberek. Jej oczy znowu płonęły blaskiem.

– Wie pan co... – Zuberek wpadła chyba na jakiś pomysł.

Wolną ręką wskazała na stojący w rogu pokoju regał z książkami.

– Tam znajdzie pan kilka książek o Służbie Bezpieczeństwa. A być może nawet coś o Departamencie D. Chętnie je panu wypożyczę. A właściwie oddam. Tylko... – Zawahała się. – Tylko niech się pan zastanowi, czy na pewno chce to ciągnąć.

– Myśli pani...

– Ja nie myślę, proszę pana. Ja wiem. Ci ludzie nadal żyją. I proszę mi wierzyć, są bardzo niebezpieczni.

...

Poczułem na karku dreszcz niepokoju. Aby pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, wstałem z fotela i podszedłem do regału.

Niemal wszystkie książki stojące na półkach za szklanymi drzwiami dotyczyły PRL. Zuberek zgromadziła całkiem efektowny księgozbiór, poświęcony różnym aspektom dziejów Polski Ludowej. Było tam coś i o Gomułce, i o Gierku, i o stanie wojennym. Grube tomisko poświęcone Ludowemu Wojsku Polskiemu. Biografia generała Jaruzelskiego. I kilkanaście mniejszych wolumenów na temat Układu Warszawskiego oraz doktryny Breżniewa. A do tego masa książek o życiu społecznym w krajach po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Wiele tytułów poświęconych relacjom państwo – Kościół. I opozycji demokratycznej w PRL. Niektóre z nich znałem, ale to zestawienie tytułów w jednym miejscu zrobiło na mnie wrażenie.

– Ładny skansen, prawda? – Zuberek czytała w moich myślach.

Żart kosztował ją znowu kłopoty z nagłym, suchym kaszlem. Na chwilę sięgnęła po maskę; wdychała łączywie tlen. Zrobiło mi się jej żal.

– Proszę nic nie mówić. – zaproponowałem miękim tonem.

W milczeniu przyglądała się, jak zza szyby wyciągam po kolei kilka książek, które uznałem za przydatne. Były to przede wszystkim publikacje o inwigilacji opozycji. I o relacjach komunistycznego państwa z Kościołem. Skoro ojciec Zenobiusz był zakonnikiem, być może znajdę tam coś, co naprowadzi mnie na ślad, że w jego śmierci maczał palce departament „D”? W opozycję w latach PRL angażowało się wielu duchownych, byłem więc pewien, że i ten wątek został już solidnie opracowany przez historyków.

– Pożyczę te cztery – powiedziałem.

Oboje dobrze wiedzieliśmy, że raczej nie zwrócę ich już właścicielce. Mimo to graliśmy w tę grę. Akceptowała to, w jej oczach znalazłem coś na kształt wdzięczności.

Usiadłem raz jeszcze w fotelu. Czułem, że jestem coraz bliżej wyjaśnienia tajemnicy śmierci Jana Kucharskiego. Bo to, jak zginął ojciec Zenobiusz, nie ulegało już dla mnie żadnej kwestii.

– I co pan teraz robi? – zapytała, odkładając maskę tlenową.

Dobre pytanie, pomyślałem. Widać, że pyta dziennikarka.

– Jeszcze nie wiem – przyznałem się. – Najpierw muszę znaleźć ostateczne potwierdzenie, że idę... że idziemy dobrym tropem. Muszę się upewnić, co znaczy notatka Kucharskiego. Jaki był jej sens.

– Rozumiem. To logiczne.

– A potem? Potem spróbuję pójść po śladach pana Jana.

Szczerze mówiąc, nie byłem w stu procentach przekonany, że mówiłem to, co chciałem powiedzieć. Ale wyczuwałem, że tu, w Warszawie, w mieszkaniu ciężko chorej osoby tak bliskiej zamordowanemu nie mam prawa zachować się

inaczej. Musiałem nadrabiać miną, choćbym później miał się narazić na drwiny.

Klaudia Zuberek skuliła się w fotelu, a jej niedawno jeszcze lekko zaróżowione policzki znowu straciły żywe barwy. Gasła w oczach, krucha i wiotka, jak z dawna niepodlewany kwiat.

– Tylko niech pan uważa, na miłość boską – wyszeptała. – Nie chciałabym mieć pana na sumieniu.

## **Część IV**

### **SZOK**

Jakbym dostał wylewu

Dopiero później, w drodze powrotnej, zdałem sobie sprawę, że stojąca nad grobem przyjaciółka Kucharskiego ani razu nie powiedziała kategorycznie, bym nie zajmował się więcej tą sprawą. Owszem, dała kilkakrotnie do zrozumienia, że gra idzie o najwyższą stawkę. I prosiła, bym się zastanowił, czy warto ją kontynuować. Ale jednocześnie błagała, bym na siebie uważał. Jakby *a priori* przyjęła, że nie odpuszczę.

W pociągu do Poznania miałem sporo czasu na przemyślenia. I lekturę książek otrzymanych od Zuberek. Na zewnątrz szybko zapadał zmrok. Monotonny stukot żelaznych kół i szum wiatru za oknem sprzyjały drzemce, ale przed odjazdem z Centralnego zdążyłem wypić diabelnie mocne espresso i zastrzyk kofeiny trzymał mnie teraz przy życiu. A raczej przy intensywnym śledztwie.

Młodszy ode mnie współpasażerowie od początku podróży tkwili z nosami w ekranach telefonów i tylko co jakiś czas rzucali zdziwione spojrzenia na stosik książek, który położyłem na stoliczku przy oknie. Pewnie brali mnie za dziwaka, który w dobie wszechobecnego wi-fi korzysta jeszcze z tak archaicznych nośników informacji. Nie dbałem jednak o to. Najważniejsze było dla mnie utwierdzenie się w przekonaniu, że podążam dobrą drogą. I że wizyta u Zuberek miała sens.

Pierwsza książka, najgrubsza, traktowała o zmianach w polityce PRL wobec Kościoła i szybko okazała się nieprzydatna. Opisywała bowiem głównie urzędowe relacje państwa z Episkopatem, nie wgłębiając się w takie szczegóły, jak rozpracowywanie duchowieństwa przez funkcjonariuszy SB. Odłożyłem ją więc na bok rozczarowany. Druga książka pokazywała, jak ekipa Jaruzelskiego usiłowała pozyskać ówczesnego świeżo wybranego prymasa Polski Józefa Glempa dla swoich politycznych celów. Co jej się zresztą nie udało. Tu również nie znalazłem treści, których szukałem. Trzecia pozycja relacjonowała wpływ agentury SB na społeczeństwo w latach osiemdziesiątych. I stopień rozpoznania sytuacji społecznej przez funkcjonariuszy bezpieki. To była niezwykle ciekawa lektura, ale niestety nie na temat.

Gdzieś za Koninem zabrałem się w końcu za ostatnią z pożyczonych książek. Była zdecydowanie najskromniejsza, nie liczyła nawet dwustu stron. Wytarta błękitna okładka mogła świadczyć o tym, że cieszyła się wcześniej sporym powodzeniem. Autorem książki był Andrzej Grajewski. Kojarzyłem go jako politologa i członka Kolegium IPN. Rzecz zatytułowana *Kompleks Judasza* dotyczyła przypadków werbowania osób duchownych przez służby bezpieczeństwa krajów socjalistycznych.



W pierwszym odruchu chciałem zakończyć lekturę na tym spostrzeżeniu, ale czy to niewielkie rozmiary książki, czy też to, że od Poznania dzieliła mnie niespełna godzina jazdy zdecydowały, że nie porzuciłem myśli o czytaniu. W końcu, co miałem lepszego do roboty?

Przekartkowałem rozdziały poświęcone innym krajom „demokracji ludowej” i skupiłem się na Polsce. Kwadrans później poczułem się, jakbym wypił kolejne espresso.

Przy końcu książki natrafiłem na krótką historię departamentu „D”! Początkowo była to niewielka wzmianka, ale autor nie poprzestał na zasygnalizowaniu problemu. Z niedowierzaniem, ale też z ekscytacją czytałem o tym, jak to w listopadzie sześćdziesiątego trzeciego roku powstała samodzielna grupa „D”, której celem były „działania dezintegracyjne” wobec katolickiego duchowieństwa.

Złapałem się z wrażenia za głowę. A niech to! Data z notatki Kucharskiego! Rok 1963! Natychmiast wróciłem do lektury.

*...W czerwcu 1977 roku przekształcono samodzielną grupę „D” w wydział VI departamentu IV, a wkrótce stworzono jego odpowiedniki, czyli sekcje „D” w niektórych województwach...*

Kucharski musiał czytać tę książkę! Musiał! Byłem tego pewny w dwustu, trzystu, a nawet w tysiącu procentach!

Kucharski musiał mieć przed oczyma ten sam tekst, bo przecież w jego zapiskach pojawił się zwrot *1963 sam. gr., potem VI*. A fragment, który właśnie przeczytałem, doskonale go deszyfrował. Kucharski zanotował ni mniej, ni więcej, że stworzono samodzielną grupę „D”, a potem – zgodnie z informacjami z książki Grajewskiego – przekształcono ją w wydział VI departamentu IV, zajmującego się inwigilacją Kościoła w Polsce! Rzymska szóstka w notce nie oznaczała więc czerwca, tylko nową nazwę przestępczej komórki w łonie SB!

Zabrakło mi tchu w piersi. Musiałem wstać i wyjść na korytarz. Tu było chłodniej i spokojniej. Oparłem się o ścianę wagonu i ponownie otworzyłem książkę.

Czułem się, jakbym odkrył istnienie tajnego spisku. W istocie czytałem o wyjątkowo paskudnych sprawach. Dotarłem do fragmentu opisującego, jak to w listopadzie 1984 roku, już po zabójstwie księdza Popiełuszki, zreorganizowano MSW i wydział VI otrzymał nową numerację – IV. I że zrezygnowano wtedy z planowanych wcześniej operacji, zwłaszcza tych, które wiązały się ze stosowaniem przemocy „wobec osób będących przedmiotem zainteresowania funkcjonariuszy tego pionu”.

Jeśli wychodząc na korytarz dusiłem w sobie ostatnie wątpliwości, to teraz moja pewność, że idę nareszcie dobrym tropem, była już niewzruszona. Kucharski musiał to kiedyś przeczytać! Przecież wynotował: *zmiana 1984 listop., doraźne gr.*

w woj.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że chodziło mu o zmianę w organizacji departamentu „D” w listopadzie 1984 roku, opisaną przez historyka.

A co znaczyło *doraźne gr. w woj.*? Odpowiedź znalazłem na następnej stronie.

*Grupy „D” prowadziły również działania przeciwko opozycji demokratycznej. W ramach tej działalności w różnych komendach wojewódzkich powołane były także doraźne grupy specjalne, prowadzące działalność neutralizującą, dezinformującą oraz dezorganizującą, skierowaną przeciwko duchowieństwu oraz opozycji politycznej...*

„Doraźne grupy”! Sens notatki Kucharskiego stał się w tej chwili zupełnie jasny: fragment *doraźne gr. w woj.* nie dotyczył żadnych grup w wojsku – tylko doraźnie powoływanych specjalnych grup „D” w komendach wojewódzkich!

Znaczyło to, że Jan Kucharski – Panie, świeć nad jego duszą – studiował strukturę najbardziej tajnej i jednocześnie najbardziej morderczej organizacji, działającej w ramach Służby Bezpieczeństwa. Że prowadził własne śledztwo w sprawie śmierci ojca Zenobiusza. Że krok po kroku, metodycznie, poznawał środowisko morderców dominikanina. I że deptał mordercom sprzed lat po piętach.

Musiał być naprawdę blisko, skoro zapłacił za to najwyższą cenę.

•••

Chłodna szyba na korytarzu dobrze studziła emocje. Moje rozpalone czoło znalazło szybko ukojenie. Oparty o ścianę przedziału, chłonałem jak gąbka wiadomości o przestępczych działaniach siatki „D”.

Nie miałem wcześniej pojęcia, jak daleko byli w stanie posunąć się funkcjonariusze SB, byle tylko „zdezintegrować” Kościół. Zadaniem pracowników „D” były między innymi prowokacje wobec ruchu pielgrzymkowego i oazowego. Tajni współpracownicy SB kradli mienie uczestników pielgrzymek, podkładali im materiały pornograficzne, zatruwali pojemniki z napojami, zanieczyszczali śpiwory. Dzięki informacjom od swoich agentów w Kościele produkowali ulotki podsycające konflikty wśród duchowieństwa. A także anonimy i rzekome pamiętniki, które – podrzucone w odpowiednie miejsca – miały jeden tylko cel: podkopywać i niszczyć autorytety wielu wybitnych księży i biskupów. Nie gardzili przemocą: zdarzały się pobicia duchownych, uprowadzenia, napady na mieszkania, podpalenia. A nierzadko niszczenie mienia – na przykład samochodów.

Z czasem działania grupy „D” przybrały brutalniejszy charakter. Mnożyły się napady dokonywane przez „nieznanych sprawców” na księży szczególnie aktywnie wspierających opozycję, zwłaszcza w stanie wojennym. Kulminacją nakręcającej się spirali przemocy było porwanie księdza Popiełuszki, przeprowadzone przez pracowników grupy „D”.

Aż do momentu procesu morderców księdza Jerzego esbecy z sekcji „Dezintegracja” czuli się całkowicie bezkarni. Inspirację czerpali ze wschodu. W książce Grajewskiego znalazłem informację, że grupy „D” ściśle współpracowały z KGB, a doradcy z bratniej bezpieki nadzorowali ich pracę. Oba resorty podpisały nawet porozumienie w sprawie „zwalczania dywersyjnej działalności Kościoła rzymskokatolickiego oraz rozpracowywania Watykanu”. Czyżby miały też swój udział w przygotowaniu zamachu na Jana Pawła II?

Z książki wyłaniał się opis grupy przestępczej, działającej z przyzwoleniem władz MSW i całkowicie zakonspirowanej. Grupy, która na rozkaz z góry „dezintegrowała” – a więc likwidowała – niewygodnych dla władzy duchownych. I która nie pozostawiła po sobie żadnych dokumentów.

Czy jej ofiarą padł też ojciec Zenobiusz? Świadcstwo umierającej Klaudii Zuberek nie pozostawiało żadnych złudzeń. Byłem ciekaw, czy choć jeden z esbeków z departamentu „D” poniósł odpowiedzialność za swoje czyny po zmianach politycznych 1989 roku.

*Jesienią 1989 roku w szeregach SB zapanowała taka panika, że zdecydowano się zniszczyć wszystkie akta. Zwłaszcza że tempo zmian było ogromne – przeczytałem. – Niestety nie udało się wykorzystać nowej sytuacji do pełnego ujawnienia prawdy o przestępczej działalności komunistycznych służb specjalnych w PRL, a zwłaszcza metodach ich walki z Kościołem. Nie wiadomo także, ilu spośród 26 tysięcy zatrudnionych w 1989 roku funkcjonariuszy SB zajmowało się inwigilowaniem Kościoła oraz prowadzeniem agentury w środowisku duchownych i ludzi świeckich. Nie rozliczono także zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy SB. Warto przypomnieć, że tylko w latach 80. stwierdzono 7 zabójstw duchownych związanych z opozycją. Ofiarami terroru organów bezpieczeństwa byli: ks. Jerzy Popiełuszko, ks. Stefan Niedzielak, ks. Sylwester Zych, ks. Stanisław Suchowolec, ks. Stanisław Palimąka, ks. Antoni Kij i ks. Stanisław Kowalczyk. Do dzisiaj nie są znane wszystkie okoliczności ich śmierci.*

Czytając ten passus, przypominałem sobie pewien artykuł, który wpadł przed laty w moje ręce. Wynikało z niego, że niektórzy z tych kapłanów zginęli w podejrzanych okolicznościach, gdy komuna sypała się już na potęgę. Zimą lub wiosną 1989 roku, gdy wiadomo już było, że obrady Okrągłego Stołu doprowadzą do zmian w kraju. Byłem pewien, że również w tych przypadkach maczali palce specjaliści od „dezintegracji”.

Gdy pociąg wtaczał się na peron poznańskiego dworca, postanowiłem, że sprawdzę, w jakich okolicznościach straciły życie ostatnie ofiary PRL.

...

W niedzielę obudziłem się późno. Pewnie dlatego, że poprzedniego dnia do północy wczytywałem się w informacje o ostatnich podejrzanych zgonach księży w

1989 roku. Wszystko wskazywało na to, że byli ofiarami zabójców z departamentu „D”. Choć oczywiście nikt nikogo nie złapał za rękę. Ani nie znalazł konkretnych dowodów.

Nie dziwiło mnie to – tym bardziej, że za tymi zgonami stali prawdopodobnie wyszkoleni przez Rosjan, profesjonalni i zimnokrwisci zabójcy. I że ta grupa nie pozostawiła po sobie żadnych dokumentów. A nawet jeśli takowe były, spłonęły w tajnych akcjach niszczenia esbeckich akt, zanim solidarnościowcy w rządzie Mazowieckiego zorientowali się, co się dzieje.

Pierwszą z tych ostatnich ofiar grupy „D” był zapewne ksiądz Stefan Niedzielak, kapelan Armii Krajowej i współzałożyciel Rodzin Katyńskich. W latach osiemdziesiątych otrzymywał listy i telefony z pogroźkami. „Nieznani sprawcy” próbowali go pobić, a nawet porwać. Zginął w nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego stycznia 1989 roku na plebanii na Powązkach. Choć ówczesne MSW wykluczało morderstwo, sugerując skutkujący śmiercią upadek z fotela, kapłan miał zastanawiające obrażenia okolicy twarzy i głowy. Przede wszystkim jednak stwierdzono u niego złamanie kręgosłupa szyjnego. Dziwne, zważywszy na rzekomy upadek z fotela. Śledztwo umorzono, ale opozycyjny obrońca Jan Olszewski sugerował później, że za śmiercią księdza mogło stać nawet KGB.

Co ciekawe, z akt sprawy zabójstwa księdza Niedzielaka w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęły materiały zabezpieczone podczas sekcji zwłok i ślady znalezione przez milicję na miejscu zbrodni. Komuś musiało zależeć, by zniszczyć wszelkie dowody.

Drugim budzącym wątpliwości przypadkiem był zgon księdza Stanisława Suchowolca, kapelana białostockiej Solidarności. Ksiądz Suchowolec opiekował się rodziną księdza Popiełuszki po jego śmierci i dostawał telefoniczne pogroźki, że „umrze jak Popiełuszko”. Tak zwani „nieznani sprawcy” uszkodzili mu kilkakrotnie samochód. Zginął w nocy trzydziestego stycznia 1989 roku w swoim mieszkaniu na plebanii. Miał się zatruć tlenkiem węgla, wydostającym się z niesprawnego pieca. Od czadu miał również zginąć jego pies. Śledztwo szybko umorzono, ale wznowiono je w po trzech latach. Na jaw wyszły nowe okoliczności: świadek widział w kluczową noc trzy nieznane osoby na plebanii. Biegli sądowi ustalili, że w drewnianej podłodze mieszkania księdza ktoś wybił dziurę, przez którą z piwnicy wlano do środka łatwopalną substancję mogącą spowodować pożar. A biegli weterynarze ustalili, że na zdjęciach z miejsca zbrodni z pyska psa ciekła krew. Nie został on więc zatruty czadem, lecz zabity w inny sposób. W 1992 roku prokuratura z Białegostoku orzekła, że ksiądz Suchowolec zginął w wyniku pożaru wywołanego podpaleniem. Ktoś go profesjonalnie spalił. W 2006 roku prokuratorzy IPN orzekli, że „ponad wszelką wątpliwość” ksiądz został zamordowany przez SB. Sprawców jednak nie wykryto.

Trzeci przypadek podejrzanej śmierci z samej końcówki PRL dotyczył księdza Sylwestra Zycha, związanego z Konfederacją Polski Niepodległej. Kapłan odsiedział w latach osiemdziesiątych wyrok za przechowywanie broni należącej do sierżanta MO, śmiertelnie postrzelonego przez dwóch działaczy Sił Zbrojnych Polski Podziemnej. Już wtedy grożono mu śmiercią, gdy wyjdzie na wolność. Po opuszczeniu więzienia został kilka razy pobity przez „nieznanych sprawców”, a w marcu 1989 roku napadnięty przez trzech mężczyzn, którzy usiłowali wlać mu do gardła wódkę. Spłoszył ich nadjeżdżający samochód. Jedenastego lipca w nocy jego zwłoki znaleziono przy dworcu PKS w Krynicy Morskiej. Były ubrane inaczej niż kapłan przed zaginięciem. W trakcie autopsji odkryto z tyłu głowy pręgi, które być może powstały w wyniku uderzeń pałką. Według propagandy komunistycznej ksiądz miał spożyć wcześniej w klubie Riviera litr alkoholu i umrzeć w wyniku upojenia po opuszczeniu lokalu. Mężczyzny, który podobno towarzyszył tam kapłanowi, nigdy nie przesłuchano.

Sprawy tych trzech zgonów zrobiły się jednak na tyle głośne, że zajęła się nimi Senacka Komisja Praw Człowieka i Praworządności. Senatorzy ustalili, że funkcjonariusze IV departamentu MSW stosowali „bezprawne, a nawet przestępcze działania przeciwko duchownym”. Pojawiło się podejrzenie, że SB miała coś wspólnego ze śmiercią księdza Zycha.

Wyglądało to tak, jakby w ostatniej chwili mordercy z departamentu „D” regulowali zaległe rachunki z najbardziej znienawidzonymi kapłanami. Kilku innych zgładzili prawdopodobnie wcześniej. Ksiądz Antoni Kij, chory na cukrzycę sześćdziesięcioośmioletni kapłan, został w 1984 roku uprowadzony z Gdyni – znowu przez „nieznanych sprawców” – i po sześciu dniach porzucony w tamtejszym parku ze śladami bicia. Miał połamane żebra, krwiaki i krwotok wewnętrzny do płuc. Od momentu porwania nie otrzymywał insuliny. Zmarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

Zastanawiające były także okoliczności śmierci księdza Stanisława Palimąki w 1985 roku. Siostra kapłana znalazła go martwego przed garażem. Według ustaleń milicji miał zginąć od uderzenia małym fiatem, który – niezabezpieczony – stoczył się na niego z dwunastometrowego podjazdu, powodując śmierć. Śledztwo umorzono już po miesiącu, choć u księdza stwierdzono złamanie podstawy czaszki, stłuczenie mózgu, krwiak podpajęczynkowy, rany tłuczone twarzy po prawej stronie i złamanie prawego uda. Obrażenia były więc zaskakująco rozległe, jak na dzieło powoli staczającego się z podjazdu fiacika. Mimo to sprawę uznano za nieszczęśliwy wypadek...

Czytając te wszystkie historie, nabrałem przekonania, że Jan Kucharski musiał wiedzieć, czym ryzykuje. Na pewno przeczuwał, z kim się mierzy. Jeśli został kolejną ofiarą speców od zadawania śmierci spod znaku „D”, musiał naprawdę zagrozić tym ludziom. Musiał zdobyć potężną wiedzę, która stała się

powodem jego śmierci.

Nagle uświadomiłem sobie przerażającą ironię losu. W pamięci uruchomiło mi się – niczym nagranie z mp3 – wrażenie muzycznego okrucu, który usłyszałem, mijając wtedy na leśnej ścieżce Jana Kucharskiego. Człowieka, który za chwilę miał być martwy. *Są tacy, to nie żart, dla których jesteś wart mniej niż zero!...*

Boże, jakże prawdziwe okazały się te słowa! Jak brutalnie pasowały do sytuacji i człowieka, który porwał się na wyjaśnienie tajemnicy śmierci ojca Zenobiusza!

Z każdą kolejną godziną poświęconą departamentowi „D” i jego prawdopodobnym ofiarom czułem, że sytuacja zaczyna mnie przerastać. Euforia związana z odkryciem tajemnicy dziwacznej notatki Kucharskiego ustępowała miejsca zwątpieniu. Czy moje nieudolne śledztwo ma jeszcze jakikolwiek sens? Czy ma jeszcze widoki na coś więcej? Czy może wciąga w strefę cienia, która zagrozi również mnie?

Uświadomiłem sobie, że zabójcy Kucharskiego mogą mieszkać tu, w Poznaniu. I to całkiem niedaleko. Musieli przecież świetnie znać teren, na którym dokonali po latach kolejnej morderczej akcji. Musieli też poznać rozkład dnia Kucharskiego, jego stałe punkty i zwyczaje.

A jeśli zdają sobie sprawę, że ktoś nadal idzie ich śladem? Przecież... po śmierci Kucharskiego ktoś włamał się do redakcji „Wieści”! A jeśli to byli jego zabójcy? Czyżby chodziło o notatki Kucharskiego? A jeżeli...

Ogarnął mnie ponownie strach. Fizyczny i odczuwalny. Objawił się bólem brzucha i przyspieszonym oddechem.

Cholera! Może to jest ten moment, w którym powinienem pójść na policję?

On był jak szeryf

Październikowe popołudnie było przygnębiające. Choć dochodziła siedemnasta, panowały ciemności prawie jak w nocy. Nisko wiszące grona chmur, siąpiący deszcz i wilgoć wyzierająca z każdego leśnego zakątka powodowały, że bieg trudno było nazwać przyjemnością. Wiatr przewiewał moje syntetyczne ciuchy z Decathlonu, zniechęcając do uprawiania sportu. Mimo to zmusiłem się do wysiłku. Zauważyłem, że kiedy sobie pobiegam, lepiej mi się myśli. Do głowy przychodzą zdecydowanie lepsze koncepcje niż podczas gapienia się w telewizor.

Potrzebowałem dobrych pomysłów – i spokoju. Wiedziałem, że sporo już ustaliłem. I że ta historia zrobiła się niebezpieczna. Komu mogłem zaufać? Z kim się podzielić moimi wątpliwościami i moją wiedzą? Choć od kilku dni biłem się z myślami, czy odwiedzić znowu policję, nie potrafiłem się zdecydować. Wspomnienie poprzednich doświadczeń ze stróżami prawa piekło mnie do żywego. Mam znowu przez to przechodzić? A jeśli kolejny raz mnie zignorują, potraktują jak potencjalnego przestępcę? Przecież ciągle miałem nieformalny status podejrzanego...

Cieężko dysząc z wysiłku, biegłem leśną dróżką, przyglądając się runu rozrytemu przez dziki na potężnej powierzchni wzdłuż traktu. Zapewne przychodzą tu nocą od strony Swarzędza, szukając żołądzi, pomyślałem. Głębokość wyrytych przez ich pyski dziur dawała wyobrażenie o rosnącym głodzie zwierząt. Zima była coraz bliżej, natura szykowała się do niej intensywnie.

Iść na policję czy jeszcze nie?

W tyle głowy tliła się myśl, że sprawy zaszły już za daleko. Że dalsze grzebanie przy tej sprawie grozi mi bezpośrednim narażeniem się na niebezpieczeństwo. Tym bardziej, że biegałem po tym samym lesie, w którym uprawiał sport Jan Kucharski... Gdy sobie to uświadomiłem, poczułem się nieswojo. Odruchowo zacząłem się rozglądać wokół, wypatrując dwóch męskich sylwetek... Na szczęście las był całkowicie pusty i głuchy. Z daleka, od strony starego budynku browaru, dochodził jedynie pomruk silników samochodowych.

Iść na policję? A jeśli tak, to co im powiedzieć? A może...

Nagle coś sobie przypomniałem. To było jak błysk flesza. Przed oczyma pojawił mi się proboszcz pobliskiej parafii, którego zaczepiłem po pogrzebie Kucharskiego. Co on mi wtedy powiedział? Zaraz, zaraz... Zapytał, czy nie jestem przypadkiem z milicji! „Chyba policji” – poprawiłem go, sądząc, że to tylko lapsus.

A jeśli to nie była pomyłka, tylko świadoma prowokacja? Może chciał mi coś w ten sposób powiedzieć? Albo podświadomie mu się coś wymysknęło? Może

Kucharski mu się z czegoś zwierzył? A może... wiedział więcej, niż przypuszczałem? Muszę to sprawdzić, zanim podejmę ostateczną decyzję, postanowiłem.

Po raz kolejny okazało się, że bieganie – choć bywa wyczerpujące – podsuwa dobre pomysły.

•••

Zapamiętałem, że kapłan prowadzący ceremonię pogrzebową spieszył się do parafii Świętego Rocha. Prawdopodobnie tam pracował. Kiedy więc w piątek z okazji Dnia Nauczyciela dyrektor szkoły ofiarował nam – belfrom – wolny dzień, doskonale wiedziałem, jak go wykorzystać.

Wyprawa do parafii okazała się strzałem w dziesiątkę. Zrozumiałem to, kiedy po kilku natarczywych dzwonek w drzwiach plebanii ukazał się ten sam siwiejący ksiądz pod pięćdziesiątkę. Z tym samym sceptycznym wyrazem twarzy. Co ciekawe, on też mnie rozpoznał.

– A, to pan... – westchnął w sposób, który uniemożliwiał ocenę, czy mój widok go cieszy, czy wprost przeciwnie. – Co pana sprowadza w moje skromne progi?

– To samo, co podczas pogrzebu – odpowiedziałem dość bezczelnie. – Czy moglibyśmy porozmawiać?

Kapłan spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Pan na pewno nie jest z policji? – zapytał.

– Na pewno. Z milicji też nie.

Srebrna brew księdza drgnęła, a jego twarz złagodniała. Odczytał mój komunikat właściwie.

– No dobrze. Proszę za mną – westchnął znowu. Najwyraźniej miał taki styl bycia.

Poprowadził mnie korytarzem do pokoju ze starymi meblami i wielkim krucyfiksem, wiszącym na ścianie *vis-à-vis* okna. Wskazał na obite skórą krzesło przy wiekowym biurku, a sam zajął miejsce na takim samym siedzisku po drugiej stronie, pod krzyżem. Zapewne w tym miejscu przyjmował parafian w godzinach pracy biura parafialnego.

– Słucham pana – zagaił.

– Czy Jan Kucharski szukał zabójców ojca Zenobiusza? – walnąłem prosto z mostu.

Proboszcz nabrał powietrza w usta, wydał policzki, a potem wypuścił powietrze z głośnym sykiem. Nie spodziewał się tak bezpośredniego pytania. Ale coś na ten temat wiedział. Zdradzały go nerwowo mrugające powieki. Choć starał się opanować ten tik, nie potrafił.

– A dlaczego pan o to pyta?



- Proszę odpowiedzieć, to dla mnie bardzo ważne.
- Kiedy... Ja nie mogę panu nic powiedzieć.
- Dlaczego?
- Bo mnie, proszę pana, obowiązuje tajemnica spowiedzi.

...

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, jak przedstawiciele dwóch skrajnie zwaśnionych stronnictw. Umęczony Chrystus przyglądał się z góry naszemu milczeniu z dezaprobatą.

– Proszę księdza, ja nie proszę tylko w swoim imieniu – odezwałem się w końcu zdeterminowany. – Proszę także w imieniu pani Zuberek. Klaudii Zuberek. Mówi księdzu coś to nazwisko?

Kapłan podniósł gwałtownie wzrok. W jego oczach odmalowało się zaskoczenie.

- Skąd pan to wie?
- Co?
- Że oni... Że Jan i Klaudia byli małżeństwem?

Z wrażenia aż mnie przytknęło, ale nie dałem tego po dobie poznać. Kucharski i Zuberek byli sobie aż tak bliscy! Co zatem wydarzyło się później? Rozeszli się czy co?

– Wiem sporo. – Zablefowałem. – Chodzę przecież wokół tej sprawy od wiosny.

- No tak. Pamiętam... – Proboszcz się zachnął. – Ale... po co?

Już po raz bodaj dziesiąty musiałem opowiedzieć, dlaczego moje szkolne życie zeszło jakiś czas temu na drugi plan. Słuchał mnie uważnie, z przejęciem. Kilka razy podrapał się wyraźnie zakłopotany po głowie. Chyba zaczynał mi wierzyć, a przynajmniej dopuszczać możliwość, że kierują mną dobre intencje. Świadczył o tym delikatny uśmiech, który zabłąkał się niespodziewanie na jego dotychczas nerwowo zaciśniętych ustach. Gdy w mojej opowieści doszedłem do wizyty u Zuberek i podejrzeń dotyczących esbeckich grup „D”, dwa razy chrząknął znacząco. Musiał coś na ten temat wiedzieć! Te chrząknięcia go zdradziły!

– No cóż... – sapnął, kiedy skończyłem. – Wydaje mi się... Wydaje mi się, że można jednak panu zaufać.

To „jednak” w jego ustach trochę mnie zabolęło, ale powstrzymałem się od komentarza. Ważniejsze było to, że zaczynał mówić. Choć ciągle był ostrożny.

– Dziękuję. – Dałem mu do zrozumienia, że doceniam ten osobliwy komplement. – Mam nadzieję, że mimo ograniczeń, jakie wynikają z posługi księdza, uda się nam cokolwiek ustalić. Mnie tak naprawdę chodzi o jedno. Czy potwierdzi mi ksiądz, że Jan Kucharski szukał byłych esbeków z departamentu „D”? I że to mogło być bezpośrednią przyczyną jego nagłej śmierci?

Widziałem, że walczy z sobą. Że zastanawia się, na ile może się otworzyć. W głowie heroicznie poszukiwał słów, które nie naruszałyby jego zobowiązań względem Kucharskiego; a zwłaszcza wyższej instancji, której służył.

– Mam duży problem z tym tematem – wyznał w końcu, jakby mówił o jakimś akademickim zagadnieniu. – Nie wynika on tylko z tajemnicy spowiedzi, z tego, co i jak mogę ewentualnie panu... naświetlić. Mam fundamentalny dylemat, czy mogę podzielić się z panem choć częścią mojej wiedzy, mając świadomość, że narażam pana na niebezpieczeństwo. Zwłaszcza po tym, jak zakończył swój żywot świętej pamięci Jan.

Rozumiałem jego wątpliwości; w gruncie rzeczy dobrze o nim świadczyły. Mimo to musiałem z niego wydobyć potwierdzenie, że moje podejrzenia mają rację bytu. Że nie uległem jakiejś teorii spiskowej, niejasnej, hipotetycznej koncepcji opartej wyłącznie na poszlakach.

– Może jednak spróbujemy. – Zaproponowałem z nutką perswazji w głosie. – Jestem świadomy, czym mi to grozi. A to, co ksiądz wie, może się okazać decydującym świadectwem w tej sprawie.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Decydującym? – zapytał. – Nie sędzę, proszę pana. Ale dobrze, spróbujemy. Może... Może miłosierny Bóg otoczy nas obu swoją opieką. Będę się o to modlił.

...

W jego słowach nie wyczułem żarliwej wiary w to, co mówi. Ale wziąłem je za dobrą monetę. Kapłan chciał mówić i nie należało wybrzydzać.

Poprawił się na krześle, oparł łokcie na biurku, złożył dłonie jak do modlitwy i wsparł na nich podbródek.

– Jan Kucharski był szlachetnym, dobrym człowiekiem – powiedział. – Sam pan już wie, jak mocno zaangażował się po stronie Solidarności w latach osiemdziesiątych. I że działał aktywnie w duszpasterstwie dominikanów, gdzie zetknął się z ojcem Zenobiuszem. Potwierdzam, że śmierć zakonnika była dla niego wielkim wstrząsem. Już wtedy, w 1983 roku i w latach następnych, próbował ustalić, co się właściwie wydarzyło tam, na szosie pod Aleksandrowem. Tych działań nie zaprzestał po upadku komunizmu. Wiem, że był rozczarowany tym, co się działo w kraju. Brakiem rozliczeń z funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa, którzy nadużywali władzy do działań sprzecznych z prawem. Był rozgoryczony, że państwo nieudolnie albo za słabo ściga winnych podejrzanych zgonów opozycjonistów i osób duchownych w stanie wojennym i później. Dlatego zachował się trochę jak szeryf na Dzikim Zachodzie. Wziął to zadanie na siebie. Przynajmniej w wypadku zagadkowej śmierci ojca Zenobiusza.

Słowa kapłana świetnie korespondowały z relacją Zuberek i ojca Tomasza. To był kolejny mocny argument, że idę właściwą drogą.

- Zwierzał się księdzu z tych spraw? – wtrąciłem pytanie.
- Tak. Nie o wszystkim mogę jednak panu powiedzieć. Bo czasem, żeby zdobyć ważną informację, musiał się uciekać do podstępów albo działań, że tak powiem, nie do końca etycznych...
- Czyli?
- Niech mnie pan nie pyta o szczegóły. Nie powiem.
- Rozumiem. I z tego się księdzu spowiadał...
- Kapłan zbył moją ostatnią uwagę milczeniem.
- Jak blisko dotarł do morderców?
- Proboszcz był zakłopotany, zmarszczył czoło.
- Nie wiem, czy mogę...
- To nie jest chyba rzecz objęta tajemnicą spowiedzi – zaprotestowałem.
- Nie, ale... – Zawahał się. – Nie o wszystkim mi mówił. Znaliśmy się dość dobrze, jeszcze z czasów studiów. Pan wie, że on ich nie ukończył, bo mu nie pozwolili? Okej, widzę, że jest pan przygotowany. No więc, owszem, byliśmy bliskimi kolegami, ale nie zwierzał mi się z wszystkiego.
- Coś jednak musi ksiądz wiedzieć... Nie wierzę, że nie.
- Kapłan westchnął chyba dziesiąty raz.
- Wiem, że był bliski ustalenia ich nazwisk. I z grubsza wiedział, gdzie ich szukać...
- Serce walnęło mi w piersiach jak szalony młot. W głowie zaświtało mi nagle straszne podejrzenie. Musiałem je wypowiedzieć:
- Czy dlatego... Czy dlatego przeniósł się do matki do Zielińca?

...

- Proboszcz spojrzał na mnie jak na obłąkańca.
- A wie pan, że taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy... Ale nie, nie sądzę. Nic mi o tym nie mówił, naprawdę! Myślę, że martwił go stan zdrowia matki. O tak, o tym opowiadał najczęściej. Pan wie, ona chorowała i...
  - Skinąłem głową twierdząco na znak, że znam tę historię. Ale w głowie cały czas tliło się to niejasne przeczucie, że przeprowadzka Kucharskiego do matki mogła mieć też inny powód. Zwłaszcza że zginął niedaleko miejsca zamieszkania. Czyżby ci, na których polował, zorientowali się – i upolowali go?
  - Powiedział księdzu kiedykolwiek, gdzie ich szukać?
  - Nie. Raz napomknął tylko, że już coś wie.
  - Co?
  - Nie wiem. Tak właśnie powiedział: „Coś już wiem”. Nie chciał mi zdradzić nic więcej.
  - To skąd ksiądz wie, że chodziło o nazwiska i adresy?
  - Bo go o to wprost zapytałem. A on mi odpowiedział tak, jak mówiłem. I

ani słowa więcej. Może się bał o mnie?

– Pewnie tak. – Przyznałem mu rację. – Czy powiedział coś jeszcze?

– Nie. To był dość skryty człowiek.

Złapałem się na tym, że od kilku minut drżały mi ręce. I to wcale nie z powodu zimna. Wgłębianie się w szczegóły coraz mętniejszej historii kosztowało mnie coraz więcej nerwów. Potrzebowałem jakiejś otuchy, porady.

– Chciałem się księdza poradzić. – Zmieniłem temat.

Zerknął na mnie jakoś inaczej, po ludzku.

– Tak?

– Od dłuższego czasu się zastanawiam, czy nie powinienem iść z tym na policję...

– Przecież już pan był.

– Ale mnie potraktowali jak przygłupa. A nawet jak podejrzanego. Ale nieważne! Sam ksiądz rozumie: jest niemal pewne, że Kucharski zginął, bo szedł śladem komanda zabójców z dawnej SB. Wiem już naprawdę sporo... Gdyby ksiądz też zechciał zeznać to, co mi...

– Spokojnie, przyjacielu. – Po raz pierwszy odezwał się do mnie, używając słowa, które skracało dystans. – Z tym nie ma się co spieszyć.

– Ale...

– Poczekaj, nie szalej. Musisz pamiętać o jednym: w policji pracują różni ludzie.

– Nie rozumiem. – Zaskoczony zamrugałem oczami.

– Policjanci są w różnym wieku: są młodzi, ale są też starzy. A nawet tacy, którzy pamiętają czasy SB, albo – co gorsza – niegdyś w SB pracowali.

– To niemożliwe! – wybuchnąłem. – Przecież milicja i SB przeszły na początku lat dziewięćdziesiątych weryfikację!

Ksiądz spojrzał na mnie z politowaniem, omal nie parsknął śmiechem.

– Wolne żarty! – skomentował. – Sam znam jednego esbeka, który jest dziś oficerem policji. W dzisiejszych służbach pracuje wielu dawnych milicjantów albo ZOMO-wców. Jaką ma pan gwarancję, że pańskie informacje nie wyciekną, gdzie nie trzeba?

„I stanie u drzwi załoga G” – przypomniał mi się tekst ze skeczu Smolenia i Laskowika z ponurych lat osiemdziesiątych.

– Był ksiądz na policji? – zapytałem.

– Nie – rzucił niechętnie.

Chyba rozumiałem dlaczego. Proboszcz mówił całkiem do rzeczy. Nie mogłem wykluczyć, że zabójcy Kucharskiego mają do dziś wejścia w policji. Może świadczy o tym sabotowanie informacji, które zgłosiłem? Przecież każda inna policja dawno już sprawdziłaby wątki, które wskazałem. Tymczasem to ja stałem się głównym podejrzanym. Czy nie było to zastanawiające?

– To co mi ksiądz radzi? – zapytałem rozeźlony.

Może ten proboszcz miał jakąś obsesję, wyniesioną jeszcze z czasów komunizmu i wszędzie widział czyhające na ludzi zło? Może przesadzał z tymi wpływami dawnego systemu dziś, po ćwierćwieczu transformacji?

Wszystko się komplikowało i źle się w tym odnajdywałem. A konkretnie: gubiłem się na potęgę. Coraz bardziej żałowałem, że wpakowałem się w tę całą kabałę. I że muszę szukać sprzymierzeńców wśród ludzi, których znam tak słabo.

– Niech pan się jeszcze wstrzyma. – Proboszcz ściszył głos, jakby nie miał pewności, czy pomieszczenie nie jest na podsłuchu. – Dla pana bezpieczeństwa. W tej sprawie trzeba mieć absolutną pewność, zanim się coś zgłosi. Tylko wtedy policja będzie działać, jak należy.

Łatwo się mówi, pomyślałem. Nie miałem pojęcia, co miałoby być absolutnym dowodem na to, że Kucharskiego sprzątnęli ludzie z komunistycznych służb. Mam podać policji ich nazwiska na tacy? Tylko jak je zdobyć?

– Ładna mi rada! – prychnąłem ze złością. – Tu nie ma co się wstrzymywać. Tu trzeba działać!

Ksiądz podniósł palec wskazujący prawej ręki, jakby chciał tym gestem pokazać, że panuje nad sytuacją.

– Trzeba to sprawdzić na swój sposób. *Incognito*. – Zaproponował. – Nie ma pan swoich wejść w mundurówce? Jakiegoś znajomego w policji? Zaufanego człowieka?

Rady kapłana coraz bardziej mnie przerażały. Choć nie sposób było odmówić im pewnej logiki. Przewrotnej logiki.

– Nie mam... – Wzruszyłem ramionami. – Chociaż...

Nagle zaświtała mi w głowie pewna myśl. Chwyciłem się jej jak deski ratunkowej.

– Moim sąsiadem jest były wojskowy. Emeryt, znaczy się. Ale jeszcze całkiem na chodzie.

– O! – Ksiądz przejął inicjatywę. – Skoro to człowiek w starszym wieku, to na pewno zna te PRL-owskie klimaty w służbach. On może panu pomóc. Ale podstawowe pytanie brzmi: czy można mu zaufać?

Czy można było zaufać Konstantemu Wróblowi, mojemu sąsiadowi zza ściany? Prawdę mówiąc, znałem go słabo. Widywałem go głównie w kolejce w sklepie. Albo gdy rano przykładowie prowadził swojego wnuczka do podstawówki. Sprawiał wrażenie dość surowego, oschłego człowieka, choć niewątpliwie zyskiwał przy bliższym poznaniu. Czy była to wystarczająca wiedza o człowieku, by zaufać mu w takiej sprawie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiedziałem nieprzekonany. – Chyba za mało go znam...

– Niech pan się zastanowi. Może to właśnie jest pomoc, której pan

potrzebuje.

– Dobrze, pomyślę. – Przytaknąłem niechętnie.

Proboszcz pochylił ku mnie siwiejącą głowę i na moment zawiesił głos.

Wiedziałem, co chce mi powiedzieć na koniec. Słyszałem podobną frazę już kilka razy, zawsze z innych ust. W wykonaniu księdza zabrzmiała tak:

– I niech pan pamięta: oni nadal mogą zabić!

Dzięki za zaufanie

– Wczoraj „Wyborcza” napisała, że Zalewska przełoży swoją reformę o rok. Może jest jeszcze jakaś nadzieja, skoro niemal wszyscy fachowcy są przeciw? – Głos Leona Mazurczaka, naszego gimnazjalnego polonisty, wybrzmiał słabo skrywaną nadzieją.

– E tam, „Wyborcza”! – Leon Kalita, nauczyciel biologii, zachnął się. – Gdyby to napisał „Nasz Dziennik” albo chociaż „Rzeka”, to może bym uwierzył. Jakie „Wyborcza” ma dojścia w MEN? Żadne, koledzy... To tylko spekulacje.

– W coś trzeba wierzyć. – Basia Słowik, specjalistka od chemii, się nadała. – Może ktoś w rządzie jednak przejrzy na oczy. Może nawet sam prezes... Trzeba tylko protestować. Jak najwięcej i jak najgłośniej.

Dyskusje w pokoju nauczycielskim naszego gimnazjum zawsze kończyły się tym samym: reformą oświaty, wiszącą nad nami jak miecz Damoklesa. Gdy koleżanki i koledzy z grona pedagogicznego zastanawiali się dzień w dzień, czy zlikwidują ich miejsce pracy i czy na pewno znajdą zatrudnienie w podstawówkach, ja byłem myślami daleko od losu tysiąca trzystu polskich gimnazjów: zastanawiałem się nad dopuszczeniem do tajemnicy Konstantego Wróbla.

Rano zobaczyłem go znowu, jak prowadził za rękę swojego wnuczka do pobliskiej szkoły podstawowej. Nie wyglądał na typowego dziadka – nie miał jeszcze chyba sześćdziesiątki, trzymał się całkiem, całkiem, mimo przyprószonych siwizną skroni i nieznacznego brzuszka, wystającego spod nieodłącznej kamizelki w kolorze moro. Czy można mu było zaufać? Czy nie wygada się gdzieś o tym, o czym zamierzałem z nim porozmawiać? Wojskowi działają na rozkaz, potrafią więc chyba dochować tajemnicy – zastanawiałem się wielokrotnie. Znając mentalność ludzi ze służb mundurowych, zwykle dość chropawych w obyciu i wkurzająco zasadniczych, mogłem przypuszczać, że dałoby się z nim porozmawiać. Nawet w tak niecodziennej sprawie, jak moje podejrzenia co do okoliczności śmierci Kucharskiego.

Tylko... czy można mu zaufać?

Wracając samochodem do domu, doszedłem do przekonania, że muszę podjąć to ryzyko. Poza proboszczem – i może jeszcze redaktorem Liściakiem – nie miałem na miejscu żadnych sojuszników. Doszedłem do wniosku, że Wróbel – cokolwiek by o nim sądzić – może mieć wiedzę, która okaże się pomocna. A już na pewno – jako człowiek z wieloletnim doświadczeniem w wojsku – wie, jak najlepiej powinienem to rozegrać z policją, żeby nie skończyć za kratami jako

główny podejrzany.

Pokrzepiony tą myślą zaparkowałem przed moją połówką parterowego bliźniaka, zamknąłem auto i podszedłem do furtki Wróbla.

Był wdowcem, mieszkał sam. Kiedy poznałem go rok temu – a trafiłem do niego dzięki ogłoszeniu, jakie zamieścił w prasie – wydał mi się zgorzkniałym, głęboko nieszczęśliwym człowiekiem. Od tamtej pory zdążyłem się przekonać, że zdołał się pozbierać po stracie żony. Pomagał chyba swojej córce – to jej syna odprowadzał do szkoły. Być może pomoc rodzinie córki stała się jego głównym życiowym zadaniem. Nie wiedziałem, jakiego stopnia się dosłużył, ale przypuszczałem, że z oficerskiej emerytury może sobie pozwolić na niezłe życie.

Zaparkowany przed jego furtką najnowszy model toyoty zdawał się potwierdzać moje myśli. I świadczył o tym, że sąsiad zza ściany jest u siebie.

Nacisnąłem na dzwonek. Kilka sekund później zobaczyłem twarz Wróbla w oknie. A zaraz potem usłyszałem metaliczne brzęczenie. Pchnąłem furtkę i wszedłem na posesję. Gdy byłem na schodach, stanął w otwartych drzwiach. Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Dobrze, że pan jest – powiedział, wycierając dłonie w spodnie bojówki. – Musimy pilnie porozmawiać.

•••

Przepuścił mnie do szerokiego holu, który przypominał klimatem dawne pałace myśliwskie. Na ścianach zauważyłem kilka poroży, deski z fajkami dzików, jakąś bliżej nieokreśloną zwierzęcą skórę. Obok drzwi do jasnego salonu wisiała efektowna dubeltówka i zielony kapelusz z piórkiem. Obrazu całości dopełniały leśne pejzaże w ramkach, które zdobiły główny pokój. I specyficzny zapach, połączenie woni tytoniu i schnącego siana. Bez dwóch zdań były wojskowy wyżywał się jako myśliwy. Byłem więcej niż pewien, że rogi jeleni wiszące w korytarzu pochodziły z jego strzeleckiego „dorobku”.

– Ładna kolekcja. – Staralem się być miły, ale on zignorował moją uwagę.

Kazał mi usiąść przy staroświeckim stole z jasnej sosny, sam spoczął na ławie naprzeciwko, zmarszczył brwi i bez zbędnych słów przeszedł do meritum.

– Byli dziś u mnie dwaj funkcjonariusze policji.

Jeszcze wiosną pewnie bym się tym przejął, ale zdołałem już przywyknąć, że policja robi wywiad środowiskowy na mój temat.

– Niech zgadnę: pytali pana o mnie – odpowiedziałem drwiącym tonem.

Nie wywołałem uśmiechu na jego obliczu. Wręcz przeciwnie, usta Wróbla zacisnęły się ze złości.

– Nie rozumiem, co pana tak śmieszy – wycedził przez zęby. – Ci policjanci opowiadali o panu dziwne rzeczy. Bardzo dziwne. Wspomnieli coś o jakimś przestępstwie. Prosilili, żebym miał na pana oko.



Byłem już znużony tą odgrywaną po raz kolejny idiotyczną sytuacją.

– To wszystko bzdury! – warknąłem. – Ktoś mnie wrabia w historię, z którą nie mam nic wspólnego. W zabójstwo, rozumie pan?! To kompletna niedorzeczność! Totalny bezsens! A wszystko tylko dlatego, że zgłosiłem się wiosną na policję, żeby im coś przekazać!

Siedział przede mną z twarzą sceptyka, marszcząc czoło i pocierając dłonią brew. Był zaskoczony moim wybuchem, a jeszcze bardziej wzmianką o mojej obecności na policji. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

– Już pana raz ostrzegałem. Wtedy, gdy pana zgarnęli z ulicy. – Wróbel nie owijał w bawełnę. – Nie podoba mi się, że policja chodzi i wypytuje o pana. Że staje się pan tematem plotek. To mi psuje opinię. Zastanawiam się, czy nie wypowiedzieć panu mieszkania. Muszę przecież dbać o swoją reputację...

– Ale to wszystko są głupoty! Zapewniam pana! – wybuchnąłem po raz drugi. – Policja ma problem z odnalezieniem mordercy człowieka zabitego nożem w naszym lesie i wybiera drogę na skróty! Chyba nie sądzi pan, że chodzę do lasu pobiegać i przy okazji szlachtuję ludzi nożem?!

– To dlaczego pytają o pana? – Wróbel nadal był nieufny.

– Bo nie wiedzą, jak się za to zabrać! Nie mają żadnych tropów!

– A... – Były wojskowy się zawahał. – A skąd pan to wie?

Byłem szczęśliwy, że wreszcie wyszedł z ciasnej puszki, w którą próbowała go wtłoczyć policja. I że w końcu mogę mu wyjaśnić, dlaczego tu jestem.

– Wiem, bo znam prawdę – wypaliłem.

– Jaką prawdę?

– Wiem, kto zabił tego człowieka.

Konstanty Wróbel wybałuszył na mnie swoje błękitne oczy, jakby zobaczył rzadki okaz wariata. A może raczej, jakby usłyszał jakąś wyjątkowo grubą brednię.

– Pan wie?! – Z wrażenia aż zakasłał. – To dlaczego nie pójdzie pan z tym na policję?

– W tym właśnie problem, panie Wróbel. – Uderzyłem w pojednawcze tony.

– Muszę panu opowiedzieć dość długą i zawiłą historię.

•••

Słuchał mnie pilnie, a jego zwykle szara twarz kilkakrotnie zmieniała barwy. Sprawiał wrażenie porażonego moją opowieścią. Pierwszy raz, gdy wspomniałem o tym, jak zostałem potraktowany na policji. A drugi raz – gdy opowiedziałem mu, co mi wiadomo o Janie Kucharskim. I o szczegółach jego prywatnego śledztwa. Gdy doszedłem do kwestii funkcjonariuszy byłej Służby Bezpieczeństwa, Wróbel aż cmoknął z wrażenia i podrapał się po głowie. Dał mi jednak opowiedzieć do końca, nie przerywając mojej narracji żadnym pytaniem. Gdy zamilkłem, podniósł się z ławy i zaczął spacerować w poprzek salonu, intensywnie nad czymś myśląc.

Wreszcie zatrzymał się przy mnie, położył dłoń na moim ramieniu i powiedział:

– To jest wstrząsające.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Wierzę panu. – Dorzucił natychmiast, spoglądając mi prosto w oczy. – Rozumiem, że przyszedł pan do mnie z prośbą o poradę?

– Był pan w wojsku, to pewnie pan wie, jak rozmawiać z ludźmi z mundurówki – powtórzyłem argument usłyszany od proboszcza ze Świętego Rocha. – Czy powinienem iść z tym na policję? To chyba najwyższa pora, nie uważa pan?

Wróbel skinął głową, ale się nie odezwał. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, jakby chciał sprawdzić, czy przed domem nie szwenda się ktoś podejrzany. Zaraz potem obrócił się ku mnie. Na jego twarzy malował się spokój i pewność siebie.

– Policja chyba panu nie ufa – powiedział. – Wszystko wskazuje na to, że jest pan dla nich głównym podejrzanym. Zgadzam się z księdzem, z którym pan niedawno rozmawiał. Uważam, że nie powinien pan iść na policję tak po prostu, z marszu. Tę wizytę trzeba przygotować.

– Przygotować? – Zdziwiłem się. – Przepraszam, ale chyba nie do końca rozumiem, co pan ma na myśli.

Wróbel chwycił za poły swojej wojskowej kamizelki i szarpnął, poprawiając jej położenie na plecach.

– To proste. – Zaczął tłumaczyć z miną pokerzysty. – Mam w policji starego znajomego. Zaufany człowiek, oficer. Robi w wydziale kryminalnym. Uprzedzę go, że sprawa wygląda inaczej, niż myślą na komendzie. Przygotuję ich na pana wizytę. Wie pan, przygotuję grunt. Kiedy się już oswoją z myślą, że to nie pan zabił tego człowieka, wtedy pan pójdzie i złoży zeznanie.

– No... dobrze – jęknąłem nieprzekonany. – Ale... czy to konieczne?

– Musimy mieć absolutną pewność, że będzie pan bezpieczny – Wróbel zbliżył się do mnie i mrugnął porozumiewawczo okiem. – Pan wie, w policji pracują różni ludzie. Lepiej postawić na tych, którym ufamy...

Mimowolnie uśmiechnąłem się do jego argumentacji. Wydawała mi się bez zarzutu. Rzeczywiście, w policji zdecydowanie brakowało mi sojuszników. Jeżeli Wróbel może odmienić ten stan, warto poczekać jeszcze trochę. Właśnie, jak długo??

– Ile to potrwa? – zapytałem.

– Sprawa jest pilna. – Szorstki głos dawnego wojskowego brzmiał teraz jakoś cieplej, bardziej przekonująco. – Chodzi przecież o śmierć człowieka. Wie pan co? Dzisiaj mamy czwartek... Cholera, jutro mam pilny wyjazd na zjazd weteranów wojny w Iraku... W weekend też będzie trudno, bo mam obowiązki rodzinne. Ale w poniedziałek! Obiecuję panu, że w poniedziałek skontaktuję się z

moim kumplem w policji i ustalę, co i jak... Zresztą, wie pan co? Zadzwońię do niego jeszcze dziś wieczorem. Gdy tylko go złapię, to nagram sobie spotkanie z nim na poniedziałek. Tak, tak, a w poniedziałek pod wieczór dam panu znać, co i jak. Może być?

Tempo, w jakim Wróbel rozważał możliwości, a zwłaszcza podejmował decyzje, zrobiło na mnie duże wrażenie. Znać było, że jeszcze całkiem niedawno musiał wydawać znacznie poważniejsze rozkazy. I ten Irak... Nareszcie poczułem, że przyszedłem do właściwego człowieka. Że mogę mu zaufać.

– A ja? Co powinienem teraz robić? – dopytałem.

Wróbel spojrzał na mnie życzliwie.

– Jeśli pan nie musi, niech pan nie wyjeżdża z miasta – poradził. – Lepiej nie kusić licha. Najbezpieczniej jest w domu, ewentualnie przy domu. Proponuję ograniczyć do poniedziałku wszelkie kontakty. Chyba tyle pan wytrzyma bez kina czy dużych zakupów?

Mówił prostym, ale twardym językiem. Rzeczowo, bez zbędnych słów. I choć to, co mówił ścisnęło mnie za gardło i podnosiło mi ciśnienie, to do mnie przemawiało. Wróbel doskonale zdawał sobie sprawę, że to gra o wysoką stawkę. W tym momencie szło przecież już nie tylko o moje, ale także o jego życie. Powierzyłem mu przecież wiedzę, która mogła się okazać śmiertelnie niebezpieczna.

– Tak zrobię. – Zgodziłem się. – Nie muszę jechać do marketu, zrobię zakupy w naszym sklepie.

– Świetnie. I niech pan pamięta: od teraz nikomu ani słowa!

Poczułem się dotknięty tą uwagą, ale nie dałem tego po sobie poznać. Podziękowałem i podniosłem się z krzesła. Dopiero teraz poczułem, że nogawki na moich udach są mokre od potu. Bałem się, choć nie chciałem się do tego przyznać. Ale spokojna, profesjonalna postawa sąsiada dodawała mi otuchy.

– A daleko pan jedzie na ten zjazd? – zagadnąłem go w drzwiach.

– Do Wrocławia – odpowiedział. – Świątujemy dziesięciolecie przybycia kontyngentu do naszej strefy okupacyjnej. Takie tam oficjałki i spotkania z kolegami...

– Rozumiem. Zatem przyjemnego spotkania! – Podałem mu dłoń na pożegnanie.

Uścisnął ją mocno. Spojrzał mi przy tym głęboko w oczy. Jakby chciał wy badać, czy się boję.

– Dzięki za zaufanie – powiedział. – Postaram się pana nie zawieść.

## Dzwonek

Rozmowa z Wróblem podniosła mnie na duchu. Proste, żołnierskie rady i słowa otuchy spowodowały, że jaśniej spojrzałem na swoją sytuację. Od zgłoszenia sprawy na policję i zdjęcia tym samym z pleców potężnego bagażu dzieliły mnie trzy, góra cztery dni. Byłem pewien, że Wróbel przy pomocy zaufanego oficera kryminalnego umożliwi mi wreszcie uczciwą, rzeczową rozmowę ze śledczymi – i pomoc policji w poszukiwaniu prawdziwych zabójców Kucharskiego.

Byłem szczęśliwy i wdzięczny losowi, że miałem za sąsiada tak uporządkowanego i konkretnego człowieka. Konstanty Wróbel bywał czasem szorstki i nieprzyjemny, ale w decydującym momencie okazał się człowiekiem godnym zaufania. W dodatku z kontaktami, których teraz najbardziej potrzebowałem.

Pełen dobrych przeczuć pojechałem w piątek do gimnazjum. Dzień upłynął szybko i stosunkowo przyjemnie. Nawet mimo lekcji z drugą be, która stała się teraz trzecią be i – jak już wspominałem – nie należała do stowarzyszenia orłów. Polska szlachecka zainteresowała ich właściwie tylko w jednym momencie – gdy dobrnęliśmy do frazy: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”. Musiałem opowiedzieć męskiej części audytorium, jakie były ulubione trunki pokolenia, które pociągnęło Rzeczpospolitą na skraj przepaści. Słuchali jak urzeczeni, z szeroko otwartymi ustami.

W drodze powrotnej do domu zrobiłem szybkie zakupy w naszym osiedlowym sklepiku i zastosowałem się do porad Wróbla. Zamknąłem się w domu na trzy spusty i skupiłem na biernym odpoczynku. Obejrzałem zaległy film, nagrany na dysku dekodera, a potem przerzuciłem się na wieczorne wiadomości poznańskiej telewizji.

Oglądałem je, podjadając sałatkę śledziową z plastikowego kubeczka. I omal się nie zakrztusiłem, gdy zobaczyłem na pasku hasło: WYPADEK Z UDZIAŁEM DUCHOWNEGO.

*...Jak poinformował nas rzecznik prasowy poznańskiej drogówki, kierujący pojazdem marki skoda proboszcz parafii Świętego Rocha w Poznaniu zderzył się z niewyjaśnionych przyczyn z ciężarówką na drodze krajowej numer 5 w pobliżu miejscowości Srocko. – Usłyszałem komentarz prowadzącego program. – Ciężko ranny kapłan został odwieziony do szpitala w Mosinie. Jego stan lekarze oceniają jako bardzo poważny, został wprowadzony w stan śpiączki...*

W jednej chwili zdjął mnie strach. Potworny strach. Wiedziałem, czym to pachnie. Już na pierwszy rzut oka wypadek dziwnie przypominał to, co spotkało

ojca Zenobiusza. Ale skąd się dowiedzieli, że proboszcz...

Czyżby ktoś mnie śledził? Czyżbym to ja zaprowadził ich pod jego plebanię?

W jednej chwili zrozumiałem, że zagrożony jest też Wróbel. I być może mnóstwo innych osób, z którymi zetknąłem się w ostatnich tygodniach. Tylko co im powiedzieć? I jak ostrzec mojego sąsiada?

Wskoczyłem w buty i kurtkę i wybiegłem przed dom. Panujące na ulicy ciemności tylko symbolicznie rozświetlały rozstawione sporadycznie ledowe lampy. W oknach mieszkania Wróbla nie paliło się żadne światło. Widocznie jeszcze nie wrócił z Wrocławia ze zjazdu żołnierskiego.

Rozejrzałem się uważnie wokół, ale nie dostrzegłem niczego podejrzanego. Życie osiedla domków jednorodzinnych zdawało się ciche, spokojne, rzec by można – przygasłe. Nie zauważyłem też żywej duszy – nikt nie wyprowadzał psa ani nie wracał z centrum miasta. Z daleka, z serca Poznania, dochodził do mnie jedynie głuchy pomruk silników samochodowych. Korzystając z początku weekendu, najwyraźniej wszyscy rzucili się na zakupy. Zwłaszcza do świeżo otwartego, gigantycznego centrum handlowego u wylotu na Katowice.

Uspokoilem się nieco, spojrzałem na sytuację trochę realniej. Wracając do domu, pomyślałem, że ksiądz ze Świętego Rocha został zapewne ranny w zwyczajnym wypadku drogowym, jakich codziennie zdarzają się w Polsce dziesiątki. Nie mogłem pod żadnym pozorem wpaść w paranoję. Przecież nawet nie wiedziałem, że kapłan wybiera się za miasto. Nie rozmawialiśmy o tym. Skąd zatem zabójcy Kucharskiego mieliby wiedzieć, że dopadną księdza pod Poznaniem? Akurat na tej drodze, w tej konkretnej miejscowości? Nie, to wszystko w ogóle nie trzymało się kupy!

Przekonany, że uległem niepotrzebnej panice, zamknąłem drzwi na klucz i wróciłem do kolacji. Jedząc przed telewizorem, zobaczyłem na pasku TVN 24 krótki komunikat: *Zjazd byłych żołnierzy kontyngentu irackiego we Wrocławiu zakończony. Najwyżsi rangą dowódcy odznaczeni przez ministra obrony narodowej.*

No, pewnie Konstanty Wróbel jest już w drodze do Poznania.

Godzinę później podszedłem do okna. Chciałem się upewnić, czy Wróbel przyjechał w końcu do domu. Chętnie zamieniłbym z nim słowo. Ale przed bramą sąsiada nie zobaczyłem toyoty. W obejściu było głucho jak w lesie.

Może zjazd się przeciągnął? Pewnie spotkanie z kolegami sprzed lat zakończyło się wyjściem w miasto na coś mocniejszego...

Żeby zmienić myśli, zabrałem się za poprawianie kartkówki z epoki Sasów. Nawet się to udało. Skupiony na trzydziestu jeden wypocinach moich uczniów nie spostrzegłem się, kiedy zrobiła się dwudziesta druga z minutami. Znowu podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Sąsiada nadal nie było.

Tuż przed dwudziestą trzecią, gdy zastanawiałem się, czy poczytać jeszcze w

łóżku najnowszą książkę Bykowa, ktoś zadzwonił do mojej furtki.

Nareszcie! – Ucieszyłem się i poderwałem z fotela. Byłem wdzięczny Wróblowi, że sam wpadł na to, by mnie odwiedzić. Przy drzwiach doznałem jednak wielkiego rozczarowania.

Gdy wyjrzałem przez wizjer, przy furtce nie dostrzegłem niskiej, krępej sylwetki byłego wojskowego. Nie zauważyłem nikogo.

•••

Kto to mógł zadzwonić? – zastanawiałem się w sobotę od rana, przygotowując niewyszukane śniadanie złożone z podgrzanych parówek i chleba z masłem i pomidorem. I po co dzwonił? Na furtce nie dostrzegłem z okna żadnych zawieszek. Może zostawił coś w skrzynce na listy? Ale kto to był? Musiał być raczej młody, bo inaczej nie zdążyłby czmychnąć w ciągu kilku sekund z widoku...

Zjadłem śniadanie, wypilem kawę, ubrałem się i wyszedłem z domu. Rozglądając się, podszedłem do furtki i otworzyłem ją. Zajrzałem do skrzynki pocztowej. Była pusta. To pewnie głupie żarty, uznałem niemal natychmiast. Okoliczni gówniarze czują, że Halloween już blisko, i testują cierpliwość sąsiadów. Nie potrafiłem inaczej wytłumaczyć tej sytuacji.

Na ulicy było pustawo, jedynie kilka znanych mi z widzenia osób wracało ze sklepu z pełnymi siatkami. Podszedłem do furtki Wróbla i nacisnąłem dzwonek. Słyszałem, jak rozbrzmiewa dźwięcznie w jego mieszkaniu. Pustym mieszkaniu, rezonującym jak pudło gitary albo skrzypiec.

Konstanty Wróbel nie wrócił ze zjazdu we Wrocławiu. Czyżby stało mu się coś złego? Czyżby i on uległ niespodziewanemu wypadkowi? E, chyba nie! Może po prostu wczoraj wieczorem zabalował i wróci dziś, jak odeśpi?

Pożałowałem, że nie poprosiłem sąsiada o numer jego komórki. Z jednej strony było mi wstyd o to zapytać, ale z drugiej – jak bardzo by się teraz przydał! A tak zdany byłem tylko na domysły, z każdą chwilą coraz gorsze. A jeśli... A jeżeli straciłem jedyne go sojusznika?

Zawróciłem do domu. Nie mogę ulegać panice, zdecydowałem. Choć targały mną wątpliwości, postanowiłem trzymać się konsekwentnie naszych ustaleń z sąsiadem. Skoro sugerował, bym się nie oddalał zbyt od domu, to chyba wiedział, co mówi. Na pewno lada chwila wróci i wtedy poinformuję go o nowych wydarzeniach. Pokrzepiony tą myślą, zamknąłem się we własnym lokum.

Trochę poczytałem, trochę posprzątałem chałupę. Zrobiłem sobie na obiad makaron z sosem pomidorowym. I co jakiś czas zerkałem przez okno w stronę połówki bliźniaka zamieszkanego przez Wróbla. Ciągle jednak przed ogrodzeniem brakowało toyoty. Co mu się stało? Czy i jego spotkało coś złego?

Po południu przypomniałem sobie: w czwartek mówił coś o obowiązkach rodzinnych! Że ma jakieś plany, dlatego weźmie się za moją sprawę od

poniedziałku. Zrobiło mi się lżej na duszy. Niepotrzebnie panikuję – zganilem sam siebie w myślach. Wszystko przebiega dokładnie tak, jak zapowiedział Konstanty Wróbel. Nie było żadnych powodów do obaw. Gdyby tylko nie ten wypadek proboszcza...

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem wsiąść w samochód i pojechać do szpitala w Mosinie. Tylko w czym bym mu pomógł? Skoro przebywał tam w sypialni, jakkolwiek kontakt z nim był w tym momencie niemożliwy. Szybko uznałem, że wyprawa poza Poznań nie ma teraz sensu.

Dzień był pochmurny, więc wieczorem szybko zapadły ciemności. Siedziałem otępiały z nudów przed telewizorem i przeglądałem kanały informacyjne. Najnowsze wieści nie brzmiały najgorzej: zdaje się, że minister edukacji zaczęła się wahać, czy nie odłożyć likwidacji gimnazjów o rok. Chyba ktoś jej wytłumaczył, jak nieprzygotowana jest ta operacja i jakim Armagedonem grozi.

Trzy minuty po ósmej znowu usłyszałem dzwonek. Tym razem nie wstałem gwałtownie. Zgasilem światło i zamiast do drzwi, podszedłem do okna. Zanim przy nim stanąłem, minęło może dziesięć sekund.

W słabym świetle latarni nie dostrzegłem nikogo przed moją furtką. Przed domem Wróbla nadal nie było samochodu.

...

W nocy z soboty na niedzielę spało mi się źle. Wiatr huczał za oknem resztkami liści, uwieszonymi na łysiejących koronach drzew. W dodatku zaczęło padać, a około północy na ulicy niespodziewanie zgasły latarnie. Atmosfera przypominała tani horror klasy B. Niby zdawałem sobie sprawę z groteskowości tej sytuacji, a jednak coś nie pozwalało mi zmrużyć oka na dłużej.

Rano byłem jak z krzyża zdjęty. Wyjrzałem przez okno. Wichura wyszalała się w nocy, przeganiając deszczowe chmury na wschód. Przez ich niedobitki skutecznie przebijało się teraz słońce, nadając światu miłą, miodową barwę. Zapowiadał się wreszcie pogodny dzień. Postanowiłem wybrać się do osiedlowego sklepu po bułki. Przechodząc obok furtki Wróbla, nadusiłem dzwonek. *Pro forma*. I tak nikt mi nie otworzył.

Jedząc śniadanie, myślałem o tym, że szkoda byłoby zmarnować taki piękny dzionek na kieszonienie się w domu. W końcu co mi tutaj groziło? Już trzeci raz z rzędu wyglądałem przez okno, uważnie lustrując okolicę – i z wolna nabierałem przekonania, że chyba przesadzam. Wokół mojego domu nie działo się absolutnie nic podejrzanego. Znane mi z widzenia osoby z najbliższych posesji szły do kościoła albo wracały ze sklepu z pieczywem i ciastem, rozprawiając wesoło o minionym tygodniu. Nawet zwierzęta – psy i koty – wyszły ochoczo na ulicę, wygrzewając z lubością kości na jesiennym słońcu. I tylko ja siedziałem jak ten

średniowieczny potępieniec w wieży, oglądając lęklonie świat zza jej blonek. Cholera, chyba mogę wyjść sobie na ulicę? A może nawet pobiegać?

Listopad zbliżał się nieubłaganie. Kto wie, może była to ostatnia okazja, by potruczać w przyzwoitych warunkach? Dwa dni spędzone w domu niczym w mysiej norze to było stanowczo ponad moje siły. Potrzebowałem choć haustu świeżego powietrza. Nie zastanawiając się długo, wskoczyłem w sportowy strój, przywdziałem lekkie buty biegacza i wyszedłem z domu.

To był dobry wybór, bo aura zdawała się wymarzona. Kałuże po nocnej ulewie mały w oczach. Machnąłem ręką widocznej w oddali znajomej spod dwójki, zrobiłem kilka skłonów rozgrzewki – i ruszyłem w wolnym tempie w stronę lasu.

Wśród drzew było mglisto – wilgoć ze ściółki parowała w szybkim tempie, wypełniając otoczenie subtelną mleczną zasłoną. Choć powietrze zdawało się ciężkie, biegło mi się nieźle – mokra ziemia nieźle amortyzowała uderzenia podeszew. Las był cichy i zachwycający. Aż chciało się w niego zagłębić.



## Arytmia

Kiedy biegniesz jesienią przez las, wiatr niesie za tobą szelest zeschniętych liści. Instynktownie odwracasz się wtedy, by sprawdzić, czy kogoś za tobą nie ma. I uspokajasz się, że to tylko złudzenie.

Potrzebowałem tego biegu. Zrozumiałem to prawie natychmiast, zaraz po wpadnięciu między pozbawione liści krzewy i drzewa. Mój oddech, nawykły już do wysiłku, uspokoił się i wydłużył, dając ulgę znerwicowanemu sercu. Moje myśli stały się jasne i proste, pobiegły razem ze mną ku pozytywnej stronie życia. Wyrwany ze szponów stresu, uwolniony od obsesji zagrożenia, swobodnie zmierzałem ku naturze, która zapraszała, by skorzystać z jej zbawczego piękna. Choć niemal całe złoto, które oferowała, leżało już na ziemi.

Biegłem moją stałą trasą. Z pełną świadomością, że być może to ostatni wysiłek tego roku. Ta myśl mnie uskrzydlała. Po raz pierwszy od dawna nie biegłem siłą przyzwyczajenia, ale mocą radości. Nawet zadyszka, która zwykle łapała mnie po dziesięciu minutach, tym razem jakby zapomniała się ze mną zabrać. A może wreszcie osiągnąłem poziom, na którym nie miała mi się już prawa przydarzyć?

Na dróżce obok młodnika brzołek przypomniałem sobie chwilę, gdy pojawiłem się w tym miejscu pierwszy raz. To była wiosna. Wtedy marzyłem, żeby dociągnąć jeszcze kawałek. Teraz rozkoszowałem się swobodnym biegiem, dumnie prężąc pierś i oddychając profesjonalnie – miarowo i pewnie. Wtedy martwiłem się kryzysem tlenowym, nieodłącznym towarzyszem moich pierwszych biegowych prób. Dziś zastanawiałem się, czy nie wykręcę na koniec sezonu kolejnego rekordu.

Dróżka zakręciła w lewo, ku dolince i stawowi. To był mój ulubiony fragment trasy. Łagodny spadek terenu sprzyjał biegaczowi, dodając mu sił. Tak, to była naprawdę dobra decyzja! Ten bieg wynagradzał mi godziny wyczekiwania i niepewności.

Po prawej błysnęła zielonkawa tafla zalewu. Poczulem charakterystyczną, cierpko-wilgotną woń torfowiska, ciągnącego się wzdłuż ścieżki ku zbiornikowi. Słońce przeblyskiwało przez ostatnie liście, sprawiając wrażenie biegu w lśniących igiełkach. Oddychałem równo, miarowo, swobodnie. Czulem się wolny od złych myśli i skojarzeń.

Obiegłem Staw Browarny i znalazłem się po jego północnej stronie. Teren wznosił się teraz łagodnie, wymagając ode mnie większego wysiłku. Mięśnie łydek, a zwłaszcza ud zaczęły zdradzać objawy napięcia i zmęczenia. Zerknąłem na

zegarek. No tak, nic dziwnego – biegłem już pół godziny w naprawdę dobrym, ambitnym tempie. Szutrowa dróżka stała się nagle jakby twardsza i mniej przyjazna dla moich nóg. Nie byłem młodzieńcem, wiek przypominał o sobie w odpowiednim momencie. Poczulem, jak schodzi ze mnie pierwsza euforia. Kilka minut później walczyłem już z własną słabością.

Spróbuję dociągnąć do trzech kwadransów, postanowiłem. Skoro mam już zakończyć sezon, zrobię to przynajmniej w przyzwoitym stylu. Zawsze te kilka kalorii mniej. Może przez zimę mój piwny brzuch tak bardzo nie odrośnie. W końcu walczyłem z nim od marca...

•••

Zobaczyłem ich, gdy dobiegłem do zakrętu. Stali odwrócenii w moją stronę, jakby czekali na mnie od dłuższego czasu. Obaj w czarnych dresach, obaj z siwiejącymi głowami i w bliżej nieokreślonym wieku. Ich wysportowane sylwetki utrudniały jego rozpoznanie. Wyglądali na ludzi między pięćdziesiątką i sześćdziesiątką, choć ich mięśnie zdawały się zdecydowanie młodsze.

Rozpoznałem ich w okamgnieniu. To byli ci sami mężczyźni, którzy biegli za Kucharskim. Wiadomo, jak to się skończyło.

W ułamku sekundy zrozumiałem, że muszę natychmiast zawrócić. Odruchowo skręciłem w stronę stawu, gwałtownie przyspieszając kroku. Jaki ja byłem głupi!, przemknęło mi przez głowę z szybkością torpedy. Trzeba było posłuchać Wróbla i trzymać się domu!

Za plecami usłyszałem chrzęst żwiru. Rzuciłem za siebie krótkie spojrzenie. I omal nie wpadłem w panikę. Biegli za mną, narzucając wyczynowe tempo. Wyglądali na świeżych i wypoczętych. Jakby przewidzieli, że bieg dopiero przed nimi. Zmusiłem obolałe ciało do podwójnego wysiłku. Było to trudne, bo nagle zaczęło mi brakować tchu. Gdzieś kiedyś czytałem, że w sytuacji zagrożenia organizm pompuje adrenalinę jak szalony, co zwiększa jego wydolność. Moja spadała w zastraszającym tempie, wprost proporcjonalnie do coraz bardziej rwanego, chaotycznego oddechu.

Byli coraz bliżej. Gdy zerwałem się do ucieczki, miałem nad nimi może piętnaście kroków przewagi. Minutę później czułem już ich oddechy na plecach. Dzieliło nas co najwyżej parę kroków. Oni biegli coraz szybciej, ja zmagalem się z oznakami kryzysu.

Oddech! Muszę ustabilizować oddech!, pomyślałem. Choć moje płuca domagały się kolejnych szybkich haustów powietrza, wciągnąłem głęboki, wolny oddech, a potem zmusiłem się do podjęcia tego rytmu. Na początek mnie przytknęło, ale z czasem poczułem, że moje spanikowane serce chwyta właściwy rytm i odzyskuje kontrolę nad własnym organizmem.

To była najwyższa pora, bo ścigający mnie mężczyźni prawie deptali mi po

piętach. Ich oddechy w niczym nie przypominały mojego rżenia. Były płynne, melodyjne – z pewnością ćwiczone latami. W innym wypadku faceci w tym wieku nie mieliby ze mną żadnych szans.

A jednak byli coraz bliżej. I to mimo coraz większych dawek tlenu, docierających do najdalszych zakamarków moich płuc.

– Stój, skurwysynie! – Usłyszałem syk jednego z nich.

Nie oglądając się, docisnąłem pedał gazu. Przyspieszyłem, choć nie aż tak mocno, jakbym sobie tego życzył. Gdyby był to początek biegu, pewnie odskoczyłbym pościgowi na znaczną odległość. Byłem jednak zmęczony i tylko nieznacznie powiększyłem moją przewagę nad nimi.

Chciałem dobiec do tamy spiętrzającej staw i skręcić ku osiedlu. Miałem nadzieję, że ścigający mnie faceci stracą siły i zwiększą dystans, skutecznie chowając się między domkami jednorodziennymi. A przynajmniej stanę się widoczny dla postronnych, co powinno odstraszyć obławę od próby zamachu na moje życie...

Myliłem się. Gdy w oddali zamajaczyła mi metalowa poręcz zwińcządzająca tamę, przed moimi oczami pojawiła się trzecia, tym razem zwalista postać łysego mężczyzny w ortalionowej kurtce, opinającej muskularny tors. Wyskoczył zza drzew, najwyraźniej przyczajony tam od kilku minut, odcinając mi drogę ucieczki.

Znalazłem się w potrzasku. Po lewej miałem stok i staw, po prawej – gęsto zarośnięty zagajnik.

Wybór był oczywisty, choć oznaczał skok w niepewność. Zrobiłem to. Momentalnie skręciłem w prawo, wbijając się w zwartą ścianę nagich witek.

•••

Serce waliło mi w piersi, jakbym był łowną zwierzyną. Bo przecież nią byłem! Przedzierając się przez chaszczę, nie miałem szansy zrozumieć, gdzie popełniłem błąd. W głowie majaczyła mi tylko jedna myśl: co oni zrobili z moim sąsiadem?

Pościg był coraz bliżej. Trzech zadziwiająco sprawnych jak na swój wiek mężczyzn zdawało się potężnie zmotywowanych, by mnie dopaść. Zabójcy z sekcji „D” okazali się równie mocni fizycznie, jak przed laty, gdy po cichu posyłali ludzi do piachu. Podczas gdy ja słabłem z każdym krokiem, coraz mocniej odczuwając zrobione wcześniej kilometry.

Wiedzieli, gdzie się na mnie zasadzić! Wiedzieli, kiedy będę już bez sił! Musieli dobrze przygotować się do swojego zadania. Musieli... znać moją trasę!

Przez głowę przebiegały mi koszarne myśli, kiedy potykając się o wystające z żółtawej trawy pniaki, parłem uparcie przed siebie. Nie wiedziałem, co jest za tym cholernie gęstym slalomem z nagich witek, ale każde rozwiązanie było lepsze niż zatrzymanie się i poddanie bez walki. Wszystko było lepsze niż

samobójstwo.

Dyszeli, charczeli jak tury, zbliżając się do mnie jak posepna obława, coraz bardziej pewna sukcesu. Łysy osiłek, który był najświeższy, wysforował się na czoło pościgu. Słyszałem jego oddech tak dokładnie, jakby już siedział na moich plecach. Znacznie lepiej ode mnie radził sobie z rozgarnianiem gęstych krzewów, bijących po twarzy i dłoniach. Zdawał się być nieczuły na ból, jak jakiś android. Chyba poczuł krew, bo z każdą chwilą przyspieszał coraz mocniej.

Zaraz mnie dopadnie!, przemknęło przez mój spanikowany mózg. Dopadnie i zadźga nożem. Albo udusi w cichym, oddalonym od głównego traktu miejscu. A dwóch pozostałych pomoże mu ukryć ciało... Matko Boska! Nie, to niesprawiedliwe!

Spod zmurszałego pnia wyprysnął przede mną szary zając, wprowadzając w mój ciężki bieg zdradziecką arytmie. Wypłoszył mnie, złamał, wytrącił z bojowej równowagi. Raz przetrącony oddech, stracił nagle swoją moc, a moim płucom zabrakło siły ciągu. Nogi niespodziewanie odmówiły posłuszeństwa. Prawa stopa zahaczyła o kępę zdziczałej, wysokiej trawy...

Poczułem, że lecę na łeb, na szyję. Ledwo zdołałem zasłonić twarz łokciem. Wyrznąłem jak długi, zaczepiając o cherlawą, skarłowaciałą sosnę.

Ostatnie, co zobaczyłem, to sportowe buty lidera obławy. Ostatnie, co poczułem, to tępe uderzenie w tył głowy. A potem nastąpiła noc.

Skocz po łopatę!

- To trzeba zrobić gdzieś tutaj.
- Odpada! Za duży ruch. Jeszcze ktoś zobaczy i znowu będzie gnój.
- Nikt nie zobaczy. Tu nikt nigdy nie zajrzy, gwarantuję.
- Z Kucharskim też miało być bez świadków!
- Ile razy można skrewić? Załatwmy to szybko i będzie po sprawie.
- Może jednak poczekajmy na decyzję szefa.
- Daj spokój! Rychu, skocz po łopatę...
- Się robi. Zaraz wracam.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim odzyskałem przytomność i zrozumiałem, że ciągle jeszcze jestem na tym gorszym ze światów.

Leżałem jak kłoda twarzą do ziemi, udając, że nic nie wiem i nie słyszę. Dialog, którego wysłuchałem, nie pozostawiał wątpliwości, jaki los mnie czeka. Trzech mężczyzn właśnie ustaliło, gdzie spocznę. W dodatku zaraz, natychmiast. Bez zbędnych świadków. Nawet bez jakiegoś „szefa”, na którego powołał się jeden z oprawców.

Moje szanse zdawały się mizerne, minimalne. Ale ciągle istniały. Dopóki nie wróci facet z łopatą, mogłem jeszcze wierzyć, że uda mi się wyrwać z rąk morderców. I wierzyłem. Tyle że szybko zrozumiałem, jak kruche są podstawy mojej wiary. Kiedy spróbowałem ostrożnie poruszyć rękoma, okazało się, że ktoś skrupował mi je sznurkiem na plecach. Wstać w takiej pozycji, a tym bardziej uciekać, wydało mi się marzeniem ściętej głowy.

Gdzieś w oddali usłyszałem czyjeś powolne, ciężkie kroki. Czyżby kompan tych drani już wracał z łopatą? Uwinął się w dwie minuty?

Poczułem, jak włos jeży mi się na głowie. Idiotycznie byłoby zginąć w ten sposób. Wszystko się we mnie buntowało na myśl o tym, że przecież ustaliłem, kto sprzątnął Kucharskiego! I to wszystko miałoby teraz pójść na marne...

- Jak tam, chłopcy? – Usłyszałem znajomy głos. – Dzik wypatroszony?

...

Konstanty Wróbel wypowiedział te słowa z satysfakcją i ironią.

– Dobra robota! – Pochwalił kompanów. – Myślał, że nas okpi, chuj jeden! Ale się przeliczył. Nie z nami te numery, Brunner!

Leżałem w wilgotnej trawie kompletnie rozbity. Właściwie już gryzłem ziemię.

Rechot dobiegający z dwóch męskich gardeł uświadomił mi, jak ciężkim

byłem idiotą. A może raczej, jak wielkiego miałem pecha. A może jedno i drugie? Dlaczego tak pochopnie uwierzyłem w dobre chęci sąsiada zza ściany? W jego legendę służby w wojsku? Nawet nie sprawdziłem podstawowych informacji, które okazały się zwykłą, paskudną plotką! Owszem, Wróbel pracował w służbach. Tyle że w komunistycznych służbach bezpieczeństwa. W dodatku w tajnym komando, które z zimną krwią, bez rozgłosu i przy pełnym wsparciu wierchuszki likwidowało ludzi niewygodnych dla dawnego reżimu. Mój Boże, jaki ja byłem naiwny i głupi!

– Rozkaz wykonany, towarzyszu kapitanie. – Zdaje się, że to odezwał się ten łysy. Jego słowa wcale nie zabrzmiały żartobliwie.

– Daj spokój, Waldek. – Kapitan Wróbel najwyraźniej nie miał nastroju na wspominki. – Skończyliśmy z tym raz na zawsze...

Ktoś kopnął mnie mocno w żebra. Odruchowo zwinąłem się z bólu, zdradzając, że jestem przytomny.

– Ocknął się – mruknął bez cienia emocji Wróbel. – No dobra, chłopaki. Gdzie jest Zyga, do cholery? Spierdolił w takim momencie?

– Poleciał po łopatę – powiedział ten trzeci. – Trzeba gościa...

W jego głosie znać było respekt przed gniewem szefa.

– A po cholere łopata? – Wróbel się zdziwił. – Szkoda zachodu. Kawałek stąd jest zakład z chemikaliami. Mają tam basen z ługiem...

– Zrobimy tak, jak z tym kurdupłem z Warszawy? – Łysy drażał się ożywił. – Który to był rok? Jakoś tak zaraz po stanie wojennym...

– Zamknij japę – syknął „towarzysz kapitan”. – Na wspominki mu się zebrało, kretyn jeden...

Czuli się absolutnymi panami sytuacji. Rozmawiali o mnie jak o komarze, którego zaraz rozetrą na miazgę.

Choć mój bok rozdzierał piekący ból, spróbowałem unieść tułów i spojrzeć na ekipę, która w starym, ćwiczonym latami stylu szykowała się, by pozbawić mnie życia.

– A ty co? – ryknął na mnie łysy i ruszył w moją stronę, ale „towarzysz kapitan” go powstrzymał.

– Daj mu spokój, Waldek – warknął. – Niech sobie jeszcze popatrzy.

Wyginając się w pałąk z powodu skrępowanych rąk, sapiąc jak lokomotywa, z wielkim mozołem podniosłem się na tyle, by spocząć na tyłku. Pod sobą poczułem śliski, wilgotny pniak. Od upadku i ciosu w głowę wszystkie mnie bolało, a szaroziemisty obraz przed oczyma zacierał się, jakbym oglądał rozmazany, nieudany komiks.

...

Najpierw zobaczyłem pękatą postać Wróbla. Stał w rozkroku dwa metry ode mnie w zielono-szarej kurtce, napawając się moim widokiem. W jego spojrzeniu

było coś strasznego. Szybko zrozumiałem, co. Facet był zachwycony swoją władzą nade mną. To, że byłem związany i niezdolny do żadnej reakcji, sprawiało mu trudną do opisania radość. Wręcz satysfakcję.

Obok Wróbla zobaczyłem ubranego na czarno łysola, który zastąpił mi drogę odwrotu. Jego szerokie bicepsy, ramiona i byczy kark robiły wrażenie nawet mimo wieku przedemerytalnego. A spodnie moro sugerowały, że to fan militariów. Z pewnością bez problemu dostałby robotę w każdym nocnym klubie jako wykidajło. A może od dawna tak sobie dorabiał?

To pewnie on się zaczął na Kucharskiego. Przecież widział go Grzesiu, ten bawidamek z fiata ducato, gdy zabawiał się ze swoją lalą... Zapamiętał jakiegoś łysego na rowerze...

Nie potrafiłem opanować drżenia powieki. Pewnie dlatego, że teraz ten sam łysy drab spoglądał na mnie spode łba. Jakby chciał się upewnić, czy przyszła ofiara wystarczająco struchlała już z samego strachu.

Wiedziałem, że najbliższe sekundy zdecydują o tym, czy zobaczę jeszcze coś więcej poza dzikimi krzewami wokół nas. I czy usłyszę coś więcej poza złowieszczym krakaniem wron...

Trzeci z byłych członków „Dezintegracji” sprawiał wrażenie ciężko zdyszanego. W końcu musiał mieć na karku pod sześćdziesiątkę. Zgięty w pół, łapiąc z trudem równy oddech, wpatrywał się we mnie, jak w sezonowe zjawisko biologiczne. Zjawisko, które za chwilę miało stracić puls i kontakt z tym światem.

– Jak wierzysz w Pana Boga, to się pomódl – rzucił do mnie drwiącym tonem. – Może cię lepiej przyjmie. Ha, ha, ha!

Śmiech podchwycił łysy, zwany Waldkiem. Wróbel milczał, wpatrując się we mnie intensywnie. Chyba szukał w mojej twarzy oznak kapitulacji, paniki. Zrozumiałem, że to moja ostatnia szansa. Kiedy wróci ten czwarty, będzie już za późno...

– Pan da zapalić. – Słowa przyszły mi same, choć w moich ustach zabrzmiały absurdalnie.

Od czasów szkolnych nie zapaliłem ani razu. Wróbel nie mógł jednak tego wiedzieć. Modliłem się, by któryś z nich miał w kieszeni paczkę papierosów. Moje modły zostały wysłuchane.

– Te! To twardy zawodnik jest! – syknął z szyderą w głosie łysy. – Czekaj, koleś... Może coś się znajdzie.

Wolałem, żeby na ten pomysł wpadł Wróbel, ale ten stał nieporuszony. Nie miałem więc wyboru.

Z szerokiej kieszeni spodni łysol wygrzebał coś, co przypominało zmiętą paczkę fajek w barwach narodowych. Spojrzał na mnie i domyślił się, o co mi chodzi. Wyciągnął z pudełka jeden z pomarszczonych papierosów i zrobił w moją stronę dwa kroki, żeby wcisnąć mi papierosa w usta...

Wąski pieniek dał całkiem mocne oparcie, a skurczone przedramiona – zaskakująco dynamiczne wybicie. Jak złamana torpeda poleciałem głową w przód, prosto w odsłonięty brzuch kafara.

Jakimś cudem nie złamałem kręgow szyjnych w zderzeniu z twardym jak stal osiłkiem. Drugi cud nastąpił zaraz potem. Łysy drab niczym rażony gromem stracił równowagę i poleciał na plecy, przewracając swojego zgiętego towarzysza zbrodni.

– Jest! – Wyrwało mi się coś na kształt triumfalnego okrzyku bojowego.

Nieskrępowane nogi poniosły mnie znowu w stronę stawu.

W stronę życia.

•••

To było gorsze niż fatalna w skutkach szarża husarii pod Kliszowem\*. A jednak desperacko przebiegałem się przez gęstwinę smagających mnie po twarzy witek, jak opętany pędząc w kierunku alejki i zbocza stawu. Jeśli już miałem zginąć, chciałem, by odbyło się to przy świadkach.

Jakichkolwiek świadkach!

– Łapać gnoja! – Usłyszałem wściekły okrzyk Wróbla. – Złapać i ukatrupić! Na miejscu!

Grupa „D” rzuciła się znowu do pościgu. Tym razem jednak to ja miałem nad nimi przewagę zaskoczenia. I dobre kilkanaście metrów dystansu. Zagryzłem z wściekłości wargę aż do krwi. Muszę! – powtarzałem w myślach. Muszę!

Odgłosy goniących były słabe i chaotyczne, miałem więc duże szanse powodzenia. Obejrzałem się ze dwa razy przez ramię. Łysy musiał zostać naprawdę boleśnie trafiony, bo nie dostrzegłem go za sobą. Czołówkę pogoni stanowili Wróbel i trzeci z byłych esbeków. To również dobrze wróżyło. Bo to świecący czaszką drągal wydawał się najszybszy.

Leśną ciszę przeszył nagle wystrzał. Coś przeleciało tuż nad moim ramieniem, kalecząc korę sosny, którą właśnie mijałem.

To musiał strzelać Wróbel. Najwyraźniej uznał, że wymykam się im z rąk, i sięgnął po środki ostateczne. Chwilę później usłyszałem drugi strzał, a potem trzeci. Kule przelatowały blisko, choć niecelnie. Dowódca grupy „D” musiał dostać zadyszki. Ciągle jednak trzymał broń w dłoni.

Skuliłem się, jak tylko mogłem, modląc się jednocześnie, by żaden ukryty w wysokiej trawie kamień albo pień nie powalił mnie ponownie. Boże, choć raz daj mi szansę! Choć jeden, jedyny raz!

Jasna przestrzeń, przebijająca przez ścianę zarośli rosła z każdą chwilą, z każdym panicznym krokiem, z każdym wyrzęzonym oddechem. Obiecywała ocalenie, życie, dalszy ciąg. Moje zaprawione w biegu łydki, kolana i uda pracowały teraz fantastycznie, niosąc mnie ze spętanymi z tyłu dłońmi ku nadziei.



Wyrównany oddech miał szansę wyjścia cało z tej potwornej kabały.

Dyszząc z wysiłku, wypadłem w końcu z gęstwiny krzewów na szutrową ścieżkę. Biały żwir pod stopami zachrząścił cudownie, jak nigdy wcześniej...

Złudzenie wolności prysło w jednej chwili jak bańka. Ledwo wyhamowałem przed szerokim jak Kordyliery torsem łysego, niemal wpadając w jego mięsiste ramiona.

•••

Na wrednej gębie osiłka pojawił się triumfalny uśmiech. Wyglądał jak podstarzały żigolak, który spodziewał się wyjątkowo łatwego zarobku.

– Myślałeś, chuju, że spierdolisz bez pożegnania? – zagadnął.

Byłem bezbronny, zdany na jego łaskę. Swoim twardym bicipsem oplótł moją szyję i fachowo przycisnął mnie do żelaznej klaty. Pewnie w ten sam sposób uśmiercał przed laty wrogów „socjalistycznej ojczyzny”.

Poczułem, że tracę oddech. Zbliżająca się twarz Wróbla i nagie konary drzew rozmazały mi się przed oczyma w szary bohomaz...

– Policja! Ręce do góry!

Dramatyczny okrzyk gdzieś zza pleców dotarł już do mnie w postaci szeptu. Zaraz potem morderczy uścisk zelżał. Osunąłem się na kolana, a potem pod buty oprawcy.

\* Bitwa pod Kliszowem – starcie polsko-sasko-szwedzkie podczas wojny północnej w 1702 roku, zakończone klęską husarii, która nie przebiła się przez zmasowany ogień szwedzkiej piechoty. Bitwa ta uznawana jest za symboliczny koniec potęgi tej legendarnej formacji zbrojnej.

Sorry za ten cyrk

Leżałem na leśnej ścieżce, łapiąc z trudem powietrze niczym wyrzucona na brzeg ryba. Wokół mnie zrobiło się niespodziewanie gwarno i tłoczno. Ze wszystkich stron zbiegło się chyba kilkanaście postaci w granatowych i czarnych uniformach. Wszyscy nowo przybyli mierzyli z broni do czterech mężczyzn w wieku przedemerytalnym, którzy przed trzydziestu laty stanowili morderczą, sprawnie działającą grupę. Do czterech kompletnie zaskoczonych mężczyzn, którzy stali jak sparaliżowani, rozglądając się wokół zamglonym wzrokiem. Byli tak oszołomieni, że tylko jeden z nich zdołał posłusznie unieść dłonie w górę.

Chyba właśnie do nich dotarło, że nie wywiną się z tego, co sprokurowali. Że to, co zamierzali ze mną zrobić, będzie ostatecznym i niepodważalnym dowodem ich winy. Że ich niedoszła ofiara, a być może również policja mają wystarczającą wiedzę, by posadzić ich do pierdła. I że ich bezkarność wreszcie znalazła kres. Lepiej późno niż wcale.

Policjanci doskoczyli do zabójców Kucharskiego i skuli ich fachowo, popychając w jedno miejsce, nieopodal sfatygowanej ławki. Ktoś się nade mną pochylił. Zobaczyłem spoconą twarz aspiranta Gruszki.

– Nic panu nie jest? – Wydawał się szczerze przejęty.

Wreszcie!

– Dziękuję – wymamrotałem z trudem przez zeschnięte usta. – Czy może mnie pan podnieść?

Gruszka najpierw oswobodził mi dłonie, a potem chwycił pod zdrętwiałe ramię i pomógł stanąć na miękkich z wysiłku nogach.

Nie podobała mi się cała ta sytuacja. Przez takich jak aspirant o mały włos gryzłbym już ziemię w jakimś ustronnym, cichym miejscu. Tymczasem Gruszka zgrywał teraz bohatera, który ocalił mi życie i troszczył się o mój komfort.

– Zostaw pan! – Strząsnąłem jego dłoń, gdy tylko upewniłem się, że jestem w stanie utrzymać się w pionie.

Chyba zdawał sobie sprawę z niezręczności sytuacji, bo posłusznie odsunął się na dwa kroki, unikając mojego wzroku. Przed niego wystąpił również dobrze mi znany nadkomisarz Kozłowski. Ten nie wyglądał na faceta ze skrupułami. Spod polowej granatowej czapki z orzełkiem spoglądały na mnie oczy, w których brakowało jednego – pokory.

– Widzę, że przybyliśmy w samą porę – bardziej podsumował, niż zapytał. – Miał pan dużo szczęścia, panie Popiołek.

– Naprawdę?! – Nie wytrzymałem. – Może powie pan jeszcze, że wszystko

zawdzięczam pana geniuszowi?!

Kozłowski nieco spuścił z tonu, a już na pewno spuścił oczy.

– Co to, to nie – przyznał, oglądając się na zatrzymanych i ścisząc wzrok. – Kluczowe okazało się zeznanie mieszkanki Warszawy nazwiskiem Zuberek...

– Zuberek? Zeznanie? – Nie wierzyłem własnym uszom.

– Tak. No, może niekoniecznie zeznanie w tradycyjnej formie... – Nadkomisarz nagle stracił tak charakterystyczną pewność siebie. – Pani Klaudia zadzwoniła do nas po waszym spotkaniu bardzo zaniepokojona. Powiedziała, co wie w sprawie Kucharskiego. I co podejrzewa. No i oczywiście wyjawiała nam, co pan zamierza. Od tamtej pory... – Kozłowski chrząknął, jakby musiał nagle przełknąć jakiś okruch. – Od tamtej pory objęliśmy pana dyskretną opieką...

– Opieką?! – Znowu mną szarpnęło. – Dziękuję bardzo za taką opiekę! To skandal! Wystawiliście mnie na wabia!

Nadkomisarz przyjrzał się koronom drzew, drapiąc się jednocześnie po kiepsko ogolonym podbródku.

– Niech pan nie robi scen, podejrzani słuchają – powiedział zupełnie bez emocji. – Nie mogliśmy wcześniej wkroczyć do akcji. Nie wiedzieliśmy przecież, kim są ci ludzie. Musieliśmy ich jakoś namierzyć, a tak się złożyło...

– Co się złożyło?! Co?! Złożę to ja! Skargę na wasze działanie...

– Pana prawo, oczywiście. – Nadkomisarz zignorował moje oburzenie. – Musi pan jednak zrozumieć, że policja działa na podstawie konkretnych przesłanek i dowodów. Dopóki ich nie mieliśmy, nie mogliśmy nikogo aresztować.

Spojrzał w niebo, a potem z dość bezczelnym wyrazem twarzy dorzucił:

– Niepotrzebnie poszedł pan pobiegać. Ale najważniejsze, że daliśmy radę...

Chciałem mu splunąć pod nogi, ale szczęśliwie oddalił się w kierunku czterech zatrzymanych bandziorów. Może to i dobrze, pomyślałem chwilę później, gdy nieco ochłonąłem. Jakkolwiek by na to spojrzeć – on i jego ludzie jednak uratowali mi życie.

Policjanci uformowali czterech aresztowanych w szereg i poprowadzili ich ścieżką wzdłuż stawu ku parkingowi. Każdy z byłych esbeków miał dwuosobową obstawę. Gdy przechodzili obok, w moją stronę odwrócił się tylko Wróbel. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć. I na pewno nie była to prośba, bym zaopiekował się jego mieszkaniem. W ostatniej chwili jednak spasował. Obrzucił mnie tylko szybkim, złym spojrzeniem.

Znowu podszedł do mnie aspirant Gruszka. Pomógł mi się otrzepać z piasku i igliwia i zapytał, czy życzę sobie pomocy medycznej.

– Musimy zawieźć pana na komendę, by wykonać obdukcję i spisać zeznania – powiedział.

Spojrzałem na niego z większą życzliwością.

– Czy to konieczne? – zapytałem naiwnie.

– Obawiam się, że tak. – Poklepał mnie niespodziewanie po łopacie i nachylając się do ucha, tak żeby Kozłowski nie usłyszał, szepnął:

– Sorry za ten cyrk. Cieszę się, że pan żyje.

Ja też się cieszyłem. Jak cholera!

•••

Kludia Zuberek zmarła dzień później. Po prostu zasnęła w południe w swoim fotelu. Nie zdążyłem jej podziękować za telefon na policję, który uratował mi życie. Z półoficjalnych rozmów z Gruszką i policjantami niższego szczebla dowiedziałem się później, że Kozłowski nie zająłby się sprawą, gdyby Zuberek nie powołała się na bliską znajomość – jeszcze z czasów „Solidarności” – z wiceministrem spraw wewnętrznych. Podobno zagroziła nadkomisarzowi, że poskarży się wiceministrowi, jeśli Kozłowski nie podejmie odpowiednich kroków. Nadkomisarz, chcąc nie chcąc, musiał zacząć działać.

Wersję o objęciu mnie „dyskretną opieką” stworzył już wyłącznie na mój użytek. Prawda była inna: policja od dawna podejrzewała mnie o udział w zabójstwie Kucharskiego i okresowo śledziła. Po telefonie od Zuberek nadkomisarz zmienił tylko tyle, że objął mnie dwudziesto-czterogodzinnym nadzorem. Stałem się przynętą, za pomocą której Kozłowski złowił naraz cztery grube ryby.

Nie odebrałem mu glorii. Oczywiście mogłem złożyć skargę u komendanta wojewódzkiego i zepsuć święto policji – a już zwłaszcza nadkomisarzowi Kozłowskiemu, ale odpuściłem. Uznałem, że byłoby to z mojej strony małostkowe. Jakkolwiek patrzeć, policja naprawiła w końcu swój błąd. A że zrobiła to – dosłownie – w ostatniej chwili...

Cóż, darowanemu życiu nie zagląda się w zęby.

Musimy się napić!

Były kapitan Służby Bezpieczeństwa Konstanty Wróbel i trzech jego podwładnych z grupy „D”, likwidującej opozycjonistów i księży w ostatnich latach komunizmu, usłyszeli w sumie kilkanaście prokuratorskich zarzutów. W tym jeden szczególnie, związany z tak zwaną zbrodnią komunistyczną, która się nie przedawniła mimo upływu trzydziestu lat – jak to jest w przypadku innych zabójstw. W niespełna miesiąc stało się jasne, że staną przed sądem i odpowiedzą między innymi za współudział w zamachu na ojca Zenobiusza, za zabójstwo Jana Kucharskiego, wreszcie za próbę pozbawienia życie mojej skromnej osoby. Na razie zapoznali się bliżej z celami poznańskiego aresztu śledczego na Młyńskiej.

Zastanawiałem się, czy dominikanin był ich jedyną ofiarą w czasach PRL. I byłem niemal pewien, że mają na sumieniu więcej ludzkich istnień. Ścisłe utajnione nawet w ramach ówczesnego MSW grupy „D” zostały przecież stworzone do takich zadań. Skoro wtedy, w zagajniku, pewni swojej władzy nade mną wspominali o jakimś nieszczęśniku, którego wrzucili do zbiornika ze żrącym ługiem, stawało się więcej niż pewne, że podobnych historii mogą opowiedzieć więcej. Sęk w tym, że policja miała dowody wyłącznie w sprawie ojca Zenobiusza. Zeznanie telefoniczne Klaudii Zuberek – nagrane przez funkcjonariuszy, a także moja obszerna relacja oraz świadectwo filologa Mosteckiego i specjalnie wezwanego ojca Tomasza dały prokuraturze mocny materiał dowodowy.

Niebiosa czuwały też nad proboszczem ze Świętego Rocha – odzyskał przytomność i powoli wracał do zdrowia. Jego wypadek okazał się nie mieć żadnego związku z działalnością grupy Wróbla. Po prostu kapłan miał tego dnia pecha za kierownicą. A jednocześnie szczęście, które on sam nazwał zapewne Bożą opatrnością. Tak czy owak, jego wolny, choć systematyczny powrót do sprawności fizycznej i intelektualnej oznaczał, że ksiądz wniesie wiele ciekawych i wartościowych informacji na temat prywatnego śledztwa Kucharskiego i jego ustaleń. A tym samym ostatecznie przygwoździ mojego byłego sąsiada i jego kompanów.

Zresztą Konstantego Wróbla niespodziewanie pogrążyły również zeznania ważnego opozycjonisty z dawnego województwa toruńskiego, na którego terenie zginął ojciec Zenobiusz. Okazało się, że po upadku komuny Wróbel celowo zmienił miejsce zamieszkania, przeprowadzając się do Poznania i zacierając za sobą ślady. To wtedy w swoim życiorysie na użytek nowych sąsiadów stworzył budującą opowieść o swojej chwalebnej wojskowej przeszłości – wzbogacając ją między innymi o udział w interwencji w Iraku.

W następnych tygodniach ostatecznie potwierdzono to, co intuicyjnie przypuszczałem: Jan Kucharski od 1983 roku niezmiennie i wytrwale szedł śladem morderców ojca Zenobiusza. Za komuny niewiele mógł zdziałać – na miejscu zbrodni upewnił się jednak wraz z Klaudią Zuberek, że śmierć zakonnika nie była zwykłym wypadkiem drogowym. Po upadku PRL drążył sprawę swoimi kanałami, prowadząc wieloletnie, skomplikowane prywatne śledztwo, z którym jednak nie ujawniał się przed nikim. No, prawie przed nikim – parę puścił tylko przed zaufanym księdzem z parafii Świętego Rocha. A i to jedynie fragmentarycznie. W ostatnich latach był naprawdę blisko ustalenia nazwisk winnych śmierci ojca Zenobiusza. I właśnie dlatego przeniósł się w okolice zamieszkałe przez majora Wróbla i członków jego morderczego komanda.

Niejasne pozostawało jedynie to, co ostatecznie zamierzał zrobić Kucharski po zebraniu wszystkich danych. Wezwani przez policję świadkowie, do których dotarłem już wcześniej, potwierdzili, że Kucharski był tajemniczym osobnikiem, którego trudno było przejrzeć. Czy chciał wystawić zbrodniarzy policji, czy sam dokonać zemsty?

Zdaje się, że policja i prokuratura przyjęły zgodnie tę pierwszą wersję. Szczerze mówiąc, skłaniałem się ku tej drugiej. Kucharski nie wtajemniczył przecież w swoje śledztwo żadnego przedstawiciela policji. I zrobił to chyba z rozmysłem.

•••

W szkole stałem się mimowolnym bohaterem. W oczach dyrektora Antoniego Sadowskiego, którego zresztą odwiedził nadkomisarz Kozłowski, urosłem nagle do rangi kogoś w rodzaju Herkulesa Poirot. Po korytarzach gimnazjum krążyły coraz bardziej fantastyczne plotki, które słyszałem za swoimi plecami podczas dyżurów na przerwach. Machnąłem na to ręką. Zaprzeczanie tylko pomnożyłoby bajki na mój temat. Wolałem poczekać, aż sprawa przycichnie. Dla mnie najważniejsze było co innego: straciłem status podejrzanego w oczach dyrektora. A to oznaczało ni mniej, ni więcej, że pozwoli mi nadal pracować na etacie. Przynajmniej dopóki istnieć będzie nasze gimnazjum.

I tylko mój kolega, matematyk Marek, trochę się boczył. O to, że nie zdradziłem się ani słowem, choć byłem tak blisko rozwiązania zagadki. Uważał, że miał prawo wiedzieć odrobinę więcej i prędzej.

– No cóż, może idąc tropem Jana Kucharskiego, stałem się tak samo nieprzenikniony jak on sam? – powiedziałem do niego pojednawczo na jednej z przerw.

– Może – mruknął. A zaraz potem się ożywił: – Ale przyznasz, że z tą Zuberek to jednak trochę ci pomogłem?

Potwierdziłem to z wielką radością. Dobrze wytypował tę Warszawę, nie ma

co! Matematyka i statystyka naprawdę mają przyszłość.

•••

Ostatni, zupełnie niespodziewany akt tej sprawy rozegrał się któregoś zimnego grudniowego popołudnia na zmrożonej płycie Starego Rynku. Właśnie wyprowadzałem moją klasę z Odwachu, w którym obejrzelśmy wystawę poświęconą powstańcom wielkopolskim, gdy za plecami usłyszałem jakiś radosny tumult. Odwróciłem się i zobaczyłem znajomą sążnistą postać, przebijającą się w moją stronę przez tłumek przechodniów.

– Cześć, zboczku! – Grzesiu, dobrze mi znany kierowca z firmy Rogal i Synowie, wymachiwał w moją stronę potężnymi jak rękawice bokerskie dłońmi, nie przejmując się w ogóle tym, że jego czulej inwokacji wysłuchali nastoletni uczniowie. – No?! Co tu porabiasz, ziomalu?!

Byłem kompletnie zaskoczony. Nasze ostatnie spotkanie nie należało, zdaje się, do szczególnie serdecznych.

– Jak widzisz, prowadzę lekcję i...

– Lekcję? To ściemniałeś, że jesteś prywatnym detektywem? Wiedziałem! – Ucieszył się jak dziecko.

– Grzegorz, bardzo cię proszę... – jęknąłem żałośnie, bo w oczach moich uczniów dostrzegłem, niestety, niezdrowe zainteresowanie. – Nie róbmy zamieszania, dobrze? To są moi uczniowie, sam rozumiesz...

Spojrzał na mnie roześmiany od ucha do ucha, jakbym opowiedział mu kiepski żart. Był dziwnie pobudzony, choć nie wyczułem od niego zapachu piwa ani innego alkoholu. Koniecznie chciał mnie objąć i przytulić. I w końcu dopiął swego.

– Posłuchaj, zboczku. – Nachylił się nade mną, przy okazji szturchając mnie przyjacielsko w bok. – Polubiłem cię, więc ci powiem: hajtam się z Mariolką!

Zaniemówiłem, zastanawiając się, o czym on do mnie mówi. Aż w końcu zrozumiałem, że zapewne odwiedził niedawno Urząd Stanu Cywilnego. I że mówi o dziewczynie, którą... siłą rzeczy poznałem wtedy, na leśnym parkingu. Jeżeli oczywiście tak można było powiedzieć, bo okoliczności zaznajomienia należały do hm... cokolwiek nietypowych.

– No co się tak gapisz, ziomal? Serio mówię! – Osilek aż spęczniał z dumy. – Za dwa tygodnie ślubujemy, znaczy się w Boże Narodzenie! Zapraszam serdecznie! A tak w ogóle, to musimy się napić!

– Napić?

– Tak, zboczku! Napić! Potomek w drodze! Fujarkę na USG widziałem, znaczy się: będzie chłopak!

*Poznań – Bruksela – Warszawa*

*luty – grudzień 2016*



## Od autora

Fabula „Biegacza” inspirowana jest historią. Ten mroczny rozdział naszych najnowszych dziejów poznałem w trakcie mojej pracy dziennikarskiej, pisząc reportaże o niewyjaśnionych śmierciach z okresu PRL. Departament „D” jak „dezintegracja” istniał naprawdę. Tej utajnionej w łonie Służby Bezpieczeństwa grupie, po której nie pozostał żaden konkretny ślad w papierach, przypisuje się udział w kilkudziesięciu przypadkach niewyjaśnionych śmierci z okresu stanu wojennego i lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Choć komunistyczny reżim słabł z każdym rokiem, jego służby specjalne do samego końca PRL potrafiły likwidować ludzi uznanych za wrogów socjalizmu i władzy. Do ostatnich takich przypadków doszło jeszcze w 1989 roku.

Czytelnikom z Poznania, zwłaszcza tym pamiętającym lata stanu wojennego, niektóre fakty i postacie z tej książki mogą się wydawać znajome. Przyznam tylko tyle, że podobieństwo historii opowiedzianej w „Biegaczu” do pewnych wydarzeń i osób z przeszłości jest nieprzypadkowe. Choć, oczywiście, o niczym nie przesądza.

Piotr Bojarski

**Wydawnictwo Poznańskie poleca**

**ZAKŁADNIK**

P R Z E M

**BORKO**

Niespodziewane zwro  
ale dopiero finał wysa  
masz ochotę się rozer

F

Podczas porannego programu na żywo do studia telewizyjnego wkracza uzbrojony mężczyzna. Bierze zakładników, zabija jednego z nich, a następnie odczytuje bezsensowne oświadczenie i popełnia samobójstwo.

Był zwyczajnym człowiekiem – mężem, ojcem i dobrze prosperującym przedsiębiorcą.

Co popchnęło go do tego czynu? Czy był zwykłym szaleńcem, czy też człowiekiem realizującym precyzyjny plan? Psycholog Zygmunt Rozłucki i dziennikarka Karolina Janczewska – świadkowie tego wydarzenia – postanawiają odpowiedzieć na te pytania kręcąc reportaż. Ich podróż śladami zamachowca niespodziewanie zamieni się w śledztwo dotyczące tajemniczej śmierci sprzed lat. Czy zdołają rozwiązać zagadkę z przeszłości? Czas goni, a od wyniku ich poszukiwań zależy może życie kilku całkiem niewinnych młodych ludzi.

**POWTÓRKA**



# POWTÓRKA

MARCEL WOŹNIAK



**Czy gdybyś mógł wejść drugi raz do tej samej rzeki, popełniłbyś te same błędy?**

Z końcem kariery policyjnej przed Leonem Brodzkim jeszcze jedno, najtrudniejsze zadanie. W serii niewyjaśnionych zbrodni, do których dochodzi w Toruniu, Brodzki odkrywa pewną prawidłowość – to powtórzone zagadki sprzed lat, które były najtrudniejszymi w jego karierze. Morderca, nazywający siebie Heraklitem, ewidentnie chce, by Brodzki ponownie przeszedł przez piekło makabrycznych zbrodni. Tylko tym razem mają to być zbrodnie doskonałe...

Kto brutalnie okalecza ofiary? Kto kryje się pod numerem telefonu 511 867 571? I co zrobi Brodzki, gdy w sprawę zostanie uwikłana jego córka? Jaką cenę zapłaci za odkrycie prawdy?

Brodzki co noc śni o wiślanej otchłani, w której toną ludzie...

Choć podobno dwa razy nie da się wejść do tej samej rzeki, policjant będzie musiał odbyć powtórkę swojej drogi zawodowej... i swojego życia.

**ROZPOCZNIJ MORDERCZĄ GRĘ**

